

RACHEL HAUCK

*Salon*  
SUKIEN  
*ślubnych*



Święty Wojciech  
wydawnictwo



RACHEL HAUCK

*Salon*  
SUKIEN  
*ślubnych*



Święty Wojciech  
wydawnictwo

RACHEL HAUCK

*Salon*  
SUKIEN  
*ślubnych*



Święty Wojciech  
wydawnictwo

*Wszystkim Przyjaciołom z mojej młodości, z którymi marzyłam,  
jeździłam na rowerze i bawiłam się w udawanie w piwnicach i  
sypialniach naszych domów, wcielając się w rolę Mary Tyler  
Moore albo dziewczyny jednego z braci Osmond. Choć nie  
widzieliśmy się od kilkudziesięciu lat, nasz wspólny śmiech odbija  
się nadal echem w moim sercu.*



# *prolog*

*Haley*

*Lato 1996*

*Heart's Bend, Tennessee*

Popołudniowy wiatr potargał drzewa oblepione letnią zielenią, przynosząc ze sobą zapach deszczu i popychając ku sobie złowieszcze czarne chmury, przypominające skaliste pasma górskie. Haley, trzymając w ręku wafelek z lodowym czekoladowo-waniliowym zawijaszem, spojrzała w niebo i porzuciła rower na skraju parku Gardenia.

– Tammy, będzie padać. Pośpiesz się! – Haley zerknęła przez ramię w stronę ich „fortu”, opuszczonego budynku, w którym dawniej mieścił się salon sukien ślubnych.

Zerwał się wiatr i basowy grzmot rozbrzmiał w parku. Haley zadrżała, podkurczając palce stóp w japonkach.

– Tammy!

– Zaraz! Jeszcze czekam na lody z polewą.

Haley od samego początku polubiła Tammy, która była najładniejszą dziewczyną w klasie.

– To weź zwykłe czekoladowe. – Trzask pioruna przyklasnął propozycji Haley, dorzucając jeszcze liźnięcie błyskawicy dla bardziej dramatycznego efektu.

– Ale ja lubię te z polewą.

– Zmokniemy.

Tammy, stojąca przy budce z lodami, wzruszyła tylko ramionami. Z uśmiechem wyciągnęła rękę, kiedy Carter Adams w końcu podał jej gotowe lody przez okienko. Haley nie znosiła Cartera. Przyjaźnił się z jej najstarszym bratem, Aaronem, i za każdym razem, gdy przychodził do ich domu, droczył się z nią i znęcał nad nią, póki nie zaczynała krzyczeć.

Wtedy do pokoju wpadała mama: – Haley, na litość boską, bądź cicho. Co tak wrzeszczysz?

A czy Aaron kiedyś się za nią wstawił? Albo czy Carter przyznał się, że się nad nią znęcał? Oczywiście, że nie. Kiedy Haley dorośnie, będzie bronić innych. Pomagać ludziom. Wstawiać się za słabszymi.

Dziewczyna musi mieć pojęcie o samoobronie, kiedy ma czterech starszych braci. Byli w porządku, ale tylko wtedy, kiedy nie zachowywali się jak *chłopcy*.

– Gdzie chcesz iść? – Tammy usiadła na ławce i kiwnęła na Haley, żeby do niej dołączyła. Jednocześnie ostrożnie zlizywała końcówką języka topniejące waniliowe lody, które wyciekały spod czekoladowej polewy. – Idziemy do ciebie? Możemy pograć w „Mario”.

– Nie... już grałyśmy. A poza tym, teraz będzie tam jeden z moich braci. – Haley rzuciła okiem za siebie, na ich fort w starym salonie ślubnym. – A może pójdziemy do ciebie?

Haley wołała schludny i cichy dom Easonów. Tammy była jedynaczką; miała więc go całkowicie do swojej dyspozycji, *łącznie* z własną łazienką.

Własna łazienka! Haley musiała dzielić ją z dwa lata starszym Sethem i cztery lata starszym Willem, dlatego mama mówiła, że to łazienka Jasiów i Małgosi. Ale starczało w niej miejsca tylko dla dwóch Jasiów. Pewnego dnia Haley będzie bronić innych i będzie miała całą łazienkę dla siebie. Koniec kropka.

– Twoi bracia są mili.

– Mili? Pomieszkać z nimi, a zobaczysz. – Haley zmarszczyła nos. – Są głośni i brzydko pachną. I to jak.

Nad ich głowami zagrzmiało i spadło kilka kropel deszczu. W koszyku zawieszonym na rowerze Tammy zapiszczał pager.

– To mama – powiedziała, walcząc z topniejącymi lodami, spływającymi po serwetce, w której trzymała wafelek. Sięgnęła po pager. – Trójka.

A, trójka. Trójka oznaczała: „Uważaj na siebie”. Z reguły pani Eason wysyłała jedynekę, która oznaczała: „Wracaj do domu”.

Nad rozległym parkiem w centrum miasta i głównym placem Heart’s Bend zapadła ciemność. Wiatr przygnał ciężkie krople deszczu, a granatowe niebo nagle przeszyte zostało ostrzem błyskawicy.

Tammy poczuła dreszcze. – Schowajmy się lepiej w jakimś bezpiecznym miejscu. Mama będzie mnie później wypytywać.

– Chcesz pójść do fortu? – Haley machnęła ręką, wskazując na opuszczony budynek.

Jak gdyby na jej sygnał niebiosa rozwarły się, wylewając z siebie hektolitry deszczu. Tammy upuściła lody; krzycząc i śmiejąc się porwała swój rower z chodnika.

– Chodźmy!

– Czekaj na mnie. – Haley, nadal trzymając wafelek w dłoni, wskoczyła na rower i popedałowała, ile sił w nogach, wzdłuż First Avenue. – Juhuuuuuu! – pochyliła głowę, starając się osłonić przed kłującymi kroplami deszczu, które chłodziły jej rozgrzaną, lepką skórę.

Pomknęła przez ulicę na czerwonym świetle i wjechała na krawężnik Blossom Street. Porzuciwszy rower w cieniu starego dębu, musnęła dłonią zwisający bluszcz i pognąła za Tammy w kierunku werandy na tyłach budynku.

Chmury zderzały się ze sobą, wypowiadając sobie wojnę, wymachując świetlnymi mieczami i skrapiając Heart's Bend bitewnym potem. Dziewczęta wbiegły na werandę i padły jak długie na drewnianą podłogę.

Haley zerwała się na równe nogi i zawisła na drzwiach, zahaczywszy przedramię o wątlą ramę drzwi z moskitierą.

– Cha, cha, cha, teraz nas nie dopadniecie!

– Chodź już, wejdźmy do środka! – Tammy w wiadomy sobie sposób poszarpała gałkę, poluzowując zamek tylnych drzwi, i wślizgnęła się do sklepu.

Haley weszła za nią, zatrzymując się przy pomieszczeniu, które mama nazwałaby pokojem kredensowym. Gdy strzepnęła deszcz ze swoich prostych blond włosów, poczuła, że ogarnął ją spokój, który panował w sklepie. Mówił coś do Haley, coś, czego nie rozumiała, ale zdecydowanie czuła. Tak jak zawsze miała wrażenie, jakby znalazła się w domu.

Tata nazywał to szóstym zmysłem. Cokolwiek to znaczyło. Haley wiedziała, że istnieje czas, przestrzeń i jeszcze coś, co jest poza widzialnym światem. Ta świadomość była elektryzująca. I jednocześnie przerażająca.

– Patrz, nie chce się odczepić. – Tammy, śmiejąc się, machała dłonią przed twarzą Haley, starając się strzepnąć kawałek białej serwetki, który przykleił się do jej palców.

Haley oderwała serwetkę od dłoni przyjaciółki i wcisnęła ją do kieszeni. Nie chciała tu śmiecić – w przeciwieństwie do tych, którzy próbowali otworzyć

biznes w tym miejscu po zamknięciu salonu sukien ślubnych. Szkoda, straszna szkoda, że ludzie nie potrafili uszanować tego miejsca i wszystkiego, co ono symbolizowało.

Haley miała dopiero dziesięć lat, ale znała już historie panien młodych, które przewinęły się przez ten sklep, opowieści o pannie Corze i o tym, ile dobrego ona zrobiła. Temu miejscu należał się szacunek.

– Pobawmy się w panny młode. – Tammy wbiegła po szerokich, ciężkich schodach. Rzeźbiona i wijąca się poręcz przywodziła Haley na myśl wielki pałac. Tym właśnie był dawniej ten sklep dla Heart's Bend i dla dziewcząt, które wychodziły za mąż. – Haley, tym razem ty będziesz panną młodą. Stań... tam i zejźdź po schodach.

– Na antresoli?

– Tak, właśnie tam. – Tammy zlizwała czekoladę z palców, po czym wytarła dłoń w szorty. – Przypomnij mi, skąd ty wiesz, że to się tak nazywa?

– Mama o tym wspomniała, jak oglądałyśmy jakiś dokument. – Haley uśmiechnęła się, że chrapie. Mama miała bzika na punkcie edukacji; wszystko, co robiła rodzina Morganów, musiało mieć walory „edukacyjne”. Do pewnego czasu nawet prezenty na Boże Narodzenie. Na szczęście tata położył kres obsesji mamy w czasie świąt.

Mama była lekarzem, a tata inżynierem. Siedzieli do późna w pracy, dlatego zatrudniali pokojówko-kucharkę Hildę i nianię Tess. Były w porządku, choć nieco zrzędlawe. Gdy Haley niedawno poprosiła, żeby któraś z nich pomogła jej upiec ciasto, wyrzuciły ją z domu.

– Idź popływaj. W ogrodzie macie wielki basen, a wszyscy siedzicie w domu. Skandal, po prostu skandal. Za moich czasów...

Opowieści Hildy o „jej czasach” zawsze sprawiały, że Haley i jej bracia wyparowywali z domu w sekundę.

Tak wyglądała codzienność w domu Morganów. Tata i mama wracali każdego wieczoru na wspólną kolację, bo mama wyznawała zasadę, że członkowie rodziny powinni jadać razem. Ale przy posiłku musieli rozmawiać o czymś mądrym. Mama stale powtarzała: „Edukacja to podstawa”.

Ale czy tylko? Równie ważne były noworoczne postanowienia. Kolejny straszak mamy. W sylwestrowy wieczór każdy musiał wyznaczyć sobie jakiś cel na kolejny rok. Zmuszała wszystkich, aby usiedli, zastanowili się i zapisali na



kartce, co chcą osiągnąć. Tata jej przyklaskiwał. Więc nie można było się już z tego wykręcić.

Przez trzy ostatnie lata celem Haley było „dostać szczeniaka”. Ale jak dotąd nie miała ani jednego. Po co było to wyznaczanie celu, skoro rodzice nie pomagali jej go osiągnąć?

– To jesteś tą panną młodą czy nie? – zapytała Tammy. – Ja byłam ostatnio. Teraz moja kolej, żeby być właścicielką.

Haley wbiegła po schodach. Wolałaby być właścicielką. – Dobra, ale za kogo wychodzę?

– A za kogo chcesz?

– Za nikogo. Mówiłam ci, chłopcy śmierdzą.

Tammy skrzywiła się. – To udawaj, że nie śmierdzą. To za kogo? – Pokręciła gałką drzwi do magazynu pod mansardowym oknem. Lubiły udawać, że w środku ukryte są suknie ślubne.

Ale drzwi, jak zawsze, były zamknięte.

Haley do głowy przychodził tylko jeden chłopak, który nie działał jej na nerwy. Zerknęła na swoją przyjaciółkę stojącą w strumieniu światła wpadającego przez okna na antresoli. – To może za Cole’a Dannera?

– Za Cole’a? – Tammy westchnęła ciężko, patrząc na nią z dezaprobatą i opierając rękę na biodrze. – On jest mój.

– Ojej, przecież nie chcę go tak naprawdę. Tylko na niby. Jest najprzystojniejszy w klasie i z tego, co wiem, to najmniej śmierdzi.

– Dobrze, skoro tylko na niby, to się zgadzam. Ale jak dorośniemy, to ja go zaklepuję.

– Cole’a? A weź go sobie. Ja wyjdę za mąż dopiero, gdy już będę naprawdę stara. Gdy będę miała jakieś trzydzieści, a może nawet czterdzieści lat.

Tammy roześmiała się. – Ale obiecujesz, że będziesz moją druhną?

– Obiecuję! – Haley dla swojej najlepszej przyjaciółki zrobiłaby wszystko.

Nad ich głowami nadal słychać było odgłosy burzy. Ale ściany starego salonu ślubnego trwały niewzruszenie.

Babcia Haley ze strony taty i jej przyjaciółka, pani Peabody, kupiły tu kiedyś swoje suknie ślubne. Mama poznała tatę – wówczas studenta politechniki – w Bostonie, podczas swoich studiów medycznych. Pobrali się w urzędzie. W przeciwnym razie mama także kupiłaby swoją suknię ślubną u panny Cory.

Przynajmniej tak Haley to sobie wyobrażała. Choć miała dopiero dziesięć lat, była bardzo przywiązana do tradycji.

Tata i mama przeprowadzili się z powrotem do Heart's Bend, kiedy Haley miała dwa lata. Chcieli być bliżej rodziny i uciec przed zimnem. Mama założyła tu swoją klinikę medycyny sportowej. Z tego, co Haley widziała, była całkiem sławna. Zjeżdżali się do niej sportowcy z różnych stron.

– Musisz mieć welon. – Tammy chwyciła kawałek starej gazety, wygładziła go na podłodze i położyła na głowie Haley.

Haley śmiała się, robiąc uniki tak, że biało-czarny welon ciągle spadał jej z głowy. – Jeśli wrócę do domu z wszami, mama wpadnie w furję. – Przesunęła się nieco w stronę dwupiętrowych schodów. – Chodź, pomyszkujemy na górze. Może znajdziemy coś, co się nam przyda.

Drugie piętro było strasznie zagracone; zastawione pudłami i starym sprzętem komputerowym. Tapety odłaziły ze ścian, podłoga była pokryta gnijącą wykładziną, a łazienka w ruinie.

Tammy wzdrygnęła się. – Ciarki mnie przechodzą. Wróćmy na antresolę.

Ale Haley dostrzegła, że coś wystaje zza krawędzi wykładziny. Pochyliła się i opuszkami palców delikatnie wyciągnęła czarno-białą fotografię.

Tammy przykucnęła obok niej. – Hej, to jest panna Cora. Widziałam jej zdjęcie w gazecie.

– Wiem. Pamiętam. – Haley spojrzała w górę, w stronę zawilgoconego mieszkania. – Myślisz, że tam mieszkała?

– Mam nadzieję, że nie. Ohyda.

Haley zapatrzyła się w oczy kobiety, w których kryła się jakaś tajemnica, tęsknota. Dziewczynka poczuła w brzuchu dziwny skurcz. Przeszył ją dreszcz. Znow jej szósty zmysł dawał o sobie znać. Znowu poczuła coś, czego nie mogła zobaczyć.

– Zobacz, klamerki. I kawałek tiulu. Z tego zrobimy ci welon. – Tammy trzymała w dłoniach znalezione skarby, stojąc przy regale na książki.

– Udawajmy po prostu, że mam sukienkę i welon. – Haley nadal wpatrywała się w twarz ze zdjęcia. Panna Cora nie była zbyt ładna, ale miała życzliwą twarz i staromodną fryzurę, jak te na fotografiach babci. Z jej oczu biła ciekawość. I smutek. Tak, zdecydowanie smutek.

Słyszała o niej tyle dobrych rzeczy. Czy lubiła prowadzić salon sukien

ślubnych? Czy – tak jak Haley – miała dużo braci? To na pewno jest powód do smutku. Czy była jedynaczką, tak jak Tammy?

– Hal, chodź już, zanim mama każe mi wracać do domu.

Nagły grzmot jakby potwierdził wolę Tammy. Haley wcisnęła więc zdjęcie do kieszeni spodenek i zbiegła na dół.

– Zmieniłam zdanie. Ty będziesz panną młodą. A ja będę właścicielką sklepu, panną Corą.

– Panną Corą?

– A czemu nie? Tak na niby. A skoro Cole ma być panem młodym, to lepiej, żebyś ty była panną młodą. Wyjdiesz za niego szybciej, niż ja kiedykolwiek wyjdę za mąż.

Gdy wróciły na antresolę, Haley szybko weszła w swoją rolę, zbiegając po schodach do holu. – Och, dzień dobry, pani Eason. Pani córka właśnie przymierza welon. – Udała, że otwiera frontowe drzwi, które w rzeczywistości były zamknięte na cztery spusty. – Proszę spocząć.

Tammy z gracją przeszła się po antresoli, a potem powoli zaczęła schodzić po schodach, mrużąc marsz weselny. Haley zdmuchnęła sobie grzywkę z czoła. Rozgrzane powietrze w salonie sprawiało, że się pocila, a kurz oblepiał jej skórę.

– Pani Eason, czyż ona nie jest piękna? – Haley przeskoczyła nieistniejącą linię i przyciskając dłonie do policzków, weszła w rolę matki Tammy. – Och, zaraz się rozpłaczę. Zaraz się rozpłaczę. – Powachlowała twarz dłońmi. – Kochanie, wyglądasz wprost przepięknie. Przecudownie...

Tammy uformowała na głowie swój gazetowy welon, uniosła spódnicę nieistniejącej sukni i zaczęła szczebiotać, jak to nie może się już doczekać, by wyjść za Cole'a Dannerą.

Gdy tylko to powiedziała, trzasnął piorun. Tak głośno i odważnie, że aż zatrzęsły się szyby w oknach. Tammy ze strachu padła w ramiona przyjaciółki.

Upadły na podłogę, zataczając się ze śmiechu, rozkładając ręce na drewnianej, zniszczonej podłodze. Po chwili zapadła cisza, a Haley wpatrzyła się w wysoki sufit.

– Może pewnego dnia kupimy ten sklep? – Wzięła Tammy za rękę. – Pójdziemy do college'u, a potem może wstąpimy do piechoty morskiej czy coś w tym stylu...

– Piechota morska? Ja tam nie idę do żadnej piechoty – zaprotestowała

Tammy. – Ale mogę poprowadzić z tobą ten sklep.

– Tylko najpierw pozwiedzamy różne miejsca, poznamy ludzi, pojedziemy na Hawaje i dopiero *potem* kupimy sobie sklep.

– Przyjaciółki na zawsze. – Tammy zahaczyła swój mały palec o palec Haley.

– Przyjaciółki na zawsze.

– Kiedyś tu wrócimy i salon będzie należał do nas.

– Obiecuję.

– Obiecuję.

Światło błyskawicy znów złożyło pocałunek na frontowych oknach. Haley zerwała się i zaczęła biegać po sklepie, wrzeszcząc i uciekając przed Tammy, która próbowała ją złapać.

Bo najlepsze przyjaciółki zawsze mają wspólne marzenia. Choć marzenia mają kiedyś swój kres...

Ale przyjaźń nigdy nie ustaje. A danego słowa nigdy się nie łamie.

# *jeden*

*Cora*

*Kwiecień 1930*

*Heart's Bend, Tennessee*

Ten poranek na pierwszy rzut oka nie różnił się niczym od innych. Cora poszła na tyły budynku, otworzyła kluczem drzwi do sklepu i jednym pstryknięciem włączyła światła.

Jednak dziś promienie wiosennego słońca przedzierające się przez korony drzew obudziły w niej nadzieję. Wzmagaly oczekiwanie.

*Niech to będzie dzisiaj.*

Cora zawiesiła sweter i kapelusz na haczykach w holu i weszła do małego salonu. Stała przy najbliższym oknie i odsunęła koronkową firankę. Jej wzrok powędrował w kierunku widocznej między drzewami rzeki Cumberland. Marzyła, by *go* dziś zobaczyć.

Choć uwielbiała zapachy zieleni i kwitnących gardenii, tęskniła za panoramą rzeki niezastłoniętą wiosennym listowiem. Dzięki położeniu salonu na wzniesieniu z jego okien zimą rozciągał się widok sięgający wielu kilometrów. Zimowe dni, choć mroźne i szare, dzięki spustoszeniu, które czyniły roślinom, otwierały perspektywę na całą okolicę.

W końcu przyszła wiosna... w przeciwieństwie do niego. Cora nie mogła się doczekać, by kątem oka zobaczyć go, jak maszeruje na swoich długich i szczupłych nogach od strony portu, śmiało wkracza w alejkę, wypełniając ją swoją szeroką posturą, burzą splecionych wokół twarzy blond włosów, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami opinającymi jego muskularne przedramiona.

*Kochanie, wróć dziś do mnie.*

– Cora, to ty? – Z zamyślenia wyrwał ją huk zatraskujących się drzwi na tyłach sklepu.



– Tu jestem. – Odelia, krawcowa i asystentka Cory, weszła, wpuszczając do sklepu powiew zimnego powietrza i roztaczając wokół siebie zapach cynamonu.

– Przepraszam za spóźnienie. Czekałam, „aż mi się upiecze”. – Zaśmiała się, poprawiając ubrania, które trzymała w ręku. – „Aż mi się upiecze”... chodzi o bułeczki, rozumiesz? A niech mnie, powinnam występować w wodewilu. A tak naprawdę, to ten mój stary rzęch nie chciał odpalić, więc Lloyd musiał przywieźć mnie wozem.

Cora zajrzała jej przez ramię. – Mmm, pachną bosko. Nie ma pośpiechu. Wszyscy będą dopiero za godzinę. Mama jest już w drodze.

– To dobrze. Twoja mama jest najlepszą hostessą. – Odelia zaniósła gorące bułeczki do pokoju kredensowego na parterze, gdzie mama trzymała serwis herbaciany i kawowy wraz z wypiekami z piekarni Havenów. Będzie musiała taktownie potraktować bułeczki Odelii. – Nawet twoja ciocia Jane skapitulowała i uznała wyższość pani Esmé jako hostessy. A teraz zostawię cię na chwilę i przyniosę resztę sukienek z wozu. Lloyd musi wracać, bo ma robotę na farmie i nie lubi, jak go zatrzymuję.

– Pomogę ci. – Cora zeszła za Odelią po schodach, prosto na Blossom Street. – Dzień dobry, Lloyd.

– Dzień dobry, Coro – Kiwnął głową w jej kierunku, a potem nasunął kapelusz na oczy i wręczył jej kilka sukni z wieszakami. – Mam robotę.

– Już dobrze, dobrze. A jak myślisz, co my tu robimy cały dzień, gramy w pchelki? – Odelia oparła stopę o koło wozu i wspięła się, by odebrać suknie od swojego męża. – Nie przyciskaj ich tak do siebie, bo będą śmierdzieć końmi i świniami.

– Odelio, możesz mi je podać. – Cora wyciągnęła ręce po kolejne trzy suknie.

Choć ta kobieta była zdolną krawcową i filarem salonu, pozostawała dla Cory zagadką. W połowie Irlandka, w połowie Indianka z plemienia Cherokee, pracowała ciężko jak koń pociągowy, a jednak miała gładką brązową skórę, która odejmowała jej lat. Mama dawała sobie rękę uciąć, że Odelia ma pod sześćdziesiątkę.

Kiedy rozładowały suknie, Lloyd odjechał. Na odchodnym Odelia zawołała: – Przyjedź po mnie później, stary łysku, albo nie dostaniesz kolacji.

– Przypomnij mi, jak długo jesteście małżeństwem? – zapytała Cora, podążając za swoją asystentką. Ciotka Jane ją znalazła. Zatrudniła ją w 1890 roku, kiedy po

raz pierwszy otwarto salon.

– Od czasów chrystusowych – odpowiedziała, przyglądając się jednej z białych atlasowych sukni. – Powieszę Lloyda, jeśli od tego jego starego koca coś się pobrudziło.

Ale w promieniach słońca wpadających przez okna antresoli suknie wyglądały na nieskalane. Ich białe spódnice migotały, czyste i piękne. Nikt w Heart's Bend nie potrafił tak sprawnie operować igłą i maszyną do szycia jak Odelia.

– Przygotuję ekspozycję. – Cora ruszyła w dół po schodach. Wspaniała klatka schodowa z rzeźbionymi, błyszczącymi drewnianymi tralkami dzieliła sklep na dwie części: okazały salon po lewej stronie i mały salon po prawej.

Duży pokój Cora wystylizowała na salon w hollywoodzkim stylu, inspirując się filmami i czasopismami. Drewnianą podłogę wyłożyła pluszowym dywanem, a ściany tapetą w odważny wzór.

W świetle padającym z frontowego okna wystawowego ustawiła ozdobne krzesła wokół długiej, bogato rzeźbionej sofy z polerowanego drewna, obitej złotym, zdobionym materiałem. To tu sadzała swoje klientki wraz z ich matkami, babkami, siostrami, kuzynkami, przyjaciółkami, ciotkami i siostrzenicami. Tu czekały, aby ujrzeć pannę młodą, schodzącą po schodach w swojej sukni ślubnej.

A jeśli takie było życzenie panny młodej, po schodach schodziły razem z nią jej druhny, które prezentowały sukienki wizytowe. Raz na jakiś czas również ojcowie podnosili wrzawę, aby włączyć ich do towarzystwa. W końcu czyż to nie oni regulowali rachunki?

W gablotkach w małym salonie klientki mogły znaleźć szeroki wybór welonów, rękawiczek, torebek, kopertówek, pończoch i wszystkiego, czego tylko dusza mogła zapragnąć. Na manekinach prezentowane były suknie ślubne oraz kreacje dla panny młodej na podróż poślubną. Nie brakowało także skromnej bielizny.

Cora przystanąła na szczycie schodów. Co właściwie miała zrobić? Ach tak, wystawki w gablotach. I pobiec do piekarni po ciastka. Zamarła jednak przy drzwiach wejściowych, zerkając przez grawerowane szkło i nie będąc w stanie uspokoić burzy w swoim sercu. Mieszaniny pełnego napięcia wyczekiwania i niepokoju.

*Rufusie, gdzie jesteś?*

W swoim ostatnim liście pisał, że tej wiosny będzie pływał po rzece

Cumberland. „Wypatruj mnie w marcu”. Był już jednak pierwszy tydzień kwietnia. Derenie już dawno zakwitły w parku Gardenia i wzdłuż First Avenue.

Obawiała się, że został ranny albo podupał na zdrowiu. Albo, co gorsze, jego łódź natrafiła na przeszkodę, zaczęła tonąć, a wartki prąd uwięził go pod powierzchnią wody.

– A od kiedy to mamy czas na wystawanie przy oknie?

Cora odwróciła się i zobaczyła swoją matkę, jak przechodzi przez mały salon, przyklepując włosy ręką i wygładzając przód spódnicy. – Sprawdzalam tylko temperaturę. – Cora zastukała palcem w chłodne szkło termometru. Szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Sprawdzasz temperaturę czy patrzysz na rzekę?

Mama lubiła myśleć, że Cora nie ma przed nią tajemnic. Była przekonana, że potrafi wszystko z niej wyczytać.

– Zanim pójde do piekarni, ułożę towar w gablotkach. Czy mogłabyś otworzyć górne okna i wpuścić trochę świeżego powietrza? Kiedy przyjadą Dunlapowie, zrobi się duszno. Stawią się liczną grupą.

– Wiesz dobrze, Coro, że wypatrywanie go przez okno nie przyspieszy jego przyjazdu. I nie zamieni go w mężczyznę, który dotrzymuje danego słowa. – Mama otworzyła okno obok drzwi.

– Jesteś niesprawiedliwa. On dotrzymuje słowa.

– Jeśli masz na myśli, że zmienia dane ci słowo, kiedy tylko mu się podoba, a potem wmawia ci, że tak musi być, to tak, zgodzę się z tobą. Wspominałaś coś o piekarni? W pokoju kredensowym widziałam tylko cynamonowe bułeczki Odellii.

– Tak, gdy skończę przygotowywać wystawki w gablotkach, pójde do piekarni Havensów. Zaparzyłabyś kawę i herbatę na pięć minut przed przyjściem Dunlopów?

– Pomagałam w tym sklepie, zanim przyszedł na świat. Wiem, kiedy zacząć przygotowywać kawę i herbatę. Nie wiem tylko, co mam zrobić z bułeczkami Odellii. Przysięgam, że ta kobieta potrafi z kępy suchej trawy uszyć piękną suknię, ale jej wypieki pozostawiają wiele do życzenia. Nic dziwnego, że Lloyd nigdy się nie uśmiecha.

Cora stłumiła śmiech. – Ciii, mammo. Jeszcze cię usłyszy. Ale nie zaprzeczysz, że pachną wspaniale.

– To prawda, ale już jej mówiłam, że jej słodkie bułeczki są twarde jak kamień.  
– Matka ruszyła w stronę schodów. – Prawda, Odelio?  
– Co takiego, Esmé?  
– Że na twoich wypiekach można sobie zęby połamać.  
– Powtarzasz mi to już od dwudziestu lat, a proszę, Lloydowi jak dotąd nic się nie stało.

– Tylko, że on nigdy się nie uśmiecha. – Mama obróciła się do Cory i zakrywając usta dłonią, wyszeptała: – Bo już dawno nie ma zębów.

– Mamo, przestań. – Cora stłumiła śmiech. – Nie tak mnie wychowałeś. Zachowuj się jak dobra chrześcijanka.

– Ale mówienie prawdy to główna cecha dobrego chrześcijanina. – Matka otworzyła pozostałe okna. W wielkim salonie stojący na podłodze zegar z wahadłem wybił kolejną godzinę.

Ósma. Cora musi się wziąć w garść. Wyciągnęła z dolnych szuflad głowy manekinów i przystroiła je welonami, układając długie tiule i oplatając je wokół polerowanego drewna. W grube sztuczne włosy kolejnych manekinów wpięła ozdobne grzebienie.

Następnie na niebieskim aksamitnym materiale poukładała długie, jedwabne rękawiczki z perłowymi guzikami i zestaw perłowej biżuterii.

Salon miał gościć dziś ważną klientkę. Pannę Ruth Dunlap z Birmingham, panienkę z wyższych sfer. Salon sukien ślubnych wiele zawdzięczał jej rodzinie. Jej matka, pani Laurel Schroder Dunlap, urodzona i wychowana w Heart's Bend, kupiła swoją suknię i wyprawę ślubną u ciotki Jane w 1905 roku. Zapewne spodziewała się, że jej córka zostanie przyjęta po królewsku. I tak miało się stać.

Jane Scott nauczyła się wszystkiego, co wiedziała o modzie ślubnej, w Mediolanie i Paryżu pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku i przywiozła tę wiedzę do rodzinnego Tennessee, gdy zmarła jej mama, babcia Scott. Kobiety z Heart's Bend – żony farmerów, ludzi gór, o różnym kolorze skóry i były niewolnice – nigdy wcześniej nie widziały cudów, które ciotka Jane przywiozła ze sobą do miasteczka.

Ale dały się uwieść. Elegancja ciotki Jane sprawiła, że małomiasteczkowy sklep stał się legendą w samym środku Tennessee i w północnej Alabamie, dając początek niezwyklej lokalnej tradycji i stając się oczkiem w głowie mieszkańców Heart's Bend.

– Coro, wiem, że nie lubisz, jak wciskam nos w nie swoje sprawy... – zagadnęła mama, wracając do małego salonu – ale...

– Masz rację, nie lubię. Nie jestem już dzieckiem. – Cora sprawdziła ostatnią gablotkę. Wszystko wydawało się w porządku.

Posłała mamie uśmiech i ruszyła w kierunku antresoli, na której stało jej biurko. Przerzuciła papiery, odsuwając na bok duże pudło z listami. Zajmie się tym jutro, kiedy pani Dunlap wróci już do Alabamy.

Matka ruszyła za nią.

– O to właśnie chodzi, że *nie jesteś* już dzieckiem. – Matka oparła się o krawędź biurka i pochyliła się nad Corą. – Kochanie, masz już trzydzieści lat. Ja w twoim wieku miałam już męża, dwójkę dzieci, a zanim skończyłam dwadzieścia osiem lat, zdążyłam zostać przewodniczącą Stowarzyszenia Równości na Rzecz Prawa Wyborczego w stanie Tennessee.

– Coro, czy chciałabyś wybrać wcześniej jakiś welon dla panny Dunlap? – Odelia wychyliła się z szerokiego i długiego zaplecza. – Myślę też, że do jej sukni pasowałyby rękawiczki.

– Ułożyłam welony i rękawiczki w gablotach w małym salonie. Będzie mogła sama coś wybrać podczas przymiarki sukni.

Ciotka Jane nie oszczędzała, zlecając architektowi z Nashville, Hugh Cathcartowi Thompsonowi, zaprojektowanie tego miejsca. Był to przykład architektury najwyższej próby.

Miejsce, gdzie można pracować *i* żyć. Ciotka Jane mieszkała nad swoim ukochanym sklepem przez trzydzieści lat, jednak Cora jeszcze się tam nie wprowadziła.

– A co z sukienką na podróż poślubną? Coś niezobowiązującego? Mamy próbki z dzianinowej kolekcji Elsy Schiaparelli.

– Tak, oczywiście. Wybierze sama. Możemy zamówić wszystko, co tylko będzie chciała. Dzianina jest nadal popularna.

Cora lubiła styl Schiaparelli. Projektantka miała świadomość, że kobiety są normalnymi ludźmi i potrzebują ubrań, w których będą mogły pracować.

– Odelio, wesprzyj mnie. Powiedz Corze, żeby nie zamykała swojego serca. – Mama pogładziła ciemne włosy Cory. – Tylko o to proszę. Umów się z innym mężczyzną. Nie stój ciągle przy oknie, czekając wiecznie na tego swojego kapitana. Prowadzisz salon sukien ślubnych, a sama nie byłaś jeszcze panną



młodą.

– Dziękuję ci, mamó. Bez ciebie bym tego nie zauważyła. – Wszyscy w miasteczku rozmiarów Heart's Bend zdążyli już się zorientować, że trzydziestoletnia właścicielka sklepu z sukniami ślubnymi nie jest zameżna. – Czy to nie ty zawsze mi powtarzałaś, że trzeba słuchać głosu serca?

– Tak, ale nie spodziewałam się, że zaprowadzi cię to w ślepy zaułek. – Matka ruszyła w dół po schodach. – Dobrze, już nic nie mówię. Nie chcę, żeby Dunlapowie widzieli cię taką przygnębioną. Mam pójść po ciasteczka? Mam jeszcze czas, zanim zabiorę się za parzenie kawy i herbaty.

– Nie, mamó. Mówiłam już, że ja pójdę. – Potrzebowała ucieczki, świeżego powietrza, przechadzki, by przewietrzyć głowę, przez chwilę rozmarzyć się, że *on* jest przy niej, uciec od wiecznie wtrącającej się matki.

Przez cztery lata ich romantycznej znajomości Rufus St. Claire nigdy jej nie okłamał. Nigdy. Spóźniał się, spowalniany rozkładem kursów statków i prawami natury, które narzucała rzeka, ale zawsze dotrzymywał słowa i w końcu zjawiał się, krocząc First Avenue z szelmowskim uśmiechem, ramionami uginającymi się pod ciężarem prezentów i z pocałunkami, jeszcze słodszy i bardziej namiętny niż wcześniej.

Wtedy przysuwał swoje jedwabiące gładkie usta do jej ucha i szeptał: *Pewnego dnia za mnie wyjdiesz.*

Cora, drżąc na całym ciele, opadła na krzesło. Tęsknota za nim niemal sprawiała jej fizyczny ból. Aż do dzisiaj, przez całą zimę i wiosnę, miała się dobrze, karmiąc się jego listami. Nadszedł jednak kwiecień, a mężczyzna, którego kochała, nadal się nie zjawiał.

Schodząc z antresoli, na której ścianach wisiały trzy owalne lustra oprawione w czereśniowe drewno, gdzie ubierano i przystrajano dziewczęta, Cora w ogóle nie czuła się jak jedna z panien młodych, którym tak uwielbiała usługiwać. A tak bardzo chciała być na ich miejscu.

Odkąd była małą dziewczynką, marzyła o swoim wyjątkowym dniu w salonie. O tym, żeby zejść po wspianiałych schodach przy akompaniamencie ochów i achów mamy i Odellii oraz swojej przyszłej teściowej – jeśli nadal żyła – jej rodziny i przyjaciół.

Sączyłaby słodką herbatę i skubała maślane ciasteczko z cukrową posypką, nie mogąc doczekać się szczęścia, jakie przyniesie jej dzień ślubu.

Walczyła z poczuciem, że jest pospolita, stara, że los o niej zapomniał. Ale *on* obiecał. I póki nic nie wskazywało na to, by mu nie wierzyć, szła za głosem serca i czekała.

– Esmé, pomóż mi – powiedziała Odelia, wskazując na manekin. Usiłowała ubrać go w suknię, którą panna Dunlap wybrała podczas swojego pierwszego pobytu w salonie miesiąc temu. Jej wybór padł na suknię z szablonu czasopisma „Butterick”, więc Odelia użyła swoich czarów.

Cora czekała na chwilę, w której Ruth po raz pierwszy spojrzy na swoją suknię. Uwielbiała patrzeć wtedy na twarz panny młodej, która zawsze zdradzała jej myśli. *To się dzieje naprawdę. Wychodzę za mąż.*

Gdy zegar wybił ósmą trzydzieści, Cora poprawiła poduszki na sofie w dużym salonie i upewniła się, że okna są odsłonięte. Sklep był gotowy na przyjęcie klientek.

– Panna Dunlap padnie, jak to zobaczy – oznajmiła Cora, idąc w kierunku schodów. – Mamo, Odelio, idę do piekarni. Mamo, przypomnij mi, żebym włączyła gramofon, kiedy przyjadą Dunlapowie. – Ciotka Jane lubiła, gdy panny młode wchodziły do salonu przy akompaniamencie muzyki, Cora zaś chciała podtrzymać tę tradycję. Bo czyż miłość też nie była pieśnią, pieśnią najpiękniejszą ze wszystkich?

Cora chwyciła kapelusz i sweter i schyliła głowę, wchodząc do pokoju toaletowego na parterze, aby upiąć kapelusz. Przystanąła na chwilę, wpatrując się w swoje odbicie.

Trzydzieści lat. Miała trzydzieści lat. Nie była już dziewczyną. Nie była już nawet młodą kobietą. Ale dojrzałą kobietą, pracującą. Gdzie podziały się te lata? Gdzie podziła się jej młodość?

Miała ukochanego w szkole średniej, Randa Davisa. Ale gdy wrócił do domu z wojny, ożenił się z Elizabeth White.

Cora dobrze im życzyła. Tak bardzo rozpaczała po śmierci swojego starszego brata Ernesta juniora w bitwie nad Sommą, że nie miała już siły, by tęsknić za Randim.

Zbliżyła twarz do lustra, delikatnie dotykając kącików oczu, skąd pojedyncza cienka linia znaczyła jej policzek.

Miała wrażenie, że liczba zawartych małżeństw w latach dwudziestych znacząco wzrosła. Wraz z Odelią i mamą miały pełne ręce roboty. Tylko jakoś

nigdy z jej powodu.

Chciała wierzyć, że działo się tak, bo czeka na Rufusa. Dobrze pamiętała chwilę, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy... Wkroczył wtedy bez skrępowania do jej sklepu, aby osobiście dostarczyć towar. – *Zostawiono to na „Wędrowcu”. Pomyślałem, że doręcę materiał osobiście.*

Zawiesił na niej swoje błękitne spojrzenie i nigdy już nie odwrócił wzroku. Bez wahania dała się uwieść. Jego głos przyszpilił jej stopy do podłogi i pomimo wszelkich starań nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Na szczęście zjawiała się ciotka Jane, pokazała mu, gdzie ma złożyć bele materiału, i przeprosiła za Corę.

Odsunęła się od lustra i przyglądała włosy przystrzyżone „na boba”. Nie była piękną kobietą. Mama mawiała, że Cora jest przystojna. Była wysoka i szczupła. Miała sylwetkę nastoletniej dziewczyny, a nie dojrzałej, trzydziestoletniej kobiety. Ale starała się ubierać według najświeższej mody i dawała radę utrzymać swoją szczupłą figurę, nie uciekając się do palenia i stosowania diety.

Cora wyszła z salonu głównym wyjściem i ruszyła w stronę centrum Heart’s Bend. Małe, acz bogate miasteczko ukryte w cieniu Nashville tętniło życiem.

Właściciele sklepów zamykali chodniki przed swoimi małymi królestwami, krzycząc do siebie. Była jedną z nich.

Nikt nie spodziewał się, że w wyniku epidemii malarii pięć lat temu ciotka Jane umrze. Zdaniem władz epidemia została opanowana. Nikt, łącznie z krzepką ciotką Jane, się tego nie spodziewał.

Cora – nie bez dumy – przejęła po niej pałeczkę.

Powietrze na ulicy przesycone było aromatem pieczonego chleba zmieszany z kwaśnym odorem końskich odchodów. Rosie, klacz zaprzęgnięta do furmanki z mlekiem, chlastała ogonem gryzące ją muchy.

Cora minęła Blossom Street, zmierzając dalej First Avenue. Starła się nacieszyć pięknym dniem i zapomnieć o komentarzach mamy. Po drugiej stronie szerokiej alei, tuż przy wejściu do parku Gardenia zauważyła konstabla O’Shannona, który rozmawiał z postawnym mężczyzną w niebieskich obcisłych spodniach wpuszczonych w czarne oficerki i w luźnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Wiatr rozwiewał jego złote włosy.

*Rufus?*

– Rufus! – krzyknęła, przyłożywszy złożone dłonie do ust. Zapomniała o

zasadach przyzwoitości, o plotkarzach, którzy właśnie nadstawili uszu. – Kochanie! Jesteś.

Cora pobiegła aleją, wymijając przejeżdżający samochód. Kierowca zatrąbił, ale nic ją nie obchodziło. Jej Rufus przyjechał.

Wiatr wzmógł się, gdy tak biegła do niego z sercem przepelnionym miłością.

Więc poranne przecucie nie zawiodło jej. *Wrócił*. Tak, jak mówił. – Rufusie, kochany! Jesteś.

# *dwa*

*Haley*

*Sylwester*

*Heart's Bend, Tennessee*

Kartka w notesie, który leżał na jej kolanach, nadal była pusta. Mama mogła zawołać ją w każdej chwili, jednak ona nie zdążyła jeszcze nic wymyślić.

Na komodzie w dziecięcej sypialni Haley spoczywała jeszcze jedna kartka papieru. Determinowała jej przyszłość, a rodziców i braci napawała dumą.

Dokument stwierdzający, że została przyjęta na zarządzanie i marketing na Uniwersytecie Northwestern.

Tylko że ona już poświęciła cztery lata swojego życia studiom w college'u. A potem sześć lat służbie w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Uzyskała nawet stopień wojskowy kapitana. A trzy lata temu spędziła sześć miesięcy w bazie lotniczej w Afganistanie.

Wojna ją zmieniła. Była wdzięczna, że ostatnie lata służby udało jej się spędzić w bazie lotniczej w Kalifornii. Przynajmniej mogła tam surfować i cieszyć się słońcem.

Nic jednak nie przygotowało jej na to, co miało wydarzyć się w zeszłym roku. Najpierw zakochała się na zabój i dała się wciągnąć w destruktywny związek z Daxem Millsem. Uległa jego urokowi. Jakby wyszła z siebie i stała się zupełnie inną kobietą.

Nie mogła wydostać się spod jego mocy. Niemal się zatraciła, póki pewnego dnia nie zadzwonił telefon. Tammy Eason, jej najlepsza szkolna przyjaciółka, umierała. Złośliwy nowotwór mózgu.

Jak to było w ogóle możliwe? Tammy miała jedynie dwadzieścia osiem lat. Za cztery miesiące planowała wyjść za mężczyznę swoich snów – Cole'a Dannera, a Haley miała być jej druhną.



Zamiast weselnego toastu przyszło Haley wygłosić mowę pogrzebową.

Haley cisnęła notatnikiem przez pokój. Po co to wszystko? Plany? Marzenia? Pogoń za sukcesem? Walka o reputację? O pracę w renomowanej firmie?

Czy warto było budować na fundamencie „z drewna, z trawy lub ze słomy”? Wystrzelona przez życie zabłąkana kula mogła w jednej chwili wszystko przekreślić.

Po pogrzebie Haley złożyła podanie o zwolnienie ze służby i zerwała z Daxem, kładąc raz na zawsze kres patologii i rozpacz. Wskoczyła na swojego harleya i przemierzyła południowy zachód, usiłując poukładać sobie w głowie, co jest dobre, a co złe; zrozumieć, w co wierzy i czego pragnie.

Wtedy usłyszała Boga. Jak za czasów, kiedy jako nastolatka była bliżej Jezusa. Jego głos był niczym łagodny deszcz dla jej suchego, popękanego serca.

*„Jedź do domu”.*

Nie spodziewała się, że tak łatwo podda się Jego podszeptom. Bóg przemówił jednak do niej z miłością, której jej głodne serce i spragniona dusza tak rozpaczliwie potrzebowały.

Miała wrócić do domu? Zamieszkać z rodzicami? To byłoby wyzwaniem.

Kiedy zjawiała się w Heart's Bend, mama zaczęła nalegać, żeby złożyła dokumenty na wyższą uczelnię, a ona się zgodziła. Siedziała właśnie w swojej dawnej sypialni i starała się przygotować na doroczny wieczór postanowień rodziny Morganów. Nic nie przychodziło jej jednak do głowy. Kompletna pustka. W myślach słyszała tylko karcący głos mamy.

*„Niczego w życiu nie osiągniesz, jeśli nie wyznaczysz sobie celu, do którego będziesz dążyć”.*

Wcale nie chciała niczego osiągnąć, a jedynie odnaleźć skrawki siebie, które utraciła – nie na wojnie, jak wielu jej towarzyszy broni, ale w miłości.

– Puk, puk. – Mama wyjrzała zza drzwi. – Jak ci idzie?

Haley pokazała palcem notes leżący na podłodze. – Świetnie.

Mama oparła się o ościeżnicę. – Zawsze możesz napisać to samo, co w szkole średniej: „Pójść w bikini do szkoły”. Albo: „Z okazji swoich urodzin przejechać się nocą nago samochodem wokół głównego placu”.

Haley zaśmiała się. – Chciałam cię wtedy tylko wyprowadzić z równowagi. – Jej matce, odnoszącej sukcesy lekarce, od czasu do czasu potrzebny był jakiś wstrząs. Haley zawsze była gotowa służyć pomocą.

Jej czterej bracia rechotali wtedy ze śmiechu, a mama wykrzykiwała, że Haley umyślnie ją „dręczy” (co akurat było prawdą). W końcu tata, inżynier w dziedzinie budowy maszyn, który bardzo starał się *nie* wybuchnąć śmiechem, brał stronę mamy, mówiąc: „Hal, daj już spokój”.

– Nie mogę przestać myśleć o Tammy. – Mama podeszła do okna oświetlonego łagodnym białym światłem. Poświata bijąca od świątecznych lampek zawieszonych przez tatę ocieplała pokój.

– Też o niej myślałam. – Haley dołączyła do matki. Patrząc w dół, widziała czubki kapci taty, który stał właśnie na werandzie i gapił się na ulicę.

On zawsze dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Gdy wyruszała z domu, by podbić świat, nie miała pojęcia o istnieniu takich mężczyzn jak Dax. Znała tylko dobroć swojego ojca i zaczepną, szczerą miłość braci.

– Widziałam ostatnio Shanę Eason – odezwała się mama. – Jakby życie z niej uszło. Martwe spojrzenie. Szła, jakby nie wiedziała dokąd.

– Mamo, Easonowie stracili swoje jedyne dziecko.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić. Po prostu nie mogę. – Mama podniosła z podłogi notatnik i skierowała go do Haley. – Kiedy byłeś w Afganistanie, często budziłam się w środku nocy i modliłam się za ciebie.

Haley spojrzała na nią, zaintrygowana jej wyzwaniem. – Myślałam, że nie wierzysz w modlitwę.

– Nie wiem, czy wierzę. Ale jestem pewna, że wśród matek, których dzieci walczą na wojnie, nie ma ateistek.

Haley wzięła od niej notatnik i usiadła znów na swoim miejscu na podłodze. – Wszyscy już są? – Bracia Haley wrócili do Heart’s Bend na wielkie rodzinne wydarzenie, jakim był wieczór postanowień noworocznych. Dwóch przyjechało z Atlanty. Jeden z Nashville. Jeszcze jeden z Orlando.

– Seth i Abigail właśnie dotarli.

– Swoim nowym mercedesem? – Jeden z braci był prawnikiem, a jego żona psychiatrą.

– Tak – uśmiechnęła się mama. – Kiedyś i na ciebie przyjdzie kolej. I wtedy przyćmisz ich wszystkich. Masz więcej oleju w głowie niż Seth i Zack razem wzięci.

To dlaczego siedziała właśnie na podłodze i nie miała na sobie żadnego pomysłu?

Jej rodzice – David i Joann Morganowie – byli ludźmi sukcesu. Także jej bracia. I każdy z nich ożenił się z kobietą sukcesu. Tylko ona nie była w związku małżeńskim. Na domiar złego wśród czterech braci i ich żon było aż sześciu doktorów nauk. Pozostałe dwoje nieudaczników miało „jedynie” dyplom studiów prawniczych w kieszeni.

Ona mogła się pochwalić tylko skromną rangą kapitana. Kapitan Morgan. Jak „Captain Morgan Rum” – sławny amerykański rum. Czyż nie dzięki temu zdobyła sławę w wojsku? Czasami to przezwisko się przydawało.

Tak właśnie poznała Daxa. Jej kumpel, Rick Cantwell, zwabił go, aby spotkał się z jego koleżanką „Captain Morgan”.

Dax myślał, że czeka na niego butelka złotobrazowego płynu. A zamiast tego spotkał „gorącą blondynkę z obłądnie błękitnymi oczami”.

Z parteru dał się słyszeć krzyk. – Oglądają mecz – skwitowała mama.

– Kto wygrywa? – Haley nie musiała pytać, kto grał. Na pewno jakaś drużyna z południowego zachodu.

Tata na ścianie w salonie zawiesił całą rozpiskę rozgrywek uczelnianych. Dziś grały drużyny Alma Mater rodziny Morganów – uniwersytetów w Alabamie i Tennessee.

– Chwilę temu, gdy patrzyłam, prowadziła Alabama. Napracowałam się nad ich rozgrywającym po jego zesłorocznym wypadku, ale się opłaciło. Teraz ma siedemdziesiąt procent celnych podań.

Haley podniosła wzrok na mamę, która wróciła do swojej pozycji przy ościeżnicy. Była tak wkręcona w swoją pracę, którą uwielbiała, że kompletnie nie miała świadomości, jak wielkim autorytetem była dla sportowców uniwersyteckich. Trenerzy i dyrektorzy sportowi mieli jej numer zawsze na podorędziu.

– Mamo, czy masz pojęcie, jak wielki odniosłaś sukces?

Mama była introwertyczką i mózgowcem. Dorastała jako jedyne dziecko wdowy po żołnierzu z czasów drugiej wojny światowej i jej znacznie starszego drugiego męża.

– Nie do końca. Ale wiem, że jestem dobra w tym, co robię. I uwielbiam to.

Haley usiadła prosto. – To będzie mój cel na ten rok. Znaleźć coś, w czym będę dobra, coś, co pokocham.

Uwielbiała swoją pracę w siłach powietrznych, ale traktowała to bardziej jako

służbę, poświęcanie się dla ojczyzny, pomoc innym. Teraz nadszedł czas, by skupić się na sobie. Pragnęła znaleźć coś, co pokocha, i zająć się tym na poważnie.

Mama sięgnęła po pismo z uniwersytetu. – Idź na studia. W college’u byłaś jedną z najlepszych na roku, szczególnie na zajęciach z zarządzania i marketingu.

– W sumie tak... – Haley gapiała się w pusty notes.

To było siedem lat temu. W innym życiu. Czy nadal była tą samą dziewczyną, która chce budować karierę, mówiąc ludziom, co powinni kupić, a co sprzedać?

– Czy twoje wahanie ma coś wspólnego z Daxem? Do czego pomiędzy wami doszło? Lubiliśmy go z tatą.

Czekała na to pytanie. – Rozstaliśmy się. Nie ma o czym mówić.

Jej odpowiedź zagłuszyły krzyki. Dało się słyszeć skandujące męskie głosy i odległe kłaśnięcia przybijanych piątek.

– Myślę, że dzisiejszy wieczór postanowień ci pomoże, Haley – odparła mama.

– Mówisz tak co roku, odkąd skończyłam siedem lat.

– I cóż z tego? Twoje postanowienia i plany zaprowadziły cię do college’u, do służby w siłach powietrznych, pomogły ci zostać kapitanem. A teraz wróciłaś do domu i masz przed sobą perspektywę studiów. Czy to nie ty zawsze chciałaś przeżyć wielką przygodę?

– Już ją przeżyłam. Po powrocie ze służby miałam wrócić do domu i otworzyć z Tammy dawny salon z sukniami ślubnymi. – Haley uśmiechnęła się na wspomnienie ich wspólnych zabaw w sklepie. – Ostatni raz myślałam o tym na poważnie w liceum. A gdyby Tammy żyła, to z pewnością błagałaby mnie teraz: „Hal, otwórzmy salon. Nadszedł czas”.

– O czym ty mówisz? Salon ślubny? Pierwsze słyszę. Dlaczego miałabyś chcieć mieć coś wspólnego z tą rudą? To własność miasta i, z tego co słyszałam, wynika, że planują, dzięki Bogu, zrównać to miejsce z ziemią. – Mama otworzyła drzwi sypialni i wrzasnęła w kierunku dolnej kondygnacji: – Dave, pierwsza połowa już się skończyła? Moglibyśmy zaczynać!

Haley zerwała się na równe nogi. – Chcą zburzyć stary salon? Ale dlaczego? – Ich wspólne dziecięce marzenie, jej i Tammy, przebudziło się, rozprostowało kości i zapukało do wrót jej duszy. – Nie mogą tego tak po prostu zrobić. Jest częścią historii Heart’s Bend, centrum ślubnej tradycji.

– A krzyżyk mu na drogę. Tylko straszny. Dlaczego chcesz na nowo otworzyć

ten sklep? W Nashville jest mnóstwo przepięknych butików z modą ślubną. Haley, jesteś zbyt mądra i zdolna, żeby zostać pospolitą sklepikarką i usługiwać wybrednym pannicom.

– A kiedy miasto podejmie decyzję, żeby zburzyć budynek?

– Cóż, planują to już od dłuższego czasu, ale dawne klientki salonu... – mama potrząsnęła z dezaprobatą głową, wymachując rękoma – ciągle wypełzają z ciemnych zakamarków i protestują przeciwko rozbiórce. Mówią, że to historyczne miejsce. A przecież nie leży wcale w zabytkowej części miasta. Zresztą firma Akron Developers potrzebuje miejsca na parking. Odnawiają stare zakłady tekstylne i przebudowują je na lofty, a obok budują centrum handlowe. Wykupili ziemię po dawnych pastwiskach.

– Tam, gdzie latem grywaliśmy w bejsbol? A w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie w futbol?

– Tak. Czas najwyższy, by w końcu Heart's Bend weszło w dwudziesty pierwszy wiek.

Słowa mamy zaprzętnęły jej myśli. Tak wiele straciła już w tym roku. Przez Daxa – siebie, przez wojsko – poczucie tego, kim jest naprawdę, a w końcu i swoją najlepszą przyjaciółkę.

Nie chciała stracić także swojego marzenia. *Ich* wspólnego marzenia.

Haley wzięła w dłonie notatnik i długopis. – Już wiem, co bym chciała zrobić w tym roku ze swoim życiem.

Mama przechyliła głowę, żeby zobaczyć, co Haley zapisała w notesie. – Na poważnie? Niech ci będzie. Zobaczymy, co z tego wyniknie. – Ruszyła w kierunku drzwi. – Idziesz?

– Za chwilę. – Chciała to przemyśleć. Jeśli już wyznacza sobie cel, to musi ostrożnie zaplanować każdy krok.

Im dłużej Haley o tym myślała, tym bardziej pragnęła przywrócić dawną świetność salonowi ślubnemu. Nabazgrała na kartce: „Otworzyć na nowo salon sukien ślubnych!”.

Odłożyła notes na łóżko i wstała, patrząc z góry na swoje noworoczne postanowienie. Słowa, które zapisała, zaczęły żyć własnym życiem i szeptać do niej, zapewniając ją, że to *właśnie po to* wróciła do domu.

# trzy

*Cole*

*3 stycznia*

*Heart's Bend, Tennessee*

Zmiany wymagają odwagi. Podjęcia choćby najmniejszych kroków. Jak na przykład umówienie się ze znajomą znajomego na kolację. Bez zobowiązań. Nie na randkę. Tylko na zaaranżowane spotkanie z kobietą, której prawie nie zna.

To będzie dobry rok. W końcu pozbędzie się poczucia winy, wątpliwości, przytłaczającego go widma śmierci i spojrzy w przyszłość. Swoją przyszłość. Podźwignie firmę. Może znajdzie miłość.

A poza tym, czy miał coś lepszego do roboty w niedzielny wieczór niż kolacja ze znajomą znajomego? Pewnie skończyłoby się na oglądaniu meczu futbolu z braćmi.

Choć jego serce nadal potrzebowało przeglądu, rozum podpowiadał mu, że nadszedł czas.

Porwał klucze z komody, zszedł na parter, kierując się do salonu, gdzie jego młodszy brat Chris, student ostatniego roku ekonomii na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, który spędzał w Heart's Bend swoją przerwę semestralną, siedział właśnie na wielkim rozkładanym fotelu, trzymając na kolanach serową pizzę.

Ich najmłodszy brat Cap, student drugiego roku na Uniwersytecie Vanderbilt, dziś wieczorem pracował w restauracji ich mamy, *U Elli*.

Cole pstryknął palcami w stopę brata, natrafiając na przemoczone skarpety. – To chyba żart. – Skrzywił się, wycierając palce. – Gdzieś ty był?

– Z Kieferem i innymi chłopakami graliśmy w rugby w parku Gardenia. Wysłałem ci SMS-a. – Chris wygramolił się z fotela. W drodze do kuchni zaproponował Cole'owi kawałek pizzy. – A ty gdzie byłeś? I dokąd teraz się

wybierasz?

Cole, myjąc dłonie w zlewie, zawahał się, czy odpowiedzieć. Dzisiejsze wyjście było jego osobistą sprawą, czymś, przez co chciał przejść sam. Bez Chrisa, Capa czy mamy.

– Spotykam się ze znajomą.

Chciał się z nią spotkać w Nashville, gdzie mieszkała, z daleka od wścibskich oczu mieszkańców jego rodzinnego miasteczka, ale uparła się, że to ona przyjedzie do niego. Twierdziła, że Heart's Bend bardzo jej się podoba i że dawno już tu nie była.

– Ze znajomą? – Chris, nie przestając mówić, wepchnął sobie duży kawałek pizzy do ust. – Jaką znajomą? – Pochylił się w jego kierunku, wężąc. – Spryskałeś się wodą kolońską? Idziesz na randkę.

– Nie, nie idę na randkę. Spotykam się ze znajomą znajomego.

– Czyli idziesz na randkę. – Chris zagwizdał, sięgając po kolejny kawałek pizzy. – Stary, świetne nowiny. Od śmierci Tammy minęło już dziewięć miesięcy.

– Hej, trochę szacunku! – Cole wyszarpnął butelkę wody z lodówki.

– Przecież mówię z szacunkiem. Nie możesz się ukrywać do końca życia. Tammy by sobie tego nie życzyła. – Chris wskazał na gitarę wiszącą na ścianie jadalni, zamkniętą w szklanej gablocie. – Chyba, że ze swoim sercem chcesz zrobić to samo, co z gitarą.

– *Ta* gitara to klasyk. Jest sporo warta. – Cole nie musiał wyjaśniać Chrisowi, że był to rzadki model fendera stratocastera, który kupił z tatą, gdy miał trzynaście lat.

– Skąd znasz tę dziewczynę? I kto cię swata? Zabierzesz ją do naszej restauracji? Mama byłaby w siódmym niebie.

Ich matka, Tina Danner, była właścicielką znanej w Heart's Bend od pokoleń restauracji *U Elli*. Pracowała tam jako kelnerka, od czasu, kiedy tata odszedł od nich... na prośbę FBI.

– To spotkanie w ciemno, zadowolony? I nie, nie idziemy do *Elli*. Myślisz, że oszalałem?

– *Spotkanie* w ciemno? – wycedził Chris. Uśmiechnął się leniwie i spojrzał na brata z pogardą. – Stary, to jest zwykła *randka*.

Miał oczywiście rację. Ale Cole nie był w stanie jeszcze przyznać się do tego



przed samym sobą. Dlatego żałował, że bardziej nie nalegał na to, by spotkanie odbyło się w Nashville. Kłopot z zamieszkiwaniem w małym miasteczku w stanie Tennessee polegał na tym, że wszyscy wiedzieli, co się u ciebie dzieje, wiedzieli, jak masz na imię, jak się nazywasz i że w pierwszej klasie podstawówki uroczo fałszowałeś w jasełkach.

– Spotykam się z nią w *Burger Barn*. – Cole sięgnął po serwetkę i rzucił nią w brata. – Masz sos na brodzie.

Chris umiejętnie złapał serwetkę w locie. – Żartujesz sobie? Całe miasto chodzi do *Burger Barn* w weekendy.

– Jest niedziela wieczór. A nie weekend. I restauracja jest na skraju miasta, obok starego sklepu ślubnego. Na uboczu. Małe szanse, że będą tłumy.

– No tak. *Zapomniałem*, że wszyscy po wieczornej mszy od razu jadą do domu...

– Zdążą obsłużyć ich do ósmej.

– Coś ty, przecież pastor Smith siedzi aż do zamknięcia, zamawiając hektolitry piwa korzennego i wyśpiewując kościelne hymny. – Chris wcisnął w rękę Cole'owi pudełko z pizzą. – Weź kawałek. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Cole wypatrzył mały kawałek. Teraz, gdy był już gotowy i czekał, aby wyjść, usłyszał, jak kiszki grają mu marsza. Nie miał czasu, by wcześniej coś zjeść. Pracował w niedzielę, żeby skończyć zlecenie, które i tak kosztowało go jak dotąd zbyt dużo czasu i pieniędzy.

Z powodu świąt jego ekipa budowlana miała opóźnienia. Chciał już skończyć stare projekty i zdobyć jakieś nowe zlecenia. Brał udział w kilku przetargach i liczył na to, że w połowie miesiąca znajdzie się dla niego jakaś robota. Potrzebował tego, bo firmie budowlanej Danner Construction powoli kończyły się zlecenia i pieniądze.

Ugryzł kawałek pizzy i spojrzał na brata. – Mama wie, że tu jesteś? Pewnie zrobiła ci kolację.

– Pracuje. Ktoś się rozchorował i razem z Capem go zastępują. – Chris krążył pomiędzy domem mamy a Cole'a, jak mu się podobało. – Pomyślałem, że posiedzę tutaj, pooglądam futbol. Pójdiesz ze mną jutro obejrzeć rozgrywki pucharowe, co? Przyjedzie kilku kumpli. Pamiętasz Jasona Saglimbeniego? Wrócił do miasta. Chcieliśmy jeszcze pograć razem, zanim wrócę do Waszyngtonu. Nie grałem na bębnach od roku.

– Beze mnie.

– Cole, no co ty? Wyciągnij stratocastera z jego szklanej celi i pograj z nami. Wiesz, że tata...

– Nie mów mi, czego chciałby tata. – Cole spojrział na zegarek. – Bo tak naprawdę mam to gdzieś.

– Nie możesz ukrywać się przed nim w nieskończoność.

– A kto mówi, że się ukrywam?

– Ja. Kiedy ostatni raz grałeś? Kiedy rozmawiałeś z tatą?

– Hej, spójrz na mnie! – Cole rozprostował ramiona. – Idę na randkę dziewięć miesięcy po śmierci mojej narzeczonej. Myślę, że to już jakieś osiągnięcie.

Tak naprawdę to zerwali z Tammy przed jej śmiercią. Ale nikt o tym nie wiedział. Może oprócz Haley, najlepszej przyjaciółki Tammy. Ich rozstanie i jej diagnoza zbiegły się w czasie. A potem zaczął się koszmar. Śmierć i żałoba. Czuł się zbyt pusty w środku, żeby „sobie pograć” czy stanąć twarzą w twarz ze swoim ojcem próżniakiem.

Cole przystanął przy drzwiach prowadzących do garażu. – Tylko nie zostawiaj pudełka po pizzy. Posprzątaj, gdy skończysz.

Chłodne wieczorne powietrze ugasiło buzujące w Cole’u emocje po tej przypadkowej konfrontacji. Tata i muzyka. Nie grał na gitarze, odkąd ojciec trafił do więzienia.

Po jego aresztowaniu FBI latami nie potrafiło zebrać wystarczającego materiału dowodowego i postawić go przed sądem za oszustwa. Przez ten cały czas Cole, Chris i Cap mieli nadzieję, że może nie postawią mu zarzutów i wszystko wróci do normy.

Ale pojawił się nowy problem. Tata, straciwszy swoją firmę budowlaną, zaczął pić, okrywając ponownie hańbą rodowe nazwisko.

Cole wsiadł na swojego harleya 750 i odpalił silnik. Starł się wyciszyć po rozmowie z Chrisem. Musiał zostawić przeszłość za sobą. Nie był swoim ojcem.

*To, co dawne, minęło, a oto stało się nowe.*

Wrzucił bieg, włożył kask i wziął głęboki wdech. W wieczornym powietrzu czuć było zapowiedź śniegu. W „Almanachu Farmera” prognozowali obfite opady tej zimy. Nie były to najlepsze wieści dla jego przedsiębiorstwa. Cole nie miał funduszy, żeby przetrwać długą, ciężką zimę.

Sprzęgło i trochę gazu, i już go nie ma. Zaraz będzie miał *randkę*.

Choć nie musiał wcale na nią iść. Mógłby ją odwołać, wrócić do domu, obejrzeć mecz ze swoim bratem i zamówić kolejną pizzę.

Chwileczkę. Czy nie to właśnie robił przez ostatni rok? Ukrywał się. Wycofywał. Nastął *nowy rok*. Czas zapomnieć o przeszłości i zrobić coś ze swoim życiem.

Wytoczył motor i zamknął garaż. W pikapie byłoby mu cieplej, ale miał ochotę poczuć wiatr we włosach. Chciał, żeby zimno przeszło jego skórzaną kurtkę i dżinsy; chciał obudzić swoje nudne, zaspane „ja”.

Cole ruszył wzdłuż ulicy, mijając pozostałości migoczących czerwonych, niebieskich i zielonych lampek świątecznych oraz rozświetlone okna domów, za którymi toczyło się życie rodzinne. Skręcił w prawo, w River Road, w kierunku centrum miasta, i w First Avenue.

Zwolnił, gdy przejeżdżał obok starego salonu z sukniami ślubnymi, dwupiętrowego ceglanego budynku stojącego w odosobnieniu, w otoczeniu cienistych wiązków. Para jego ciemnych frontowych okien spoglądała na świat jak dwoje smutnych oczu.

Zawsze uważał, że to miejsce ma swój urok, że jest integralną częścią historii Heart's Bend. Obie jego babcie i siostra jego dziadka kupiły swoje suknie ślubne u panny Cory.

Dni salonu były jednak policzone.

– Przykro mi – wyszeptał w kask. – Ale swoje już przeżyłeś, co?

Nagły podmuch wiatru zakołysał tabliczką „NA SPRZEDAŻ”, ledwo widoczną w bursztynowym świetle ulicznych lamp.

Miasto próbowało sprzedać budynek komuś ze smykałką do interesów, kto sprawiłby, że ponownie stałby się realną częścią handlowej strefy śródmieścia. Niestety, jak dotąd tylko firma Akron Developers zaoferowała jakiegokolwiek pieniądze. Im jednak nie zależało na samym budynku, ale na ziemi. Potrzebowali miejsca na parking, bo planowali w pobliżu budowę bloków mieszkalnych i centrum handlowego.

Zburzenie domu przy First Avenue 143 było jednym ze zleceń, o które tej zimy ubiegała się firma Cole'a.

Nadszedł już czas. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat salon najczęściej stał pusty. Dawno nie był miejscem, do którego panny młode przybywały tłumnie, by zakupić swoje wyprawy ślubne w kólestwie Cory, szanowanej mieszkanki

Heart's Bend.

Tammy czuła jakiś sentyment do salonu. Chyba dlatego, że jako dziecko bawiły się tu z Haley. W wieku dziesięciu lat zdecydowały, że kiedyś ponownie go otworzą i przywrócą mu dawny blask.

Ale Cole miał co do tego wątpliwości. Tammy wspominała o studiach prawniczych, a Haley walczyła na wojnie w siłach powietrznych. I szczerze mówiąc, nie mógł sobie wyobrazić, że *taka* dziewczyna jak Haley mogłaby prowadzić salon z sukniami ślubnymi.

Jak dotąd tylko dwie osoby sprząły go na kwaśne jabłko: Jeremy Wayne w pierwszej klasie – za to, że Cole nazwał go oszustem – i Haley Morgan w piątej klasie, co było bardziej upokarzające niż pierwsze lanie – za to, że powiedział jej, że ładnie wygląda.

Docisnął gaz. Nie miał już czasu na wspominki.

Kiedy podjechał pod restaurację *Burger Barn*, zobaczył kobietę czekającą na ławce. Spod brzegu różowego, wykończonego futrem płaszcz widoczne były jej szczupłe nogi. Na jego widok wstała.

Cole wyłączył silnik. Ściągnął kask, przyglądał włosy. – Betsy?

– Mariah mówiła mi, że przystojniak z ciebie, ale nie wspomniała nic o harleyu.

– Mariah lubi przesadzać. – Ale Cole był łasy na komplementy.

Podszedł do Betsy, przyglądając się jej twarzy w świetle restauracyjnych lamp. Była piękną kobietą z kruczoczarnymi włosami i pełnymi ustami. Wokół niej unosił się subtelny, acz odważny zapach.

– Myślę, że tym razem nie przesadziła. – Uśmiechnęła się promiennie i wsunęła mu rękę pod ramię. – Może zasłużę później na przejażdżkę?

– Może. – Zdziorna. – Jesteś głodna?

– Umieram z głodu.

Jej oddech omiół policzek Cole'a. Ścisnęła jego ramię. Chyba miała ochotę schrupać coś więcej niż kolację.

Cole otworzył i przytrzymał drzwi wejściowe przed swoją uroczą, ponętą towarzyszką. O to chodzi, prawda? Zmiana tempa. Kobieta, która zupełnie nie była podobna do jego poprzedniej dziewczyny. To znacznie lepszy pomysł niż wieczór z Chrisem i jego przepoconymi skarpetkami.

Poprosił hostesę o stół dla dwóch osób, a potem rozluźnił się, dając

odpocząć swoim nerwom.

Może i Betsy nie jest dziewczyną dla niego, ale była z nim, w tej chwili, w pięknym różowym opakowaniu. Nowe życie Cole'a zaczynało się tu i teraz.

## Cora

Stała przed nim, patrząc mu prosto w twarz. Był kapitanem jednego ze statków rzecznych. Ale nie *jej* kapitanem. Nie Rufusem St. Claire'em.

– Dzień dobry? – Przywitał się, z iskrą w oku.

Posterunkowy O'Shannon wszedł pomiędzy nich. – Kapitanie Riske, proszę pozwolić sobie przedstawić pannę Corę Scott, która prowadzi sklep z sukniami na końcu alei.

– Z sukniami ślubnymi – odparła, nie opuszczając oczu z wbitego w nią wzroku kapitana, który wydawał się rozbawiony jej zakłopotaniem. – Prowadzę sklep z sukniami *ślubnymi*.

– Ale sprzedaje pani również inne suknie, prawda? – O'Shannon nie chciał być posądzony o pomyłkę. W końcu, był poważanym przedstawicielem prawa.

– Tak, ale są to suknie związane ze ślubem. Na miesiąc miodowy. – Jej policzki oblały się purpurą. – Chodzi o wyprawę ślubną dla panny młodej.

– Miesiąc miodowy? – zapytał drwiąco Riske. – Jak słodko. – Kapitan przysunął się do Cory, stając zbyt blisko i rozsiewając wokół siebie aromat suszonej wołowiny.

Cora zrobiła duży krok w tył. – Proszę mi wybaczyć, że panom przeszkodziłam. – Chciała uciec, ale bała się, że potknie się o własne nogi.

– Ładna kobieta nigdy nie przeszkadza. – Kapitan Riske nie przestawał flirtować.

Cora dobrze wiedziała, że nie powinna dać się zwieść tym słowom. Żaden mężczyzna nigdy nie powiedział, że jest *ładna*. Jedyne Rufus, ale on nazywał ją swoim „pięknym korałem”.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – Kapitan niemal z niej drwił.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. Może w ucieczce. Odwróciła się na pięcie, słysząc tylko bicie swego serca i stukot obcasów. Była zawiedziona.

To nie był Rufus.

Cora ruszyła w kierunku salonu, klucząc wśród plam słońca na chodniku,

starając się zdusić łzy napływające jej do oczu i narastający w jej duszy ból. Dlaczego nie przyjechał? Co go powstrzymywało?

Powiedział, że zobaczą się wiosną. A ona mu uwierzyła.

Odkąd wyznał jej miłość i poprosił, żeby na niego czekała, Cora zamieniła swoje serce w głąz. Chciała spełnić jego prośbę, dochować mu wierności, nie ulec żadnemu innemu mężczyźnie. Nieważne, kiedy mieliby się pobrać.

Żaden mężczyzna nie szeptał jej wcześniej słów miłości. Oprócz taty. A nawet on nie mówił często, że ją kocha.

Od sklepu dzieliły ją tylko dwie przecznice, ale wydawało jej się, jakby miała do pokonania kilka kilometrów. Kiedy dotrze do salonu? Do swojego bezpiecznego schronienia?

Miarowy stukot jej obcasów, uderzających o zapiaszczony chodnik, wypełniał jej myśli; drażnił ją. Był to jedyny sposób, by uciec od konstabla, kapitana i swojego upokorzenia. By uciec od swojego rozczarowania.

Na szyi, pod kosmykami jej ciemnych falowanych włosów, pojawiły się kropelki potu. Choć przyśpieszyła kroku, salon nadal wydawał się strasznie daleko.

Cora chwyciła w dłonie spódnice i zmusiła swoje ciało do biegu. Szybciej. Szybciej. Minęła sklepy. Wpadła na kilku porannych przechodniów, mijając ich zamazane twarze, anonimowe głosy.

– Cora, gdzie się tak śpieszysz?

– Coro, kochanie? Wszystko w porządku?

Potknęła się o miotłę pana Grigga, który zamiatał właśnie chodnik przed swoim sklepem z odzieżą męską, i niemal nie upadła na beton. W samą porę złapała równowagę i ruszyła dalej; krew pulsowała jej w żyłach, czuła ogień w płucach.

Minęła Blossom Street. Chciała wejść do salonu tylnym wejściem. Nie rozejrzawszy się dookoła, wskoczyła na krawężnik i zderzyła się z czymś twardym, co złapało ją i objęło jej talię.

– Puść mnie... – Zaczęła rozpychać się łokciami na boki i w górę, próbując się wyswobodzić.

– Cora, to ja, Birch. Uspokój się. Dziewczyno, na litość boską, gdzie się pali?

Wzięła głęboki wdech, starając się rozluźnić, i spojrzała w jasne, błękitne jak niebo oczy Bircha Gooda. Jego rubinowe usta, które wieńczyły kwadratowy

podbródek z dołeczkiem, wykrzywiły się w uśmiechu.

– Birch, przepraszam, nie widziałam cię. – Cora odsunęła jego rękę. – Jestem już spóźniona. Powinnam być już w sklepie. Musiałam odebrać ciasteczka z piekarni.

Spojrzał na jej puste dłonie. Nie próbowała ich ukryć. – Co tam się stało? – Wskazał na park.

– Tak naprawdę to sama nie wiem. – Przycisnęła palce do czoła, unikając jego spojrzenia, śmiejąc się sztucznie. Ale jej głos nadal był słaby i drżący. – Pomyłka.

Skierowała wzrok na miejsce, gdzie przed chwilą stał kapitan, ale już go nie było. Gdyby nie spanikowała, mogłaby go zapytać, czy nie widział Rufusa na rzece. Czy Rufus ma się dobrze? Czy wybiera się do niej?

– Spójrz tylko na siebie. Cała drżysz. – Birch chwycił ją za ramiona i przyciągnął bliżej. – Ciii, wszystko będzie dobrze. – Uwięził ją w swoim silnym uścisku.

Cora oparła policzek o jego kraciatą koszulę, wdychając znajomy zapach łągowego mydła i siana. – Bardzo się zbłądziłam?

– Nie wiem, a ktoś coś widział? – Birch Good, farmer i przyjaciel, zawsze był dla niej oparciem.

Uniosła głowę, śmiejąc się delikatnie. – Najwyraźniej ty widziałeś.

– Tylko dlatego, że chciałaś mnie staranować.

– Wybacz, nawet cię nie zauważyłam – odpowiedziała Cora, klepiąc go po jego umięśnionej klatce piersiowej i przyglądając niesforne kosmyki włosów, tańczące wokół jej oczu. – Czasami mam mętlik w głowie. – Adrenalina opadła, zabierając ze sobą drzenie.

– Kto to był, Cora? Z kim go pomyliłaś?

– Opowiem ci o tym już innym razem, Birch. Naprawdę muszę lecieć. Przyjeżdżają dziś do nas klientki z Birmingham. – Próbowała skupić na nim wzrok, ale jej oczy jeszcze raz powędrowały w kierunku parku.

Birch podążył za jej spojrzeniem. – Chodzi o tego kapitana?

Cora zdecydowała się ani nie potwierdzać, ani nie zaprzeczać. – To wyjątkowa klientka. Jej mama dorastała w Heart's Bend i dwadzieścia pięć lat temu kupiła swoją suknię ślubną u ciotki Jane. Uwielbiam ubierać córki naszych dawnych panien młodych. – Cora odwróciła się w kierunku sklepu, tym razem rozejrzawszy się na boki, zanim zeszła z krawężnika na ulicę.



– Chodzi o Rufusa St. Claire’a? – Birch ruszył za nią. – Myślałaś, że to on, prawda?

Na samym środku ulicy Cora spojrzała Birchowi w oczy. – Jeśli wiesz, to po co pytasz? A tak w ogóle, to co robisz w mieście o tej porze? Nie masz czasem farmy, którą trzeba się zająć?

Birch był częścią jej życia od zawsze – ich ojcowie byli kumplami ze szkoły – i drażniło ją to, że tak dobrze ją znał.

– Miałem coś do załatwienia w banku. Pomyślałem, że w nagrodę zjem śniadanie w barze. Od czasu do czasu stary kawaler ma dosyć gotowania tylko dla siebie. – Birch przeszedł z nią przez ulicę, w stronę sklepu.

– To dlaczego się nie ożenisz? – Birch, starszy od niej o pięć lat, był właścicielem rozległej farmy, która należała do jego rodziny od pokoleń. Mógł mieć dziewczyn na pęczki.

– Zgłaszasz swoją kandydaturę?

– Jakiś ty zabawny. Z tego, co widziałam, to po każdej niedzielnej mszy ustawia się do ciebie kolejka kobiet czekających tylko, aż zaprosisz jedną z nich na kolację.

– Cóż, mam już upatrzoną dziewczynę. Kłopot w tym, że ona nie zwraca na mnie uwagi.

– To znajdź taką, która zwraca.

Jego wyznanie potwierdziło to, co podejrzewała od dawna. Sama jednak była beznadziejnie zakochana w człowieku, który swoje życie oddał rzece. Stawiało ją to w kłopotliwym położeniu – zarówno emocjonującym, jak i przerażającym. W każdym razie nie zamierzała odpuścić. Już postanowiła. Dała słowo.

Cora weszła po schodach na tyłach budynku i chwyciła gałkę od drzwi. – Miło było cię widzieć, Birch.

– A kogo byś poleciła dla faceta, który szuka żony?

– Na litość boską, Birch, to możesz już sam wymyślić.

– Myślałaś, że to był Rufus St. Claire, prawda?

Cora chciała już wejść do środka, ale Birch delikatnie chwycił ją za nadgarstek.  
– To chyba nie jest twoja sprawa.

– Mylę się?

Cora spojrzała na niego, starając się wyczytać coś z jego oczu, wyrazu twarzy.  
– Masz coś przeciwko temu?

Żałowała, że to powiedziała. Bo zmartwiłaby się, gdyby miał. Nie chciała, by źle o niej myślał. I tak musiała znosić już krytykę swojej matki.

Birch był oparciem dla jej rodziny w 1914 roku, kiedy w czasie kryzysu bankowego jej tata zniknął na jakiś czas. Pomógł jej bratu Ernestowi juniorowi zająć się domem.

Potem w roku 1918 udało mu się wrócić z wojny, w przeciwieństwie do jej brata, który wówczas zginął. Birch niemal co wieczór przychodził do ich domu, żeby sprawdzić, jak Cora i jej rodzice sobie radzą.

– Nie podoba mi się, że cię krzywdzi.

– Nie krzywdzi mnie.

– To skąd ten bieg na oślep? Ponury wyraz twarzy? Panika?

Cora usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu i zajrzała do salonu. Mama ponagliła ją gestem dłoni, żeby się pośpieszyła. – Birch, muszę iść. Przyjechały moje klientki.

– A co z ciastkami?

– Poradzimy sobie bez nich. Odelia upiekła swoje bułeczki cynamonowe.

– Te kamienie? – Wykrzywił twarz, a Cora zasłoniła usta, by stłumić śmiech. – Przecież nie możesz zaproponować swoim specjalnym klientkom, które przyjechały aż z samego Birmingham, bułeczek cynamonowych Odelii.

– Ale jest przecież z nich tak dumna.

– Możliwe, ale wiem też, że stary doktor Welsh wyjechał na ryby za miasto, więc jeśli któraś z twoich klientek złamie ząb...

Przez otwarte okna Cora usłyszała muzykę z victrola i ciepłe powitanie mamy: – Serdecznie witamy w salonie sukien ślubnych.

– A co powiedziałyby na to twoja ciocia Jane? – wyszeptał Birch.

– Że mam podarować sobie ciastka i podać tylko herbatę i kawę.

– Nie, co powiedziałyby na to, że usychasz z tęsknoty za tym nicponiem kapitanem.

– Powiedziałyby: „Słuchaj głosu serca, Coro Beth”. – Jej stara ciotka zawsze żałowała, że zamiast miłości i małżeństwa wybrała pracę. Umarła jako stara panna. Cora postanowiła, że nie pójdzie w jej ślady. – Chciałaby, żebym była szczęśliwa.

– Jestem pewien, że tak będzie. Ale z uczciwym mężczyzną. – Birch zrobił kilka kroków w tył. – Odbiorę twoje zamówienie. Zakładam, że chodzi o

piekarnię Havenów.

– Cora! – W drzwiach pojawiła się matka. – Co się tak guzdrzesz! Już są. Dzień dobry, Birch.

Dotknął palcami runda kapelusza. – Moje uszanowanie, pani Scott.

– Kochanie, a gdzie są ciastka? – Mama wskazała na puste ręce Cory, szeroko otwierając oczy ze złości. – Pani Dunlap zaraz wyda niemal fortunę na wyprawę ślubną swojej córki, więc wypadałoby poczęstować ją chociaż filiżanką herbaty i kruchym ciasteczkiem. W przeciwnym razie Odelia poda swoje bułeczki, a chciałabym uniknąć niespodziewanej wyprawy do dentysty. Zresztą i tak pan doktor pojechał chyba na ryby.

Cora przewróciła oczami i spojrzała na Bircha. – Czy wyście się umówili? Dobrze. Birch przyniesie ciasteczka. Niech obciążą mój rachunek. Przynieś je na tyły salonu. Mama będzie parzyć kawę i herbatę w pokoju kredensowym.

– A co z tymi całuskami? – przypomniała mama. – Mamy ich za mało.

– Całuskami? – powtórzył Birch, chichocząc. – Mogę się na coś przydać.

– Och ty! – Mama zaśmiała się figlarnie i zniknęła za drzwiami.

– Birch, mama miała na myśli *czekoladowe* całuski, takie czekoladki – odparła Cora. Boże drogi, co było takiego zabawnego w słowie *całuski*? Nie byli już dziećmi. – Kup puszkę w sklepie Kidwellów.

– Całusków? – Droczył się z nią, coraz bardziej pewny siebie. – Całuski dla salonu sukien ślubnych? Trafione w dziesiątkę.

– Znikaj. Jak na farmera, Birch, to za dużo myślisz.

Cora zrobiła krok w kierunku sklepu, ale chwycił ją delikatnie za ramiona. Jego bliskość zaparła jej dech w piersiach i nagle rozbroiła ją. Przełknęła ślinę i przycisnęła rękę do klatki piersiowej, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

– Chcesz całusków, tak?

– Tak, dlaczego wciąż o to pytasz?

– Nie chciałbym się pomylić. Nigdy ich nie próbowałem. – Poczula oddech na swoim policzku i mrowienie w dole kręgosłupa.

– Kiedy wrócisz, będziesz mógł spróbować.

– Myślę, że tak właśnie zrobię.

Cora opadła na drzwi, gdy Birch uwolnił ją z uścisku i pogwizdując, ruszył po sprawunki.

Żarliwość, z jaką wymawiał te słowa, sprawiła, że paliła ją skóra. Niech tylko

wróci, a powie mu, co o nim myśli. Co to za melodię wygwizdywał na odchodnym?

Cora weszła do środka, nucąc, starając się odnaleźć w pamięci właściwe słowa. Ach! To ta głupiutka piosenka Helen Kane *I Wanna Be Loved by You*.

*I wanna be loved by you, nobody else but you.* „Chcę, żebyś mnie kochała, właśnie ty, nikt inny”.

Ze złością trzasnęła tylnymi drzwiami. Birch Good mógł sobie to śpiewać, ale innej dziewczynie. Ona należała do Rufusa St. Claire’a.

# cztery

## Haley

W niedzielny mroźny wieczór Haley wyjechała swoim harleyem 750 z garażu i ruszyła w świetle ulicznych lamp na północ, w stronę centrum miasta i First Avenue. Musiała wyrwać się z domu.

Jako najmłodsze dziecko przyzwyczała się, że jest w domu sama z rodzicami. Ale od czasów college'u zdążyła się już usamodzielnąć, dlatego dziwnie było znów z nimi mieszkać.

Mieli już swoje przyzwyczajenia; potrzebowali rutyny, która pasowała do ich stylu życia. Haley czuła się jak intruz. Po śmierci Tammy i rozstaniu z Daxem powrót do domu dawał jej jednak szansę, by poukładać swoje życie na nowo.

Jechała pod osłoną nocy. Słońce już dawno zniknęło za horyzontem, a myśli Haley biegły własnym torem.

Rodzinny wieczór postanowień trzy dni temu przebiegał bez zakłóceń, póki Haley nie obwieściła, że chce ponownie otworzyć stary salon z sukniami ślubnymi.

Na początku wszyscy gapili się na nią w milczeniu. Uciszenie braci Morgan było nie lada osiągnięciem.

Gdy szwagierka Jodi z Chicago zapytała, o jaki salon z sukniami ślubnymi chodzi, chłopcy wybełkotali wyjaśnienie, nie przebierając w słowach.

W pełni podzielali zdanie mamy, która milczeniem dosadnie wyrażała swoją dezaprobatę.

*„Byłaś kapitanem sił powietrznych, a teraz chcesz być natrętną sklepikarką? Będziesz pracować w nadętej branży ślubnej?”*

*„Zrób magisterkę z zarządzania; będziesz ustawiona na całe życie. Mój kolega po takich studiach znalazł świetnie płatną pracę”.*

*„Od munduru polowego i logistyki do koronki i tiulów? Jakoś tego nie*

widzę”.

W końcu wkroczył tata i stanął w jej obronie, mówiąc, że Haley ma prawo decydować o sobie. Jak dotąd świetnie sobie radziła. *Dzięki, tato. „W końcu – dokończył – z Aarona też był taki miły chłopak, a proszę, postanowił zostać prawnikiem. Rodzina wspierała go w tej decyzji”.*

*Cha, cha, cha!* Ironiczne poczucie humoru taty rozładowało napięcie i nakierowało spotkanie na właściwe tory.

Mama nadal jednak siedziała cała sztywna, nabrawszy wody w usta. Jeśli miała coś do powiedzenia, to nie potrafiła tego ubrać w słowa.

Niektóre domy nadal przystrojone były migającymi świątecznymi lampkami. Haley, jadąc motorem, pozwoliła sobie na chwilę zadumy.

Kochała swoje miasto, z całym jego wścibskim i małomiasteczkowym myśleniem. Świetnie się tutaj dorastało. Po latach spędzonych w wojsku Haley musiała na nowo odnaleźć siebie, swoje wartości, wrażliwość serca.

W armii stała się bezduszna, twarda. Haley, jadąc River Road, dodała gazu, jakby prędkość była w stanie wymazać jej grzechy.

Nagle zauważyła, że w górze błysnęło czerwone światło. Odruchowo więc puściła gaz i nacisnęła sprzęgło, redukując biegi. To była nowa sygnalizacja świetlna, czwarta w miasteczku. Po wieczorze postanowień tata opowiedział jej o Akron Developers, firmie, która chciała zburzyć sklep z sukniami ślubnymi.

Kilka lat temu otworzyli swoją siedzibę w południowo-wschodniej części miasta i za wielkie pieniądze wybudowali tam domy dla bogatych mieszkańców Nashville. I tak, kawałek po kawałku, zaczęli coraz bardziej wgryzać się serce Heart's Bend, składając kolejne oferty i wykupując coraz więcej ziemi.

W oddali przeszył powietrze dźwięk wystrzału. Ktoś nadal świętował Nowy Rok. Jeszcze dwa lata temu, świeżo po powrocie Haley z Afganistanu, najmniejszy nawet hałas sprawiał, że serce wyskakiwało jej z piersi.

Potrzebowała roku, by odnaleźć wewnętrzny spokój i nie zrywać się na każdy dźwięk, zastanawiając się, czy to nie rakietą lub kulą, która może odebrać jej życie. W tym czasie, w rodzinnym mieście, Tammy walczyła z rakiem.

Światło zmieniło się na zielone, więc ruszyła wzdłuż First Avenue w kierunku starego salonu z sukniami ślubnymi. Musiała zobaczyć to miejsce. Poczuć jego atmosferę. Przekonać się, co do szczerości swej noworocznej decyzji. I nie był to kolejny przytyk pod adresem mamy. Haley już spoważniała i wyrosła z takiego

droczenia się.

Minęła stare witryny sklepowe. Tata był w komitecie stowarzyszenia „Odbudować Śródmieście”, które planowało ożywić stare serce Heart’s Bend – tereny, które dawniej stanowiły centrum miasta.

Minęła restaurację *U Elli*. Światła wylewające się na ulicę zapraszały ją do środka. Będzie musiała wkrótce tam zajrzeć i przywitać się z Tiną, mamą Cole’a Dannera.

Haley spędziła tam wiele piątkowych i niedzielnych wieczorów, popijając przy ladzie czekoladowe koktajle mleczne, jedząc frytki i czekając z Tammy, aż zjawi się Cole.

Od czego są przyjaciółki?

Podjechała do znaku „stop” przy parku Gardenia i zmrużyła oczy, wypatrując w ciemnościach rozświetlanych błyskami świateł numeru 143 na First Avenue.

Aleja skręcała lekko w prawo i jej oczom ukazała się wysoka, ciemna bryła z wielkimi oknami wystawowymi ukrytymi pod ogołoconymi konarami trzech wielkich drzew. Haley zatrzymała się przy krawężniku przed budynkiem i wyłączyła silnik motoru. Zdjęła kask i zaczęła przyglądać się wszystkiemu uważnie, także z szeroko otwartym sercem.

– Witaj, stary forcie. Od dzisiaj jesteśmy tylko ty i ja.

Co za ciemne i smutne miejsce. Czy zawsze tak tu wyglądało? Czy po prostu zmieniło się jej spojrzenie, wyostrzone tym, co przeżyła i widziała.

Gdy była małą dziewczynką, wydawało jej się, że salon był romantyczny, tętniący życiem.

Dzisiaj jednak bezksiężycowy zimowy wieczór osnuł go swym mrokiem.

Haley wyciągnęła telefon i dużą czarną latarkę z sakwy na motorze. Wsadziła komórkę do kieszeni i włączyła latarkę, kierując długi snop światła na pusty sklep.

Front ceglanego budynku z dwoma ogromnymi oknami po dwóch stronach drzwi był porośnięty bluszczem, a niewielki trawnik wydawał się bardzo zapuszczony.

Ale nawet w mrocznej bylejakości Haley dostrzegła piękno tego miejsca. Czowała tłącą się w nim iskierkę życia.

Przedzierając się przez chwasty, podeszła do frontowych schodów. Chciała zajrzeć przez okna, ale betonowa weranda szerokości drzwi była słabym punktem



obserwacyjnym. Nie chciała opierać się o przezartą rdzą poręcz. Zeszła ze schodów i ruszyła na tyły budynku, potykając się o korzeń albo pnącze, które wystawało z ziemi, czyhając na jej życie.

W porę oparła się ręką o ceglana ścianę. Klnąc pod nosem, kontynuowała swoją wędrówkę dookoła sklepu, lawirując pomiędzy zwalonymi gałęziami i stertami suchych, obumarłych liści.

*Co się stało z tym miejscem?*

Z tyłu budynku weranda przechylała się na jedną stronę, odstając od ceglanej ściany.

Haley otworzyła zwisające z zawiasów drzwi werandy i postawiła nogę na wątych, przegnitych deskach podłogowych. Ostrożnie dotarła do drzwi prowadzących do salonu i zajrzała przez ich brudną szybę.

Tam w środku... w małym salonie razem z Tammy popijały z termosów słodką herbatę pani Eason i bawiły się w udawanie.

Haley pokręciła gałką w drzwiach, próbując zakraść się do salonu, tak jak dwadzieścia lat temu, ale żelazo nie chciało ustąpić, ledwo ruszając się na boki.

Następnie spróbowała otworzyć okna, ale ani drgnęły.

Haley przycisnęła nos do okna na lewo od drzwi i zmrużyła oczy, próbując wypatrzeć coś w ciemności, zrozumieć, czy to rzeczywiście była jej przyszłość. Czy na pewno dobrze przemyślała to, co zamierzała zrobić?

Przez ostatnie dziesięć lat, od czasów college'u, nie modliła się zbyt często. Nawet spustoszenie, którego dokonał w jej duszy Dax, nie rzuciło jej na kolana. Ale odkąd usłyszała głos Boga w drodze z Nowego Meksyku do Teksasu, coraz częściej zwracała się w kierunku nieba.

*Panie, mam to zrobić? Czy oszalałam? A może jestem po prostu sentymentalna i bez sensu uczepliłam się dziecięcego marzenia? Otwarcie salonu ślubnego? Przecież to głupota. To do mnie niepodobne.*

Tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi. Już dawno zapomniała, jak to jest słyszeć Boga. Z upływem czasu zaczęło jej się wydawać, że wymyśliła sobie, że Bóg do niej „mówił”, kiedy była nastolatką, że dała się ponieść swojej bujnej wyobraźni.

Gdy miała piętnaście lat, zapadły jej w pamięć słowa pewnego wędrownego kaznodziei: *Żyj dla Boga, a wszystko inne znajdzie swoje właściwe miejsce.*

Starala się żyć w zgodzie z tą sentencją. Ale college, a potem służba w siłach

powietrznych sprawiły, że wiara coraz bardziej ją opuszczała. To, co zostało, przepadło przy Daxie. Może nadszedł czas, by wrócić do Boga. Wcześniej jedynie szukała przygód. Goniła za mężczyznami i za tym, co brała za miłość.

Może teraz nadszedł czas, aby z taką samą determinacją poszukać Boga. Powiał wiatr, zimny i wilgotny, przynosząc ze sobą zapowiedź śniegu. Haley oświetliła latarką podłogę w salonie, zatrzymując snop światła na miejscu, gdzie tamtego dnia złożyły sobie z Tammy obietnicę.

Czasami widywała ten moment w swoich snach. Szczególnie w Afganistanie. Jak gdyby jej serce tęskniło za niewinnym czasem dzieciństwa i domowym ciepłem.

– Salonie, zaprzyjaźnimy się, prawda? – Czy to możliwe, aby czuć się częścią budynku?

– Halo! Nie widziała pani znaku? „Wstęp wzbroniony”!

Haley odwróciła się na dźwięk niskiego głosu. Chwyciła latarkę jak broń. – Kto tam?

Ciemna postać przeciskała się przez rumowisko i metalowe pręty sypiącej się werandy. – To własność miasta. – W przelotnym świetle latarki Haley dostrzegła zarys twarzy i włosy luźno kołyszące się wokół głowy mężczyzny. – Proszę opuścić nieruchomość!

– Cole? – Skierowała na niego promień światła.

On też oświetlił jej twarz. – Haley?

– To ja.

Przedarł się przez resztę zarośli i wskoczył na werandę, porywając ją w ramiona i przytulając mocno. – Co ty tu robisz? Kiedy widziałem cię ostatni raz, na pogrzebie, gadałaś coś o swoim kalifornijskim życiu.

– Popatrz, jak to się czasem układa.

– Nic mi nie mów. – Uśmiechnął się słabo. – Na długo przyjechałaś?

Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Myślę o studiach. Jeśli się zdecyduję, to wyjadę w tym tygodniu.

Znów skierował strumień światła na jej twarz. – A jeśli nie?

– Może się tu pokręcę... – Rozejrzała się i spojrzała na drzwi sklepu. – Chcę się przekonać, w jakie tarapaty uda mi się wpaść.

– W tarapaty? W Heart's Bend? – Jego delikatny uśmiech otworzył drzwi do zamkniętego korytarza w jej sercu. – Hej, pamiętasz, jak spuściłaś mi cięgi w

piątej klasie, bo powiedziałem, że jesteś ładna?

Zaśmiała się. – O matko, skąd ci się to wzięło? Dlaczego akurat teraz sobie o tym przypomniałeś?

– *Tarapaty* przywołały wspomnienia.

– Takich tarapatów nie szukam. – Rzuciła na niego okiem. – Chyba nigdy cię za to nie przeprosiłam.

– Nie przeprosiłaś. – Cole potarł szczękę, jakby nadal bolało go uderzenie dziesięcioletniej Haley. – Ale najgorsze już się stało. Zostałem upokorzony.

Znów się zaśmiała, a jej serce rozwinęło się jak zimowy kwiat. – W takim razie przepraszam cię. Ale za moje zdolności bokserskie możesz winić Seta i Zacka. Dorastając z nimi, musiałam umieć się bronić. W przeciwnym razie byłabym całą sina.

– Na pewno te umiejętności przydały ci się w wojsku. A jak się miewasz?

– Dobrze. A ty?

– Też. Jestem zajęty. A przynajmniej staram się być. Po świętach czeka mnie dużo pracy.

– Z pewnością. A... miło spędziłeś święta? – *Tęskniłeś za Tammy?*

– Tak. A ty?

– Też. Wiesz, rodzina Morganów... jest nieco szurnięta.

– Kilka dni temu widziałem Seta. Wpadł do restauracji. Wygląda na szczęśliwego. Jego żona wydawała się bardzo miła.

– Abigail? To święta kobieta. Trzyma Seta w ryzach.

– Czyli odeszłaś z wojska?

– Tak. Skończyłam służbę w październiku. Wzięłam kilka miesięcy wolnego, żeby odpocząć, odwiedzić przyjaciół. – Rozpostarła ramiona. – I oto jestem.

– Koniec z „tak jest, pani kapitan”?

Uśmiechnęła się kwaśno i przecząco potrząsnęła głową. Ucieszyła się, że rozmowa przybrała lżejszy ton. – I z pikantnymi dowcipami o rumie „Captain Morgan”.

Cole zaśmiał się. – Trudno się powstrzymać. To co dalej? Studia prawnicze? Medyczne? Zarządzanie i marketing? Podbijanie świata?

– A widzisz, pomyliłeś mnie chyba z resztą wybitnych Morganów. – Haley przestąpiła z nogi na nogę i wcisnęła zmarznięte dłonie do kieszeni kurtki. – Może nawet zostanę w mieście. – Kiwnęła w kierunku salonu. – I postawię na

nogi stary salon sukien ślubnych.

– Co? Tę ruinę? – Klepnął w dłoń w ceglana ścianę. – Chyba żartujesz.

– Wcale nie.

– Ale dlaczego? Przecież to się sypie. Planują rozbiórkę.

– Bo obiecałyśmy sobie z Tammy, że pewnego dnia na nowo otworzymy dawny salon ślubny.

Cole oparł się o ścianę. – Haley, myślę, że nie chciałaby, żebyś czuła się do tego zmuszona. – Przechylił głowę. – Rozumiesz, o co mi chodzi? Skoro jej już nie ma...

– Może właśnie dlatego powinnam to zrobić. Żeby uczcić jej pamięć. Dotrzymać danego słowa. – Haley przeszła na drugą stronę werandy ze ściśniętym gardłem i zapatrzyła się na samotną lampę uliczną rozlewającą swoje bursztynowe światło na Blossom Street. – A co u ciebie? Co porabia Cole Danner? Jak się miewasz?

Wzruszył ramionami. Znała ten ruch. Coś chodziło mu po głowie. – Byłem dziś na randce.

Haley poświeciła mu latarką prosto w oczy. – Naprawdę? Znam ją?

Potrząsnął głową, mrużąc oczy i osłaniając się dłonią przed strumieniem światła. – Nie. To znajoma znajomego. Mogłabyś opuścić latarkę?

Haley posłuchała. – Więc co tu robisz?

– Randka nagle dobiegła końca, kiedy powiedziałem coś, co skojarzyło jej się z byłym facetem, który, tak na marginesie, ją zdradzał. No i, proszę bardzo, nagle okazałem się draniem. Poprosiła o rachunek, ale wcześniej jeszcze ze cztery razy rzuciła mi w twarz, że „wszyscy faceci to kłamcy i zdrajcy”.

Haley wiedziała coś na ten temat. – Przykro mi, Cole. Czy to była twoja pierwsza randka od śmierci Tammy?

– Tak. – Postukał palcami w drewnianą ramę werandy. – Wiem, że mam tylko trzydzieści lat, ale nagle czuję, jakbym był na to wszystko za stary. Na to całe randkowanie. Już w szkole średniej to nie było nic miłego, a co dopiero teraz. Oczekiwania są niby inne, a jednak ciągle takie same. Ludzie siadają do stołu z całym bagażem doświadczeń. – Odwrócił się do niej. – Powiedz, że chociaż ciebie los oszczędził. Świat potrzebuje choć jednej osoby, która nie została doświadczona przez życie. To musisz być ty, Haley.

– Nie rób ze mnie świętej. – Haley zrobiła krok do tyłu. Miała ochotę się

schować, zniknąć, bo prawdopodobnie mogła pochwalić się większym bagażem doświadczeń niż inni. Przynajmniej wśród osób zebranych na tej werandzie.

Cole był nie tylko chłopakiem Tammy, ale i przyjacielem Haley. Potrafili rozmawiać ze sobą na każdy temat. Kiedyś spędzili całą noc na trybunach stadionu po szczególnie dotkliwej przegranej drużyny Cole'a z zespołem z Memphis. Cole, grający na pozycji kopacza, spudłował w kluczowym momencie meczu i nie zdobył punktu, który zdecydowałby o wygranej. Musiał z kimś wtedy porozmawiać. Tammy nienawidziła futbolu. Chodziła na mecze tylko przez wzgląd na Cole'a.

Gdy dowiedziała się, że jej chłopak i najlepsza przyjaciółka spędzili całą noc, *rozmawiając*, i nie odbierając jej telefonów, miała ochotę ich udusić.

– A więc – odezwała się Haley, poklepując ceglaną ścianę – czy twoim zdaniem da się przywrócić temu miejscu dawną świetność?

– Myślę, że tracisz czas. Gdy tylko miasto sprzeda budynek firmie Akron Developers, od razu zostanie zburzony. Biorę udział w przetargu na rozbiórkę.

– Co? Nie mogą go zburzyć. – Haley przytuliła policzek do ściany. – Jestem przy tobie, słonko. Nie pozwolę im cię skrzywdzić.

Cole zaśmiał się niskim głosem, uroczo i sympatycznie. – Stare dobre czasy. Ty i Tammy... dwie marzycielki. Służyłaś przecież w wojsku. Jakim cudem potrafisz jeszcze patrzeć na świat przez różowe okulary? Czy wojna nie otworzyła ci oczu?

– Cole, nie mam żadnych różowych okularów i to właśnie wojsko i wojna sprawiły, że chcę na nowo otworzyć salon. Jeśli nie ma na tym świecie miejsca na miłość, małżeństwo i rodzinę, to co nam pozostało? Za co walczymy na wojnach? Jako żołnierz broniłam naszego stylu życia i naszych praw, w tym również prawa mężczyzny do tego, by mógł oświadczyć się kobiecie, którą kocha. I prawa kobiety do tego, aby mogła wyjść za mężczyznę swoich marzeń.

– Poświęciła na okno. – Poza tym zawsze wiedziałam, że ten sklep to moja przyszłość.

– Żartujesz. Co to za przyszłość. – Cole kopnął rozwalającą się ramę werandy.

– Jesteś pewna, że nie robisz tego jedynie z tęsknoty za Tammy? Za dzieciństwem?

– Nie... tak, może. A jeśli nawet, to co z tego? Cole, przez ostatnie sześć lat wiele się naoglądałam i jeśli jest mi pisane zostać właścicielką tego salonu, jeśli

właśnie to przygotował dla mnie Bóg, to będę czuła się zaszczycona. I uznam się za szczęściarę.

– Szczęściarę? Mogłabyś pójść na studia, stać się jednym ze sławnych, genialnych Morganów, którzy podbili świat.

Haley tupnęła nogą. – To jest mój świat. I właśnie zamierzam go podbić.

Zaśmiała się z politowaniem. – Powodzenia. Mówiłem ci przecież, że zamierzają zburzyć ten budynek.

Jego słowa zawisły między nimi. Oczy zaszyły jej łzami. – A dlaczego nie miałabym zrobić tego dla Tammy? – wyznała niskim, szczerym głosem. – Dlaczego nie miałabym zrobić tego dla siebie? Dlaczego nie spełnić marzenia z dzieciństwa? – Odwróciła się do niego. – Tęsknię za nią.

– Ja też – odparł, odchrząkując.

Haley osłoniła oczy dłońmi i jeszcze raz zajrzała przez okno. – Jak, twoim zdaniem, powinnam zabrać się za przejęcie tego miejsca na własność?

– Mówisz poważnie? – Cole pochylił głowę w zamyśleniu. – Widziałaś tabliczkę. Możesz po prostu kupić ten budynek. Zadzwoń do pośrednika nieruchomości, Keitha Nivena. Pamiętasz go. Chodził z twoim bratem Willem do klasy. Coś ci podpowie.

– Skutecznie?

– Haley, a mogę coś ci doradzić jako przyjaciel? Nie oddawaj serca temu miejscu. Rozumiem, że jesteś do niego przywiązana i że nowy rok skłania nas do myślenia o przyszłości, ale Akron Developers ma forsy jak lodu, a miasto potrzebuje pieniędzy. Radni marzą o nowym centrum handlowym i loftach na terenie starych zakładów tekstylnych.

– To dlaczego jeszcze nie zburzyli tego budynku?

– Ponieważ na każdym zebraniu rady miejskiej zastęp staruszek, które czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu kupiły swoje suknie ślubne u panny Cory, broni dawnego salonu. Rada musi ustępować. Ale myślę, że to się skończy. Akron oferuje sporą sumę, która przewyższa wartość nieruchomości. A miasto nie ma środków, żeby nadal utrzymywać ten budynek.

– A jak w ogóle trafił on w ręce miasta?

– Długi, zaległe podatki. To też musisz uwzględnić w swoim marzeniu.

– Nie jesteś w stanie mnie wystraszyć. Cole, to legendarne miejsce dla mieszkańców Heart's Bend. Połowa rodzin jest w jakiś sposób związana z tym

salonem.

– Musiałabyś znaleźć sporo takich osób. A w mieście jest przecież coraz mniej starych mieszkańców, a coraz więcej przyjezdnych. – Postukawszy butem w luźną deskę podłogową, pochylił się, sprawdzając, co jest pod spodem, a potem obcasem wepchnął ją na swoje miejsce. – Heart’s Bend musi zapomnieć o przeszłości i spojrzeć w przyszłość. To miejsce tylko kłuje w oczy.

– Jestem gorącą zwolenniczką postępu, ale to nie oznacza, że musimy całkowicie odciąć się od naszej historii. Salon sukien ślubnych był jej dumną częścią przez... ile? Dziewięćdziesiąt lat? To integralny fragment naszego DNA. Nie wspomnę już, że branża ślubna jest warta pięćdziesiąt miliardów dolarów. Cole, odrobiłam lekcje.

– Haley, ta część miasta nie sprzyja interesom. Była tu księgarnia, był sklep z płytami, punkt naprawy komputerów. Nic nie wypaliło. Drummond Branson próbował otworzyć tu punkt informacji turystycznej, ale radni stwierdzili, że nie stać ich na utrzymanie kolejnego budynku użyteczności publicznej. Chcą, żeby ktoś uwolnił ich od tego ciężaru.

– Punkt informacji turystycznej? Księgarnia? Sklep z płytami i komputerami? Nie, nie, nie. Cole, to oczywiste, że nic tu nie wypaliło. To miejsce jest stworzone, żeby służyć małżeństwu. Zbudowano je wyłącznie po to, aby stało się salonem sukien ślubnych. Ten budynek ma powołanie, jeśli można tak w ogóle powiedzieć o budynku. Tu może być tylko salon ślubny. – Jej głos w ciemności był coraz silniejszy. Mówiąc, walczyła z przesywającym zimnem, dając jednocześnie ujście swojej pasji i determinacji.

Cole, zrezygnowany, zrobił krok w tył. – Budynek z powołaniem?

– W szóstej klasie napisałam esej o panie Corze. Jej cioteczna babka, panna Jane, zleciła architektowi z Nashville zaprojektowanie salonu ślubnego. Nie może tu być nic innego.

– Jesteś zdeterminowana, co?

Haley znów zerknęła do środka. – Coraz bardziej. – Odsunęła się od okna, żeby pospacerować i pomyśleć.

– Uważaj, Haley, na luźne deski.

– Dam sobie radę. Na litość boską, kierowałam oddziałem logistycznym Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. W kraju i Afganistanie. Dam radę. Otworzę ten salon.



– Masz zbędne sto tysięcy dolarów?

Przystanęła, słysząc pytanie Cole'a. – Sto tysięcy?

– Tyle będzie kosztował cię remont. Minimum.

– Hola, hola! – Haley oparła się o ścianę. Podmuch wiatru przyniósł ze sobą zimowy chłód, ale ogień w jej wnętrzu coraz bardziej ją rozgrzewał. – Aż tyle?

– Nie wspominając już o kosztach prowadzenia biznesu. Strona internetowa, wizytówki, meble, zaopatrzenie, towar, reklama. – Cole przeszedł na drugi koniec werandy. – I nikt nie zagwarantuje ci sukcesu. Tymczasem Akron Developers krąży ciągle wokół ratusza jak głodny pies i tylko czeka, aż radni rzucają mu salon na pożarcie. – Kopnął stopą w ścianę. – Staje na głowie, żeby zdobyć tę nieruchomość. Oferuje miastu sumę przewyższającą cenę rynkową i zobowiązuje się przez pięć lat płacić za naprawy dróg w tej części miasta. Ale... – Cole zaczął iść w jej stronę.

– Ale co?

– W jednym z rozporządzeń miejskich istnieje zapis, który wymusza na radnych oddanie tego budynku każdemu, kto będzie skłonny wziąć na siebie koszty renowacji, opłacenie zaległych podatków i będzie w stanie otworzyć tu interes.

– Żartujesz, co to za rozporządzenie?

– Na tyle stare, że nikomu nie chciało się go zmieniać. Salon sukien ślubnych podlega jakiemuś kodeksowi rządzącemu zagospodarowaniem śródmieścia. Zabrania miastu sprzedawać daną nieruchomość, zanim nie zostanie podjęta próba jej renowacji. Słuchaj, salon tak długo był zawieszony w próżni... – Cole pokiwał głową. – Nikt nie wie do końca, co z nim zrobić.

– Poza kobietami, które kupiły tu swoją wyprawę ślubną.

– Tak, ale to ginący gatunek. A żadna z nich nie zadeklarowała, że otworzy tu salon ślubny.

– Jeśli więc zechcę otworzyć tu sklep, to rada miejska będzie zmuszona dać mi ten budynek?

– Będą musieli poważnie rozważyć twoją ofertę, tak. – Cole przysunął się do niej. – Haley, a masz sto tysięcy, żeby naprawić budynek, który ma sto dwadzieścia sześć lat?

– Nie, ale nie pozwolę, aby taki drobny szczegół jak pieniądze stanął mi na drodze.

– Drobnny szczegół, a to dobre! – Klepnął się w kolano. – Czy naprawdę chcesz podążać za mrzonką z dzieciństwa? Utopić pieniądze, których nie masz, w tej ruinie? Uwierz mi, Tammy zrozumiałaby, jeśli zmieniałabyś zdanie. – Oparł dłonie na biodrach i westchnął. – Prawdę mówiąc, Tammy...

– Zrobiłaby to dla mnie, jeśli to ja bym umarła. Jestem tego pewna.

Cole zmarszczył się. – Tak ci mówiła? Kiedy ostatni raz rozmawialiście o tym miejscu?

– Sama nie wiem... kilka lat temu. – Może jak była w college'u. – Ale znam... *znałam ją* dobrze, i dla mnie zrobiłaby to samo. Traktowała naszą obietnicę równie poważnie, jak ja. Chcę to zrobić. – Jej wyznanie paliło ją od środka.

– Dobra, chcesz otworzyć salon ślubny? Skontaktuję cię z przedstawicielami Akron Developers. Mogą zaoferować ci jakiś lokal.

Haley wystawiła twarz na zimny wiatr. – Nie chcę otwierać pierwszego lepszego sklepu. Tu chodzi o salon sukien ślubnych... salon sukien ślubnych w Heart's Bend. Założony przez Jane Scott, a potem prowadzony przez pannę Corę. Chciały zaoferować coś królewskiego i wytwornego kobietom z nizin społecznych swoich czasów. Moim zadaniem jest przybliżyć tę tradycję mojemu pokoleniu.

– Wiesz, że jesteś uparta?

– Wolę określenie: zdeterminowana.

Cole przeszedł na drugi koniec werandy i z powrotem, zatrzymując się obok Haley. Wyprostował się. – Nie wiem jak ty, ale ja przemarzłem. Myślę, że pojedę do domu. – Poświecił latarką na schody. – Kiedy będziesz wracała, uważaj na dolną deskę, jest spróchniała.

– Ja też pojedę. Robi się coraz zimniej.

Cole pchnął drzwi z moskitierą na werandzie, a potem podał Haley dłoń, oświetlając schody latarką. – Ostrożnie.

Trzymał ją tak mocno. Z taką... troską. Nie знаła tego uczucia, to pewne. Ciepło jego dłoni rozlewało się po jej ciele, wyżej i wyżej. Haley wyrwała mu rękę, uwalniając się od jego dotyku.

– Po prostu zeskoczę. – Przeleciała nad schodami i wylądowała na ziemi. Cole także skoczył, a potem ruszył za nią na przód budynku.

Haley zatrzymała się przy swoim motorze i wyłączyła latarkę, ukrywając się w mroku. Kątem oka dostrzegła Cole'a podchodzącego do motoru... takiego

samego jak jej.

– Jeździsz harleyem 750?

– Tak.

Na chwilę zawiesiła na nim wzrok. – Dziwne.

Roześmiał się. – Cały ten wieczór jest dziwny. Ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Hej, musimy... no wiesz... wybrać się razem na przejażdżkę.

– Może – odparła. – Kiedy się ociepli. Dzisiaj przemarzłam.

Zabrzmiało znajomo. Dax nauczył ją jeździć na motorze, żeby mogli „wybrać się na przejażdżkę”. Wydała na ten motor znaczną część swoich oszczędności tylko po to, żeby stał nieużywany w garażu. Dax nigdy nie chciał jeździć. Przynajmniej nie z nią.

– Nic mi nie mów. Ja pojechałem tym na randkę. Powinienem był wziąć samochód.

Zapadła cisza. Haley przeszedł dreszcz. Chciała ruszyć już do ciepłego domu. – To do zobaczenia!

– Do zobaczenia.

Odpaliła motor i spojrzała na Cole’a. – Gdyby żyła, bylibyście już małżeństwem.

– Pewnie tak – odparł cicho.

– Przepraszam, nie powinnam o tym wspominać.

– Podobno rozmowa leczy duszę. Albo tak nam wmawiają.

– Dochodzisz do siebie, Cole?

– Tak. Naprawdę. A ty?

Haley wrzuciła bieg i rzuciła okiem na wyniosły i mroczny budynek. Rozdarta pomiędzy Daxem a Tammy, miała jeszcze długą drogę do przejścia ku uzdrowieniu.

– Nie wiem – odparła, wskazując na salon. – Ale myślę, że to dobre miejsce, żeby zacząć.

# pięć

## *Cora*

– Poproszę kawę – Cora weszła do kuchni, powłócząc nogami. Przez okno wpadały pierwsze promienie słońca. Odsunęła krzesło i opadła na nie, wzdychając. Na chwilę zamknęła oczy, aby móc delektować się delikatnym wietrzykiem, który wdzierał się przez drzwi werandy, przynosząc ze sobą zapach świeżo zaoranej ziemi.

– Mój Boże... chcesz kawy? – Mama podeszła do kuchenki i przez kuchenny ręcznik chwyciła dzbanek z kawą. – Wyglądasz na wykończoną. Nie spałaś?

– Spałam, ale niezbyt dobrze. – Cora zapatrzyła się w strumień ciemnej kawy, którą mama wlewała do jej filiżanki. Nie lubiła kawy. Od wczesnych godzin rannych sen wymykał jej się spod powiek. W końcu udało jej się zasnąć, by niedługo później obudzić się z bijącym sercem. Wschodzące słońce malowało już na ścianach jej pokoju nowy dzień.

Wzdrygnęła się po pierwszym łyku. Gorący gorzki smak przywoływał wspomnienia wczorajszego dnia, kiedy widziała Rufusa. Kiedy wydawało jej się, że widzi Rufusa.

– Mogę zrobić ci herbatę – odparła mama.

– Kawa wystarczy. – Choć nie była pewna, czy potrzeba jej jeszcze więcej goryczy w życiu.

– Lepiej coś zjedz. Twój żołądek nie jest przyzwyczajony do kawy.

– Nie jestem głodna.

Mama i tak stanęła przy piecu i nałożyła jej pełen talerz naleśników, a w piekarniku podgrzewała kielbasę.

Cora, zanim ubrała się i zeszła na śniadanie, ze stosu przewiązanego czerwoną wstążką wyciągnęła ostatni list, który dostała od Rufusa. Wysłał go na początku marca.

Czytała ten list tak wiele razy, że znała go na pamięć. Tak bardzo pragnęła usłyszeć jego głos.

*Ukochana Coro!*

*Tak bardzo pragnę Cię zobaczyć. Zatrzymały mnie interesy na Północy, tak daleko od Ciebie, a to rozdziera moją duszę. Nie wolno Ci myśleć, że o Tobie zapomniałem. To niemożliwe. Myślę o Tobie dniami i nocami.*

*Tego wieczoru jestem w pobliżu telefonu. W czasie, gdy doker rozładowywał nasz towar, poprosiłem o możliwość zatelefonowania, ale szef hangaru mi odmówił. Nawet gdy przyrzekałem, że zapłacę za rozmowę zamiejscową.*

*Wróciłem więc do pisania listu do Ciebie. Stoimy w porcie w północnej części rzeki Missisipi. Noc jest zimna i cicha, więc tęsknię za ciepłem Twojego ciała. Księżyc świeci dziś jasno. Pociesza mnie myśl, że widzimy to samo światło.*

*Wkrótce powrócę na Południe. Nie przekreślaj mnie. Napisz do mnie do portu w St. Louis. Odbiorę Twój list za kilka tygodni.*

*Dobranoc, Najdroższa.*

*Kocham cię!*

*Rufus*

A widzisz, nie ma żadnego powodu, żeby się martwić. Przypłynie, gdy tylko będzie mógł. *Głowa do góry, Coro Beth.*

Teraz musiała jedynie zmierzyć się ze spojrzeniem mamy, która właśnie stawiała przed nią maselnickę, dzbanuszek z syropem i talerz wypełniony jedzeniem.

– Jedz.

– Nie zmusisz mnie. Nie mam pięciu lat, mamo.

– Więc się tak nie zachowuj.

Matka usiadła na swoim miejscu. Z delikatnym uśmiechem uniosła do ust filiżankę z kawą, po czym zapytała: – Czy córki są w stanie przeciwstawić się swoim matkom?

Cora wzięła nóż i posmarowała masłem naleśniki. Ich słodki aromat wabił jej uśpione kubki smakowe. Mama robiła najlepsze naleśniki na świecie. Nawet

Matylda, kucharka z restauracji *Heart's Bend Diner*, błagała ją o przepis. Ale mama takie rzeczy zatrzymywała dla siebie. Dzięki temu miała władzę nad innymi.

– Co dziś w gazecie? – Cora sięgnęła po egzemplarz „Trybuny” leżący obok talerza taty.

– Coro... nie. – Mama zerwała się z krzesła z ustami pełnymi jedzenia, próbując sięgnąć gazetę.

Cora jednak ją uprzedziła. – Dlaczego? Co takiego napisali? – Spojrzała przelotnie na pierwszą stronę i przewertowała środek, zatrzymując się na kąciku ciekawostek Hattie Lerner zatytułowanym „Głos Miasta”.

Była to najzwyczajniejsza kolumna plotkarska. W pełnym tego słowa znaczeniu.

*Wczoraj po południu właścicielkę salonu sukien ślubnych, pannę Corę Scott, widziano biegnącą First Avenue, jakby się gdzieś paliło. Nie udało się ustalić, dlaczego córka prezesa banku, Ernesta Jamesa Scotta, gnała przez miasto jak szalona, ale widząc podążającego jej śladem Bircha Gooda, zastanawiamy się, czy nie była to czasem gonitwa za miłością? A może nadal czeka na swojego tajemniczego kapitana?*

Corze zaparło dech. – Co to ma znaczyć? To jawne oszczerstwo. Jak ona śmie pisać w „Trybunie” o moim prywatnym życiu? Powiem jej, co o tym myślę.

– Ochłoń i zastanów się. Salon na tym skorzysta.

– Jakim cudem salon ma skorzystać na moim publicznym upokorzeniu?

– W jednym krótkim zdaniu wspomniała o tobie, salonie, twoim ojcu i banku.

– Mama podniosła wzrok na ojca, gdy wszedł do kuchni. Świeżo wykąpany, przystojny w swoim szytym na miarę garniturze i świeżo wyprasowanej białej koszuli z granatowym krawatem. Pachniał mydłem, talkiem i brylantyną. – No jesteś, Ernie. Usiądź. Przygotuję ci śniadanie.

Tata usiadł, puścił oko w kierunku Cory i sięgnął po serwetkę. – Przyjemnie leżało mi się dziś w gorącej kąpieli, więc poleniuchowałem trochę dłużej. – Podziękował mamie, kiedy postawiła przed nim talerze i napełniła filiżankę kawą.

– O czym tak dyskutowałyście, moje panie?

– Hattie Lerner uznała za konieczne, aby mnie szpiegować i opisać to w gazecie. – Cora rzuciła mu „Trybunę” obok talerza.

– Mówiłam właśnie Corze, że to dobrze, że wspomniała o salonie, banku i

wymieniła was oboje po nazwisku. To dobra reklama. Zgodzisz się ze mną Erneście? – Mama wyciągnęła papierosa z kieszeni fartucha i stanęła przy otwartych drzwiach wyjściowych.

– Podniósł gazetę i zaczął czytać. – Coro, dlaczego biegłaś ulicą?

– Śpieszyłam się do salonu. – Zawsze wstydziła się rozmawiać o Rufusie i w ogóle o miłości ze swoimi rodzicami, szczególnie z tatą.

– A Birch cię gonił?

– Birch mnie nie gonił. – *Złapał* ją po prostu w chwili, kiedy była o krok od zderzenia się z nadjeżdżającym samochodem. – Hattie znowu się coś pomyliło.

– Dobrze zarabia na tych pomyłkach. – Tata pokroił swoje naleśniki i rozsmarował na nich masło i syrop. – Esmé, masz suknię na piątkową kolację firmową? Odwiedzą nas grube ryby z Nashville. Sam Roger Caldwell.

Cora widziała, jak tata nieznaczenie wypycha pierś do przodu. Był dumny ze swoich osiągnięć. Po wojnie założył mały bank, który po niecałych dziesięciu latach dołączył do sieci banków Caldwell i Spółka i stał się jedną z ich najważniejszych gałęzi.

– Jestem gotowa, Ernie. – Mama była atrakcyjną, szczupłą kobietą, zawsze świetnie przygotowaną na każdą okazję towarzyską. Nawet w swojej domowej sukni wyglądała na damę, zadbaną i elegancką. – Wezmę suknię z salonu.

Oparła się o ścianę z filiżanką kawy w jednej dłoni i papierosem w drugiej. Wąska smużka dymu wydostawała się przez gęstą siatkę okiennej moskitiery.

– Tej wiosny mamy piękne kreacje wieczorowe – wyjaśniła Cora. – Panny młode wybierają je do swoich wypraw ślubnych.

– Ciotka Jane i jej szalone pomysły... – Tata pokiwał głową. – Pokazać najświeższą modę prostym dziewczynom z Tennessee. – Jane była ciotką taty, najmłodszą siostrą jego ojca. Ale dla Cory była jak babcia.

– Wczoraj odwiedziła nas klientka z Birmingham z czasów Jane – powiedziała mama. – Zamówiła praktycznie wszystko, co było możliwe, prawda Coro?

– Gdyby tylko mogła, zapewne zamówiłaby więcej niż tylko jedną suknię ślubną. Matka w zamian pozwoliła jej poszaleć z sukniami wieczorowymi, kostiumami na podróż poślubną i bielizną.

Tata uniósł ręce w górę. – Nie chcę wiedzieć, co kobieta ma pod sukienką.

– A to ciekawe, nie to mówiłaś mi wczoraj w nocy.

– Esmé!

– Mamo!

Matka zachichotała i zaciągnęła się swoim papierosem.

Tata odchrząknął i skupił się na swoim śniadaniu, krojąc naleśniki, póki nie dosięgnął nożem dna talerza. – Ach, Coro, spojrzałem wczoraj na twoje konto. Masz odłożoną ładną sumkę. Skontaktowałem się z prawnikiem Jane i poprosiłem o wypłatę reszty twojego spadku. Ukończyłaś już trzydzieści lat. Spełniasz warunki.

– Ale myślałam, że nie chcesz, żebym ruszała te fundusze. Żeby procentowały. Sam powiedziałeś, że mamy pieniądze na koncie.

– Myślę, że rozsądnie byłoby zacząć działać i przenieść środki w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Nie wiem, co knują ci jankescy bankierzy. Wolę mieć pieniądze w swoim banku, gdzie mogę trzymać rękę na pulsie.

– Skoro tak uważasz...

Cora osobiście prowadziła swoją księgowość, więc miała pełną kontrolę. Ale tata znał się na pieniądzach równie dobrze, co większość mężczyzn na statystykach bokserkich czy wynikach meczy bejsbolowych. Ufała mu. Swój bank zbudował, opierając się na swoim doświadczeniu, także tym związanym z krachami i kryzysami, i stworzył, jego zdaniem, nowoczesną instytucję. „Heart’s Bend Mutual, Twoje pieniądze są u nas bezpieczne” – tak brzmiała jego dewiza.

Kiedy zmarła ciotka Jane, zapisała salon Corze, dorzucając znaczną sumkę na czarną godzinę.

– Jesteś pewien, Ernie, że październikowy krach z zeszłego roku nas nie dosięgnie?

Tata pomachał przecząco głową, zgarniając kawałkiem naleśnika syrop z talerza. – Mało prawdopodobne. Sytuacja się uspokoiła. Sam zacząłem inwestować. Mówiąc szczerze, bardziej byłbym zaniepokojony epidemią malarii niż upadkiem jakiegokolwiek banku. Coro, mądrze kieruj swoim biznesem, a wszystko będzie dobrze. Czy myślałaś może nad moim pomysłem, żeby kupić dom dla siebie? To byłaby dobra inwestycja.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Sama wiesz lepiej. Po prostu jako niezamężna panna jesteś osobą bardzo majątną. Mogłabyś wynająć taki dom, a zarobione pieniądze odłożyć na czarną godzinę.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wolałabym poczekać, aż będę mogła



wyprowadzić się do domu mojego męża. Zresztą – powiedziała Cora, stając pomiędzy swoimi rodzicami – dobrze wiecie, że jestem jak krem, który spaja was w jedno, moje dwa herbatniczki. – Wyłączając hmm... bielizniane sytuacje.

– Przejrzała cię na wylot, Ernie. – Mama zgasiła papierosa w popielniczce i nalala sobie kolejną filiżankę kawy. – Ale nie odbiegajmy od tematu. Coro, nadal chciałabym wiedzieć, dlaczego biegałaś wczoraj po First Avenue. Poszłaś po ciasteczka i wróciłaś piętnaście minut później z pustymi rękoma, ledwo dysząc, cała czerwona.

– Mamo, nie róbmy z tego afery.

– A później wysłała Bircha Gooda, żeby przyniósł jej sprawunki, Ernie. Co oczywiście ochoczo uczynił.

Tata spojrzał na Corę, unosząc jedną brew. – Hmm... Birch jest dobrym kandydatem na męża. Żaden z niego miglanc.

– Miglanc? Skąd ty znasz takie słowa? Taki jesteś młodzieżowy?

– Coś mi czasem wpadnie do ucha. Jestem prezesem banku, poważanym obywatelem miasta. Moim obowiązkiem jest nadążać za współczesnymi trendami. Córciu, taki pracowity człowiek jak Birch to skarb. Rodzina Goodów prowadzi swoją farmę od lat, bez zadłużenia. Patrząc jedynie na stan konta bankowego, można stwierdzić, że Birch radzi sobie naprawdę dobrze.

Niezależnie od tego, czy było to słuszne podejście czy nie, tata mierzył życie i miłość w dolarach i centach. Cora przyzwyczaiła się już do jego sposobu bycia, wyrażania i doszukiwania się miłości w jego sercu przez znak dolara w jego oczach. Dwukrotnie porzucił rodzinę z powodu źle wydanych pieniędzy i nietrafionych inwestycji. Pierwszy raz odszedł w czasie kryzysu w 1907 roku, po tym, jak wszystkie pieniądze, które otrzymał od swojego dziadka, utopił w akcjach firmy TC&I.

Zniknął na trzy miesiące. Wrócił do domu dopiero, gdy dziadek znów dał mu pieniądze, żeby Ernie mógł naprawić szkody, które wyrządził.

Drugi raz porzucił rodzinę w 1914 roku, gdy zainwestował w jakiś nierealistyczny projekt. Jego dziadek ponownie wyciągnął go z finansowych tarapatów w czasie pierwszej wojny światowej, sugerując, by skupił się na pewniejszych inwestycjach. Dzięki temu w latach dwudziestych był w stanie w końcu otworzyć swój własny bank. Minęło już dziesięć lat, a nadal rośnie w siłę. Dostał swoją nauczkę.

I lepiej żeby tak było, bo na dziadka pomoc nie mieli już co liczyć.

Ale o co chodzi z tym Birchem? Co on ma z nią wspólnego? – Skoro taki z niego wystrzałowy kawaler – powiedziała Cora, przypominając sobie swój własny słownik z czasów college’u – to jakim cudem żadna go jeszcze nie usidliła?

– Jest rozsądny i czeka na właściwą dziewczynę. – Psozny uśmiezek taty mówił wszystko: „Czeka na ciebie”.

– To życzę mu powodzenia. – Cora zaniósła talerz i sztućce do zlewu; zanurzyła je w zimnej, namydlonej wodzie i sięgnęła po ściereczkę. – Ma już swoje lata. Co go powstrzymuje? Trzydziestopięcioletni pracowity farmer powinien mieć żonę. Nigdy przecież nie był babiarzem, który uchyla się od odpowiedzialności. – Wstawiła naczynia na suszarkę i wytarła dłonie. Wychodząc, ucałowała łysiejącą głowę taty. – Miłego dnia. Uuu, tato, uważaj z tą brylantyną.

– Co? Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz, Ernie. Mówiłam ci to setki razy. Oświadczam ci, że poduszki, na których śpisz, już nigdy nie będą takie same.

Cora przystanęła przy drzwiach. – Do zobaczenia w sklepie, mamó.

– Nie rozumiem, dlaczego odrzucasz Bircha. – Matka nie mogła odpuścić. Musiała wykrzyknąć na cały dom, co myśli na ten temat. – Mówisz, że ma już swoje lata, ale czy mogę ci przypomnieć, że ty też wcale nie młodniejesz?

– Nie, nie możesz. – Cora podeszła do drzwi wyjściowych i chwyciła torebkę oraz sweter. Dobrze wiedziała, ile ma lat.

– Trzydziestoletnia kobieta już dawno powinna mieć męża i dziecko.

– I tak będzie. Wkrótce. – Podtrzymała w matce nadzieję. Gdy zrobiła krok w kierunku werandy, dostrzegła na podjeździe Liberty, pokojówkę Scottów, kierującą się właśnie na tyły domu. – Mamó, Liberty przyszła. Dziękuję ci, że przez twoje krzyki cały świat zna już moje sprawy.

– Przecież nie słyszy mnie przez ściany.

– Dzień dobry, Liberty. – Cora przywitała wchodzącą kobietę i wyszła na werandę, zakładając rękawiczki do samochodu.

– Dzień dobry, panno Scott.

Cora przystanęła w biegu. – Liberty – zagadnęła, dostrzegając lekkość, z jaką poruszała się młoda kobieta, oraz światło bijące od jej ciemnej, ładnej karnacji. –

Czy ty promieniejesz?

Liberty zatrzymała się, odwracając wzrok. – Możliwe.

– Mówże... – Cora dostrzegła błysk miłości w jej oczach. Widziała go wiele razy u swoich klientek.

– Zaręczyłam się wczoraj, panno Coro. – Uniosła rękę, prezentując cienką złotą obrączkę zwieńczoną perłą. – Czyż nie jest uroczy? Nigdy w życiu nie miałam niczego tak wspaniałego. A mój narzeczony awansował na brygadzystę w zakładzie DuPont.

– To przyjmij moje gratulacje. – Cora przyciągnęła ją do siebie i przytuliła. – Koniecznie musisz zjawić się w salonie i wybrać sobie suknię.

Zakłady DuPont wraz z firmą transportu morskiego L&N i działalnością handlową na rzece Cumberland czyniły z Heart's Bend klejnot w samym środku Tennessee. To niewielkie miasteczko dobrze prosperowało. Jankesi mogli się wypchać. Heart's Bend nie potrzebowało ani ich, ani ich walącej się gospodarki.

– W salonie? Och, panno Coro, nie wydaje mi się, żebym...

– Ale mi się wydaje i nalegam. – Do licha z rasowymi uprzedzeniami i prawami. – Przyjdź, gdy będziesz miała wolne popołudnie. Znajdziemy coś dla ciebie.

– Serdecznie pani dziękuję, panno Coro, ale musimy oszczędzać i pieniędzy starczy nam tylko na kościół i na małe przyjęcie weselne.

– Nonsens. Suknia będzie prezentem ode mnie. Za twoją oddaną pracę dla rodziny.

– Mam wychodne w środy. W niedziele pracuję w zakładach tekstylnych, sprzątam biura.

– Środa po południu pasuje. Więc dzisiaj?

– Jeśli jest pani tego pewna.

Cora wślizgnęła się za kierownicę swojego samochodu, opuściła okno i włożyła klucz do stacyjki.

Kiedy zmarła ciocia Jane, zostawiła Corze więcej pieniędzy, niż ta (i jej tata też) mogła kiedykolwiek sobie wymarzyć. Zatem kupiła sobie samochód. Nowego buicka roadstera za tysiąc sto dolarów. Tata niemal dostał zawału. Ale jakąż to była piękna rzecz. Sportowy samochód. Ciotce Jane zdecydowanie by się podobał.

Rufus uważał, że samochód bardzo do niej pasował. Lubił siadać za

kierownicą, kiedy bywał w mieście, a ona z radością pozwalała mu się wozić.

Zewsząd otaczała ją prawdziwa miłość. Codziennie. W salonie. W domu, choć rodzice się sprzeczekali. A teraz kochana Liberty odnalazła szczęście.

Ile jeszcze przyjdzie jej czekać na swoją kolej? Czy Bóg nie słyszał jej nocnych błagań?

Jeśli jednak miłość przynosiła tak wielką radość, jaka była z uroczej twarzy Liberty, to Cora była gotowa czekać na Rufusa tak długo, aż człowiek nie wylądnie na Księżycu. Nie dbała o to, czy będzie miała wtedy czterdzieści, pięćdziesiąt czy sto lat. Pragnęła takiej miłości.

Wdusiła sprzęgło i ruszyła cienistą uliczką, starając się wyrzucić ze swoich myśli postać Bircha Gooda, paradującego po jej głowie przy akompaniamencie słów ojca: *Zaden z niego mi glanc.*

Był całkiem przystojny. Dobrze zbudowany, umięśniony, jak to mężczyzna pracujący na farmie. Był uroczy i uprzejmy, stały w uczuciach. Solidny jak skała i... nudny.

Cora zatrzymała samochód przy znaku „stop” na końcu ulicy i położyła głowę na kierownicy. *Boże, jaki nudny.*

Z nim każdy dzień byłby taki sam. Pobudka przed świtem, potem katorżnicza praca na farmie, o zmierzchu razem zapadaliby w ciężki sen. I po co to wszystko? Żeby w jednej chwili mogły to pochłonąć żywioły, szkodniki i ceny rynkowe?

Wyobraziła sobie, jak całuje ją z grzeczności rano i potem, jeszcze raz, wieczorem. Kochałby się z nią raz w tygodniu i co niedzielę zabierał do kościoła, a potem jedliby obiad u jej rodziców.

Ewentualnie w piątkowy wieczór zabierałby ją na koncert folkowy do *Bluegrass Tavern*, żeby posłuchać muzyki, wypić szklaneczkę napoju bezalkoholowego i zjeść talerz smażonego kurczaka.

Na samą myśl dostawała palpacji serca. – Boże, proszę, tylko nie to. Błagam.

Za nią rozbrzmiał klakson. Zerwała się, jednocześnie naciskając sprzęgło i widząc w lusterku wstecznym skrzywioną twarz pana Carmichaela.

Zachowywał się, jakby sam nigdy nie zatrzymał się zbyt długo przy znaku. Całe wieki przystawał na końcu ulicy, żeby w spokoju przeczytać gazetę, zanim wróci do sześciorga swoich dzieci, czekających na niego w domu.

Zanim pokonała trzy kilometry dzielące ją od salonu i zaparkowała na zacienionej Blossom Street, zdążyła utwierdzić się w swoim postanowieniu. Była

zakochana w kapitanie Rufusie St. Clairze i jeśli było jej pisane, by przeżyć w życiu *jakąkolwiek* przygodę i poczuć *jakąkolwiek* *namiętność*, to będzie na niego czekać całą wieczność.

# sześć

## Haley

We wtorkowy poranek Haley, z przewieszoną przez ramię listonoszką, czekała na chodniku przed salonem na agenta nieruchomości Keitha Nivena, obserwując ruch uliczny na rogu Blossom Street i First Avenue.

Choć z bladoszarego nieba gęsto prószył śnieg, to ze swojego punktu obserwacyjnego widziała cały północno-wschodni zakątek Heart's Bend – sklepy wzdłuż First Avenue, park Gardenia, aż po Main Street.

Dzień był ponury i śnieżny, ale była szczęśliwa. Miało się wydarzyć coś dobrego.

Wczoraj rozmawiała godzinę z Drummondem Bransonem, głową stowarzyszenia „Odbudować Śródmieście” i Towarzystwa Historycznego, a także szanowanym przedsiębiorcą budowlanym i lokalnym rzeczoznawcą.

Branson by jedyną osobą, która wiedziała, jak urzeczywistnić marzenie Haley. Uzbroił ją w oryginalny projekt sklepu, wskazówki dotyczące renowacji oraz pomysły, jak zdobyć fundusze i jak rozmawiać z radą miejską.

Dziś wieczorem w ratuszu miało odbyć się spotkanie dotyczące salonu.

– Towarzystwu Historycznemu zależy na zachowaniu tego budynku, więc gwarantujemy ci dużą swobodę działania, póki będziesz się trzymać oryginalnego projektu architekta. – Klepnął w metalową tubę z planami. – Cole Danner byłby idealny do tej roboty. Jeśli uda ci się go namówić.

– A ty? Nie mógłbyś się tego podjąć?

– Renowacje to nie moja działka. Mam pełen terminarz. Teraz bardziej zajmuję się rzeczoznawstwem niż budowlanką.

Hmm. Czyli była skazana na Cole'a. Zajmie się tym później. Nie podobało jej się to iskrzenie między nimi (czy to dobre określenie?) podczas ich ostatniego spotkania. Zbyt dobrze się przy nim czuła. Fakt, że był chłopakiem, a później

narzeczonym Tammy, wcześniej stanowił barierę, ale teraz...

*Nie.* Nie mogła nic do niego czuć. Nie po to wróciła do domu, żeby się zakochać. Czuła po prostu do niego sentyment. Budził w niej tęsknotę za dawnymi czasami.

Jednak jeśli byłby w stanie pomóc jej otworzyć salon, to jakoś zniesie jego obecność podczas renowacji.

Drummond był przekonany, że Haley zdoła przekonać radę miejską, żeby dali jej budynek. *Dali!* I to bez konieczności opłacenia zaległych podatków. Musi tylko obiecać, że przywróci mu dawną świetność *oraz* że przetrwa na rynku co najmniej rok. W przeszłości sparzyli się, udostępniając budynek przedsiębiorcom, którzy uciekali po sześciu miesiącach, zostawiając za sobą zgliszcza.

Drummond wspominał również, że miasto może nawet będzie skłonne wyłożyć pieniądze na odnowienie budynku. Środki, którymi dysponowało stowarzyszenie „Odbudować Śródmieście”, zostały już przydzielone, ale wiedział, że miasto ma jakąś sumę odłożoną wyłącznie na konserwację historycznych budynków. Podał również Haley nazwisko inspektora kredytowego w banku Downtown Mutual, który wspierał małe biznesy.

Historycznie Downtown Mutual był schedą po ojcu panny Cory, Erneście Scotcie, który w latach dwudziestych prowadził bank Heart's Bend's Mutual.

Wszystko to sprawiło, że Haley przemierzała właśnie chodnik przed salonem, czekając na Keitha. *Pośpiesz się facet. Zimno.*

Zachęcona przez Drummonda zaprosiła również Cole'a, ale on odparł, że nie wie, czy da radę się zjawić. *No dobrze, niech ci będzie.* Sama nie była pewna, czy chce go oglądać. Choć dzwoniło jej w uszach za każdym razem, kiedy o nim myślała.

Nieważne. Wczoraj wieczorem poczytała na temat branży ślubnej – o tym, jak prowadzić salon ślubny, jak przygotować biznesplan i czego się spodziewać, remontując zabytkowy budynek.

Zrobiła szkic budżetu – tu strzelała w ciemno – i spisała w punktach swoje środki, czyli dziesięć tysięcy dolarów w oszczędnościach i motocykl.

Kiedy służyła w siłach powietrznych, żyła z rozmachem i na niczym nie oszczędzała. To kolejny aspekt jej związku z Daxem. Lubił wydawać pieniądze.

Ale to było w zeszłym roku. Wieki temu. Czas przestać obwiniać Daxa i samej wziąć odpowiedzialność za swoje głupie decyzje. Teraz zacznie wszystko od

nowa, odzyska swoje życie i wymaże pozostałości po Daxie z pamięci.

Przy krawężniku zatrzymał się ciemny mercedes. Haley poczuła uderzenie adrenaliny, zupełnie jak wtedy, kiedy jej oddział logistyczny dostał rozkaz, by przetransportować pewną ściśle tajną część do samolotu albo tankowca. *Czas start.*

– Haley? – Z samochodu energicznie wyskoczył szczupły, ciemnowłosa mężczyzna. Zdjął rękawiczki i podał jej swoją ciepłą dłoń. – Keith Niven. – Spojrzał na ceglany budynek i wcisnął rękawiczki do kieszeni. – Przejdziesz do historii miasta, jeśli uda ci się coś wyczarować z tej ruiny. Odkąd panna Cora zamknęła salon w 1979 roku, nikt nie był w stanie z równym powodzeniem poprowadzić tu biznesu.

– Bo nikt nie próbował otworzyć ponownie salonu ślubnego.

Spojrzał na nią z aprobatą. – Kobieta z wizją. To mi się podoba. – Uniósł klucze. – Rozejrzyjmy się.

Haley podążyła za nim, słuchając, jak recytuje historię sklepu. Nie miała nic przeciwko temu, aby usłyszeć ją jeszcze raz.

– Został zbudowany w 1890 roku przez Jane Scott, prawdziwą piękność. W młodości wyjechała z miasta, próbując rozpocząć karierę aktorską na Broadwayu, ale w końcu wylądowała w Paryżu i zajęła się modą. Po kilku latach wróciła do domu ze złamanym sercem i wpadła na pomysł, aby pokazać mieszkankom Heart's Bend, co znaczy szyk i elegancja. Ojciec pomógł jej wynająć uznanego architekta z Nashville, Hugh Cathcarta Thompsona, a następnie zbudować sklep, łącznie z mieszkaniem dla niej na drugim piętrze, i otworzyć w Heart's Bend salon mody ślubnej. Przekazała go w spadku wnuczce brata, Corze, która dalej prowadziła sklep przez ponad pięćdziesiąt lat. – Keith przekręcił klucz i otworzył drzwi.

– Dokładnie mówiąc: pięćdziesiąt pięć lat. – Haley pamiętała każdy szczegół z wypracowania, które napisała na komputerze, gdy była w szóstej klasie. Wpatrywała się wtedy w oparte o lampkę na biurku zdjęcie Cory. Znalazła je tamtego burzowego dnia, gdy chowały się z Tammy w sklepie przed deszczem.

– To wiesz już więcej niż ja. Możliwe, że Towarzystwo Historyczne ma jeszcze jakieś dodatkowe informacje i mogę się założyć, że żyje jeszcze kilka staruszek z niebieskimi włosami, które kupiły tu swoją wyprawę ślubną. – Keith podniósł dłoń z uniesionym małym palcem, udając, że sączy herbatkę, i odsunął się, żeby



Haley mogła wejść do holu. – I co myślisz?

Haley zmarszczyła nos. – Co to za zapach?

Stała z Keithem w wąskim holu otoczonym ścianami, których nie było tu, kiedy bawiła się z Tammy w panny młode.

– Hej, przepraszam za spóźnienie. – Cole wcisnął się pomiędzy nich i wszedł do holu, otrzepując swoje ciemne włosy ze śniegu. Jego niebieskie oczy błyszczały na tle zaczerwienionych policzków.

– Dopiero zaczęliśmy – odezwała się Haley.

– Spójrzcie na to miejsce. – Cole kopnął jedną ze ścianek działowych, chwycił za krawędź i potrząsnął. – To nie powinno tu stać. Na pewno nie dostali na to pozwolenia.

– Nie było tych ścianek w projekcie. – Haley wyciągnęła dokument ze swojej listonoszki. – Drummond Branson udostępnił mi kopię oryginalnych planów. Powiedział, że Towarzystwo Historyczne da mi wolną rękę, póki będziemy się trzymać oryginalnego rozkładu budynku.

Cole sięgnął po plan, studiując linie, a potem rozglądając się dookoła. – Tu wszędzie powinna być otwarta przestrzeń.

– No właśnie. – Haley weszła przez drzwi po prawej. Ściany blokowały całe światło wpadające przez okna wystawowe na przodzie budynku. – Tu chyba był duży salon. To największy pokój. Nie jestem pewna, do czego służył panie Corze. – Wróciła z powrotem do holu. – Tu jest klatka schodowa, a tam – wślizgnęła się przez drzwi po lewej – jest mały salon.

W mniejszym salonie na podłodze leżała poplamiona wykładzina. Widniała na niej wydeptana, niemal czarna ścieżka prowadząca od frontowych drzwi aż na tyły pokoju. – Okropnie to wygląda.

– Ostatnio mieścił się tutaj serwis komputerowy, Microfix czy jakoś tak – powiedział Keith. – Facet był flejtuchem.

Cole zniknął w pomieszczeniu, które przypominało pokój kredensowy, narobił hałasu, po czym znów się pojawił. – Ściana jest mokra. Pewnie dach przecieka, a to oznacza pleśń.

Pleśń? Niedobrze. – Myślisz, że trzeba będzie aż stu tysięcy, żeby to wyremontować?

– Co najmniej. – Ton głosu Cole'a sugerował, że nie pali się do tego zlecenia. – Trzeba od nowa zrobić całą elektrykę i instalację wodno-kanalizacyjną,

odnowić łazienki, wyszlifować i zabejcować podłogi, już nie wspomnę o tym, co kryje się za ścianami, a czego nie widać. O azbeście, na przykład. Trzeba wymienić dach. Okna, oświetlenie... – Podniósł dłoń, pocierając kciukiem o opuszki palców. *Pieniądze.*

– Haley, Akron Developers zaoferowało miastu sporą sumę za tę działkę – wtrącił się Keith. – Możliwe, że będziesz musiała z nimi o nią walczyć.

– Już jej to mówiłem. – Znów odezwał się Cole, jakby bardziej entuzjastycznie reagując na plany firmy Akron niż jej. – To miejsce nie jest już dla miasta tym, czym było dawniej. Większości kobiet, które kupiły tu swoje wyprawy ślubne, już nie ma. Firma Akron ma zaś w mieście dobrą opinię; stali się częścią społeczności, na południowym wschodzie miasta zbudowali park dla niepełnosprawnych dzieci. Ludzie ich lubią.

– Chociaż... w zeszłym roku próbowali zburzyć starą kaplicę ślubną, którą zbudował trener Westbrook. To prawie zrujnowało moją reputację. – Keith przestępował z nogi na nogę. – Haley, a co ty myślisz?

– Że Tammy stała na tych schodach z welonem z gazety na głowie. – Haley wbiegła na połowę schodów.

Cole spojrzał na nią i pokiwał głową. – Nie możesz decydować się na zrobienie remontu i założenie firmy, kierując się sentymentalnymi mrzonkami.

– Myślisz, że jestem głupia? – Weszła na górę, aż na antresolę. – Wspomnienia to tylko wisienka na torcie. Co twoim zdaniem trzeba by tu zrobić?

Cole poszedł za nią, powtarzając swoją litanię: elektryka, woda, kanalizacja, szlifowanie podłóg, nowe okna. Zatrzymał się przy drzwiach na prawo od schodów. – Nie wiadomo, co jest tutaj. – Gałka odmówiła posłuszeństwa. – Zamknięte.

W kieszeni zadzwonił mu telefon. Spojrzał na ekran komórki, a potem schował ją z powrotem.

– Wiesz co, gdy tak teraz o tym myślę, to moja babcia też kupiła swoją suknię ślubną u Cory w latach czterdziestych, po wojnie – powiedział Keith, próbując otworzyć zamknięte drzwi którymś z kluczy na breloczku. Ale żaden nie pasował. – Będziesz musiał przewiercić ten zamek, Cole.

– Ja? Ja tu tylko przyszedłem zrobić kosztorys.

Haley pochyliła się, żeby mieć lepszy widok. – Może uda się znaleźć klucz. Chciałabym zachować oryginalną gałkę. Wygląda na starą. – Wyprostowała się,

ruszając po schodach w stronę drugiego piętra. – Obejrzyjmy mieszkanie. Chciałabym tam zamieszkać. – Haley poprowadziła mężczyznę na samą górę. Pomimo mroźnego wiatru, wdzierającego się przez nadświetla, od razu dała się zauroczyć tej przestrzeni.

Cole wskazał na wybite okienka. – Dorzuć kolejne dziesięć tysięcy, Haley.

Odwróciła się do Keitha. – Drummond mówił, że jeśli pojawię się na spotkaniu rady miejskiej, mam szansę dostać ten budynek.

– Haley, oszalałaś – powiedział Cole.

– Wcale nie. Dlaczego wszystkim się wydaje, że nie mam pojęcia, co robię? Z tego, co pamiętam, to byłam przy zdrowych zmysłach, kiedy decydowałam się na studia. Kiedy skończyłam zarządzanie. Kiedy wstąpiłam do sił powietrznych... choć tu moja mama może mieć odmienne zdanie. Kiedy zostałam kapitanem. Kiedy zdecydowałam się odejść ze służby. I teraz też nie oszalałam.

– Haley, to miejsce to studnia bez dna. Nawet jeśli dadzą ci budynek, będziesz musiała utopić w nim sto dwadzieścia tysięcy.

Keith oparł się o ceglana ścianę wnęki, krzyżując ramiona na piersi i patrząc na nich z rozbawieniem. – Klóćcie się jak stare małżeństwo.

– O, nawet nie zaczynaj. – Cole ruszył po matowej, drewnianej podłodze w stronę rozwalonej łazienki i czegoś, co przypominało sypialnię. Wokół okna kołysały się białe firanki, tańcząc na wietrze wkradającym się przez szczeliny.

– Jesteśmy ostatnimi ludźmi na ziemi, którzy mogliby być parą. – Haley zerknęła do pomieszczenia, które dawniej prawdopodobnie było kuchnią.

Oczami wyobraźni nie widziała już pustki, brudu i powybijanych okien, ale uroczą, przytulną przestrzeń mieszkalną. A nawet siebie, jak odzyskuje spokój ducha, pracując z pannami młodymi, i zapomina o przeszłości, prowadząc samotne życie, jak Cora.

Perspektywa roku, dwóch czy nawet dziesięciu lat bez żadnego dramatu brzmiała niebiańsko.

– I tu się zgadzam... – Znów odezwał się telefon Cole'a. Zmarszczył się, spojrzął na ekran i ponownie włożył go do kieszeni.

– Nie musisz odebrać? – zapytała Haley.

– Nie. – Cole pokiwał głową.

– Twoim największym problemem nie są pieniądze – odezwał się Keith, nadal

oparty o ceglaną wnękę. – Ani to, jak bardzo bronicie się przed zostaniem parą. Twoim głównym zmartwieniem, Haley, jest Akron Developers. Mają silne argumenty i mogą przekonać radę do stworzenia tutaj parkingu. Ty opierasz się jedynie na sentymentach. Firma Akron sprzedała już połowę mieszkań w dawnych zakładach tekstylnych, które odnowili, a nie zaczęli nawet jeszcze budować parkingu.

– Nie obchodzi mnie to. Heart's Bend potrzebuje tego sklepu. I ma on być właśnie tutaj.

– To lepiej pojedź do ratusza, zanim radni przejdą na stronę Akron Developers – odparł Keith.

– Wybieram się tam dziś wieczorem – Haley zwróciła się do Cole'a. – Pomogłoby, gdybym mogła im powiedzieć, że jesteś moim kierownikiem budowy.

– Kto tu mówi o pomaganiu? Nie jestem instytucją dobroczynną. Choć oczywiście mogę rozważyć przyjęcie konkretnej oferty pieniężnej. – Znów zabrzączał mu telefon. Tym razem nawet nie wyciągnął go z kieszeni. Oderwał zgniłą część ściany. – Przewody też nie wyglądają najlepiej. Dorzuć kolejne dziesięć tysięcy.

– „Dorzuć kolejne dziesięć tysięcy”. Mógłbyś mieć to wykute na nagrobku. „Cole Danner... jest już w rajku, ale dorzućcie kolejne dziesięć tysięcy”.

– Hej, to nie ja chcę wyrzucić pieniądze w błoto.

Po co z nim walczyła? To do niczego nie prowadziło. Przewodząc oddziałowi do spraw logistyki, nauczyła się, że subtelna prośba lepiej działa niż ostra odzywka.

Stała z nim twarzą w twarz, uśmiechając się. – Oficjalnie składam ci ofertę. Podaj swoją cenę.

– Pomyślę. Jeśli w ogóle dadzą ci ten budynek. – Ruszył w dół schodów, bo znów rozległ się dzwonek jego telefonu. – Muszę lecieć.

– Dzięki, że przyjechałeś.

Keith oparł się o balustradę, zerkając za Cole'em. – Naprawdę byłaby z was piękna para.

– Przestań. Był zaręczony z moją najlepszą przyjaciółką. – Haley zeszła w dół na antresolę. – Będiesz dziś wieczorem?

– Nie przegapiłbym tego. Wróciłaś do Heart's Bend w samą porę. Jeszcze

dzień lub dwa i Akron zrównałby to miejsce z ziemią.

# *siedem*

*Cora*

*Czerwiec 1930*

– Poczta! Cora, jesteś tutaj? Mam dla ciebie tonę listów. Dosłownie. Przez twoją pocztę statek pocztowy niemal poszedł na dno.

– Co? – Cora wychyliła się przez barierkę antresoli, zaglądając do holu, gdzie Morris wchodził właśnie przez drzwi. – To niemożliwe. – Ale rzeczywiście u jego stóp stał spory worek z listami.

Cora pomknęła w dół po schodach. – Jesteś pewien, że wszystkie zaadresowane są do mnie?

Przyklękła na jedno kolano i zakopała dłonie w torbie, wyciągając dwie garści listów. – O matko, Odelia zemdleje, gdy to zobaczy.

Morris oczywiście przesadzał. Nie dałoby się zatopić tym kajaka, a co dopiero statku, ale rzeczywiście Cora dostała całą górę listów.

– Kto do ciebie tak wypisuje? Aż z tyloma osobami korespondujesz?

– Ubiegłej jesieni wykupiłam ogłoszenie w kwietniowym i majowym wydaniu „Współczesnej Pryscylli”. Chciałam zareklamować krawieckie talenty Odelii. Niektóre dziewczęta mieszkają z dala od miasta, a też potrzebują sukni ślubnej lub kostiumu na podróż poślubną. Ale w najśmielszych snach nie spodziewałam się takiego odzewu. – Wyciągnęła prawą dłoń pełną listów w kierunku Morrisa. – Nie wiem, czy sobie z tym poradzimy.

– Dziewczyno, przecież zareklamowałaś się *tylko* dziewięciuset kobietom.

Zaśmiała się delikatnie, łypiąc na niego okiem. – A skąd ty możesz wiedzieć, ile kobiet czytuje magazyn „Współczesna Pryscylla”?

– Roznoszę go po domach, więc czasami czytam, co jest na okładce. A co myślałaś? Że mam wykupioną prenumeratę? – Odchrząknął głośno, udając obrazę.

– Popatrz na adresy zwrotne. Oregon. Kalifornia. Nowy Meksyk. Luizjana. Vermont. Piszą z całego kraju. – Dzięki pojedynczej, niewielkiej reklamie Amerykanki dowiedziały się o jej salonie mody ślubnej.

Niech tylko napisze o tym Rufusowi dziś wieczorem.

– Czy to oznacza, że Odelia będzie miała szansę trochę dorobić? – Morris wiedział wszystko niemal o każdym. – Pieniądze przydadzą się jej i Lloydowi. Podatki za farmę wykańczają ich finansowo.

– Tak, zamówienia oznaczają pieniądze, a podatki niestety nikogo nie oszczędzają. – Cora podniosła torbę, chcąc wnieść ją na górę, ale Morris odciążył ją.

– To zadanie dla mężczyzny.

Na antresoli Cora poinstruowała Morrisa, aby postawił torbę z listami we wnęce.

– Jak skończysz, przyjdę po worek. Tylko mi go nie wyrzucaj. – Ruszył w kierunku schodów, ale po chwili przystanął i obrócił się na pięcie. – A niech to, prawie zapomniałem. Mam coś jeszcze dla ciebie, Coro. – Wręczył jej kilka listów z torby. – Kilka listów wysłanych na adres salonu, a nie na skrzynkę pocztową.

– Dziękuję. – Cora wyciągnęła rękę po korespondencję. Po tak wielkim odzwie na jej reklamę miała wrażenie, że chwyciła Pana Boga za nogi. Dziś na pewno dostanie też list od Rufusa.

– To uciekam. Widzimy się na dobroczynnej zabawie na cześć weteranów wojennych? Twoja mama jest chyba w komitecie organizacyjnym.

Cora przejrzała pobieżnie listy. Puls dudnił jej w uszach. – Co? Ach, zabawa... – Cora spojrzała na Morrisa, trzydziestopięcioletniego rudzielca z piegami. – Oczywiście.

Pisała o niej Rufusowi w maju, prosząc, aby przyjechał. Obiecywał, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Ale wiosną, praca zatrzymała go na rzece Kolorado. W listach opisywał jej barwnie Rocky Mountains i obiecał, że ją tam kiedyś zabierze. Tak bardzo chciałyby tam pojechać. – A ty i Gena?

– My? Nie, wkrótce spodziewamy się szóstego potomka. – Morris podrapał się po głowie i nagle wydał się Corze znacznie starszy. – Mówię ci, ledwo ją dotknę, a już jest w ciąży.

– Morris! – Cora przyłożyła dłonie do zarumienionych policzków.

Pochylił się ku niej. – Jest kochliwa, że aż strach. – Mrugnął do Cory, tylko pogłębiając jej zawstydzienie.

– Chyba nie powinniśmy poruszać takich nieprzyzwoitych tematów.

Morris wyprostował się energicznie, jakby zdając sobie sprawę ze swojego intymnego wyznania. Pomaszerował w kierunku schodów. – Więc będziesz na zabawie? Mój kuzyn Bert przyjedzie z Knoxville. Bardzo chciałby poprosić cię do tańca.

– Twój kuzyn Bert? – Listy paliły ją w dłoniach. Jeden z nich był na pewno od Rufusa. Czowała to.

– Poznałaś go na zabawie bożonarodzeniowej. Tańczyłaś z nim two-stepa.

– Tak, Bert, pamiętam. – Ruszał się jak obierak do kukurydzy. Na samo wspomnienie Cora słyszała już w uszach warkot maszyny.

– To dobrze. To go wypatruj tym razem.

– Jasne. – Odwróci wzrok, jak tylko go zobaczy. Nie żeby chciała być niegrzeczna. Po prostu nie miała ochoty tańczyć z nikim innym, jak tylko z Rufusem. I jeśli jej rodzice oraz Morris, Bert i reszta mieszkańców Heart's Bend nie mieliby nic przeciwko temu, chciałyby, żeby tak pozostało.

Morris, schodząc, minął na schodach Odelię, która zatrzymała się jak wryta przy wnęce. – A cóż to takiego? – Wskazała na torbę pocztową wypełnioną po brzegi białymi kopertami.

– Nasze zamówienia.

– Zamówienia! – Odelia opadła ciężko na krzesło stojące przy ścianie, przyciągając do siebie torbę. – I to wszystko dzięki temu drobnemu ogłoszeniu we „Współczesnej Pryscylli”? Jest tu chyba z kilkaset listów. Jak my się z tym uporamy? – Panika przeszła jej głos. – Będę musiała znaleźć kogoś do pomocy. Rozumiesz, Coro, że będę *musiała* wynająć kogoś.

– Więc wynajmij. – Pieniądze ciotki Jane leżały w banku i czekały tylko na odpowiedni moment. Odkąd prawnik przelał resztę spadku Cory, suma na jej koncie się powiększyła.

Wydawała tylko tyle, ile to było konieczne. Oprócz wydatków na pensje, zakup towaru i konieczne naprawy w salonie rzadko zdarzało jej się ruszać pieniędze z banku. Z reguły było ją stać, by z własnej kieszeni wydać kilkaset dolarów na materiały i robociznę.

Przecucie podpowiadało jej jednak, że powinna schować kilka dolarów w



skarpecie, na czarną godzinę. Mama trzymała kilka dwudziestek w metalowej puszcze pod werandą z tyłu domu.

Tata uważał, że oszalała, ale ona zawsze powtarzała, że nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

– Coro, popatrz. Ta dziewczyna przysłała od razu pieniądze razem z zamówieniem. Trzydzieści dolarów na kostium na podróż poślubną. Co za naiwny głuptas.

– Odelio, zaczekaj. – Cora sięgnęła po podkładkę i księgę rachunkową leżącą na biurku. – Nie możemy ich pomieszać. Za chwilę nie będziemy pamiętały, kto co zamówił i ile zapłacił.

– Czy one nie słyszały nigdy o tym, że można zapłacić dopiero przy odbiorze? Skąd wiedzą, że ich nie okantujemy? Coro, po coś ty zamieszczała tę reklamę w magazynie?

– Żeby firma na tym skorzystała. Mamy alternatywne źródło dochodu. Pomagamy dziewczynom, które w przeciwnym razie nie miałyby szansy, aby kupić ładną suknię. Myślę, że ciocia Jane by temu przyklasnęła. Zawsze uważała, że każda kobieta zasługuje na piękną suknię ślubną i kostium poślubny. Niezależnie od majątności i miejsca zamieszkania. Dzięki tej reklamie będziemy mogły zrobić dla kobiet z całego kraju to, co robimy w Heart's Bend. Tylko pomyśl, Odelio... Będziesz szyc dla... – Cora chwyciła jeden z listów. – Marthy Snodgrass ze Stow w stanie Vermont.

– Jakbym nie miała tutaj wystarczająco dużo roboty. – Odelia sięgnęła po pokrowiec. – Przyniosłam wieczorową suknię panny Dunlap.

Z dołu dało się słyszeć słodkie, śpiewne wołanie: – Halo? Coro?!

– O wilku mowa. – Cora ruszyła w kierunku schodów. Panie Dunlap wróciły dziś do salonu na ostatnią przymiarke. Ślub miał się odbyć za dwa tygodnie. Cora wychyliła się przez poręcz. – Witam serdecznie, pani Dunlap, Ruth, drogie panie. Już pędzę.

Rodzina Dunlapów zjawiała się tłumnie – babcie, ciotki, siostry, kuzynki i przyjaciółki. Ale Corze przypomniało się nagle, co powiedział Morris. – Odelio, czy wszystko u was w domu dobrze? Jak się czuje Lloyd?

– Ty też zaczynasz? Wszystko jest w porządku. Wołałabym, żeby wszyscy przestali mnie zadreć. – Wrzuciła zamówienia z powrotem do torby pocztowej i zniknęła na długim i wąskim zapleczu, przedzierając się przez wieszaki z

ubraniami i włączając światło na tyłach pomieszczenia. – Skompletuję wyprawę Ruth. Przepraszam, że się spóźniłam.

– Odelio, powiedziałaabyś mi, gdybyście potrzebowali pomocy, prawda?

– Tak. A teraz zostaw mnie w spokoju. Nie pozwól, żeby klientki na ciebie czekały.

Spojrzenia Cory i Odellii spotkały się. Twarz tej drugiej pokrył cień smutku. – Mogę ci pomóc, Odelio, cokolwiek by to było.

– Możesz mi pomóc, pozwalając mi pracować. A sio!

– Zrobisz, jak będziesz chciała...

– Oczywiście, że zrobię, jak będę chciała.

Cora powitała Dunlapów i ich gości, ale miała głowę nadal zaprzątniętą Morrisem, Odelią, torbą pełną zamówień i stosem nieprzejrzanych listów, z których jeden mógł być od jej wielkiej miłości.

– Spocznijmy. – Cora zaprosiła wszystkich do głównego salonu. – Ruthie, wejdź proszę na antresolę. Odelia już na ciebie czeka.

– Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo jestem podekscytowana. – Młoda narzeczona wbiegła po schodach z płonącymi policzkami.

Pani Dunlap sztywno zasiadła na kanapie z przesadnym westchnieniem, ledwo spoglądając na resztę zgromadzonych kobiet – jej najmłodszą córkę, dwie siostrzenice, matkę oraz matkę i babcię przyszłego zięcia.

– Są panie gotowe na wielki dzień Ruth? – zapytała mama. Właśnie przystanęła przy nich w swym koronkowym fartuszk, który założyła na wykrochmaloną i wyprasowaną niebieską suknię. Podkreślał jej szczupłą figurę. Wyglądała jak królowa, prawdziwa hollywoodzka piękność. – Będzie z niej przepiękna panna młoda. Czy któraś z pań skusi się na mrożoną herbatę?

Zapadła cisza. Nikt nie uniósł ręki.

– Drogie panie, trzeba się cieszyć tym dniem. Za chwilę zobaczymy Ruth w sukni ślubnej. Czy coś się stało? – Cora przyglądała się ich twarzom, starając się odgadnąć źródło problemu. Zwróciła się ku matce pana młodego. – Pani Welker?

W jasnobrązowych włosach przyszłej teściowej, które ten kolor, jak podejrzewała Cora, zawdzięczały marce L’Oreal, odbijało się światło.

– Po prostu to powiem. – Pani Welker uniosła podbródek, przyglądając fałdy spódnicy.

Pani Dunlap westchnęła. – Naprawdę musisz, Fleming?

– Laurel, przykro mi, że musisz tego słuchać, ale to prawda. – Pani Welker wstała. – Ostatnio na jaw wyszły pewne informacje i teraz jesteśmy już pewne tego, co podejrzewałam od dawna. Ruth nie zasługuje na mojego syna. – Zwróciła się do Cory. – Nie trudźcie się, żeby uszyć dla tej dziewczyny białą suknię. Ona nie jest już dziewczyną.

– Fleming! – Pani Dunlap wystrzeliła ze swojego miejsca tak szybko, że aż przekrzywił się kapelusz na jej głowie. – Jak śmiesz?

– Wiem, że prawda boli. Ale jeśli myślisz, że w tym jankeskim college’u wieczorami siedziała w swoim pokoju i odmawiała pacierze, to grubo się mylisz. Mam dla ciebie masę soczystych opowieści.

– Fleming Welker, przestań, w tej chwili. Nie będziesz kłaść dobrej reputacji mojej córki swoimi kłamstwami.

– Kłamstwami? Prawda w oczy kole, Laurel.

– Pani Welker... Mamo... Co się dzieje? – Ruth zamarła nad najwyższym stopniem, skromna i wytworna w gołębiej sukni podróżnej z krótkimi bufiastymi rękawami i z paskiem opinającym jej wąską talię.

– Nic takiego, słoneczko. – Pani Dunlap podeszła do schodów. – Czyż nie wyglądasz pięknie? Ten strój podkreśla kolor twoich oczu.

– Laurel, powiedz jej prawdę. Mówiłam właśnie twojej matce, jaką byłaś wyzwoloną dziewczyną w Wellesley.

Piękna twarz Ruth nagle pobladła. – Nie wiem, o czym pani mówi. – Spoglądała to na swoją matkę, to na przyszłą teściową.

– Ależ dobrze wiesz, o czym mówię.

– Fleming, czy możesz zamilknąć? – odparła pani Dunlap. – Ruth, kochanie, czy to twoja suknia na podróż poślubną? Jest cudowna.

– Mamo, nie przerywaj. Pani Welker, co ja, pani zdaniem, takiego zrobiłam?

Pani Dunlap weszła pomiędzy córkę a jej oprawczynię, przypominając pięknie ufryzowaną niedźwiedzicę. – Pani twierdzi, że w college’u byłaś... Boże, to słowo nie może mi przejść przez usta.

– Co takiego?

– Latawicą.

– A od kogo pani o tym słyszała? – Ruth obeszła matkę, trzymając wysoko uniesiony podbródek.

Cora pochwyciła mamę i pociągnęła ją do małego salonu, w duchu kibicując pannie młodej.

– Co ty robisz? Chcę to usłyszeć – wyszeptwała.

– Mamo, ciiii... – Cora przywarła do ściany. – Możemy posłuchać z tej strony.

– Mam swoje źródła – odparła pani Welker.

– Cóż... – Ruth mówiła dosadnie i powoli. – Czy pani źródło poinformowało też panią o tym, że pani syn zrobił pewnej młodej dziewczynie dziecko?

Cały pokój wstrzymał oddech. Cora wyczuła, jak z pomieszczenia ucieka powietrze i przez dłuższą chwilę sama miała trudności, by oddychać. Każda kobieta, każdy zakamarek i szczelina, każda belka i deska wstrzymały oddech.

– Jak śmiesz...

– Nic przyjemnego, prawda Fleming? – odezwała się z wyższością pani Dunlap, przejmując kontrolę nad sytuacją.

– Ruth Dunlap, nie pozwolę ci oczerniać mojego syna w taki sposób.

– Wyznał mi to sam po oświadczeniach. Sumienie nie dawało mu spokoju.

Mama uczepliła się dłoni Cory. – Pracuję już w tym salonie ponad dwadzieścia lat, najpierw z Jane, potem z tobą, i nigdy... nigdy w swoim życiu....

– Mamo, daj spokój. – Cora próbowała wciągnąć matkę do pokoju kredensowego. – Nie powinniśmy podsłuchiwać.

– Podsłuchiwać? Przecież słyhać je aż na ulicy. I tak usłyszałyśmy już najgorsze. Zobaczmy, jak to się teraz potoczy.

Cora westchnęła i zaprotestowała. W końcu jednak razem z mamą przywarła znów do ściany cicho jak myszka. Chciała się dowiedzieć, jak to wszystko się skończy.

– Pani Welker – głos Ruth drżał od emocji – może i nie zachowywałam się zawsze jak idealna chrześcijanka, na którą wychowała mnie matka. Ale jeśli wydaje się pani, że dlatego nie zasługuję na pani syna, to radzę się zastanowić.

– Młody mężczyzna musi się wyszumieć.

– Przestań, Fleming. Przyklaskujesz podwójnej moralności? Nie wmawiaj Ruthie tego, z czym same nie zgadzałyśmy się, kiedy byłyśmy młode. Nigdy nie lubiłaś Ruthie i teraz próbujesz stanąć między nią a swoim synem.

– Lubię ją. Ale... mój Stu zasługuje na kogoś lepszego.

Cora zakryła usta dłonią. Jakie okrutne słowa. W oczach zakręciły jej się łzy. To miał być najszczęśliwszy czas w życiu Ruth. Czas miłości, harmonii, na który

pani Welker rzuciła cień.

Cora stała oparta plecami o ścianę, z lepкими palcami mamy wczepionymi w jej dłoni, czując, jak pojedyncza kropla potu powoli spływa jej po skroni.

Ciszę przerywało jedynie tykanie wielkiego zegara wahadłowego, stojącego w salonie.

– Jak myślisz, co teraz robią? – zapytała mama, błagając: – Panie, miej nas w swojej opiece.

W wielkim salonie zapadła martwa cisza. Jakby wszyscy wyszli. Kolejna kropla potu zrosiła policzek Cory. Mama boleśnie ścisnęła jej rękę.

– Przynieś herbatę i ciasteczka. – Cora uwolniła dłoń z uścisku mamy i wyszła zza rogu, nabrawszy powietrza w płuca. – Och, Ruth, wyglądasz zjawiskowo w tej sukni. Masz świetny gust. Wcięcie w talii idealnie podkreśla twoją figurę.

Ruth osunęła się na najniższy stopień schodów. Strumienie łez spływały po jej delikatnie upudrowanej twarzy. – To koniec. Wszystko skończone.

– Uspokój się, nic nie jest skończone. – Cora usiadła obok zrozpaczonej panny młodej i otoczyła ją ramionami. – Z rodziną nie zawsze jest nam po drodze.

– Ona mnie nienawidzi. Moja teściowa mnie nienawidzi.

Cora szepnęła jej do ucha: – Kochasz go?

Ruth pochwyciła wzrok Cory, ocierając łzy. – Tak. Bardzo.

– A on cię kocha?

– Całym sercem. Powtarza mi to każdego dnia. Czasami nawet dwa razy dziennie.

– To razem dacie radę stawić czoła waszym rodzinom. Czy nie lepiej zapomnieć o przeszłości?

– Drogie panie, proszę bardzo... – Do salonu wpadła mama z tacą herbaty i ciastek, roztaczając wokół siebie swój południowy urok i starając się rozładować napięcie. – Pani Dunlap, pani Welker, dziewczęta... Daję słowo, czyż to nie wspaniałe, że wkrótce będą panie rodziną? A druhny panny Ruth? Są panie przyjaciółkami czy należycie do rodziny? To i to? Och, i kuzynka. Moja kuzynka również była moją druhną.

W czasie, gdy mama czarowała towarzystwo, Cora podnosiła Ruth na duchu.

– Chodźmy przymierzyć twoją wspaniałą kreację wieczorową. – Ujawszy dłoń Ruth, poprowadziła dziewczynę na antresolę. – Szyjąc ją, Odelia z pewnością użyła swoich czarów.

Udało jej się przeprowadzić Ruth przez resztę przymiarek, wywołując u niej uśmiech, gdy prezentowała suknie, które dziewczyna zakupiła na swoją podróż poślubną na Florydę. A ciastka podane przez mamę w większej niż zwykle ilości tak szybko zniknęły, że w końcu musiała wyjąć ze spiżarni twarde jak kamień cynamonowe bułeczki Odelii z poprzedniego dnia. Podała do nich masło i dzbanek świeżej kawy.

– Stwierdziłam, że nie będą miały ochoty na kłótnie z pełnymi ustami – szepnęła w przelocie mama.

Ale w głównym salonie nadal czuć było wiszące w powietrzu napięcie, a Ruth nie miała siły już z nim walczyć. Zmęczona tym, odmówiła przymierzenia swojej sukni ślubnej.

– Nie chcę narazić się na przykre uwagi ze strony pani Welker. A ona na pewno powie, co myśli, jeśli nie na głos, to choćby spojrzeniem. Czy widziałaś, jak krzywiła się na widok każdej mojej kreacji? Biedna mama, co ja jej powiem?

– Jesteś dorosłą kobietą, która niedługo wyjdzie za mąż. Musisz być uczciwa jedynie wobec swojego męża.

– On wie o mnie wszystko. Naprawdę. A ja o nim. W college’u wszystko staje na głowie, człowiek czuje się inaczej, zasady społeczne wydają się już nie być tak istotne.

– A są?

– Bardziej niż kiedykolwiek mi się wydawało. – W oczach Ruth zakręciły się łzy.

– Poproszę Odelię, żeby spakowała suknię ślubną i zaniósła ją do twojego samochodu z innymi rzeczami. Nie musisz jej zakładać, póki nie będziesz gotowa.

– Myślisz, że spodoba się Stu?

– Oczywiście. Ale bardziej, o wiele bardziej, spodoba mu się kobieta, która tę suknię będzie miała na sobie. – Za parawanem Cora pomogła Ruth w przebieraniu się.

Ruth, pojawiwszy się ponownie w swoich codziennych ubraniach, założyła kapelusz na głowę i zatrzymała się przy Corze. – Jeszcze raz przepraszam za panią Welker. Chciała, żeby Stu ożenił się z kimś innym. Z córką jej szkolnej koleżanki. Chodziłam z nią do Wellesley. Pewnie stąd wie o mnie... – Ruth splótła dłonie – ...i o innych sprawach. Pani Welker myślała, że do tego czasu

Stu rozmyśli się i nie weźmie ze mną ślubu.

– Pamiętaj tylko, że Stu wybrał ciebie – odparła Cora, schodząc z Ruth po schodach. – Nie pozwól nikomu zniszczyć twojego wyjątkowego dnia.

– Tak zrobię. – Ruth złożyła pocałunek na policzku Cory. – Dziękuję ci za okazane mi serce i dyskrecję. Mamo? Pani Welker? Jesteście gotowe?

Po wyjściu Dunlapów Cora opadła na kanapę.

– To było niesamowite, nieprawdaż? – odezwała się mama, zbierając porcelanowe talerzyki deserowe i serwis do kawy. – Jak długo żyję na tym świecie, nie byłam świadkiem takiej konfrontacji. Od młodych będzie zależało, czy będą mieli szczęśliwe małżeństwo. – Mama ruszyła do pokoju kredensowego. – Chyba zrobię sobie kanapkę. Też masz ochotę?

– Tak! I zrób też jedną dla Odellii. Dziękuję, mamo!

Cora zamknęła na chwilę oczy. Biedna Ruth. Ale jeśli ona i Stu się kochali...

Przechyliła się do przodu, czując uderzenie gorąca. Rufus. Z pewnością w stosie listów leżących na jej biurku znajdowała się wiadomość od niego.

Wbiegła po schodach, opadła na krzesło i sięgnęła po listy. Jej ręka zadrżała kiedy wyciągnęła pocztówkę z jego imieniem. Cora zapatrzyła się na panoramę St. Louis na froncie. Wysłał jej kartkę?

Ale wiadomość nie była od niego, ale do niego.

*Rufus St. Claire*

*Port Heart's Bend*

*Heart's Bend, Tennessee*

Morris musiał omyłkowo dać jej pocztówkę adresowaną do Rufusa. Pomyślał chyba, że to pocztówka do niej. Przestudiowawszy dziwny, piękny charakter pisma, spojrzęła na drugą stronę kartki.

*Rufus, kochanie, proszę, zatelefonuj, jak tylko przybijesz do portu.  
Bardzo pilne.*

*Twoja kochająca Miriam*

*Rufus? Kochanie? Twoja kochająca Miriam?* Kartka zadrżała w jej zimnych palcach.

Kim była Miriam? Cora w kółko czytała zdanie, starając się stłumić atak paniki.

*Rufus... Kochanie...*

Mama nieustannie zwracała się do Cory per kochanie. Może Rufus miał siostrę, o której nigdy nie wspomniał. Albo młodą ciotkę. Rufus był wspaniały, ale i strasznie tajemniczy. Cora nie przeczyła, że była to cecha charakteru, która ją w nim urzekła.

Może chodzi o jego kuzynkę. Miriam to dobre imię dla kuzynki. Jej mama miała kuzynkę Miriam.

*Twoja kochająca Miriam.*

Jego? Kiedy Cora pisała do Ernesta juniora w czasie wojny, podpisywała swoje listy: „kochająca siostra Cora”.

Zaś pisząc do Rufusa, kończyła słowami: „Najdroższy, Kocham tylko Ciebie, Twoja na zawsze”.

Poczuła nieprzyjemne ukłucie między żebrami. Opanował ją lęk i drżenie.

*Spokojnie, Coro. Nie panikuj. Pomyśl. Bądź rozsądna.* Co można wyczytać z tak enigmatycznej notatki? *Nic.* Jaka kobieta wysyła kartkę pocztową, żeby poprosić o telefon?

W jej głowie pojawiła się myśl. Och, może to żona kolegi. Bardzo bliskiego kolegi. Na pewno ktoś taki istniał w życiu Rufusa.

Cora westchnęła, przyduszając kartkę do piersi. Tak, Miriam na pewno jest żoną przyjaciela, z którym służyli na tym samym statku, a może pilota, z którym żeglował w przeszłości. A może starego kolegi ze szkoły czy z wojska.

Niemal straciła rozum z powodu drobnostki. Ale już dobrze. Tato byłby z niej dumny. Jego kazania o tym, że zawsze trzeba starać się zachować trzeźwy umysł, nie trafiły w próżnię. Przyglądając się ponownie charakterowi pisma, Cora wyobraziła sobie szczupłą, ładną kobietę ze zmartwionym obliczem.

Nie było ani adresu zwrotnego, ani nazwiska. Autorka pozostanie zatem tajemniczą Miriam.

– Coro, Odelio, przygotowałam kanapki – zawołała słodko mama z dołu.

Cora włożyła kartkę do torebki. Zabierze ją wieczorem do domu i – kiedy będzie później pisać do Rufusa – napomknie o Miriam. Z pewnością Cora nie powinna czuć się zagrożona. Rufus był prawdomówny. Kiedy spotkają się twarzą w twarz, zapewni ją o stałości swych uczuć każdym namiętym pocałunkiem.



# osiem

## Cole

– I co myślisz? Chcemy, żebyś dla nas pracował. – Brant Jackson, prezes Akron Developers, podał Cole’owi złożoną kartkę papieru. – Jako kierownik projektu. Taka pensja powinna cię zachęcić.

Cole sięgnął po dokument. Zostawiwszy Keitha i Haley w salonie ślubnym, spędził godzinę w tymczasowym biurze Akron Developers w południowo-zachodniej części miasta, dając się namawiać, oglądając plany mieszkań w śródmieściu, jak również szeregu sklepów usytuowanych prostopadle w stosunku do starego śródmieścia na Main Street i First Avenue, na zachód od starego salonu ślubnego.

Słuchał o tym wszystkim z rezerwą, póki nie zapoznał się z ich ofertą. Sześciocyfrową. Plus premia. Serce zabiło mu nieco szybciej. *Spokojnie, tylko spokojnie.* – To bardzo hojna propozycja.

– Wierzę, że potrzebujemy właśnie takiego człowieka jak ty.

W poniedziałkowe popołudnie ni z tego, ni z owego zadzwonił telefon. Prezesi Akron Developers zapraszali Cole’a na rozmowę w sprawie posady kierownika budowy.

– A co z moimi ludźmi? Danner Construction, choć mała, to solidna firma. Nadal się rozwijamy.

– Cole, nie potrzebujemy Danner Construction. Bez urazy. Chcemy tylko ciebie. Mamy własne ekipy budowlane. – Brant pochylił się do przodu, potakując głową. – I dobry układ ze związkami zawodowymi. Twoim zadaniem byłoby zarządzać wszystkim ekipami i zdawać mi raporty.

Pozostali mężczyźni siedzący wokół stołu, ubrani w koszule w kratę i wyprasowane w kant spodnie khaki, potakiwali z uśmiechem.

Sześciocyfrowa suma przewyższała ponad dwuletnie zarobki Cole’a.

– Masz dobrą reputację; kończysz zlecenia na czas, a nawet wcześniej. Za każdy ukończony etap prac dostaniesz dodatkową premię. – Sam Bradford, siedzący po lewej stronie Branta, trzasnął otwartą dłońią w stół. – To świetna oferta, Cole. Co tu się wahać?

Cole usiadł głębiej w krześle i położył dokument na stole. – A co z moimi ludźmi?

– Wystaw im dobre referencje. Znajdą pracę. My mamy swoje ekipy na miejscu.

– Rozumiem. – Ale takich fachowców, jakich zatrudniał Cole, było niewiele. Gomeza, Hanka i Whiskersa, swoich głównych majstrów, znał od dzieciństwa. Byli przyjaciółmi jego ojca. Najlepsi specjaliści w okolicy. Potrafili zbudować, naprawić i zaprojektować wszystko. – A dlaczego nie mogę zatrudnić moich ludzi w waszym imieniu?

Brant wymienił spojrzenia z Samem. – Możesz. Jest dużo dodatkowych prac. Mamy wielkie plany związane z przebudową śródmieścia Heart's Bend. Chcemy z niego zrobić klejnot Tennessee. Ale mamy swoje ekipy budowlane. Znają nasze metody pracy i standardy.

– To dlaczego nie szukacie kierownika budowy wśród swoich ludzi? Przecież ja jestem człowiekiem z zewnątrz. – Cole odsunął się od stołu, od wątpliwości, które przyćmiewały każde podekscytowanie. Powinien skakać z radości pod sufit, a jednak...

– Cole – Sam spojrzał na niego, nalewając kawę z ekspresu do swojego poplamionego kubka – chodzi o to, że w tej walce potrzebujemy wielu żołnierzy. A ty jesteś strzelcem wyborowym. Chłopakiem z tego miasteczka, którego ludzie znają i któremu ufają.

– Wiesz o moim ojcu, prawda? – Kryminaliście.

Brant machnął ręką. – Stare dzieje. Nie lubimy obwiniać synów za grzechy ojców.

– To jesteście rzadkim wyjątkiem.

Przesadzał, ale od czasu do czasu miło było dać upust emocjom związanym z jego ojcem, zrzucić na niego winę za zlecenia, których nie dostał. I tak nadal nie rozumiał, jakim cudem skończył w tej samej branży, co jego staruszek. Pan Bóg miał poczucie humoru.

– Więc w czym problem? Zgódź się! – Brant klasnął w dłonie, jakby już dobili

targu. Jego arogancką pewnością siebie potwierdzał zadziorny uśmiezek.

Ale Cole nigdy nie zgadzał się na nic od razu. Lubił się zastanowić. Wszystko przemyśleć. Choć, bez wątplenia, ta oferta niosła za sobą znaczne korzyści. Przyjęcie jej ułatwiłoby mu życie. Koniec z nadskakiwaniem klientom. Koniec z bezsennymi nocami i martwieniem się, czy zdoła zapłacić swoim ludziom. Koniec z żonglowaniem rachunkami, obywaniem się bez towaru, odrzucaniem zleceń, bo nie miał wystarczająco dużo środków, żeby je zrealizować.

Ta posada pozwoliłaby mu wyczołgać się ostatecznie z cienia swojego ojca.

Cole sięgnął po kartkę leżącą na stole. – Oferta panów jest bardzo hojna.

– Nie zapominajmy także o pełnym pakiecie świadczeń socjalnych. Opieka medyczna, dentysta, okulista, emerytura, wakacje w dowolnym terminie. A jeśli skończycie pracę wcześniej i będziecie musieli poczekać na rozpoczęcie kolejnego etapu, to możesz wziąć wolne w każdej chwili.

– To propozycja niemal nie do odrzucenia. – Uśmiechnął się. Zaczynał czuć się z tym dobrze.

– Oczywiście, że tak. Zgódź się.

– Nadal chciałbym jednak to przemyśleć.

Sam i Brant spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Czego mu nie powiedzieli?

– Problem w tym, Cole, że potrzebujemy cię na dzisiejszym spotkaniu rady miejskiej.

– Mnie? Po co?

– Ponieważ ta mikroskopijna nieruchomości na rogu Blossom Street i First Avenue jest dla nas najcenniejsza. Przynajmniej dla nas. – Brant przechylił się w kierunku Cole'a. – Stoi na skrzyżowaniu, dokładnie na środku całej budowy. Bez tego cały nasz plan runie.

– Chcemy zapłacić miastu dwa i pół raza więcej, niż wynosi wartość nieruchomości – powiedział Sam. – Nie chcą ustąpić ani o krok. Z niezrozumiałych, sentymentalnych względów są przywiązani do tej rudery.

– Waszym zdaniem parking można wybudować tylko na rogu Blossom Street i First Avenue? – Cole podszedł do mapy miasta zawieszanej na ścianie przyczepy. – A co z rogiem Elm Street i Pike Street? To dawne pola. Tylko przecznice dalej.

– Tu wybudujemy centrum handlowe. A zaraz obok będzie *Starbucks*.

– Ale mamy przecież świetną kawiarnię w mieście. *Java Jane's*. Co się z nią

stanie?

– Będzie musiała walczyć z konkurencją. – Brant zachichotał, wyśmiewając obawy Cole’a. – Nie ma nic piękniejszego niż wolny rynek.

– Ma walczyć z krajową siecią?

– Cole, jeśli coś ci się nie podoba, to pretensje możesz mieć tylko do rady miasta. Plany zostały już zatwierdzone.

Teraz rozumiał, dlaczego Drummond Branson bombardował połowę miasta mailami, błagając, aby ludzie przychodzili na spotkania w ratuszu.

– Handlowa część śródmieścia to miejsce dla turystów. Muszą mieć gdzie zaparkować i pochodzić z wózkiem sklepowym.

– Pochodzić?

– Powstanie szereg sklepów branzowych. Nie wspomnę już, że odkryliśmy prawdziwy klejnot w okolicy, kaplicę ślubów. Heart’s Bend stanie się przystankiem ślubnym dla młodych par.

Cole zadumał się nad tym pomysłem. W zeszłym roku wyszło na jaw, że to stary trener Westbrook, legendarny szkoleniowiec piłkarski, wybudował we wczesnych latach pięćdziesiątych kaplicę ślubną na River Road dla swojej ukochanej. Tylko że ożenił się z nią dopiero po sześćdziesięciu latach.

– Kaplica przyjmuje rezerwacje jedynie na cztery śluby w miesiącu. Nie będą chcieli stać się tanią atrakcją turystyczną.

– To się zmieni, kiedy zobaczą, jaki jest popyt. I jakie wiąże się z tym pieniądze. – Twarz Sama pociemniała. Patrzył na Cole’a z błyskiem w oku.

– Nie wszystko kręci się wokół pieniędzy – odparł Cole z przekonaniem, ale niezbyt stanowczo. Przydałby mu się teraz przypływ gotówki. Po całej zimie bez zleceń.

– Może i nie wszystko, ale dzięki nim wszystko jest lepsze.

– Pewna kobieta chce otworzyć ponownie stary salon ślubny. – Cole postukał palcami w mapę. – Czyż nie wpisywałoby się to w wasz pomysł otwarcia nowoczesnych sklepów branzowych? I nie pasowałoby do kaplicy ślubów?

– Jasne. Możemy jej dać lokal tutaj, w nowym centrum handlowym. – Brant wskazał na obszar na północny wschód od starego salonu. – Ale tu... – uderzył dłonią w punkt, gdzie obecnie znajdował się stary salon panny Cory – tu musi być parking. Długo to planowaliśmy i nie ma mowy, żebyśmy zbudowali lofty czy centrum handlowe bez tej działki na rogu Blossom Street i First Avenue. Bez

parkingu cały projekt nie ma sensu.

Cole przyglądał mu się przez chwilę, a potem ruszył w kierunku drzwi. – A jednak chciałbym to przemyśleć. Jestem wdzięczny za ofertę, ale jak dostaje się pod nos sześciocyfrową sumkę i taki socjał, to trzeba się z tym przespać.

Śmiech Branta był zbyt wymuszony, zbyt głośny. Poklepał Cole'a po plecach. – Tak czy siak, bądź z nami na spotkaniu dziś wieczorem. Niech radni zobaczą, że współpracujemy z lokalnymi przedsiębiorcami.

Sam ponownie napełnił kubek. – Już czas, żeby miasto wzięło sprawy w swoje ręce. Ta stara rudera nie jest przecież żadnym lokalnym skarbem. Do licha, przecież ten budynek stał pusty przez niemal trzydzieści lat. To tylko niepotrzebny ciężar dla miasta. – Wskazał na Cole'a. – Wiesz, że mam rację.

– Nie mogę jeszcze przystać na waszą propozycję, ale skoro tego chcecie, będę w ratuszu dziś wieczorem.

Cole wyszedł. Pod osłoną nieba, które przybrało kolor stali, ruszył do swojego samochodu. *A niech to szlag trafi.* Oferta Akronu była prawdziwym darem niebios. Ustawilaby Cole'a na kolejne kilka lat. Może i na całe życie. Martwiło go tylko, że musiałby zrezygnować ze swojej ekipy. Ale takie propozycje nie zdarzały się codziennie. A niech to, skoro był kierownikiem, to mógł zatrudniać, kogo tylko chciał, prawda? Zaangażować swoich ludzi do pobocznych robót.

Uruchomił silnik i wycofał się z parkingu, ruszając w kierunku restauracji *U Elli*. Mama zawsze dobrze sobie radziła w takich sytuacjach. Potrafiła czytać między wierszami, zachowywać równowagę pomiędzy uczciwością a interesami.

Zapiął pasy. Coś zakłuło go w piersi. Pewnie to niestrawność. Podkreślił radio, podrygując do nowej piosenki Laury Hackett Park.

Uderzył się pięścią w klatkę piersiową. Zgaga? Niemożliwe, przecież jeszcze dziś nie jadł. Nawet nie wypił kawy.

Nagle przed oczami stanęła mu Haley. Poczł silniejsze ukłucie pod żebrami. Otarł z czoła kroplę potu. Pomimo niskiej temperatury na zewnątrz Cole czuł palącą go od środka odpowiedzialność.

Czy chodziło o jego ekipę? A niech to, przecież chłopaki od razu znajdą pracę. Są najlepsi. Tak było wcześniej, tak będzie i tym razem. Nawet zanim Cole będzie ich w stanie zatrudnić przy inwestycji Akronu. Ten stary salon ślubny też miał w nosie. Nie czuł do niego sentymentu nawet ze względu na Tammy. Nawet nie przypominał sobie, by kiedykolwiek mówiła o tym miejscu.

Ale obserwował dziś Haley, pamiętał, jak mówiła o swoich marzeniach. Jeśli więc stanie po stronie Akron Developers, to będzie dla niej strzał prosto w serce. Kompletnie nie rozumiał, dlaczego Haley chciała wskrzesić tę starą ruinę. Ale jakim prawem miał stanąć jej na drodze?

Bił się z myślami przez całą drogę do miasta i jeszcze gdy wchodził do restauracji i siadał na stoliku przy ladzie.

Jakie znaczenie miało to, czego pragnęła Haley? Powinien myśleć o sobie. Zacząć żyć na nowo. Nawet jeśli będzie musiał stanąć po przeciwnej stronie barykady niż jego przyjaciółka.

## *Cora*

Zegar na jej biurku wybił północ. Dwanaście słodkich melodyjnych kurantów. Cora wstała, rozprostowała kości i rozmasowała szyję. Przez otwarte okno wkradł się pełen zapachów czerwcowy wiatr, flirtując z zasłonkami.

To był długi, acz satysfakcjonujący dzień. Wreszcie skończyła to, z czym zmagala się niemal cały tydzień. Udało jej się uporządkować zamówienia, które napłynęły dzięki reklamie w czasopiśmie, i rozpisać plan pracy dla Odellii, co – przez jej nieustanne wtrącanie się – zajęło jej dwa razy więcej czasu. Później zaczęła odpowiadać na listy każdej z klientek.

*Dziękuję pani za zamówienie wyprawy ślubnej składającej się z dwóch sukni. Zaplanowana data dostawy to 1 października 1930 roku. Płatne gotówką przy odbiorze.*

*Z poważaniem,*

*Cora Scott*

*Właścicielka salonu sukni ślubnych*

*Heart's Bend, Tennessee*

Na jej biurku leżały dwa stosy – listy od pań, które zapłaciły gotówką, i od tych, które wybrały płatność przy odbiorze. Cora i Odellia zgodziły się co do tego, że najpierw będą realizować zamówienia opłacone gotówką, a dopiero później wezmą się za zlecenia od drugiej grupy klientek.

W czasie lata i jesieni zamówienia miały przynieść salonowi dochód w

wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Odelia niemal nie zemdląła, gdy usłyszała tę sumę.

– Matko Boska, ile to pieniędzy. Jak u licha zdążę uszyć im wszystkim suknie? Nie masz nic przeciwko, żebym znalazła kogoś do pomocy?

– Ależ oczywiście, że nie. Pokojówka mamy, Liberty, oraz jej matka są wybornymi krawcowymi.

– Sama też mam kilka nazwisk w głowie. Mogę im zaoferować jakąś godną zapłatę? Nie godzi się odciągać kobiet od rodziny, a może nawet od drugiej pracy, jeśli nie będzie to dla nich opłacalne. A niektóre z tych sukien mają przecież całe mnóstwo detali. Nie będziemy przecież zatrudniać taniej siły roboczej.

– Oczywiście, że nie. – Ale Cora musiała usłyszeć najpierw, ile zdaniem Odelii miała wynosić ta godna zapłata. Gdy ustaliły, że będą płacić za godziny, a nie za skończoną suknię, Odelię całkowicie pochłonęło tworzenie listy potencjalnych kandydatek, a następnie telefonowanie do wytypowanych osób. Do tych, które telefonu nie miały, planowała udać się osobiście.

Przed końcem tygodnia Odelia miała nadzieję zatrudnić dwanaście pań, dzięki którym będzie w stanie ukończyć dziesięć sukni tygodniowo.

Choć całe to doświadczenie było bardzo ekscytujące i energetyzujące, Cora zastanawiała się, czy zamieszczać dodatkowe ogłoszenia. Jeśli zainteresowanie by się utrzymało, musiałaby pomyśleć o otwarciu zakładu krawieckiego, żeby sprostać oczekiwaniom klientek.

Ten dzień należał do niej. A był to bardzo długi dzień. Powinna już dawno być w domu. Wybiła już północ, a chciała jeszcze przejrzeć pocztę. Odprężyć się.

W tym tygodniu Cora nie otrzymała żadnego listu od Rufusa. Napisały do niej natomiast dwie panny młode, które wyszły za mąż jesienią. Przesłały zdjęcia ze swoich ślubów.

Wyciągnąwszy fotografie z kopert, Cora sięgnęła po dwie klamerki z bawełnianego woreczka, leżącego w najniższej szufladzie biurka. Podeszła do wnęki i przypięła zdjęcia do jednego ze sznurków prężących się w poprzek ceglanej ściany. Na wszystkich nachodzących na siebie sznurach wisały fotografie panien młodych, które zakupiły swoje suknie w salonie. *Jej* panien młodych.

– Proszę bardzo, Myro Deshler. Witaj na mojej ścianie! – Cora przypięła

uśmiechniętą twarz do sznurka. Czyż nie promieniała, uczepiona ramienia swojego świeżo poślubionego męża? Przystojnego męża. Myra czekała na niego dziesięć lat. Twierdziła, że czekałaby i kolejne dziesięć, jeśli wiedziałyby, że w jej życiu pojawi się ktoś taki jak Hammond Purdy.

Kolejne zdjęcie przedstawiało młodą, śliczną Laurę Canyon, która poznała Marshalla Warrena na zabawie w Memphis i poślubiła go dziesięć tygodni później.

Miłość zjawiała się w różnych rozmiarach i opakowaniach, w najradośniejszy i najdziwniejszy sposób.

Cora zrobiła krok w tył, podziwiając swoje panny, delektując się historiami miłości, które ofiarowały jej te kobiety. Czowała się zaszczyconą, że mogła odegrać małą rolę w ich życiu. Praca w salonie była jej powołaniem. A może pewnego dnia powiesi na tej ścianie także swoje zdjęcie ślubne?

– Coro?

Odwróciła się energicznie na dźwięk znajomego męskiego głosu. – Tato? – Przechyliła się przez barierkę antresoli. – Co ty tu robisz?

– Kochanie, jest po północy. Twoja matka powiedziała, że nie da mi zmrużyć oka, póki tu nie przyjadę. – Podniósł nogę. – Pod spodniami mam pizamę.

Cora roześmiała się. – I ten swój ohydny sweter.

Tata jeszcze ciaśniej opatulił swoją szczupłą sylwetkę znoszonym wełnianym swetrem. – Dam się w tym pochować.

– Nie, jeśli mama będzie miała tu coś do powiedzenia. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat czterokrotnie próbowała wyrzucić to „szkaradztwo”, ale za każdym razem tata ratował sweter z pudeł dla biednych.

– Przy odrobinie szczęścia, odejdzie przede mną.

– Tato, czy ty się słyszysz. I to wszystko z powodu swetra.

– Nie tyka się fajki, kapci ani ulubionego swetra mężczyzny. Chodź w końcu do domu. Bo będę odsypiał jutro w pracy na biurku. A wiesz, że to nie wygląda najlepiej, jeśli prezes banku śpi w pracy.

– Broń, Panie Boże! – Cora wróciła na półpiętro. – Wezmę tylko swoje rzeczy i zamknę wszystko na klucz. Wiesz, że mam swój samochód, prawda?

– Pojedziesz ze mną, a jutro rano przywiozę cię tu. Co ty w ogóle robisz tak późno w pracy?

– Zajmowałam się zamówieniami, które napłynęły do nas dzięki reklamie w



czasopiśmie. – Cora wyłączyła światła na półpiętrze, chwyciła torebkę i ruszyła w dół schodów. – Do końca roku powinniśmy sporo zarobić... jeśli wszystko pójdzie dobrze. Odelia zajmuje się zatrudnianiem krawcowych do pomocy.

– Brawo, córciu! – Tata przyklasnął, chyląc czoła, a potem wszedł na schody i objął ją ramieniem.

To był ojciec, którego Cora знаła i kochała. Aż dziwne, że ta jego dobroć i hojność była tylko maską, pod którą krył się mrok zalegający głęboko w jego duszy. Ten, który w trudnych czasach kazał mu porzucić rodzinę i z obojętnością zareagować na kryzys pograżający wszystkich dookoła.

Ale czyż nie kochał swojej pracy? Mama oskarżała go, że ma jeszcze jedno dziecko – bank. Miał słabość do zatracania się w jego sprawach.

– Zamieniam się w ciebie, tato. – Cora założyła kapelusz. – Za bardzo poświęcam się swojej pracy.

– Nie ma nic złego w ciężkiej pracy i oddaniu.

Ucieczki taty i jego powroty na kolanach sprawiły, że Cora czuła, że musi postępować z nim ostrożnie. Nigdy nie było wiadomo, czy jego delikatny temperament i brak pewności siebie znów nie odciągną go od domu. Dzięki Bogu, że zeszłoroczny kryzys ich nie dotknął.

– Jeśli lubisz tę branżę – skwitował. – Ale pomyślimy nad lepszym rozwiązaniem niż Odelia biegająca wokoło i zatrudniająca kogo popadnie, aby zdążyć z zamówieniami. Ja za żadne skarby świata nie chciałbym pracować dla tej kobiety.

– A dla jakiej kobiety byś pracował? – Cora ścisnęła jego ramię.

– Wydaje się, że całkiem sporo pracy wykonuję dla twojej mamy: „Ernie, czy mógłbyś zreperować piekarnik?”, „Ernie, masz w tej chwili naprawić toaletę” – zachichotał. – Ale o to chodzi w małżeństwie. Posłuchaj, zakłady tekstylne na końcu ulicy będą wystawiane na sprzedaż. Jeśli jesteś zainteresowana...

– Zakłady tekstylne? Jestem właścicielką sklepu, a nie zakładu. Reklama była eksperymentem. Zobaczmy, czy uda mi się utrzymać to zainteresowanie. Wtedy porozmawiamy.

Cora uwielbiała dostarczać piękne wyprawy ślubne przyszłym pannom młodym, ale to właśnie *panny młode* były najlepszą częścią jej pracy. Tym, co kochała najbardziej. Ta grupa kobiet, które rozmawiają o miłości, domu i rodzinie. Jeśli zostanie wytwórcą, to ominie ją przyjemność słuchania o ich

nadziejach na przyszłość i radosnym podnieceniu związanym z podróżą, która łączy dwa życia w jedno.

Tęskniłaby za zręczliwym charakterem Odellii i jej skwaszonym obliczem.

– A może zawieziemy cię do domu? – Tato zaoferował Corze swoje ramię.

Zgasiała główne lampy wyłącznikiem przy drzwiach. W ciemnościach sklep wydawał się błyszczeć. Cora pomyślała, że mieni się miłością, która wypełnia to miejsce. Czasami sklep przypominał jej kościół na First Avenue.

Momentami zastanawiała się, czy to światło nie pochodzi z innego świata. Podobny blask widziała raz w namiocie w czasie nauczania. Kaznodzieja stojący na scenie modlił się tak żarliwie, że Cora mogła przysiąc na własne życie, iż widziała bijącą z jego ust światłość za każdym razem, kiedy wymawiał imię „Jezus”.

Bała się nie na żarty, ale nie mogła oderwać od niego oczu. Tamtego wieczoru zdecydowała, że będzie podążać za Jezusem. Musiał być kimś wspaniałym, skoro potrafił sprawić, że słowa człowieka przemieniały się w złoto.

Ale wraz z upływem czasu jej wiara osłabła. Dawno już nie dostrzegała w swym życiu blasku. Czekanie na Rufusa sprawiało, że odkrywała w sobie tylko zimno oraz mrok i z trudnością – teraz potrafiła się do tego przyznać – odnajdywała światełko nadziei.

*Ale przecież obiecał...*

Cora szła pod ramię z ojcem do jego samochodu zaparkowanego na Blossom Street i czuła, jak dopada ją znużenie po całym dniu pracy. Cieszyła się z podwózki. I towarzystwa.

– Tato, dzięki że przyjechałeś.

Pocałował ją w policzek i otworzył drzwi auta od strony pasażera. – Nie ma problemu. Po co komu ojciec, jeśli nie można na niego liczyć?

## *Haley*

W sali A ratusza było jasno i duszno. Haley, wślizgnąwszy się po cichu, zajęła miejsce w trzecim rzędzie od tyłu, odpięła kurtkę i wsadziła rękawiczki do kieszeni.

Gorąco paliło jej zimną skórę. Przyjechała prosto z domu swoich rodziców, na motorze.

Całe popołudnie spędziła na przygotowaniach do spotkania z radnymi miasta.

Swoją mowę ćwiczyła przed zabawkami z dzieciństwa znalezionymi w szafie. Zdezelowana Barbie, przerażony Ken, dwa misie, które pamiętały lepsze czasy, i jednooka lalka szmacianka – wszystkie zabawki, których jej daleka od zbytniej uczuciowości matka, jak sama o sobie twierdziła, nie wyrzuciła, kiedy Haley poszła do college’u. Zakładała, że być może córka będzie je jeszcze kiedyś chciała z powrotem. Może, ale na razie świetnie spisywały się w roli uważnie słuchającej jej publiczności.

Znalazła także starą fotografię panny Cory, tę, na którą natknęła się tamtego letniego popołudnia z Tammy. Teraz spoczywała ona w pudełku, wśród corocznych postanowień Haley. Kolejna część jej przeszłości, której mama kurczowo się trzymała.

Haley zerknęła na swoje notatki i na zdjęcie panny Cory. Czuła, jakby poprzednia właścicielka salonu była z nią i jej kibicowała.

Przemówienia nie były dla niej niczym nowym. Haley, służąc w siłach powietrznych, wielokrotnie musiała zwracać się do swoich kolegów, zwierzchników i podwładnych. Tego popołudnia chodziło o to, żeby zrobić to dobrze.

*„...salon sukien ślubnych jest częścią Heart’s Bend, w sposób, którego nawet nie rozumiemy... zetknęły się z nim wszystkie nasze rodziny...”*

Tę część przemówienia musiała wypowiedzieć z uczuciem, pasją, aby rada dostrzegła w niej kobietę z wizją. Uczuciowość nie była jednak jej mocną stroną. Podchodziła zawsze do spraw w bardziej logiczny i uporządkowany sposób. Ale czekała ją walka. I jeśli dziś nie przekona radnych, to poniesie porażkę.

O dziewiętnastej sala nadal była pustawa. Z przodu na podium zgromadziło się trzech mężczyzn i dwie kobiety. Pewnie byli to jedni z radnych.

Bocznymi drzwiami weszli schludnie ostrzyżeni i ubrani biznesmeni, rozsiewając wokół siebie zapach pieniędzy i zajmując miejsca w pierwszym rzędzie.

– Widzę, że szefostwo Akronu zjawilo się na czas. Usiedli z przodu. – Keith Niven opadł na siedzenie obok Haley.

– Gdzie są wszyscy? – Haley rozejrzała się, spoglądając na puste krzesła.

– Kto to wie? Póki ludzie mogą żyć tak, jak im się podoba, to nic ich nie obchodzi. – Keith obrócił się do niej. – Tak myślałem i uważam, że jeśli chcesz dostać ten salon, to musisz walczyć. Mówić głośno, jasno i zwięźle.

– Keith, dorastałam wśród czwórki braci. Byłam w wojsku. Myślę, że sobie poradzę.

– Ale to Akron. Oni posługują się gładkimi słówkami. I pieniędzmi. A ile ty ich masz?

Skrzywiła się. – A ty po co tu przyszedłeś? Żeby mi kibicować czy żeby mnie zniechęcać?

– Po prostu myślę praktycznie. – Keith szturchnął ją łokciem, wskazując kciukiem w kierunku drzwi. – Hej, jakaś starsza pani. Może jest jedną z panien młodych panny Cory?

Haley też dostrzegła tę kobietę. Miała z siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat. Nie mogła być zatem klientką Cory. Podeszła do rzędu, w którym siedziała Haley, i usiadła na jego końcu.

– Dobry wieczór – powiedziała, kiwając głową w kierunku Haley. Miała płaszcz z poszarpanymi mankietami i cienkie siwe włosy. Spojrzała jednak na nią pełnymi życia jasnoniebieskimi oczami.

– Dobry wieczór.

Czy powinna ją zapytać, czy była jedną z klientek salonu? Skąd jednak miałyby wiedzieć, że Haley chce o niego zawalczyć? Może chce po prostu powstrzymać Akron przed zburzeniem budynku.

– Przepraszam, czy jest pani...

Keith znów szturchnął ją łokciem. – Popatrz tylko, kto przeszedł na stronę wroga. – Pochylił się do przodu, opierając ramiona na kolanach i zaczął pisać SMS.

Cole.

– Keith, oni nie są wrogami. Widziałam *wroga* na własne oczy i uwierz mi, że firma Akron to żadne zagrożenie.

– Och, po prostu są inaczej ubrani.

– Nieważne. – Uchwyciła wzrok Cole'a i zrobiła pytającą minę. *Co ty wyprawiasz?*

Wzruszył ramionami, posłał jej wymuszony uśmiech i usiadł za facetami z Akron Developers.

Brzęczenie telefonu Keitha przeszło ciszę, panującą w sali. Pochylił się ku Haley. – Cole napisał, że zaoferowali mu pracę.

– Akron zaoferował Cole'owi pracę?

– Mówiłem ci, że mają pieniądze. Sam prawie dałem się oslepić. Niemal kosztowało to miasto kaplicę ślubów.

– Ale oprzytomniałeś. Z radnymi będzie podobnie. – I z Cole'em. Otrząśnię się. Chciała, żeby grał w jej drużynie.

– Ale grube miliony potrafią kupić lojalność.

– Przestań gadać o ich pieniądzach. Podkopujesz moją pewność siebie.

– Po prostu chcę cię przygotować. – Keith odchylił się z powrotem do tyłu, kończąc wywód i kładąc rękę na oparciu swojego krzesła.

*Och, Keith.* Haley irytowała jego krzykliwa osobowość, choć podziwiała jego zdolność zjednywania sobie ludzi.

Stopniowo sala zaczęła się zapełniać. Haley była zaskoczona i uradowana, że widzi swojego tatę. Pomachała mu z oddali. On posłał jej pojedyncze skinienie głową.

Na krzesło obok niego wślizgnął się Drummond Branson i w ojcowskim geście pokazał jej uniesione w górę kciuki.

Z zamyślenia wyrwało ją uderzenie młotka aukcyjnego. Przycisnęła dłoń do serca. Nagłe, głośne dźwięki nadal sprawiały, że chciała biec, szukać schronienia, jednocześnie sięgając po broń.

– To Linus Peabody, główny administrator, *de facto* szef rady – oznajmił Keith, najlepiej poinformowany człowiek w mieście. – I róża, i kolec w jednym, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Dziękuję wszystkim państwu za przybycie. Widzę, że mamy wysoką frekwencję. Zapewne dzięki e-mailom Drummonda Bransona – zakomunikował beznamiętnie mówca, posyłając Drummondowi znaczące spojrzenie. – Zebraliśmy się tutaj, żeby przedyskutować propozycję firmy Akron Developers, która chciałaby uwolnić miasto od obowiązku utrzymywania budynku i działki mającej adres First Avenue 143, zlokalizowanej przy skrzyżowaniu Blossom Street i First Avenue. Jak zapewne państwo wiedzą, jesteśmy w posiadaniu tej nieruchomości, odkąd jej ostatni właściciel ją porzucił, pozostawiając długi. Z całą dokumentacją można zapoznać się w Internecie.

Haley słuchała, wycierając spocone dłonie w dzinsy.

– Najpierw poprosimy o zabranie głosu przedstawicieli Akron Developers, a później osoby spośród państwa. Drummondzie, pewnie chciałbyś coś powiedzieć.

– Nie dzisiaj, Linusie. Jestem tu, by wesprzeć Haley Morgan. Chce ona ponownie otworzyć salon sukien ślubnych. Ma całkowite poparcie Towarzystwa Historycznego.

– No cóż... – Radny sprawiał wrażenie rozbawionego, jednak graniczyło to z arogancją. – Nie mogę się doczekać, aby jej wysłuchać. Brancie, może ty zaczniesz. – Linus usiadł i zwrócił się do zebranych w sali: – Dla jasności, już zatwierdziliśmy plany rozbudowy w północno-wschodniej części miasta, przedłożone przez firmę Akron. Pracujemy nad dokumentacją, gotowi, by zacząć tę inwestycję. Pozostała jedynie sprawa tej działki. Blacky Krantz, wiem, że nie możesz się już doczekać, żeby wprowadzić się do jednego z nowych loftów. Posłuchaj więc, co Brant ma do powiedzenia, a stanie się to szybciej, niż myślisz.

Wstał jeden z mężczyzn w pierwszym rzędzie. – Nazywam się Brant Jackson, jestem dyrektorem generalnym Akron Developers. Heart's Bend niezmiernie przypadło nam do gustu. To prawdziwy klejnot, przepiękne miasto nad rzeką, gotowe na rozbudowę i rozwój.

Jego słowa odbijały się echem w uszach Haley. Brant opowiadał się za zmianą, rozwojem. O przeszłości należało zapomnieć. Czasy się zmieniały, a miasta musiały za nimi nadążyć. Rozwój turystyki zmieni kulturę gospodarczą.

Brant był ulepiony z tej samej gliny, co jej mama. Osiągnięcia, osiągnięcia. Wyznaczanie celu. Patrzenie w przyszłość, zarabianie pieniędzy. Prosperowanie.

Czy jednak osiągnięcia i pieniądze były największą wartością? Co z historią, tradycją? Ludźmi?

Haley zerknęła na kobietę siedzącą na końcu rzędu. Słuchała Branta z dłońmi schludnie złożonymi na kolanach.

Brant powrócił do myśli przewodniej. – Jesteśmy gotowi podjąć się rewitalizacji dróg i terenów zielonych na tym obszarze. Wzdłuż budynków mieszkalnych będzie rozciągał się park. Zaoferowaliśmy Cole'owi Dannerowi, rodowitemu mieszkańcowi Heart's Bend, posadę kierownika budowy. – Brant zaśmiał się sztucznym śmiechem prezesa. – Staramy się go skusić, aby przystał na naszą propozycję.

Cole zgarbił się. Haley próbowała stłamsić w sobie przemożną ochotę, aby do niego podejść i pacnąć go w głowę.

*Nie pozwalaj, aby te chwalipięty wykorzystywały cię do swoich celów tylko dlatego, że jesteś chłopakiem stąd.*

Linus swoim młotkiem położył kres występom cyrkowym Branta. – Dziękujemy panu. Pańskie pięć minut dobiegło końca. Chciałbym tylko przypomnieć wszystkim, że firma Akron już od kilku lat jest zaprzyjaźniona z naszym miastem dzięki swoim inwestycjom. – Kosmyki przeredzających się włosów poskręcały się nad jego głową, jakby naelektryzowane śliskimi komplementami.

– Drummondzie, czy chcesz zabrać głos? – zapytał Linus i ruszył, by zająć jego miejsce.

– Nie. – Czy nie słyszał, co Drummond powiedział wcześniej? – Ustępuję pola Haley.

– Dobrze. W takim razie głosu udzielam panie Haley Morgan, córce Davida i Joann Morganów. Są znani większości z państwa. To szanowani mieszkańcy Heart's Bend. Davidzie, miło mi cię widzieć.

– Nie przegapiłbym tego. – Tata skinął głową w kierunku Haley.

Cole zerknął przez ramię, a potem odwrócił głowę do przodu. Haley wstała, ściskając w rękę swoje notatki. Chciała pokierować wszystkimi zebranymi w sali jak dawniej swoim oddziałem logistycznym, ale czuła się bezbronna, słaba, podporządkowana woli postępu.

– Dobry wieczór. Nazywam się Haley Morgan. Ale to już państwo wiedzą. Niektórzy z państwa może pamiętają również Tammy Eason. Lub znają jej rodziców. Zaprzyjaźniłyśmy się w pierwszej klasie podstawówki i ta przyjaźń trwała aż do śmierci Tammy zeszłej wiosny, po jej przegranej walce z nowotworem mózgu.

Czuła się klaustrofobicznie, stojąc wśród krzesel, dlatego precyzyjnie się przez Keitha i wyszła do przejścia na środku sali.

– Kiedy miałyśmy dziesięć lat, odkryłyśmy tajne wejście do starego salonu ślubnego i zrobiłyśmy z niego nasz fort. Schodząc po schodach w naszych wymyślonych sukniach ślubnych, udawałyśmy, że jesteśmy pannami młodymi. Tak naprawdę Tammy zawsze była panną młodą, bo już wtedy była zdeterminowana, żeby wyjść za siedzącego tu Cole'a Dannera. – Lekki śmiech przetoczył się po sali. – Ja byłam właścicielką salonu. A Tammy jak królowa schodziła po szerokich, zakręconych schodach. – Słowa płynęły prosto z jej serca. Nie z notatek.

– Tak to właśnie kiedyś wyglądało. – Starsza pani siedząca w rzędzie Haley

zabrała głos. – Panna młoda zakładała suknię na antresoli i schodziła po schodach jak dama na balu debutantek. – Uniosła podbródek i zrobiła znaczący gest dłonią w powietrzu, jakby chciała zademonstrować tę scenę.

– Była pani klientką panny Cory?

– Tak. I gdyby nie Cora, to nie miałabym w czym pójść do ślubu.

Brant Jackson zerwał się na równe nogi. – Wszystko pięknie i dobrze, ale nie możecie hamować rozwoju miasta, karmiąc się wspomnieniami. Drogie panie, jestem zwolennikiem ślubów. – Uderzył się dłonią w pierś. – Sam jestem żonaty i mam dwie córki. Ale w Nashville i okolicy jest co najmniej dwadzieścia pięć salonów z modą ślubną. Niektóre z nich są niecałe czterdzieści pięć minut drogi od Heart’s Bend. Jeśli jest pani tak zdeterminowana, żeby otworzyć sklep, proszę otworzyć go w naszym nowym centrum handlowym. Złożę pani ofertę.

– Jasne... i pozbawi mnie pan jakichkolwiek zysków, narzucając mi wysoki czynsz? – powiedziała Haley, spotykając się z lekkim aplauzem i oczywiście okrzykiem Keitha: „Powiedz mu!”. – Jane Scott otworzyła swój salon w tym, jak pan to określił „prawdziwym klejnocie”, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o czymś takim jak salon ślubny. Jej sklep stał się rozpoznawalny bez pomocy radia, telewizji, Facebooka i Twittera czy innego narzędzia strategii marketingowej. Rozumiała kobiety. Rozumiała panny młode.

– A czy pani je rozumie? – Pan Jackson rzucił jej wyzwanie, krzyżując ramiona na swojej napuszonej klatce piersiowej. – Czy nie spędziła pani czasem ostatnich lat swojego życia w wojsku?

– Przepraszam bardzo, ale panu nikt nie przerywał. – Tata zerwał się na równe nogi. – Proszę jej wysłuchać.

*Dzięki tato.* Haley ruszyła na przód sali, czując w uszach bicie serca.

– Mamy już kaplicę ślubów. Czy nie byłoby cudownie umożliwić turystom, którzy szukają miejsca na ślub w naszym mieście, dokonanie zakupu stosownego stroju tu na miejscu, tu, gdzie chcą się pobrać? Panna Cora przetarła szlaki kobietom interesu w czasach, kiedy większość pań pracowała wyłącznie w domu. Przetrwała Wielki Kryzys, w czasie drugiej wojny światowej była autorytetem, filantropem. – Haley zwróciła się do starszej kobiety w audytorium. – Pomagała kobietom stawać się najlepszą wersją ich samych podczas najpiękniejszego dnia ich życia.

– A jaki to ma związek z ponownym otwarciem salonu mody ślubnej w tej



akurat lokalizacji? – zapytał Linus uszczypliwie. – Czy wie pani, ile firm splajtowało w tym miejscu, odkąd Cora zamknęła swój sklep w 1979 roku?

– Oczywiście. – Haley podeszła do podium. – Splajtowały, ponieważ to miejsce nigdy nie miało być ani księgarnią, ani punktem naprawy komputerów. Zostało zaprojektowane, aby stać się butikiem z sukniami, welonami i bielizną dla pań młodych. – Haley zrobiła pauzę, szukając słów, by wyrazić to, co podpowiadała jej intuicja. – I śmiem twierdzić, że już na pewno nie miało być parkingiem.

Brant poderwał się z krzesła. – To śmieszne.

Haley go zignorowała. – Salon ma towarzyszyć kobiecie w drodze ku miłości i małżeństwu. Ku najpiękniejszemu okresowi jej życia.

– Połowa małżeństw kończy się rozwodami. – Brant nie mógł się powstrzymać.

– To tylko kolejny powód, by wspierać kobiety poprzez indywidualne podejście. Uczynić je częścią wspólnoty, nawiązać z nimi relację. – Poczula w sobie wewnętrzny ogień. Podeszła więc jeszcze bliżej podium i Branta Jacksona. – Z tym salonem najprawdopodobniej zetknęła się każda rodzina w naszym hrabstwie. Pan Jackson twierdzi, że jest zwolennikiem rozwoju i biznesu. Ja mogę powiedzieć to samo o sobie. – Zaczęła wchodzić na podest, mówiąc odwrócona tyłem do publiczności. – Powierzcie mi ten sklep. Pozwólcie mi przemienić go w takie miejsce, jakim był dawniej. Stańmy po stronie handlu i tradycji Heart's Bend, popierajmy lokalne biznesy, oddając hołd wspaniałej obywatelce Heart's Bend, jaką była panna Cora.

Sala rozbrzmiała burzą oklasków, kilkoma okrzykami i jednym gwizdnięciem. Kiedy odwróciła się przodem do audytorium, zobaczyła kibicującego jej tatę.

– Ale to przecież ruina – zaprotestował Linus, posyłając znaczące spojrzenie reszcie radnych.

– Nie będzie nią, kiedy skończę remont. – Przemawiała z dużą pewnością siebie, jak ktoś, kto wiedział, co robi.

– Ma pani środki na renowację? – Pytanie zadała pani radna kryjąca się za plakietką z nazwiskiem Jenny Jones.

– Zdobędę pieniądze.

– Ta pani marnuje tylko państwa czas. – Brant wcisnął się na podium obok Haley. – Ile razy już dobrzy ludzie zarzekali się, że utrzymają sklep, i nic z tego

nie wyszło. *Kompletnie nic.* Już czas sobie odpuścić. – Walnął pięścią w stół.

– Podoba mi się pomysł, aby otworzyć salon w jednym z lokali w nowym centrum handlowym – odezwał się radny Art Hunter.

– Dlaczego nie, Haley? Możesz tam kontynuować tradycję panny Cory – włączył się Linus.

– Dokładnie. – Brant napuszył się. – Dam pani prawo pierwszeństwa w wyborze lokalizacji, przebudujemy wszystko wedle pani życzenia. Wszystko na nasz koszt.

– Nie, nie, nie. My już mamy salon mody ślubnej. Na rogu Blossom Street i First Avenue! – Zadrzała, słabnąc, bojąc się porażki. Linus i Brant podawali twarde argumenty. Widziała to na twarzach rady. – Proszę dać mi szansę.

– Panno Morgan, nie jesteśmy tu po to, żeby finansować pani aspiracje. – Linus miał wiele przemyśleń na ten temat.

– Naprawdę? A wygląda na to, że nie macie nic przeciwko finansowaniu aspiracji Branta Jacksona i firmy Akron. – Część sali zaśmiała się i przyklasnęła słowom Haley. – Nie ulegajcie ich presji, nie sprzedawajcie części naszej historii! Powierzcie sklep w moje ręce. Nie zawiodę was.

Sala eksplodowała okrzykami i głośno wymienianymi opiniami. Haley złapała oddech, zaskoczona ogniem, który zaczął ją rozgrzewać od środka.

Linus zastukał młotkiem, przyzywając wszystkich do porządku. – Proszę się uspokoić. Drummondzie, wstałeś. Masz coś do powiedzenia?

Haley rozejrzała się po sali, wymieniając spojrzenia z Cole'em, patrząc na tatę i Keitha, którzy stali wraz z Drummondem.

– Dajmy jej ten sklep. Dajmy jej szansę. Dlaczego nie? Ma argumenty. Może największym błędem jej poprzedników była próba uczynienia z tej nieruchomości czegoś innego niż salon sukien ślubnych.

Dało się słyszeć jeszcze więcej podniesionych głosów i opinii. Linus poprosił o ciszę, odsyłając Haley i Branta z powrotem na ich miejsca.

Drżąc, ruszyła w stronę swojego krzesła. Kiwnęła głową tacie i Drummondowi, a Keithowi przybiła piątkę. Linus w tym czasie zebrał radnych na spontaniczną naradę. Pochyleni, kiwali głowami, słuchając Linusa, który uderzał młotkiem w dłoń.

Po chwili rada zasiadła za długim lśniącym stołem na podium. – Czy jest pani gotowa odrestaurować sklep według oryginalnego projektu?

A niech mnie. – Jestem.

– Linusie, nie mówisz chyba poważnie. Nie możesz dać takiej kopalni pieniędzy dziewczynie, która nie ma nawet środków, żeby ukończyć remont. – Brant rzucał się jak wściekły byk.

– Linusie – odezwał się Drummond – miasto posiada pieniądze na prace renowacyjne. Na początek użyj jej tych środków. Czy muszę przypominać radzie, że salon został zaprojektowany przez Hugh Cathcarta Thompsona?

Rada znów zaczęła dyskutować. Drummond rzucił przez ramię porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Haley.

Ktoś wykrzyknął: – Dajcie jej ten sklep.

Linus zastukał młotkiem, żeby zaprowadzić ład. – Rada podejmie decyzję do końca tygodnia. Panno Morgan, proszę zostawić nam swój numer. Zadzwoimy do pani.

Tata, Drummond i kilka innych osób zebrali się wokół Haley, klepiąc ją po ramieniu i komplementując ją.

– Byłaś świetna – powiedział Keith, szczerząc swoje śnieżnobiałe zęby. – Jeśli ci nie dadzą tego salonu, to będziemy wiedzieć, jak głęboko siedzą w kieszeni Akronu.

– To mamy chyba powód do świętowania. – Tata przyciągnął Haley do siebie i objął ją ramieniem. – Ciasto *U Elli*? Ja stawiam. Drummond? Keith?

– Z chęcią zjem ciasto, czemu nie... – Haley obróciła się, szukając wzrokiem Cole'a, ale już go nie było. – Spotkajmy się na miejscu.

Kiedy wyszła na zewnątrz i podeszła do swojego motocykla, znów rozejrzała się, szukając Cole'a, ale nie było po nim śladu. Czy ta cała afera z salonem przywołała wspomnienia związane z Tammy, o których chciał zapomnieć? Czy naprawdę chciał, żeby zrównali salon z ziemią i wybudowali tam parking?

Haley przejechała trzy przecznice do restauracji *U Elli*, walcząc z zimowym wiatrem. Jeszcze raz w głowie przeżywała posiedzenie w ratuszu, czując napięcie związane z oczekiwaniem.

To okropne, że Cole się z nią nie zgadzał – był jedyną osobą łączącą ją z Tammy. Haley jednak utwierdziła się w pewności, że przyszła na świat po to, żeby ponownie otworzyć salon sukien ślubnych.

# dziewięć

## Cole

Siedział na ostatnim stołku przy barze *U Elli*, czekając na swojego burgera i kopiąc kolanami zapomniany zielony łańcuch bożonarodzeniowy.

– Więc jak poszło spotkanie? – Mama, właścicielka i kobieta interesu, pracująca zarówno na zmywaku, jak i na sali, wrzuciła kilka brudnych naczyń do miski i wsunęła napiwek do kieszeni. Nigdy nie zachowywała go dla siebie, ale dzieliła pomiędzy resztę personelu. *„Będą mogli zabrać kilka groszy więcej do domu”*.

– Zależy. Dla Akron Developers poszło dobrze. Dla Haley świetnie. Zachowała zimną krew.

Zaskoczyła go jej pasja. Czy to właściwe słowo? Zaskoczyła? Może obciążyła. Czy on też, tak jak ona, miał zagorzale walczyć o to miejsce? Walczyć o tradycję, historię, istnienie tego wyjątkowego salonu sukien ślubnych z 1890 roku? Walczyć dla Tammy?

Kucharz popchnął kuchenne drzwi, stawiając przed nim talerze i klepiąc go po plecach.

– Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też, Sean.

– To zdecydowałeś się już? Pracujesz dla Akron Developers, czy zostajesz na swoim? – Mama przechyliła się przez ladę, porywając jedną z frytek Cole’a. – Pycha. Sean wie, jak zrobić dobre frytki.

– Częstuj się. – Cole przysunął talerz w jej stronę. Wraz z Chrisem przesiedzieli w tym miejscu swoje nastoletnie lata, odrabiając prace domowe, jedząc obiady. A gdy malał ruch w restauracji, wślizgiwali się na jedno z siedzisk przy stole i grali w Game Boya.

Kiedy Cole dostał prawo jazdy, mama w końcu pozwoliła im wracać po szkole

do domu. Ale i tak dzwoniła co godzinę. Gdy tylko wracała z pracy, sprawdzała ich zadania domowe i zaglądała im do plecaków – dla pewności, czy przypadkiem nie „zapomnieli” pokazać jej jakichś innych zadanych prac czy uwag nauczyciela w dzienniczku.

– Nie wiem... – Wziął łyk coli, walcząc z bulgotaniem w żołądku, które dopadło go na spotkaniu. – Akron dobrze płaci, mamó.

– Pamiętaj, że miłość do pieniędzy zgubiła twojego tatę.

Cole skrzywił się. – Nie porównywałbym kradzieży i oszustwa do korzystnej oferty pracy.

– Nie o to mi chodzi. Ale musisz też słuchać głosu serca. Niech pieniądze nie przysłonią ci tego, co kochasz najbardziej.

Sięgnął po ketchup i wylał trochę na frytki i hamburgera. Czuł się jak zdrajca, a nie był nic winien ani Haley, ani miastu, ani nawet Tammy. Przebywała teraz w znacznie lepszym miejscu i był przekonany, że nie myśli już ani o nim, ani o Heart's Bend, ani o ponownym otwieraniu starego salonu.

– O wilku mowa – odezwała się mama. – Zobacz, kto właśnie wszedł.

Haley, jej tata, Keith Niven i Drummond Branson. Od Haley biła aura zwycięzcy. Przywitała się z dwiema kobietami siedzącymi przy stoliku, Taylor i Emmą, córkami Drummonda.

Po chwili zdecydowali się usiąść wspólnie przy większym stole.

Cole skupił się na swoim obiedzie, czując się wykluczonym. Uczucie, które dręczyło go od momentu, kiedy piętnaście lat temu aresztowali jego ojca.

Ale nie mógł utrzymać wzroku utkwionego w talerzu. Kiedy znów podniósł głowę, napotkał spojrzenie Haley. Kiwnęła głową, dając znak, żeby spotkali się na zewnątrz.

Cole przykrył talerz serwetką, wstał i podążył za nią. Wcześniej poprosił jedną z kelnerek o dwa kubki gorącej czekolady – rodzaj gestu pojednawczego. Pochwycił płaszcz z wieszaka przy drzwiach.

– Hej! – Haley przywitała go na ławce przed restauracją. Jej gęste włosy opadały na ramiona, od mrozu miała zaczerwieniony nos. – Czy jesteśmy w stanie wojny?

– Wojny? Nie, Haley, daj spokój.

– Musiałam się upewnić.

– Bo siedziałem z gośćmi z Akronu? – Dosiadł się do niej. Na ich twarzach

odbijały się czerwone, niebieskie i zielone światełka świątecznych lampek.

– Keith mówił, że zaoferowali ci posadę. – Zakopła dłonie w kieszeniach i ukryła szyję w ramionach, osłaniając się przed mroźnym wiatrem.

– Tak. Dużo pieniędzy.

– Aż tak dużo?

– Co?

– Nieważne.

– Oferta jest bardzo korzystna. Nigdy w swojej karierze tyle nie zarabiałem. Mógłbym znów spać spokojnie w nocy.

– To powinieneś ją przyjąć. – Zadrzała, kiedy przeszył ją mocniejszy podmuch wiatru zza restauracji. – Musisz myśleć o swojej przyszłości.

– Mojej przyszłości. Kto to mówi? Ty czy twoi rodzice?

– Ja.

Kiedy na niego spojrzała, przypomniał sobie, jak bardzo zawsze ją lubił. Może i nawet by się z nią umówił, gdyby Tammy nie stanęła między nimi. Haley była prawdziwa, zabawna, intrygująca, choć miała trudny charakter. A jednak tak łatwo można było się z nią dogadać. Piękna tajemnica.

– Wygłosiłaś płomienną mowę dziś wieczorem.

Jej uśmiech błyszczał wśród świateł. – Sama siebie trochę zaskoczyłam.

Zjawiała się kelnerka z gorącą czekoladą, ale Haley machnęła ręką. – Nie piję kawy.

– To gorąca czekolada. – Cole sięgnął po kubki, podziękował kelnerce i wręczył jeden z nich Haley.

– Och, naprawdę? Dzięki. – Haley objęła kubek dłońmi. – Wszyscy zawsze przy każdej okazji próbują mi wcisnąć kawę. Spędziłam sześć lat w wojsku, w kółko powtarzając tym samym osobom, że nie pijam kawy.

– Pamiętałem.

Pochyliła się ku niemu, trykając jego ramię swoim. – Dziękuję ci. – Zdjęła nakładkę i ostrożnie wzięła pierwszy łyk. Zapadła między nimi cisza.

– A co, jeśli dadzą ci ten budynek? – zapytał.

– A co, jeśli nie?

– A jeśli dadzą?

– To zrobię z niego diament.

– Mając tylko dziesięć tysięcy w kieszeni?

Zaśmiała się. – Jakoś trzeba zacząć. – Haley wpatrzyła się w ciemność. – Wiesz, jak to jest jechać motorem przez miasto, stosując się do ograniczeń prędkości, zatrzymywać się na wszystkich czerwonych światłach i przed znakami stopu...?

– Ale chciałoby się wyjechać na szosę? – Cole napił się czekolady, dając się ponieść uczuciu w jej głosie.

– No właśnie. Poczuć otwartą przestrzeń, pędzić na pełnym gazie, tak mocno przywrzeć do motocykla, by dotykać kolanami ziemi.

– Czy salon ślubny jest dla ciebie taką szosą, Haley?

– Możliwe... – Zamyśliła się i wzięła kolejny łyk gorącej czekolady. – Czuję, jakbym dotąd jeździła tylko przez małe miasteczka; kilka razy udało mi się rozwinąć prędkość, ale potem musiałam gwałtownie zahamować. Wydaje mi się, że chciałabym wyjechać na otwartą przestrzeń i jechać przez chwilę stałą prędkością, ochłonać. W college’u byłam cztery lata. W siłach powietrznych sześć; ciągle mnie przenosili. Po moich pierwszych dwóch transferach pozbyłam się wszystkich swoich rzeczy. Kiedy gdzieś przyjeżdżałam, prawie się nie rozpakowywałam.

– Zobaczysz, dadzą ci ten salon.

Odwróciła się do niego. Ten ruch spowodował, że poczuł w nozdrzach jej delikatny zapach. – Skąd wiesz?

– Bo jeśli, słuchając ciebie, choć w najmniejszym stopniu poczuli to, co ja, nie będą w stanie ci odmówić.

Uniosła trzymany w dłoniach kubek i znów się napiła. – Nie mam pojęcia, jak prowadzi się salon mody ślubnej, ale chcę to zrobić. Czuję to w kościach.

– Hmm, w kościach? One rzadko się myślą.

Na miejsce parkingowe przed ławką zajechał nowy mustang, dudniąc muzyką nastawioną na cały regulator. Kierowca wyłączył silnik, wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi swojej dziewczynie.

– Czy my kiedyś byliśmy tacy młodzi? – zapytała Haley.

– Hej, nie rób już z nas takich staruszków. Proszę cię. My dopiero osiągamy stałą prędkość. – Siedząc tu z nią, czuł się jednak staro. Jakby ominął go jakiś etap życia. Ten etap, kiedy mógł żyć beztrosko, a nie nieść na swoich barkach ciężar bycia najstarszym mężczyzną w rodzinie. – A nie chcesz się z kimś związać? Wyjść za mąż?

Haley zadrzała. – Nie bardzo. – Utkwiła wzrok w kubku. – Widzę siebie jako elegancką kobietę interesu, którą wszyscy w mieście szanują i proszą o radę. Jako cioteczkę z Heart's Bend. Będę jeździć zadziornym autem, nawet gdy będę już stara i siwa, i będę mieć dom na wzgórzu w zabytkowej części miasta i co roku kupować trzymetrową choinkę na święta i upychać pod nią górę prezentów dla wszystkich moich przybranych dzieci.

– Ale dlaczego w tym swoim wspaniałym wymyślonym życiu musisz być koniecznie starą panną?

– Bo tak. Ponieważ moim zdaniem... – Wzięła wdech, kiwając przecząco głową, uśmiechając się blado. – A niech cię... zaczynasz drażnić i dokopiesz się do moich najgłębszych myśli. Jakbyś miał jakąś magiczną moc.

Cole zachichotał. – Nie bardzo. Pamiętasz, kiedyś potrafiłiśmy ze sobą rozmawiać. Zawsze mogłem powiedzieć ci rzeczy, których nie mogłem powiedzieć Tammy. Jak wtedy, gdy w końcu skazali tatę, sześć lat od aresztowania, zadzwoniłem do ciebie. – Wspomnienia wróciły, choć wcale o to nie prosił. – To było zaraz po drugim roku college'u.

– Do mnie pierwszej zadzwoniłeś?

Pochylił głowę, skubiąc przykrywkę od swojego kubka. – Chyba teraz mogę już to wyznać. – Wyciągnął do niej dłoń. – Przyjaciele?

– Jasne. Zawsze. – Trzymali przez chwilę złączone ręce, póki Haley nie wycofała swojej dłoni, przechylając głowę w kierunku restauracji. – Muszę wracać do środka. Będą się zastanawiać, co się ze mną stało.

– Jasne. A na mnie czeka wielki hamburger przy barze.

– Dzięki za gorącą czekoladę.

Cole przytrzymał drzwi, gdy wchodziła, pomachał jej towarzyszącej i usiadł z powrotem na stołku przy ladzie. Jego talerza już nie było, ale nie dbał o to. Nie był już głodny.

Z kuchni wyszła mama. – A tu jesteś. Chcesz swojego hamburgera? Włożyłam go do pieca, żeby był ciepły.

Cole kiwnął potakująco głową. Miał najlepszą mamę na świecie. Haley była do niej trochę podobna.

– Jasne, czemu nie.

Zerknął w kierunku stolika Haley. Śmiała się z czegoś, co opowiadała Taylor Gillingham, córka Drummonda. Przypominała mu dziewczynę, którą kiedyś



obserwował ze swojego stanowiska przy barze – po szkole czy w czasie studenckich wakacji.

Mógł teraz przyznać przed samym sobą, że Haley zawsze była poza jego zasięgiem. Nie żeby nie kochał Tammy – kochał ją. Ale nigdy nie pozwalał sobie myśleć o Haley w ten sposób. Nawet teraz czuł się trochę, jakby zdradzał swoją byłą narzeczoną.

Czy Haley wiedziała, jak potoczyły się sprawy między nim a Tammy? Jeśli tak, dlaczego nic nie mówiła? Na pewno miałyby coś do powiedzenia na temat tego, że ich związek skończył się na długo, zanim Tammy zabrała śmierć.

*Cora*

*4 lipca*

Nadszedł pierwszy tydzień lipca i Cora była gotowa na świętowanie. W czerwcu miała wiele pracy w sklepie, obsługując panny młode, które w tym miesiącu przybywały tłumnie, by odebrać swoje wyprawy ślubne.

W poprzednim miesiącu Rufus pisał do niej co tydzień – co nieustannie przyprawiało ją o dreszcze – potwierdzając tym samym, jeśli nie swą obecność, to chociaż miłość. Za każdym razem obiecywał, że odwiedzi ją latem.

*Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę. Nie wierzę, że minął niemal rok od naszego ostatniego spotkania. Wspominam nasze pocałunki i smak Twoich ust, truskawkowy. Mój ulubiony. Jak i Ty, Coro.*

Jego listy sprawiały, że na nowo czuła siłę i dumę, przechadzając się po First Avenue i doglądając interesu. Była kobietą kochaną, która przeciwstawi się każdemu, kto spróbuje to zakwestionować. Nie da się ograbić z miłości.

W końcu nadszedł czwarty lipca. Z Rufusem czy też bez niego był to doniosły dzień.

Przygotowania do corocznych obchodów Dnia Niepodległości na dwudziestu tysiącach metrów kwadratowych ziemi jej rodziców wchodziły właśnie w zaawansowane stadium. Spodziewali się połowy miasta. Błagała Rufusa, aby też się zjawił, ale odpisał jej, że najprawdopodobniej zatrzymają go obowiązki na rzece Ohio.

– Coro! – Do kuchni weszła mama, odświeżona i śliczna w swojej nowej różowej sukni koktajlowej. Pozwoliła namówić się na modową nowinkę i zgodziła się na bufiaste rękawy. – Czy zaniósłabyś tort czekoladowy? Ostatnio, kiedy miałam coś w ręku, pies braci Saglimbeni przebiegł tuż przede mną i padłam jak długa. Jakby wiedział, że nie mam z nim szans.

– Więc wolisz, żeby to mnie zaatakował? – Cora również miała na sobie nową suknię, żółtą z bufiastymi rękawami i koronkowym kołnierzykiem.

– Przejrzałaś mnie na wylot. Chcę w ten sposób wystawić na zniszczenie twoją piękną suknię, wykorzystując błazenadę tego szalonego kundla. – Skrzywiła się i mrugnęła okiem. – Oczywiście, że nie. Wydaje mi się po prostu, że ciebie ten pies toleruje. A mnie chce widzieć z twarzą na ziemi.

Cora uśmiechnęła się. Wzięła paterę z tortem i wyszła za mamą tylnymi drzwiami. W uroczym Heart's Bend nastąpiło lato. Wiał delikatny wiaterek, przynosząc zapach słońca, wzrastających upraw, zielonych wzgórz aż po horyzont.

Bracia Saglimbeni, ci od tego szalonego psa, zorganizowali przejażdżkę kucykiem i wytyczyli linią specjalne miejsce dla dzieci, aby mogły się bawić.

Każdego roku tata zatrudniał kuglarza, który przywoził ze sobą strzelnicę i inne gry. W Heart's Bend mówiło się, że jak dobra zabawa czwartego lipca, to tylko u Scottów.

Cora spotkała przy stole z jedzeniem radnego Patza. Bez wątplenia czekał tylko na to, aby wypełnić swój przepastny brzuch tortem czekoladowym. – Twój ojciec to pocziwiec. Wspaniale, że co roku wyprawia to wielkie przyjęcie. Pozwala zaoszczędzić miastu nieco pieniędzy. Co tam przyniosłaś, droga Coro? Czekoladowy przekładaniec?

– Zgadza się, panie Patz. – Postawiła talerz na stole z deserami.

– Myślisz, że mógłbym dostać mały kawałek do spróbowania? – Głód odbijał się echem w jego słowach.

– Oczywiście. – Cora nałożyła mu kawałek na wyszczerbiony talerzyk przyniesiony z kościelnej spizarni. – Tylko niech nikt pana nie zobaczy. – Przykryła tort i grzecznie dała mężczyźnie do zrozumienia, by się od niego odsunął.

Potem rozejrzała się wśród gości. Słońce skryło się za chmurami, litując się nad wszystkimi zgromadzonymi i dając im nieco cienia. Błękitne niebo i wiatr znad

rzeki sprawiały, że panowała przyjemna temperatura.

Jest tak uroczo. *Och, Rufusie. Tak bym chciała, żebyś tu był.* Usychała z miłości.

Trawnik rozciągał się aż po ogród mamy, a potem wił się pośród drzew w stronę rzeki, gdzie dziś wieczorem kapitan Alderman, dowódca oddziału straży pożarnej Heart's Bend, rozświetli niebo fajerwerkami.

– Cora! Halo, Cora! – Odelia sunęła w jej stronę, machając rękoma. Ona i jej zastęp krawcowych przerosły oczekiwania wszystkich. Odkąd w czerwcu sklep został zbombardowany zamówieniami, kobiety ukończyły już pięćdziesiąt zleceń.

– Odelio, zwolnij. Popatrz na siebie, cała poczerwieniałaś.

– Widziałam się przed chwilą z panną Maddie Crum. – Panna Crum, ich wiosenna klientka, której ślub miał odbyć się w lipcu, przyjechała do nich aż z samego Murfreesboro. – Jest w mieście i chciałaby odebrać swoją suknię ślubną, jeśli jest gotowa.

– Co? Dzisiaj? A jest gotowa?

– Dzięki Bogu skończyłam ją wczoraj wieczorem. Powiedziała, że spotka się ze mną w sklepie... – Odelia przycisnęła rękę do serca. – Litości, nie mogę złapać oddechu.

– Siadaj, siadaj, proszę.

Cora poprowadziła ją ku drewnianym ogrodowym krzesłom ustawionym w półkolu. Przed nimi uzbrojona w talerzyki armia kobiet maszerowała czwórkami w stronę stołu z różnymi daniami. Czwartego lipca w Heart's Bend nigdzie nie było lepszego jedzenia niż to podawane u Scottów.

Tego dnia wszyscy byli wolni. Stanowili jeden naród. Nie było podziału na biednych i bogatych. Na czarnych i białych. Wszyscy byli Amerykanami wdzięcznymi za niepodległość swojego kraju – bez względu na to, z jakimi ograniczeniami czy trudnościami musieli się mierzyć na co dzień.

– Nie wierzę, że przebiegłam całą drogę ze śródmieścia.

– Biegłaś aż od śródmieścia? – zdziwiła się Cora. – To ponad trzy kilometry.

– Nie bądź taka zszokowana. Grałam w koszykówkę w szkole. – Odelia powachlowała twarz dłońmi, uspokajając oddech. – Pomyślałam, że z powrotem mogłabyś mnie odwieźć samochodem.

– Odelio, panna Crum na pewno nie potrzebuje swojej sukni dzisiaj. Mamy przecież święto.

– Wiem, ale jej obiecałam. Jechała tutaj niemal dwie godziny. Nie chciałabym, żeby wracała taki szmat drogi tylko dlatego, że nie miałyśmy kilku minut, aby wręczyć jej suknię. Spójrz na to jak na ukłon w stronę klienta.

Argumenty Odellii przypieczętowały strugi potu, spływające po jej policzkach.

– Dobrze, wygrałaś. – Cora chwyciła przebiegającą obok małą Claire Olinski. – Claire, przynieś pani Darnell mrożoną herbatę. – Zerknęła na Odellie, która w pozycji pólężącej na ogrodowym krześle nadal próbowała złapać oddech. – Ty odpocznij. A ja *pojadę* do salonu i sama spotkam się z panną Crum.

– Jesteś kochana, Coro. Nie dbam o to, co powie twoja mama.

Cora skierowała się w stronę domu, uśmiechając się do Claire, która właśnie ze skupieniem próbowała trafić dzbankiem do wysokiej szklanki, wyciągając przy tym język i rozlewając herbatę.

W domu Cora złapała tylko swoją torebkę, klucze i rękawiczki do samochodu. Nie powinno jej to zająć więcej niż dwadzieścia minut. Nie straci nic z zabawy. Większość gości dopiero się zjeżdżała.

Zatrzymała się w holu, słysząc podniesione głosy dobiegające zza zamkniętych drzwi pokoju rodziców.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do holu wpadł tata, a tuż za nim mama.

– Nie, Erneście, nie. Nie widzę potrzeby. – Mama zatrzymała się, kiedy zobaczyła Corę. – Coro, o co chodzi? Czy wszystko w porządku?

– Ależ oczywiście. Dziś przecież czwarty lipca – odparł tata. – Czegoś potrzebujesz, kochanie?

– Jadę do salonu. Odelia obiecała pannie Crum, że będzie mogła dziś odebrać suknię.

– W Dzień Niepodległości?

– Była w mieście i pomyślała, że jeśli suknia byłaby gotowa, to oszczędziliby sobie ponownej podróży.

– To zaproś ich – powiedział tata. – Zaproś ich na przyjęcie.

– Lepiej zajmę się gośćmi. – Mama przecisnęła się obok taty, przyglądając włosy. Obserwował ją, uśmiechnięty. Jego oczy wyrażały jednak zupełnie coś innego.

– Tato? – zagadnęła Cora.

– Wszystko jest w porządku, kochanie. – Pocałował Corę w policzek. – Niech zniknie ta zmartwiona mina z twojej ślicznej buzi. – Poszedł w stronę kuchni,

pogwizdując *God Bless America*, ubrany w lekkie wełniane pumpy ze skarpetkami do kolan, brązowe lśniące buty i kamizelkę zarzuconą na białą koszulę z krótkim rękawem. A dla podkreślenia dzisiejszej okazji założył jasnoczerwony krawat.

Mama wychyliła się z kuchni z paterą jajek na twardo w jednej ręce. – Pośpiesz się, żebyś zdążyła na modlitwę, na początek. W tym roku poprowadzi ją pastor Oliver z kościoła kolorowych.

– To zajmie mi tylko chwilę. Obiecuję. – Cora wyszła na zewnątrz, potem obróciła się z niepokojem w sercu. Znowu się kłócili. Ale o co? Mama wydawała się wycieńczona.

Cora musiała przyznać, że choć miała już trzydzieści lat, kłótnie rodziców dotykały ją równie boleśnie, co w dzieciństwie. Poczula ukłucie paniki i nawet słońce spoczywające na jej ramionach nie było w stanie ogrzać chłodu wypełniającego jej serce.

To nic takiego. Zapewniał ją tata. Zwykła kłótnia dwójki kochających się ludzi. Była już dorosła i dobrze rozumiała, że małżeństwo wiązało się również z trudnościami. W końcu jej rodzice byli tylko ludźmi.

Wyszedszy na chodnik przed domem, zauważyła, że jej samochód blokowały inne auta zaparkowane wzdłuż drogi. – Jeszcze tego brakowało... – Południowy trawnik i droga pełniły funkcję parkingu.

– Potrzebujesz podwózki?

Cora wzdrygnęła się i zobaczyła Bircha podjeżdżającego swoim wozem zaprzęgniętym w muła, Wujka Sama.

– Birchu Good, czy ty mnie szpiegujesz? – Przecisnęła się między samochodami, podeszła do Bircha stojącego na ulicy i pogłaskała delikatny nos Wujka Sama. – Jak się masz, staruszk?

– Zdrów jak ryba. Pomyślałem, że dowcipnie będzie, jeśli go zabiorę na taką okazję. – Birch wskazał na jej torebkę. – Musisz gdzieś jechać? Mogę cię zawieźć.

– A nie miałbyś nic przeciwko? Odelia umówiła się z klientką...

– Czwartego lipca?

– Tak, i nie każ mi znowu wszystkiego tłumaczyć. – Nastąpiła na stopień i podała mu rękę. Birch złapał ją, napinając opalone, umięśnione przedramiona i podciągając ją na miejsce obok siebie. I tak po prostu odzyskała spokój ducha.

Mama i tata poradzą sobie. Oczywiście, że tak. Po co smuć się czwartego lipca? Dziś jest radosny dzień.

Birch zwrócił się czule do muła. – Musimy w tym roku zgłosić się z Wujkiem Samem do wyścigu i obronić nasz tytuł. Pierwsze miejsce cztery lata z rzędu.

- Ty i te twoje wyścigi...
- To świetna zabawa.
- Po prostu lubisz wygrywać.
- Przejrzałaś mnie.

Cora spojrzała na niego z boku. Wiatr zwał na czoło jego ciemnobrązowe włosy kontrastujące z bladoniebieskimi oczami. Miał mocno zarysowaną szczękę, która zapewne oparłaby się prawemu sierpowemu.

Porzucił swoje ogrodniczki na rzecz odświętnych spodni i białej oksfordzkiej koszuli z jasnożółtymi plamami pod pachami. Gdyby miał żonę, wyprałaby mu ją z odrobiną niebieskiej farbki do bielizny, a potem wyprasowała. Cokolwiek by powiedzieć, była to jednak świeżo wyprana koszula, a jego skóra pachniała mydłem i płynem po goleniu.

– Co? – odezwał się, przyłapując ją na tym, że mu się przypatruje. Uśmiechnął się z przekąsem.

– Nic. – Speszyła się. Wyprostowała się i spojrzała przed siebie, skupiając się na ruchach Wujka Sama. Dlaczego zawsze przy Birchcu gotowała się w środku i rumieniła? Przecież to głupie. Miał coś w sobie i tyle. Połowa dziewcząt z miasteczka mdlała na jego widok. Ale czy zwracał na nie uwagę? Nie. Był kompletnie ślepy na ich umizgi.

– Jasne. Mi to jednak wyglądało na coś.

Zacisnęła wargi i wyprostowała się. – Po prostu nigdy nie widziałam cię w twoim odświętnym ubraniu.

– Przecież widzisz mnie co tydzień. W szkółce niedzielnej.

– Jakoś nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– Ty to potrafisz przemówić do serca mężczyzny. – Birch pokierował Wujka Sama w ulicę South Broad, w kierunku centrum miasta.

– Ty też mnie nie zauważasz.

– Patrzę na ciebie co tydzień, Coro. Co tydzień.

Wymienili oschłe spojrzenia, a ona odsunęła się od niego o centymetr. Co miała zrobić z takim wyznaniem? Jeśli miał wobec niej jakieś zamiary, inne niż

przyjaźń, byłoby lepiej, gdyby go *nie* zachęcała.

Ulica South Broad przeszła w tętniącą życiem First Avenue – wokół placu jeździły samochody, gromadziły się tłumy, głównie nastolatków. Na sklepach i latarniach powiewały flagi.

Minął ich kabriolet model T pełen młodych mężczyzn i kobiet, trzymających się boków auta, machających, śmiejących się i śpiewających *My Country Tis of Thee* na całe gardło.

– Patrząc na to, czuję się staro. – Birch skinął w ich kierunku podbródkiem i zatrzymał się przy salonie ślubnym. – Jakbym stracił swoją szansę na młodość. Kiedy był mój czas na wygłupy z przyjaciółmi w kabrioecie, walczyłem na wojnie.

– Wojna nam wszystkim dodała lat.

– Ale te dzieciaki nie mają pojęcia, jak to jest. Nigdy nie poznają, co to wojna.

– Możemy się o to tylko modlić.

Zeskoczył z powozu i obszedł Wujka Sama, żeby pomóc Corze zsiąść. Minął ich kolejny samochód pełen młodzieży. Za kierownicą siedział przystojny Smithie Fetterman, który zwolnił, żeby zagwizdać na młodą kobietę w falbaniastej spódnicy i sandałach na wysokim obcasie.

Cora stała zaś na chodniku w swoich praktycznych butach, posyłając im potępiające spojrzenie. Tęskniła za czasami, kiedy sama jeździła po mieście w kabrioecie, śpiewając na cały głos.

*Czy już nic nie spotka mnie w życiu?*

– Witaj, piękna, właśnie miałem cię szukać.

Cora obróciła się na dźwięk *jego* głosu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. – Rufus! – Zamknął ją w swoich ramionach, uniósł w górę i okręcił wokół osi. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć. Jesteś tu. Och, kochany... – Drżała w jego objęciach, nie mogąc złapać oddechu i powstrzymać szlochu.

– Ciiiiii... już jestem. Mam cię. – Jeszcze ciaśniej oplótł ją ramionami.

Cora uczepliła się go w obawie, że może on zniknąć. Może to tylko sen, z którego zaraz się obudzi? – Nie wierzę w to... Po prostu nie wierzę... kochany.

– Spokojnie, po co te łzy? Ciiiiii... słodka Coro. – Jego ciepły oddech przy jej uchu wzmocnił tylko targające nią emocje.

Osunęła się na ziemię z twarzą wtuloną w jego klatkę piersiową, łkając, ściskając w garści luźny materiał bluzy zwisającej wokół jego bioder. – Rufusie,

Rufusie...

– Mówiłem ci, że przyjadę.

– Tak kochanie, tylko... – Jej słowa nie miały siły przebicia. Osłabła, pozostawiając całą swoją duszę w jego ramionach. Czowała jednoczesne ukłucia radości i ulgi w sercu. Do jej oczu napłynęły nowe fale łez.

Kołysała się, płacząc, nie widząc nikogo poza człowiekiem, w którego się wtulała. Czowała aromat fajki i intensywny zapach mężczyzny, co bardziej przywoływało na myśl morze niż rzekę.

– Kochanie, będziemy tu stać cały dzień?

Przytaknęła, delikatnie chichocząc, wycierając łzy dłońmi. Ależ musi wyglądać.

– Nie mogłem się doczekać, żeby cię pocałować – wyszeptał jej do ucha.

Cora próbowała unieść głowę, ale nie mogła się ruszyć. Była wykończona. Czowała, jak uchodzi z niej cały rok napięcia i walki, żeby się nie poddawać, żeby wierzyć.

– Dobrze, to postójmy jeszcze chwilę tutaj. – Przyciągnął ją do siebie, całując w policzek i opierając podbródek na jej głowie. – Nie muszę chyba pytać, czy mój przyjazd cię zaskoczył.

Cora parsknęła śmiechem, przerywając łkanie. – Och, Rufusie, nie wyobrażam sobie wspanialszej niespodzianki. – Wzięła głęboki oddech, czując w nozdrzach jego zapach i przypominając sobie wszystkie zagłębienia jego klatki, jego oddech, muskający jej ucho, i jego basowy głos. – Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę.

– Moja piękna Coro! – Rufus przywarł do niej. – Miałem spędzić to święto w St. Louis, ale postanowiłem, że podrzucę jeszcze paczkę w tę stronę.

– Przypłynąłeś? Tylko dla mnie?

– Tak, tylko dla ciebie. – Zrobił krok w tył, biorąc jej twarz w swoje dłonie, gładząc czule kciukami ślady po łzach. – Tęskniłem za tobą.

Pochylił się ku niej. Nie dbając o ludzi wokół, Cora wspierała się na palce, spragniona do bólu jego pocałunku. Chciała, by wlał w nią życie, rozpałił jej uczucia. Wiedziała, że Rufus ją kochał, i odtąd już nikt nie będzie w stanie zasiać w niej zwątpienia czy niechęci, nawet jej własne serce.

Całował ją słodko. Delikatnie. Dlaczego ograniczał się do tych subtelnych czułości, skoro pragnęła ognia jego namiętności?



Cora chwyciła go za ramiona, wlewając w pocałunek całe swoje serce. W oddali usłyszała klakson samochodu i gwizdy przechodniów. Nie dbała o to. Niech gadają. Nie chciała go puścić, całując go jak zakochana kobieta, gotowa, by całkowicie mu się oddać. Jeśli tylko o to poprosi.

Odpowiedział na jej pocałunek, oddychając rytmicznie i namiętnie, zaspokajając swój własny głód.

Kiedy się rozdzielili, nie była w stanie utrzymać się na nogach, a co dopiero pójść w stronę salonu. – Kochanie – wyszeptała – tak bardzo cię kocham.

Rufus posłał jej w nagrodę swój awanturniczy uśmiech. Oparł na chwilę swoją głowę na jej czole, po czym uszczęśliwił ją kolejnym pocałunkiem. – A ja ciebie, najdroższa Coro. – Rozluźnił uścisk, choć ona nadal była uczepona jego ramion. – A teraz mów – dotknął palcem czubka jej nosa – co robisz w centrum miasta czwartego lipca? Myślałem, że rodzina Scottów wydaje na swojej ziemi wielkie przyjęcie.

– Tak właśnie jest. Poczekaj, niebawem je zobaczysz. Wszyscy tam są. Przyjechałam do miasta, żeby spotkać się z klientką. To wszystko wina Odelii. Obiecała pannie Crum, że może dziś odebrać swoją suknię. – Gdy Cora, nadal ściskając Rufusa, ruszyła w kierunku salonu, przypomniała sobie o Birchu. Zamarła i odwróciła się na pięcie. – Kochanie, poznaj Bircha Gooda, przyjaciela mojego ojca.

Ale po Birchu ani po Wujku Samie nie było już śladu. – No popatrz... – Z powrotem obróciła się do Rufusa. – Muszę się uszczypnąć, bo nadal nie wierzę, że tu jesteś. – Uścisnęła jego ramię. – Jesteś tu naprawdę? Serce wali mi jak oszalałe.

– To serce? To tutaj? – Rufus postukał palcem w dekolt jej sukni, w miejsce pomiędzy jej piersiami, rozpalając płomień.

– Rufus, proszę cię. Ludzie patrzą... – Ale to uczucie było upajające. Osłabiało jej opór. Była spragniona jego pocałunku, dotyku i wszystkiego, co mógł jej ofiarować kochający mężczyzna.

– Wejdzmy więc do środka. – Pociągnął ją w stronę sklepu, wziął klucze z jej dłoni i otworzył drzwi. – Przypomnij mi, co masz do załatwienia? Masz spotkać się z klientką, tak?

– W każdej chwili może przyjść po swoją suknię ślubną. – Cora odebrała mu klucze, drżąc, gdy jej ręka musnęła jego dłoń.

Gdy weszli, zamknął drzwi kopnięciem. Zostali sami w gorącym, dusznym sklepie, z dala od ciekawskich spojrzeń z ulicy.

– Wyłącznik światła... jest tam. – Cora podeszła do ściany w małym salonie. Zostali sami. Całkowicie sami. Była podekscytowana i zarazem przerażona.

Kiedy wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło, Rufus porwał ją w ramiona, przygniatając ją ciężarem swojego ciała do ściany. – Kochana, jesteś taka urocza. – Pochylił się, żeby pocałować ją w szyję.

Cora przywarła do niego, wspierając się o jego masywne ramiona, żeby nie upaść. Jego jedwabiste i gorące usta wypalały ścieżkę wzdłuż jej obojczyka.

– Rufusie... kochanie... zaraz... tu... będą... – Opuszczały ją siły, a on trzymał ją w swoich ramionach, odnajdując jej usta, a każdy pocałunek był bardziej żarliwy od poprzedniego.

– Wybacz mi, ale zupełnie zapomniałem, dlaczego tak długo zwlekałem, żeby się z tobą zobaczyć. – Opuścił ją na ziemię. Jego ręka delikatnie powędrowała w dół jej talii. Jeśli to była namiętność, to niech ta chwila trwa wiecznie.

– Proszę... – Z kieszeni wyciągnął złote świcidelko. – Dziesięć karatów. Dla ciebie.

– Och, Rufusie, nie trzeba było. – Na jego dłoni spoczywał złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca. Jej własne serce zatrzepotało w piersi. Czy to były oświadczyzny? Nie wręczy jej pierścionka? Nie każdy mężczyzna to robił, ale...

Rufus obrócił ją, odgarnął jej włosy z szyi swoimi pocałunkami i założył naszyjnik. – Niech spojrzę. Wspaniale. Zobaczyłem go w Nowym Jorku. U Tiffany'ego.

– Byłeś w Nowym Jorku! Nie wspomniałeś mi o tym.

– Dałem go wygrawerować: „Moja kochana, Coro”. Widzisz?

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego błękitne oczy. – Mam wszystko, czego mi trzeba. Mam ciebie, Rufusie.

Porwał ją w ramiona, odpowiadając pocałunkiem.

– Najdroższy – Cora odchyliła się – czy dostałeś ode mnie kartkę, którą wysłałam ci w liście? Od Miriam? Była chyba bardzo zdeterminowana, żeby z tobą porozmawiać. – Nie wspomniał o niej w żadnej ze swoich wiadomości. – Kim ona jest? – zapytała delikatnie, nie chcąc zabrzmieć oskarżycielsko.

– Co? – Starał się uchwycić jej wzrok. – Miriam? O czym ty... ach Miriam. Żona kolegi. Chciała zrobić mu niespodziankę urodzinową. To nic takiego.

– Nic?

– Dajmy temu spokój, chcę cię całować, a nie rozmawiać o innych kobietach.

– Zacisnął ramiona mocniej i musnął jej usta swoimi.

– Halo, panno Coro?! – Odskoczyli od siebie na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Rufus z potarganymi blond włosami starał się złapać powietrze. Zniknął w mrokach małego salonu, wciskając koszulę do spodni.

Cora drżała, jakby ktoś wylał na nią kubek zimnej wody. Zanim wyszła zza ściany małego salonu, starała się uspokoić. Pomiedzy łzami a namiętymi pocałunkami Rufusa zapomniała o swoim wyglądzie. Przygładziła włosy, świadoma potu wokół kołnierzyka swojej sukni.

– Proszę wejść, panno Crum. – Cora odsunęła się, wpuszczając kobiety do środka i z wdzięcznością witając podmuch wiatru. Ochłodził jej gorącą skórę, ale nie był w stanie ugasić żaru miłości.

– Panno Coro, bardzo dziękuję, że się pani z nami spotkała. – Maddie Mae Crum przytuliła Corę na powitanie. – Tak się cieszę, że Odelia ukończyła już moją suknię. Och, pani skóra jest rozpalona.

– Ma pani zaczerwienione policzki. – Pani Crum spojrzała na nią z dezaprobatą. – Poparzenie słoneczne? Niech pani na siebie uważa po południu. Szkoda, żeby taka ładna skóra zaczerwieniła się i pokryła pęcherzami.

– Dziękuję. Oczywiście. Dziękuję za radę, pani Crum. – Cora odetchnęła z ulgą, że udało jej się zachować swój sekret dla siebie. Jednocześnie starała się nie roześmiać.

– Pani sklep jest przeuroczy. Mówię to za każdym razem, prawda? – Panna Crum zajrzała do małego salonu. Cora zastąpiła jej drogę, blokując jej widok, w razie gdyby Rufus siedział w fotelu pod oknem. – Jest tyle pracy na farmie, że nie mamy kiedy przyjechać do miasta. To czysta przyjemność tu być. – Crumowie byli średnio zamożnymi farmerami z Tennessee, a panna Crum zamówiła swoją suknię za pośrednictwem „Współczesnej Pryscylli”. – A gdzie znajdują się wszystkie suknie?

– Tutaj, w wielkim salonie. To tylko kilka próbek. – Cora zaprowadziła pannę Crum do dużego salonu, gdzie na manekinach wisiały starannie wybrane dla niej kreacje. – Przepraszam, że nie mogę paniom zaoferować niczego do picia, ale proszę choć spocząć.

– Och, nic nie szkodzi. Wiemy dobrze, że zabieramy pani czas.

– Przyniosę pani suknię.

– Czy to te sławne schody, po których panny młode schodzą w swoich sukniach ślubnych? Przyjaciółka mi o nich opowiadała. – Panna Crum wcale nie siadała na kanapie, jak prosiła Cora.

Cora zatrzymała się w połowie schodów. – Taak... zgadza się.

– Proszę, czy mogłabym przymierzyć suknię i zejść po schodach? Mama jest tutaj... i pani... – Brązowe oczy panny Crum błyszczały z podekscytowania. – To tak wiele dla mnie znaczy.

– Dla mnie również. – Pani Crum zrobiła krok wprzód. – Ja sama nie miałam wesela, dlatego bardzo się cieszę, że Maddie Mae będzie miała swój dzień.

Cora westchnęła, ale nie przestała się uśmiechać. – Nie mamy zatem wyjścia. Pani córka koniecznie musi zejść w swojej sukni po schodach. Przepraszam, strasznie tu gorąco. – Zeszła ze schodów i otworzyła górną część okna.

– Proszę się nie martwić. Otworzę kilka okien i zapalę światła, w czasie gdy pani będzie szykować Maddie Mae. – Pani Crum odłożyła swoją torebkę na krzesło przy dużym oknie wystawowym i ruszyła w stronę okien. Serce Cory krzyczało: *Rufus, schowaj się!*

– Proszę iść do góry, panno Crum. Dołączę do pani za chwileczkę. – Cora zajrzała do małego salonu. Pusty. Gdzie on się podział? Sprawdziła w pokoju kredensowym i toaletowym. Nadal nic. Garderoba? Nie, tam też go nie było. Cora wyjrzała przez tylne drzwi. Rufus stał oparty o drzewo i palił fajkę. Mrugnął do niej, kiedy uchwycił jej spojrzenie. Podniosła rękę. *Pięć minut*. Przytaknął głową, posyłając jej całusa.

W takim razie cztery minuty.

Cora pobiegła na antresolę, gdzie czekała panna Crum, i pomogła jej zdjąć sukienkę. Świadomość, że czeka na nią Rufus sprawiała, że krew w żyłach zaczęła jej krążyć szybciej. *Skup się, Coro. Klienci są podstawą twojego biznesu.*

Ale nie mogła – przecież Rufus nareszcie był z nią.

Kiedy Cora w końcu ubrała pannę Crum w jej suknię i zapięła wszystkie guziki, pochwyciła z garderoby welon i przypięła go do włosów panny młodej. Potem zbiegła ze schodów, włączyła gramofon, nastawiła płytę i dołączyła do matki dziewczyny w dużym salonie.

– Panno Crum, proszę zejść.

– Chyba się rozpłaczę. – Pani Crum uniosła do oczu pogniecioną chusteczkę. – Proszę spojrzeć, czyż ona nie jest piękna?

– Bez wątpienia.

– Czy jest pani zamężna?

– Jeszcze nie.

– To proszę popatrzeć, co panią czeka. Maddie Mae, przysięgam, że twojemu Norbertowi oczy wyskoczą z orbit i potoczą się przed ołtarz.

Cora przypatrywała się scenie między matką a córką, pozwalając im nacieszyć się tą chwilą. Była całkowicie przekonana, że Rufus dzisiaj się jej oświadczy. Ich namiętne uczucie, tak rzadkie i piękne, zyskiwało na intensywności z każdym spotkaniem. Z pewnością nie był w stanie już dłużej zwlekać.

A kiedy już przyklęknie na jedno kolano i poprosi ją o rękę, ona odpowie „tak” każdą cząstką swojego ciała.

# *dziesięć*

## *Birch*

W samo południe Birch siedział na koźle swojego wozu, trzymając talerz wypełniony po brzegi i pozwalając Wujkowi Samowi spokojnie skubać trawę. Najlepsze jedzenie w okolicy. Przygotowane przez najlepsze kucharki. Jarmuż, fasolka półksiężycowata, fasola czarne oczko, kolba kukurydzy, chleb z mąki kukurydzianej, marynowane jaja i buraczki. Pieczona wieprzowina, wołowina i kurczak. Ciasta i torty każdego rodzaju.

Jednak nic nie było go w stanie skusić. Nawet głośne mruczenie, które wydawał jego brzuch, nie mogło pobudzić jego kubków smakowych czy apetytu.

Ciągle miał przed oczami Corę całującą w biały dzień rzeczno wielkoluda, jakby była panią lekkich obyczajów.

Całą drogę do domu Scottów gotował się ze wściekłości – nie, z *obrzydzenia* – na wspomnienie jej bezwstydnego zachowania. Był gotów wrócić do domu, zrezygnować ze świętowania, jedzenia i dobrego towarzystwa i podążyć w samotności.

Co to, to nie! Jeśli ona śmiała go tak ignorować, dlaczego miałby psuć sobie zabawę? Cały rok czekał na ten piknik.

Ale kogo on chciał oszukać. Przecież cały czas czekał tylko na chwilę, kiedy będzie mógł zobaczyć Corę. Chciał wziąć z nią udział w wyścigu na trzy nogi, związując jej nogę ze swoją, i słyszeć, jak śmieje mu się do ucha, i patrzeć, jak słońce podkreśla kasztanowy odcień jej włosów.

*Dobra. Nie oszukuj się.* To, co paliło go od środka, nie było złością czy obrzydzeniem, ale najczystsza, grzeszną zazdrością.

Jeśli pojechaliby do domu, zazdrość by zatriumfowała. Pozwoliłby, aby emocje wzięły nad nim górę, a na to Birch nie mógł się zgodzić. Jeśli już nauczył się

czegoś od swojego ojca, to właśnie tego, żeby panować nad swoimi emocjami. Stłamsić je. Nie pozwolić, by serce rządziło jego głową.

Jeśli Cora wolała tego rzeczno błązną, to krzyżyk jej na drogę. Nie zobaczy Bircha, jak usycha na brzegu z tęsknoty za nią.

– Birchu Good, dlaczego siedzisz tu sam? Proszę, proszę... i w ogóle nie tknąłeś jedzenia. – Janice Pettrey oparła się o jego kolano, kierując wzrok na niego, w górę. Patrzył, jak jej blond włosy podskakują wokół ramion; czuł jej perfumy w nozdrzach. – Upiekłam swoje sławne ciasto z orzechami pekan.

– Wiesz, jak uwielbiam twoje ciasto. Nie jestem jednak tak głodny, jak myślałem.

– Odkąd to Birch Good nie jest głodny? Wanetta Cash, dasz wiarę, że Birch jeszcze nie opróżnił swojego talerza?

– Co się stało, Birchy, coś ci leży na brzuszku? – Wanetta wyciągnęła rękę, żeby go połaskotać, ale strzepnęła jej dłoń.

– Mówiłem ci, żebyś nie mówiła do mnie „Birchy”.

Wanetta zakasała spódnicę, odsłaniając na moment zapięcie pasa do pończoch, wspięła się na koło wozu i klapnęła na koźle. Spojrzał w drugą stronę, czerwieniąc się.

– Birch, daj spokój. Tylko się z tobą drocę. Janice, podejdź z drugiej strony i wskakuj. Birch, przysuń się do mnie i zrób jej miejsce.

– Zawsze tak wszystkim rządzisz?

– A jak długo się znamy? Od przedszkola? Wtedy też tobą rządziłam. O, proszę, i jest Janice, zwinna jak kotka.

Janice skuliła się obok Bircha, ale nie dlatego, że miała za mało miejsca. Poczuli na ramieniu delikatne krągłości jej biustu. Jego puls przyspieszył. Przysunął się nieco bliżej do Wanetty, choć to było jeszcze bardziej przerażające.

– Z kim będziesz oglądał pokaz fajerwerków dziś wieczorem? – zapytała Janice.

– Pewnie stary Wujek Sam będzie potrzebował pociechy. – Birch wskazał widelcem na muła. – Nie lubi za bardzo hałasu.

– W takim razie Janice i ja dotrzemy ci towarzystwa – odparła Wanetta.

Wujek Sam uniósł nos i zarżał, potrząsając głową i tupiąc kopytami, jakby rozumiał, co mówią, o czym Birch był przekonany.

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem. – My też się cieszymy, Wujku Samie!

Birch rzucił okiem na Janice. Zupełnie nie przypominała Wanetty. Śliczna. Urocza. O filigranowej figurze. Nauczycielka w miejscowej szkole podstawowej. Lubił jej towarzystwo. Raz po wieczornym niedzielnym kręgu biblijnym przyjemnie spędzili czas na rozmowie o bezwzględnym pierwszeństwie Chrystusa, o czym nigdy wcześniej nie słyszał. Podzieliła się z nim swoją teologiczną wiedzą na temat doktryny.

Myślał o ich rozmowie przez cały miesiąc, szukając potwierdzenia w Piśmie Świętym, odkrywając, że miała rację. Chrystus był prawy, wspaniały i miał pierwszeństwo we wszystkim. Nikomu się nie kłaniał. Wszyscy kłaniali się Jemu. A jednak i tak oddał życie za cały świat.

Dziewczęta żartowały sobie na jakiś temat, a on wziął się za jedzenie swojego obiadu. Siedząc z dwiema ślicznymi damami, nagle odczuł wielki głód.

Nie żeby miał duże doświadczenie z płcią piękną. Nie miał sióstr. Odkąd był wystarczająco duży i silny, aby samodzielnie zaorać pole, zaraz po lekcjach wracał na farmę. Miłość do ziemi miał we krwi.

Ze sportów uprawiał jedynie futbol, a to dzięki temu, że tata każdej jesieni zwalniał go z obowiązków na farmie, za co trener był mu wdzięczny.

*„Birch jest najtwardszym zawodnikiem grającym na skraju linii ofensywnej, jakiego widziałem”.*

Ale Birch uwielbiał kobiety i może już czas najwyższy, żeby znalazł sobie żonę.

Dziewczęta stopniowo wciągnęły go do swojej rozmowy, dzieląc się z nim lokalnymi plotkami i zastanawiając się, kto następnym stanie przed ołtarzem.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to ja zawitam do salonu z sukniami ślubnymi. Co sobotę chodzę obok tych wielkich wystawowych okien, marząc o swoim wielkim dniu – powiedziała Janice.

– A która dziewczyna o tym nie marzy? – Wanetta wyprostowała się, strzepując spódnicę. – Moja ciotka Pam wyszła za mąż, kiedy miałam sześć lat i, choć miała tylko skromne przyjęcie w domu moich rodziców, to i tak kupiła suknię i wyprawę ślubną w salonie. U panny Jane. Mama tylko raz zabrała mnie tam na przymiarke. Mój tata musiał zapłacić za elegancką suknię i wyprawę ślubną.

Birch przeżuwał i cieszył się, że z pełnymi ustami nie może nic powiedzieć. W przeciwnym razie nie oparłby się pokusie i zapytałby Wanettę, co by sobie



pomyślała, gdyby dowiedziała się, że w tej właśnie chwili, w biały dzień, Cora oddaje się tam kapitanowi.

– A ty co myślisz, Birch? Byłeś kiedyś w salonie sukien ślubnych?

– Janice, a po co Birch miałyby chodzić do sklepu z sukniami ślubnymi? – Wanetta machnęła na nią ręką, podśmiechując się.

– Byłem tam. – Odchrząknął, sięgając po zimną wodę. – Raz czy dwa pomagałem Corze.

– Widzisz, Wanetto. Porządny z niego mężczyzna.

Dla Bircha rozmawianie z kobietami nadal było niezręcznym doznaniem. Z Corą było inaczej. Wtedy coś w nim pękało. Czuł się wolny, pamiętał nagle wszystkie dowcipy i historyjki, chciał opowiadać jej o swoim życiu. Uwielbiał słuchać, co ona ma do powiedzenia. Cały czas pragnął, aby stać się dla niej mężczyzną, w którym znajdzie oparcie. Ale nigdy tak na niego nie patrzyła, a on nie wiedział, jak ma jej to okazać.

– Kiedy zamierzasz się ustatkować, Birch? – Janice wyzbyła się wszelkich ograniczeń i wkroczyła prosto na jego prywatny teren.

– Kiedy znajdę odpowiednią dziewczynę. – *Albo kiedy ta dziewczyna zrozumie, że jestem dla niej odpowiednim mężczyzną.*

– A kiedy zamierzasz ją znaleźć? – Wanetta chwyciła jego podbródek i odwróciła jego twarz do swojej. – Rozejrzyj się, panie Good. Masz przed sobą dwie najlepsze dziewczyny w Heart's Bend. Gotowe i chętne.

– Czy ty, Wanetto, wyznajesz mi właśnie, że jesteś we mnie zakochana? – zarechotał. – A to dobre.

– Dobra. Może i nie jestem. Ale chciałabym spróbować. Janice też.

– Wanetto, proszę zostaw go w spokoju.

Co miał powiedzieć? *Kocham Corę Scott, odkąd w wieku czternastu lat wepchnęła mnie do rzeki.* W czasie, gdy on dokazywał z jej bratem Ernestem juniorem. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Nieświadomy, że za kilka lat obaj będą walczyć na wojnie.

Tak czy siak, ani się obejrzał, a leżał twarzą w wodzie. Teraz się z tego śmiał. A było to jego ulubione wspomnienie związane z Corą. Tamtego dnia poznał jej wolę i siłę. Może dlatego coś w nim umarło, gdy zobaczył ją z kapitanem. Jeśli Cora Scott wybrała Rufusa St. Claire'a, to nie spocznie, póki go nie zdobędzie.

Musiał o niej zapomnieć. Na razie. – Mam straszną ochotę na twoje sławne

orzechowe ciasto, Janice.

Wstał, gotowy do skoku, kiedy nagle usłyszał ogłuszający klakson samochodu. Obrócił się gwałtownie i zobaczył, jak na trawnik Scottów na tyłach domu wjeżdża kabriolet model T z Corą i kapitanem w środku.

Wysiadła niepewnym krokiem, roześmiana, z potarganymi włosami, które uwolniły się spod wsuwek. Kapitan pochwycił ją, oplatając ręce wokół jej talii, gładząc ją poufale pod biustem.

Birch zszedł z kozła na tyły wozu. – Wszystko w porządku?

– Birch, gdzie ty się podziałeś? – Jej wzrok powędrował od Bircha do dwóch towarzyszących mu kobiet. – Janice, Wanetta, co wy tu robicie?

– Dotrzymujemy Birchowi towarzystwa przy obiedzie.

– Obróciłam się, szukając ciebie, ale zniknąłeś. – Cora patrzyła na Bircha. Chciała podejść do nich, ale Rufus nie puszczał jej talii.

– Nie wyglądałaś, jakbyś mnie jeszcze potrzebowała. – Poczul w żołądku dotkliwe ukłucie i żałował, że zjadł tyle grillowanych potraw. – Tak czy siak, razem z dziewczętami idziemy obejrzeć pokaz fajerwerków.

– Zgadza się, mam randkę z Wujkiem Samem. – Wanetta wychyliła się do przodu, żeby klepnąć muła po zadzie. Staruszek uniósł łeb, zarżał i pogrzebał kopytem w ziemi.

Delikatny świergot Janice połechtął Bircha i zawtórował jej śmiechem. Zażartował: – Rzuciły monetą. Janice przegrała i jest skazana na mnie.

Wanetta uderzyła się dłonią w kolano, a Cora wolno uśmiechnęła się, zdezorientowana. – Zabawne. – Patrzyła Birchowi w oczy, ale on nie potrafił nic wyczytać z jej złotoorzechowego spojrzenia.

– Miło was wszystkich poznać, ale... Coro, kochanie, umieram z głodu. – Kapitan uniósł ją, a jej śmiech obudził w Birchu zazdrość, którą, jak sądził, już w sobie zduślił.

– Ależ on przystojny – westchnęła Janice, gdy Cora i Rufus oddalili się.

– Co? – Birch ciężko opadł na kozła. – Ten gnida?

– Zazdrosny? – powiedziała Wanetta, szturchając go łokciem.

Odsunął ją. – Nie.

– Jasne. Widzę przecież, jak patrzysz na nią każdej niedzieli, i jeśli chcesz znać moje zdanie, to ona i ten jej kapitan są sobie warci, skoro tak cię traktuje i ignoruje twoje uczucia.

Birch zerknął na swoją apodyktyczną przyjaciółkę, znajdując w jej oczach zrozumienie i prawdę. – Trudno walczyć z amantem z rzeki.

– Zasługujesz na kogoś lepszego. Masz jeszcze nas.

– Tak – odparł Birch. – Ale jedna z was spotyka się z moim mułem.

## *Haley*

*15 stycznia*

Linus Peabody zadzwonił do Haley w piątek rano, prosząc ją o spotkanie u niego w biurze, w ratuszu, o dziesiątej.

Pojechała swoim harleyem. Wiatr niemiłosiernie wciskał się w jej zimowy strój. Zawsze wsiadała na motor, żeby oczyścić umysł po kłótni z Daxem. Albo otrząsnąć się z jakiegoś innego rozczarowania.

Jak wtedy, kiedy odeszła z armii. Motor stał się jej towarzyszem, ostoją, gdy wyruszała, by odwiedzić przyjaciół w Teksasie, a potem na Florydzie.

Ale teraz, w Heart's Bend, w samym środku zimy, harley był kulą u nogi. Symbolem jej głupoty.

– Proszę wejść. – Linus otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać. – Dziękuję, że się pani do mnie pofatygowała. Przede mną kilka spotkań, z których nie będę mógł się wyrwać, a pomyślałem, że chciałaby pani poznać już naszą decyzję.

Pomału posuwała się w kierunku jego biurka, z bijącym sercem oczekując werdyktu.

– A więc, młoda damo, gratuluję. Została pani właścicielką nieruchomości przy First Avenue 143. – Linus zadzwonił kluczami w dłoni. – To klucze, które były w posiadaniu Keitha Nivena, i ostrzegam, że to jedyny komplet.

Haley wyciągnęła po nie rękę z uśmiechem na twarzy. – Powierzacie mi sklep? Naprawdę? Jest jakiś haczyk?

– Tak, powierzamy pani sklep. Szczerze mówiąc, chciałem przystać na ofertę firmy Akron, ale reszta radnych poparła panią. Moja ukochana stara ciotka także natarła mi uszu. Kupiła u panny Cory swoją wyprawę ślubną i stanowczo twierdzi, że młode kobiety w Heart's Bend również powinny mieć szansę uczestniczyć w tej tradycji, skoro znalazł się ktoś, kto chce ponownie otworzyć salon.

– Nie wierzę... – Haley zacisnęła palce na kluczach, czując, jak twarde metal

wbija jej się w skórę. – Nie zawiodę państwa. – Musi się udać, z Bożą pomocą. – Czy powinnam coś podpisać?

Zerknęła na jego biurko, szukając dokumentów, aktu notarialnego, czegokolwiek.

– Przekażemy akt notarialny, jeśli zostaną spełnione pewne warunki.

Aha, czyli jest haczyk. – To znaczy?

– Wie pani, że sparzyliśmy się już na wynajmie tego miejsca w przeszłości, więc teraz stawiamy kilka warunków. Chcemy być pewni, że prace renowacyjne rozpoczną się w ciągu miesiąca. Remont budynku ma zostać ukończony w trzy miesiące. Zaczynamy odliczać czas od pierwszego lutego, czyli prace powinny potrwać do pierwszego maja. Chcielibyśmy, aby salon zostały otwarte do piętnastego czerwca.

– To dosyć sztywny harmonogram. Jeśli coś pójdzie nie tak, to do kogo mogę się odwołać?

– Wszelkie odwołania będą rozpatrywane przez radę. Ale zapewniam, że jeśli przyłapiemy panią na jakichś wygłupach, odbierzemy sklep z dotychczas wykonanymi zmianami. *Powierzamy* pani budynek, zwalniamy z obowiązku zapłacenia zaległych podatków. Czekamy na popis brawury z pani strony. Podejmujemy ryzyko, więc chcemy kontrolować, jak i kiedy wszystko zostanie ukończone. Jeśli się pani nie uda, odbierzemy sklep bez możliwości zwrotu pieniędzy włożonych w remont. Jeśli odniesie pani sukces i utrzyma się w branży przez rok, otrzyma pani akt notarialny wraz z naszym błogosławieństwem.

Haley westchnęła, z grymasem na twarzy. – Powierzacie mi obiekt, który wymaga dużych nakładów finansowych, a dajecie bardzo mało czasu, żeby zebrać kapitał.

Linus oparł się zrelaksowany o swoje biurko. Haley przeszło przez myśl, że kiedyś mógł być przystojny. Z powodu permanentnie zmarszczonych brwi wyglądał na wiecznie poirytowanego. – To radziłbym pani wziąć się do roboty. Jeśli się uda, to w cenie remontu i wyposażenia będzie pani miała swój własny biznes. Jeśli nie, lekką ręką sprzedamy budynek firmie Akron. – Uniósł brew. – Akron zabiłby dla tej nieruchomości.

– Mówiąc przerośnie, oczywiście.

– Oczywiście, że przerośnie. Nie piszemy tu kryminału.

– A co z pozwoleniami i opłatami? Dostanę jakąś taryfę ulgową? A co, jeśli

sprawy urzędowe spowolnią prace?

Nie lubiła tego. Doświadczała tego często w wojsku. A musiała wykonywać zadania w jeszcze krótszym czasie i mierzyć się z jeszcze większą biurokracją. Ale poradziła sobie. Rada znalazła godnego siebie przeciwnika. Tak przynajmniej jej się wydawało.

– Opłaty są symboliczne. – Pochylił się w jej stronę. – Panno Morgan, to jest bardziej niż korzystna oferta. Jeśli chodzi o zezwolenia, to obowiązuje panią standardowy czas oczekiwania. Dwa do trzech tygodni. Zajmę się nimi teraz. Jak powiedziałem, odliczamy czas od pierwszego lutego.

– Dziękuję. – Haley uniosła pięść, pokazując swoją determinację. – Nie zawiodę państwa.

Gdzieś pod džinsami i skórzaną kurtką żyły w niej resztki kapitan Haley Morgan, która wzorowo dowodziła zespołem logistycznym w samym środku wojennej zawieruchy. Która odszczeknęła pułkownikowi domagającemu się części do swojego prywatnego pojazdu i nie pozwoliła sobą pomiatać i złamać przepisów, tylko dlatego, że przewyższał ją rangą. Kobieta, która potrafiła w mgnieniu oka zmienić swoje miejsce przebywania i w godzinę spakować całe swoje życie.

Pragnęła, aby salon odniósł sukces. Chciała tego bardziej, niż kiedyś pójść na bal z Brandonem Lutzem w jedenastej klasie, bardziej niż dostać się na uniwersytet w Tennessee, bardziej niż skończyć szkołę oficerską z najwyższymi wynikami, bardziej niż zostać kapitanem. Bardziej niż Daxa, który zdobył jej serce swoim pierwszym „Cześć”.

– Czy to oznacza, że się pani zgadza? – zapytał Linus, wstając. – Bo mam dla pani miły dodatek. – Wyjął z bocznej szafki poważnie wyglądającą kopertę. – Miasto ma środki, które może przeznaczyć na wybrane projekty. To część pieniędzy, o których wspominał Drummond Branson. – Wręczył jej kopertę. – To powinno pomóc pani ruszyć z remontem. Proszę jednak pamiętać, że to tylko pożyczka. Musi pani oddać pieniądze miastu. Proszę zapoznać się z dokumentami i jeśli chce pani spieniężyć ten czek, proszę przynieść do nas podpisane i poświadczony notarialnie dokumenty.

Haley zajrzała do koperty. – Dwadzieścia tysięcy dolarów?

– Powinno wystarczyć na dobry początek.

Haley wyciągnęła rękę w jego kierunku. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

– Już dobrze. – Wytrzymał jej entuzjastyczny uścisk dłoni, cały sztywny i formalny.

– Później przywiozę dokumenty. Nie pożałują państwo tego, panie Peabody.

– Proszę zrobić wszystko, żeby tak było.

Kiedy wyszła na zimne powietrze, odchyliła głowę do tyłu, wydając niemy krzyk triumfu, tupiąc nogami w miejscu i chichocząc. *Dzięki Ci, Jezzu, dzięki Ci.*

Pośród radości przypomniła sobie o bezwzględnym harmonogramie, który ją obowiązywał. Wyciągnęła z kieszeni telefon i wybrała numer Cole'a.

– Dali mi sklep.

– Co?

– Czy ja się jąkam? Dali mi sklep! Miasto.

– Naprawdę? Wow! Co powiedzieli?

– Linus przedstawił mi całą listę warunków. – Haley wymieniła wszystkie zastrzeżenia rady miasta, kończąc: – Ale na dobry początek dostałam od nich dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Nieźle, ale to tylko kropla w morzu potrzeb, Haley. Potrzebujesz kolejnych osiemdziesięciu tysięcy, jeśli nie więcej.

– Hej, gradowa chmuro, nie niszczonej chwili. Dwadzieścia tysięcy wystarczy, żeby rozpocząć prace, prawda? Pojadę do banku Downtown Mutual, żeby zorientować się, czy dadzą mi pożyczkę.

– Gratulacje.

– To wchodzisz w to ze mną? Potrzebuję budowlańca. – Usłyszała szcęk naczyń w tle i dźwięk rozmów w restauracji.

– Haley, wiem, co powiesz i...

– Więc nic nie mów. Jesteś *U Elli*? Nie ruszaj się stamtąd. Już jadę. Wysłuchaj chociaż moich argumentów.

Wcisnęła kask na głowę i wsadziła czek wraz z dokumentami do sakwy na motorze. Cole mógł żołądkować się, ile chciał, ale i tak jej pomoże. Z pewnością iskra, która zapalała się w niej, kiedy był blisko, osłabnie, kiedy się oswoi z jego obecnością. Zwykle dziewczęce zauroczenie. Wszystko przez te jego błękitne oczy, które wydawały się błyszczeć, gdy na nią patrzył. Znowu zaczynała bujać w obłokach. Ale musiał jej pomóc. Jeśli nie przez wzgląd na nią, to może dla Tammy. Żeby ją upamiętnić. Ich wspólna miłość do Tammy musiała coś dla niego znaczyć.

A poza tym był jedyną osobą, której w pełni ufała i mogła powierzyć to zadanie.

Przy drzwiach natknęła się na kelnerkę Jasmine z niebiesko-różowymi włosami.

– Hej, Jasmine. Szukam Cole’a.

– Siedzi na swoim stałym miejscu przy barze.

Haley wskoczyła na stołek obok niego. – Hej.

– Nie zmienię zdania. Daj mi w spokoju zjeść śniadanie. – Zanurzył widelec w wielkim talerzu sałatki.

– Jesz sałatkę na śniadanie? Jesteś na diecie?

– Potrzebuję czegoś zielonego i staram się schudnąć. W czasie świąt z Chrisem i Capem żywiliśmy się tylko pizzą i ciastkami.

– Och, Haley, jak się masz! Moja lada od razu wypiękniała. – Tina wyłoniła się z kuchni, stawiając przed Cole’em gazowany napój z lodami. – Co mogę ci podać, kochanie?

Kiwnęła w kierunku szklanki Cole’a. – Tak chcesz zrzucić kilka kilogramów?

– Mówiłem o pizzy i ciastkach. Nie wspominałem nic o lodach.

– Przemów mu do rozsądku, dziewczyno – odezwała się Tina. – Jestem przeszczęśliwa, gdy od czasu do czasu uda mi się w niego wepchnąć trochę sałaty i pomidora.

– Miasto powierzyło Haley salon ślubny, mamó. – Cole wziął do ust dużą porcję sałaty.

– Wspaniale! Czy Cole będzie twoim kierownikiem budowy? Jest dobry w tym, co robi. Naprawdę dobry.

– Tak słyszałam. Ale wygląda na to, że ma inne plany. – Porwała mu z talerza kawałek pomidora, więc przesunął talerz w jej kierunku i sięgnął po swój lodowy napój. – Zostaniesz moim kierownikiem budowy?

– Nie, jeśli będę pracował dla Akron Developers.

Tina wycofała się, chwyciła za dzbanek z kawą i ruszyła na salę.

– Proszę, pomożesz mi? To niesamowita okazja. Marzenie życia. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla Tammy.

Podniósł dłoń. – Przestań. – Obrócił się, spoglądając jej w twarz. – Haley, nie chciałem nic ci mówić, ale nie sądzę, żeby Tammy chciała w ogóle otwierać ten stary salon. Nigdy mi o tym nie wspominała.

– To nieprawda. Ze mną o tym rozmawiała. – Cóż, kiedyś. Ostatni raz w college’u. Jeszcze rzadziej, kiedy Haley wstąpiła do sił powietrznych. Ale to od zawsze był ich plan. – Przysięgałyśmy sobie, na nasze małe paluszki.

– Na co? – Cole skrzywił się. – Nawet nie wiem, co to znaczy. – Chwycił swoje piwo korzenne, ale nie pił. – Słuchaj, nie chcę cię urazić, ale nic nie łączy mnie, ciebie, Tammy i tego salonu. Przykro mi, Haley.

– To, że nigdy tobie o tym nie mówiła, nie oznacza, że zmieniła zdanie. Może zakładała, że stanie się to, kiedy będziemy starsze. Wiem tylko tyle, że obiecałyśmy sobie, że otworzymy salon sukien ślubnych. Ona odeszła, ale... – Nienawidziła płakać, szczególnie przy chłopakach.

Cole przykrył jej dłoń swoją ręką. – Odeszła, więc dlaczego czujesz się do tego zobowiązana? Nawet narzeczeni przysięgają sobie, że będą wierni tylko „aż do śmierci”.

Jego dłoń była stanowcza i ciepła. Chciała zabrać rękę, ale jego dotyk wywoływał w niej te same uczucia, których doświadczyła tamtego wieczoru w sklepie. – Ponieważ... – przełknęła ślinę, delikatnie zabierając dłoń. – Muszę dotrzymać danej obietnicy, Cole. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale sklep... Zawsze czułam dziwną relację z tym miejscem. Jakbyśmy należeli do siebie.

Puścił ją, obracając się i patrząc przed siebie. – Praca dla Akronu oznacza, że nie będę musiał już się martwić o pieniądze, Haley.

– Będziesz mógł spać spokojnie, wiedząc, że poniosłam porażkę, bo mi nie pomogłeś? Kiedy na rogu Blossom i First Avenue powstanie szkaradny parking?

Cole napił się ze szklanki, potem zamieszał słomką lody pływające w piwie. – Mogę podać ci namiary na świetnych fachowców. Przede wszystkim kontakt do Gomeza Sancheza. Nie mogę zatrudnić swojej ekipy przy projekcie Akronu, więc będą mogli pracować u ciebie.

– Ale ja nie mam pojęcia, co mają robić. Nie znam ich. To ciebie znam i tobie ufam. – Uczucia, które wywołała jego obecność i ciepło jego dłoni zaczynały w niej powoli słabnąć.

– Przyjmę propozycję firmy Akron – zerknął na nią, nieskruszony.

– Dobrze, ale czy mógłbyś się ze mną spotkać dziś po południu? Powiedzieć mi *szczegółowo*, co trzeba zrobić w salonie? A najlepiej dokładnie napisać i zrobić wycenę. Umów mnie z tym Gomezem.

– To mogę zrobić. – Cole wyciągnął swój telefon. – Zadzwońię do niego od



razu.

Haley ześlizgnęła się ze stołka i pochyliła do niego. – Ale nadal chcę ciebie.

# *jedenaście*

*Cora*

*Święto Dziękczynienia 1930*

Spacerowała wśród drzew na tyłach posesji, starając się zebrać myśli i kopiąc liście, które wchodziły jej w drogę.

W domu mama wraz z ciotkami spędzały przyjemnie czas, śmiejąc się, przygotowując torty i ciasta w kuchni oraz parząc kawę.

Mężczyźni zgromadzeni na werandzie z przodu domu popijali porto i kurzyli fajki, debatując nad wynikami uniwersyteckich rozgrywek futbolowych – spierali się, czy drużyna Vanderbilt Commodors pokona Maryland Terps w najbliższy weekend.

Natomiast chłopcy, na trawniku z boku domu, rzucali piłkę, krzycząc od czasu do czasu: „Przyłożenie!”.

Cora doszła do polany i uniosła twarz w stronę szarego nieba, wdychając cząsteczki chłodnego, orzeźwiającego powietrza. Za skarpą rzeka Cumberland płynęła powoli, jakby przechadzając się leniwie wokół zakrętu. Cora spojrzała w kierunku zachodnim, tęskniąc za ukochanym.

Minęło niemal pięć miesięcy od jego niespodziewanej wizyty w Dniu Niepodległości. Odkąd posmakowała namiętności jego pocałunków. Odkąd usłyszała chropowatość w jego głosie. Odkąd poczuła, jak bierze ją w swe ramiona.

Szybko otarła łzy, spływające po policzkach. W piersi narastał jej gniew wymieszany z rozczarowaniem i tęsknotą. Choć znowu była sama, nie porzuciła swojego postanowienia, by być wierną, wierzyć, czekać.

Obiecał, że znów się z nią zobaczy, a prędzej czy później Rufus zawsze dotrzymał słowa. Tylko jak długo dojrzała, trzydziestoletnia kobieta może spotykać się ze swoim ukochanym tylko dwa razy w roku?

W domu nie brakowało rodziny i przyjaciół, którzy wygodnie rozsiedli się wokół ogromnego stołu mamy.

Wspaniale było móc słyszeć znajome głosy i śmiech. Serce Cory wypełnione było miłością do bliskich. A jednocześnie odczuwało tęsknotę za miłością mężczyzny. Pragnęła, żeby Rufus St. Claire siedział teraz przy jej stole. Zaprosiła go. Obiecał, że postara się zjawić.

Corze udawało się z godnością znosić swoje rozczarowanie. Odpowiadała nawet na szczere do bólu i wścibskie pytania cioci Dinah na temat jej planów matrymonialnych.

– Jeśli będziesz za długo czekać, to zostaną ci tylko starsi mężczyźni i ci, którzy poprzednio nie spisali się w roli męża. Choć i tak lepsze to niż życie w staropanieństwie.

– Dinah, zlituj się. Zostaw dziewczynę w spokoju. – Mama nigdy nie znosiła siostry taty. – Jesteś po prostu zazdrosna, że Jane ją wybrała na swoją następczynię, a nie ciebie.

*Brawo, mamo. Dziękuję.* Choć oczywiście mama sama nie ograniczała się w komentarzach dotyczących życia Cory.

Dopiero gdy córka Dinah, a kuzynka Cory – Irma – ogłosiła, że jest w ciąży, Cora poczuła, że musi uciec. Irma miała jedynie dwadzieścia dwa lata. Była żoną Roba, porządnego, ciężko pracującego chłopaka, i już niedługo miała zostać matką.

Cora zakochała się w człowieku, który miał już inną kochankę. Rzekę. Poszła więc, żeby stanąć twarzą z twarzą ze swoją konkurentką i zobaczyć, jakaż to moc trzymała jej mężczyznę z dala od niej.

Zamknęła oczy i, czytając ponownie w myślach jego listy, wyobraziła sobie Rufusa.

*Kochanie, płyniemy w dół Arkansas. Żałuję, że nie ma Cię ze mną.*

*Moja słodka, powinnaś zobaczyć rzekę Missisipi. Jest silna i dzika. Przypomina mi Ciebie.*

*Zobaczymy się, jak tylko będę mógł. Wiedz, że zawsze jesteś w moich myślach.*

*Dzika? Ona? Cora uwielbiała patrzeć na siebie oczami Rufusa. Próbowwała go zrozumieć, zobaczyć świat ze sterówki jego statku. Ostatnio, nie mogąc zasnąć, zerknęła zza zasłony swojej tęsknoty i podjęła decyzję.*

Następnym razem, gdy Rufus przybije do portu w Heart's Bend, ucieknie z nim. Będzie tęskniła za salonem i pannami młodymi, które jej zaufały. Ale nadszedł już czas, żeby skonsumowali swą miłość.

Rufus przez trzy cudowne dni – wtedy, kiedy zjawił się w Heart's Bend pamiętnego czwartego lipca – w kółko zarzekał się, że się z nią ożeni. Zamierzała rozliczyć go z danego słowa.

Niemal oddała mu się na sekretarzyku w salonie, w noc przed jego odjazdem. Cora była tak przepełniona namiętnością, że z trudem trzeźwo myślała, a co dopiero miała pamiętać o zasadach moralnych. Rufus był panem jej serca i duszy.

– Cora! – Obróciła się i zobaczyła mamę, maszerującą przez wysoką trawę. – Wiedziałam, że cię tu znajdę. – Poczowała w nozdrzach zapach mentolowych papierosów.

– W kuchni było zbyt ciepło i tłoczno. – Wiatr zwał kręcone kosmyki włosów Cory na jej twarz. Delikatnie je odgarnęła. Rufus lubił, jak włosy wpadały jej do oczu. Mówił, że wygląda wtedy tajemniczo.

– Czas na deser. – Mama stanęła przy Corze z policzkami zaczerwienionymi od ostrych podmuchów mroźnego wiatru; wolną rękę trzymała w kieszeni sukni. – Liberty zajmuje się wszystkim. Złoto nie dziewczyna. Jestem jej bardzo wdzięczna, że przyszła dzisiaj po południu pomóc i posprzątać.

– Przydadzą jej się dodatkowe pieniądze.

Liberty wyszła za mąż w sierpniu i spodziewała się już pierwszego dziecka. Promieniała – jej ciemne oczy świeciły, a skóra była niczym mleczna czekolada. Cora jej zazdrościła. Pomimo restrykcji, z którymi kolorowi musieli się mierzyć ze strony prawa, Liberty była wolna. Mogła kochać mężczyznę, którego pragnęła. Prawo nie było w stanie ingerować w jej serce, nie mogło zmienić tego, kim była naprawdę, tego, jaka była, będąc sam na sam ze swoim Jakiem.

Cora chciała móc przeżywać to samo z Rufusem – kochać bez ograniczeń. Teraz nie mogła chodzić tam, gdzie miała ochotę, bo była niewolnicą pewnego kapitana. To on ograniczał jej zdolność kochania. Rzucił jej przynętę, a potem zostawiał samą. Nie mogła pójść tam, gdzie chciała. Bo chciała być z nim.

Mama zaciągnęła się porządnie swoim papierosem. Cora odgoniła dym, choć nie miała nic przeciwko zapachowi mentolu. Przypominał jej dziadków i deszczowe popołudnia spędzone w salonie na grze w warcaby, śpiewaniu i czytaniu.

– Wiesz, co pastor Clinton myśli o paleniu. – Wielebny był dziś gościem przy stole rodziców. Wraz ze swoją żoną i dwójką synów.

– A jak myślisz, dlaczego tu przyszedłam? Nie byłam dziś w nastroju do wysłuchiwania kazań.

– Wszystko dobrze? – Mama paliła więcej, jakby była spięta. Cora wprawdzie nie słyszała ostatnio żadnej kłótni rodziców za zamkniętymi drzwiami, jednak wydawało jej się, że spierają się bez słów. Prowadzili sztywne i nienaturalne rozmowy. Mówili tylko to, co było konieczne.

– Jeśli nie jest, to będzie.

– Odkąd zamknięto Caldwell and Company, tata jest jakiś inny. – Dwa tygodnie temu upadła wielka sieć banków w Nashville, do której należał bank taty, pociągając kilka innych za sobą. Gazety spekulowały, że jeszcze więcej banków pójdzie w ich ślady.

– Martwi się. Mówi, że wszystko jest w porządku, że u nas jest w porządku, że owszem, musiał zamknąć bank na kilka tygodni, ale otworzy go pierwszego stycznia. Ale ja już widziałam go w takim stanie i wiem, że źle z nim. I z nami też.

Mama westchnęła, rzucając papierosa na ziemię i zdeptując go swoimi brązowymi oksfordami.

– Nie pamiętam zbyt wiele, ale w czasie kryzysów w 1907 i 1914 też się wydawał cichy i zamyślony.

– No właśnie. Coro, boję się o niego. Nie chce się otworzyć. Nie mogę z niego wyciągnąć, o co chodzi. Cały czas powtarza mi, że nie ma się czym martwić. – Mama wyciągnęła z kieszeni kolejnego papierosa i srebrną zapalniczkę. Aromat mentolu zmieszał się z zapachem deszczu. – A ty co tu robisz?

– Mówiłam ci, że w domu było za ciepło. Tłoczno.

– Czy chodzi o Irmę i Roba?

– Bardzo się cieszę z ich powodu. Przyda nam się tu więcej dzieci.

– Dobrze by było, żebyś ty też się do tego przyczyniła.

– Mamo, jest Święto Dziękczynienia. To nie czas na narzekanie.

– Niech ci będzie. Birch wpadł na chwilkę w drodze do domu. Wracał od Melsonów. Twój tata namówił go, żeby został na deserze. Pyta o ciebie.

– Nie dam rady wcisnąć ani jednego kawałka więcej. – Cora poklepała się po brzuchu, walcząc z napływającymi łzami. – Zjadłam zbyt dużo twoich pysznych

drożdżowych bułeczek.

Mama pochyliła się do przodu, żeby przyjrzeć się jej twarzy. – Zlituj się, Coro. Przyszłaś tu, żeby podumać o tym swoim Rufusie. A niech mnie, nie daleko pada jabłko od jabłoni. Cały ojciec.

– Jeśli nie chcesz wiedzieć, to nie pytaj.

– Nie mogę pojąć, dlaczego ty tak za nim tęsknisz. Pisze do ciebie zmyślne słówka po to, by trzymać cię na swojej smyczy. Proszę, nie mów mi tylko, że poszłaś z nim do łóżka.

– Mamo!

– Masz przecież trzydzieści lat. Jesteś dorosłą kobietą. Nie jestem naiwna.

– Nie, nie poszłam – odpowiedziała szczerze. – Ale wyjdę za niego. Zobaczysz.

– Kiedy, Coro Beth? Minęły ponad cztery lata. Od dnia, kiedy się poznaliście, obiecuje ci, że do ciebie wróci i ożeni się z tobą. Na Boga, przecież był tutaj w lipcu. Mógł poprosić tatę o twoją rękę.

– Chce być pewien, że jest gotowy. Buduje nadal swój biznes. Już niemal zebrał odpowiednią sumę. Chce zapewnić mi i dzieciom porządną dom. – Cora zerknęła na mamę. – W St. Louis.

– W St. Louis? Poważnie rozważasz zrezygnowanie z salonu? Jane przewraca się w grobie. – Mama parsknęła śmiechem. – Co na to Dinah?

– Jane pragnęłaby, żebym się zakochała, była szczęśliwa. Sama żałowała, że nigdy nie wyszła za męż. Nie wspominała o tym często, ale wiem, że tak właśnie było. A kogo obchodzi, co powie Dinah? Pomyślałam, że mogłybyście poprowadzić sklep razem z Odelią. A ja przyjeżdżałabym od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak sprawy się mają.

Mama zmarszczyła się, pstrykając paznokciami dłoni, w której trzymała papierosa. – Ale ja nie szukam dodatkowego zajęcia. Twój tata ciężko pracował, żeby wyrobić nam nazwisko. Pozwalał mi zająć się czymś poza domem, kiedy tylko chciałam, ale dla ciebie pracowałam tylko z grzeczności, jako wspierająca matka. Powiem to jeszcze raz, wątpię w uczciwość twojego Rufusa.

– Już to mówiłaś.

– Ale skoro mu ufasz, to nie mam wyjścia, i też muszę mu zaufać. – Wiatr przywiał zapach dymu z mamy papierosa. – Dobrze cię wychowałam. Ale, Coro, obiecuj mi coś. Nie będziesz czekać na niego kolejny rok. Proszę cię. Większość

twoich przyjaciółek założyła już rodzinę. Zaczęła żyć własnym życiem.

– A czy są też właścicielkami salonu ślubnego? Prowadzą jakiś interes?

– Większość z nich nie ośmieliłaby się przedłożyć kariery nad dom i dzieci. Czy jest jakaś lepsza inwestycja niż rodzina? Mówi się przecież, że ręka, która kołysze kołyskę, rządzi światem.

– Tak, to wszystko brzmi pięknie i szlachetnie, ale wolę już mieć mężczyznę, którego kocham, i pracować w branży ślubnej. Ty byłaś szaleńczo zakochana w tacie, kiedy za niego wychodziłaś.

– To twoje życie, Coro. – Mama zdeptała papierosa w tym samym miejscu, co pierwszego. – Nie tego dla ciebie pragnę. Ale to twoje życie.

– Mamo, a nie możesz być po prostu ze mnie dumna? Chociaż dlatego, że słucham głosu serca? Albo przez wzgląd na sklep? Przecież wspaniale nam idzie. Zarobiłyśmy tej jesieni mnóstwo pieniędzy na listownych zamówieniach. Nawet gdy anulowałam ogłoszenie, kobiety znalazły stare numery magazynu i na ich podstawie złożyły zamówienia. Zatrudniamy dwadzieścia krawcowych. Bit Jenkins tyle zarobiła, że była w stanie kupić rodzinie radio.

– Jestem z ciebie dumna, widząc, co robisz. Zatrudniasz kobiety z miasteczka. Pomagasz pannom młodym w najcudowniejszym momencie ich życia.

– A czy po trzydziestu czterech latach małżeństwa nadal jest cudownie?

– Coro, małżeństwo to ciężka praca, nie będę cię oszukiwać. Bywają dni, że jest cudownie, innymi razy jest gorzej. – Mama wystawiła twarz na podmuch silnego wiatru i odgarnęła włosy wchodzące jej do oczu. – Ale ten wysiłek jest tego wart. Nie chciałabym patrzeć, jak omija cię to szczęście, zwłaszcza po tym, jak pomogłaś tak wielu dziewczętom. Jane nie wyszła za mąż, bo miała złamane serce. Nigdy więcej nie dopuściła do siebie żadnego mężczyzny. Jeśli nie będziesz ostrożna, skończysz tak jak ona.

Cora spojrzała na rzekę Cumberland i jej zakole, gdzie po raz pierwszy, pięć lat temu, zobaczyła *Wędrowca*, statek Rufusa. Nie miała pojęcia, że szykowny kapitan własnoręcznie dostarczy towary do jej sklepu. Nie miała pojęcia, że zawładzczy jej serce.

– Mamo, nie skończę jak ciocia Jane. Rufus dotrzymuje słowa.

– Muszę cię o to zapytać... Co z biednym Birchem? Nie podoba ci się?

– Rufusa zobaczyłam po raz pierwszy latem. Miał strasznie ciemną skórę, od pracy na słońcu, i złotawe włosy, niemal białe. A oczy... jak niezmierzone

błękitne niebo. Wszedł przez tylne drzwi sklepu, wysoki, postawny...

– Pamiętam ten dzień, ale nie złotego boga, którego opisujesz.

Cora westchnęła. – Więc pewnie nie było ci dane to dostrzec. Przy Birch nigdy nie czułam się tak, jak przy Rufusie.

– Dzień dobry. – Birch wyłonił się zza drzew, w spodniach schludnie wyprasowanych w kancik, w koszuli z podwiniętymi mankietami ukazującymi silne przedramiona. – Zastanawiałem się, gdzie się panie podziały.

Cora odwróciła wzrok, gdy ich oczy się spotkały.

– Czy Liberty podała już ciasto? – zapytała mama, klepiąc się po kieszeni. Miała w zwyczaju sprawdzać, czy jej papierosy są bezpieczne w swojej kryjówce.

– Podała. Zdążyłem się już poczęstować i spróbować po kawałku dyniowego i orzechowego ciasta.

– Zawsze jesteś u nas mile widziany. Cora, wracam do domu. Nie stój tu zbyt długo. Jest przesywający chłód.

– Myślę, że wrócę z tobą. – Cora odwróciła się, żeby podążyć za matką, ale Birch chwycił ją za ramię.

– Czy mogę cię prosić na chwilkę?

– Nie spieszcie się – rzuciła mama.

– Jak się miewasz? – Birch rozluźnił swój uścisk.

– Dobrze. Ale nie chce mi się wierzyć, że przyszedłeś aż tutaj, żeby mnie o to zapytać.

– Wydawało mi się to grzeczniejsze niż: „Co się z tobą dzieje?”.

– Co się dzieje... Nic. O co ci chodzi?

– Cóż, może tylko mi się wydaje, ale unikasz mnie. Od lata, od przyjęcia z okazji czwartego lipca, kiedy ni stąd, ni zowąd zjawił się twój marynarz, prawie ze mną nie rozmawiałaś. Mijasz mnie w kościele, jakbym był trędowaty.

– Trędowaty? Nie podejrzewałam nigdy, że masz tendencję do wyolbrzymiania. – Skrzyżowała ręce na piersiach, budując mur obronny. – Skoro mam być szczerą, to ty mijasz mnie obojętnie. Jeśli dobrze pamiętam, to czwartego lipca dotrzyzymałeś towarzystwa Janice i Wanecie. I wydawałeś się bardzo zajęty. Od tamtego czasu to ty *mnie* unikasz.

– Pfff, robisz z igły widły. Przynajmniej chciały posiedzieć ze mną i starym Wujkiem Samem. Wolalbym być z tobą. Ale byłaś zajęta swoim kapitanem.

Zadrzała od poddmuchu wiatru i prawdy, która kłuła w oczy. – Birch, nie



potrafię być taką osobą, jaką ty byś chciał, żebym była. Nie potrafię.

– Skąd wiesz? – Zrobił krok w jej stronę, biorąc ją w ramiona. – Nigdy nie dałaś mi szansy.

– Puść! – Starła się go odepchnąć i wykręcić twarz w drugą stronę.

– Wydaje mi się, że marnujesz swoje życie dla mężczyzny, który o ciebie nie dba.

– Nie masz prawa, Birch. Ty tylko potrafiłeś patrzeć na niego z wyrzutem. – Zapach palonego drewna, które przyniósł wiatr, sprawił, że Cora zatęskniła za młodością, kiedy z Ernestem juniorem biegali po lesie, budowali forty, bawili się w udawanie i wracali do domu na ciepłą kolację.

Nawet gdy w 1907 i 1914 zniknął tata, mama pilnowała, żeby ich dom nadal był bezpieczną ostoją.

– Bo mu nie ufam.

– Więc jestem głupia? Nie umiem rozpoznać złego człowieka?

– Nie jesteś głupia. Mówię tylko...

– Że kocham niewłaściwego mężczyznę? Powinnam kochać ciebie zamiast niego? – Koniec z owijaniem w bawełnę. Odrzuciła niedomówienia, które przez lata znaczyły ich relację.

– Tak. – Zacisnął palce na jej plecach, przyciągając ją bliżej do siebie. – Pokochaj mnie. – Birch swoją posturą osłaniał ją od wiatru. – Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Nie wiesz tego? Nie widzisz?

Cora pokręciła przecząco głową i uwolniła się z jego uścisku. – Nie rozumiesz? Nie możesz mnie kochać, Birch. Nie możesz.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ ja cię nie kocham, a nie potrafię udawać. Nie chcę cię zranić.

– Potrafię się zatroszczyć o swoje serce, Coro.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Ty możesz wybrać miłość, a ja nie? Birch, Rufus mnie kocha i jeśli ma jakieś plany, przez które muszę na niego czekać, to poczekam. Więc, rozumiesz, że nie możesz na mnie czekać. Nie kocham cię w ten sposób. To jego kocham. To on jest mężczyzną dla mnie. – Uchwyciła kołnierzyk jego koszuli. *Wysłuchaj mnie.* – Dałam mu swoje serce i słowo.

– Coro, jesteś mądrą, wspaniałą kobietą. Ale pozwalasz, by ten marynarz niewolił twoje serce czułymi słówkami.

– Niech więc nigdy nie będę wolna. – Czy mówiła poważnie? Chciała czuć w

sercu to, co Liberty miała wypisane na twarzy.

– Cora, Birch, chodźcie! Chodzi o Esmé. – Zza drzew wyłonił się kuzyn Porcky z Knox Country. – Upadła.

– Co? Mama... – Cora ruszyła biegiem ścieżką w stronę domu. – Dzwoniliście po lekarza?

Birch biegł obok niej, odgarniając zwisające gałęzie i przerośnięte krzewy. – Co się stało, Porcky?

– Wszystko wydarzyło się przy deserze. Ernest w końcu powiedział Esmé, co się dzieje. Coro, stracił wszystko! Bank, dom, ziemię, wszystko.

Zatrzymała się, zderzając się z zimną ścianą przerażenia. – Porcky, mylisz się. Tata ma otworzyć bank po Nowym Roku. To tylko drobne komplikacje. Nie mógł stracić wszystkiego. To nie ma żadnego sensu. Jakim cudem mógł *stracić* wszystko? – Chciała pobiec do domu, ale jej stopy odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc opuszczać swojego bezpiecznego schronienia pomiędzy lasem a rzeką.

– Coro, upadek banku Caldwell zrujnował całe Południe – odparł Porcky, zerkając na Bircha. – Jeśli mówi, że stracił wszystko, to naprawdę stracił *wszystko*.

## *Haley*

– A więc? – Cole i Gomez rozmawiali na schodach, naradzając się w swoim budowlanym żargonie.

Cole uniósł jeden palec. – Sekundkę.

Westchnęła. Salon należał do niej. *Do niej*.

– Uśmiechasz się – odezwał się Cole.

– Wiem. Nie mogę się powstrzymać. Strasznie mi się tu podoba. Dobrze się tu czuję. Jest tak czysto i jasno.

– Czysto? Obejrzałaś sobie wszystko dobrze? Łazienki? Drugie piętro?

Tak, miała świadomość, w jak rozpaczliwym stanie znajdował się salon. Oglądała go całe popołudnie z Cole'em i Gomezem. Wymagał dużo pracy i sprzątanía. Jedna część Haley gorączkowo zastanawiała się, jak zdobędzie osiemdziesiąt tysięcy dolarów, a może więcej, i jakim cudem postawi to miejsce na nogi. Druga część skakała z podekscytowania.

To nie zewnętrzny widok tego miejsca ją urzekł, ale jego aura, atmosfera, która

tu panowała. Wszystkie historie o nadziei i miłości zaklęte w tych ścianach.

– Haley, Gomez pojedzie z tobą, żeby złożyć wnioski o zezwolenia. Ma wszystkie informacje potrzebne, by uniknąć wpadek.

– Myślisz, że udałoby się najpierw wyremontować drugie piętro, żebym mogła się tam wprowadzić? – Była gotowa, żeby się usamodzielnić, nawet jeśli wymagałoby to rozbicia obozowiska, użycia latarek i świec, odgrzewania obiadów w mikrofali czy stołowania się w kawiarni *Java Jane's*.

– Moglibyśmy, ale skoro obowiązuje cię napięty harmonogram, najpierw odnowiłbym salon. Bez drugiego piętra przejdziesz pozytywnie inspekcję budowlaną. – Poprosił Haley, żeby usiadła obok niego na schodach. – Spójrzmy na całość. – Obrócił swojego iPada w stronę Haley. – Trzeba całkowicie przerobić instalację elektryczną i wodno-kanalizacyjną. Nie wiemy, co jest za ścianami, ale mam nadzieję, że nie znajdziemy tam żadnego azbestu. Fundamenty wydają się być w dobrym stanie, ale więcej będziemy wiedzieć po kontroli inspektora budowlanego. Gomez zna faceta, który może od razu tu przyjechać. Musimy wypiąskować i wykończyć podłogi, łącznie ze schodami. Trzeba zająć się ścianami i je jakoś pomalować. Poszedłbym w białą lub szarą farbę i ciemne drewniane podłogi.

– Mam w głowie pewien pomysł. Urządzmy wszystko w stylu „hollywoodzkiego szyku”.

– „Hollywoodzki szyk”? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Będzie idealnie pasował do tego miejsca. – Stuknęła w iPada. – Co dalej?

– Trzeba odnowić dach. Przygotuj się, że mocno oberwiesz po kieszeni. Musimy wymienić okna. Możemy wstawić nowe z grubymi szybami. Tylko z przodu budynku odrestaurowałbym stare okna z ołowiowymi wstawkami. Ludzie z Towarzystwa Historycznego będą przeszczęśliwi.

– I sklep zachowa swój urok.

– Tak, sklep zachowa swój urok. – Jego noga dotknęła jej, kiedy poprawiał pozycję. Haley próbowała oprzeć się emocjom, które narastały w niej w jego obecności. Będzie musiała to zwalczyć. Nie chciała, żeby to nią zaważnęło. Nie planowała romansu. – Trzeba wyczyścić frontową elewację i odświeżyć teren zielony przed budynkiem. Weranda z tyłu się wali. Sugeruję, by ją zdemontować.

– Nie. Chcę ją zachować.

Westchnął. – Nie ma jej w oryginalnym projekcie.

– Ale chcę ją zostawić.

Cole zerknął na Gomeza. – Pani życzy sobie, żeby zostawić werandę. – Stuknął w ekran. – Odbudowanie werandy z tyłu domu. Kuchnia na drugim piętrze. Nowa łazienka. – Z każdym słowem Cole'a zwiększał się koszt remontu. – Nie bardzo wiem, jakie będziesz chciała mieć wyposażenie sklepu, ale potrzebujesz też mebli. Gablotek, witryn... i co tam jeszcze jest niezbędne w salonie ślubnym. Do tego kasa fiskalna i tak dalej. Tu podałem wartość orientacyjną, żeby zmieścić się w około osiemdziesięciu tysiącach.

– Wiem, wiem. Już się tym zajęłam. – Znalazła w Internecie jakieś gablotki z 1890 roku, ale kosztowały majątek. Będzie lepiej, jeśli poszuka jakichś mebli do renowacji. Kolejne zadanie przy tak ograniczonym czasie i budżecie.

Wiedziała, że musi zdobyć jeszcze dziesięć tysięcy dolarów, żeby zacząć prace, ale nadal szukała sukni ślubnych, welonów i innych elementów wyprawy ślubnej.

– Ach, i tu na górze... – Cole wbiegł na antresolę. Gomez i Haley ruszyli za nim. – Pamiętasz, że te drzwi są zamknięte. Nie możemy znaleźć klucza, więc nie wiem, co się za nimi kryje.

– Jasne. Keith mówił, że będziemy musieli się przez nie przewiercić.

Cole przykucnął, żeby przyjrzeć się zamkowi. – To oryginalna gałka. Jesteś pewna, że chcesz, żeby się w to wwiercać? – Obejrzał się na Gomeza. – Myślisz, że uda ci się dostać do środka, nie niszcząc zamka i gałki?

Mężczyzna pochylił się, żeby mieć lepszy widok. – Bean Wells jest najlepszym ślusarzem w okolicy. Poproszę go, żeby na to spojrzął.

– Co ty na to? – Cole spojrzął w górę na Haley. – Dopisz kolejne sto dolarów do kosztorysu. Mówiłaś, że chcesz to zachować.

– Czym jest kolejne sto dolarów w obliczu stu tysięcy, których i tak nie mam.

Gomez odsunął się, a Haley pochyliła się tuż przy Cole'u, by przyjrzeć się zamkowi z bliska. Zerknęła na niego. Ich oczy znajdowały się na tej samej wysokości; wpatrywali się w zamknięte drzwi kryjące tajemnicze pomieszczenie. Haley poczuła na twarzy jego oddech o zapachu mięty. Od razu się wyprostowała. Musi położyć kres takim *momentom*.

– Hej! – zagadała. – A co z facetem od komputerów? Może on ma klucz?

– Jeśli go ma, to już dawno z nim przepadł. Zniknął z Heart's Bend. – Cole

wstał, notując coś na swoim iPadzie i próbując jeszcze raz otworzyć drzwi. – Nie wierzę, że nikt wcześniej nie próbował się tu dostać.

– Może to miejsce zarezerwowane tylko dla tych, którzy próbują tu otworzyć salon ślubny?

– Ha! – Cole puścił do niej oko, wywołując burzę w jej żołądku.

– Cole?! – Z parteru dał się słyszeć niski, tubalny głos.

Cole skrzywił się, wymienił spojrzenia z Gomezem i spojrzał w dół przez balustradę. – Witaj, Brant. Jak się masz?

Haley patrzyła, jak Cole schodzi po schodach i powściągliwie wita się przy drzwiach wejściowych z Brantem Jacksonem, człowiekiem z Akron Developers. Usłyszała tylko:

– Nie możesz mnie winić...

– Nie chcemy, żebyś...

– A co z...

Brant powiedział ostatnie słowo i wyszedł. Cole stał w niewielkim holu z rękami opartymi na pasku i ze zwieszoną głową.

Haley zeszła po schodach. – Czego chciał?

– Niczego.

Pochyliła się, żeby spojrzeć mu w twarz. – To nie wygląda jak „nic”.

– Zwolnił mnie.

– Zwolnił cię? A czy zdążył w ogóle cię zatrudnić?

– Powiedział, że skoro nie przydałem mu się do zdobycia tej nieruchomości, to znajdzie kogoś innego. – Cole spojrzał w tył, rzucając okiem na salon.

– Brancie Jacksonie, odpuść już! To przecież tylko *mały* sklepik!

Cole zaśmiał się, obejmując ją w talii i odciągając od frontowych drzwi. – Cicho, usłyszysz cię. Wychylił się i zamknął drzwi stopą.

– Z zewnątrz? A kogo to obchodzi? – Haley czekała, aż ją puści, ale on nadal ją obejmował. – Cole, przykro mi. – Spojrzała w górę na niego i delikatnie wyswobodziła się z jego uścisku. – Wiem, jak bardzo zależało ci na tej pracy.

– Cóż, raz na wozie, raz pod wozem.

– Muszę więc zapytać... Cole, zostaniesz moim kierownikiem budowy?

Przyglądał się Haley przez chwilę, potem wyciągnął ku niej dłoń. – Pod jednym warunkiem.

Haley uściśnęła jego rękę. – Czego tylko sobie życzysz.

– Nie wspomnisz już o Tammy.

Haley zawahała się, próbując odczytać z jego twarzy, co kryje się za tą prośbą. Ale widziała jedynie determinację. – Dobrze. Umowa stoi.

# dwanaście

*Cora*

*Luty 1931*

Corę obudziło uderzenie pioruna i światło błyskawicy. Hałas wyrwał ją z ciężkiego snu. Od upadku banku i od odejścia taty nic jej się nie śniło.

Jej serce wybijało niezmordowane *staccato*. Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna, aby je otworzyć.

– Burza śnieżna z piorunami – wyszeptała, wychylając się przez okno, wdychając mroźny zapach śniegu.

Płatki śniegu wirowały, opadając coraz niżej i niżej. Wystawiła dłoń i próbowała złapać zamrożone kryształki – jeden, dwa, trzy... Ale topiły się na jej ciepłej skórze.

– Boże, proszę, niech to samo stanie się z wszystkimi naszymi problemami.

Tych kilka prostych słów było jej pierwszą prawdziwą modlitwą, odkąd tata odszedł dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Powiedział mamie, że idzie po tytoń do fajki, ona odkrzyknęła, żeby kupił jej też paczkę papierosów, a on nigdy już nie wrócił.

Starał się na tyle zachować jak mężczyzna, że wysłał kartkę świąteczną. Napisał, by się o niego nie martwiły i że ma się dobrze.

O mamie nie można było tego powiedzieć. Esmé chodziła po domu otepiała, mamrocząc ciągle coś do siebie.

– Twój ojciec ucieka, kiedy robi się ciężko, ale wróci. Zawsze wraca. Zobacz, nadal mamy dom. Wszystko będzie dobrze.

Udekorowała dom na święta, stawiając tak wielką choinkę, że jej czubek ugiął się w miejscu, gdzie dotykał sufitu.

Razem z Corą przystroiły drzewko tradycyjnymi ozdobami oraz trzema sznurami elektrycznych światełek – to była nowinka techniczna ostatnich czasów.

Mama zachowywała pozory, nadal biorąc udział w akcjach charytatywnych i ucząc w szkółce niedzielnej.

Wypełniła dom aromatem ciast, tortów i ciasteczek. Cora miała wrażenie, że przybył jej przynajmniej kilogram przez samo oddychanie słodkim, przepelnionym cukrem powietrzem.

Mama urządziła przyjęcie bożonarodzeniowe dla krawcowych z salonu, którym udało się uszyć aż trzysta dwadzieścia jeden sukni ślubnych, kreacji na podróż poślubną i strojów wieczorowych wraz z całym asortymentem welonów i innych rozmaiłości.

W pierwsze święto odsypiały, choć Cora zastanawiała się, czy mama w ogóle się położyła. Ostatnio miała w zwyczaju przesiadywać do późna w ciemnej kuchni, paląc jednego papierosa za drugim.

Otworzyły prezenty, a na śniadanie zjadły naleśniki, jajka, bekon i wypily gorącą czekoladę. Potem mama zabrała się za przygotowanie uczyty dla przyjaciół i rodziny. Zarówno Cora, ciocia Dinah, jak i kuzyn Porky starali się ją przekonać, by w tym roku nie robiła sobie kłopotu, ale mama wpadła tylko w furie.

– A właśnie, że muszę. Chcecie indyka czy szynkę?

Dwa dni przed Nowym Rokiem do ich drzwi zapukał nieznajomy mężczyzna. Był ubrany w ciemny garnitur z krawatem, a kapelusz miał mocno wciśnięty na czoło. Mama narobiła zamieszania, zapraszając go na herbatę i na świeżo upieczony chlebek dyniowy. Była przekonana, że przyniósł jej dobre wieści na temat taty i tego całego *blahego* finansowego zamieszania.

Mężczyzna był wdzięczny za gościnę, ale po jednym łyku herbaty, bez jakiegokolwiek wstępu wyjawil powód swojej obecności: – Kilka pożyczek wzięto pod zastaw państwa domu i teraz jest saldo ujemne. Obawiam się, że będzie pani musiała spłacić zaległość albo przejmujemy państwa nieruchomość.

Ogień, który mama pielęgnowała w swojej duszy, a który podsycal niezachwiane przekonanie, że tata wróci do domu, zgasł, gdy słowa mężczyzny wisiły jeszcze w powietrzu.

Jej oblicze stało się kamienne i zimne.

Teraz, gdy nad Heart's Bend szalała burza śnieżna, Cora i jej mama mieszkały na drugim piętrze, nad salonem. Na jednej czwartej przestrzeni, którą zajmowały dawniej. Ale po stracie wszystkiego oprócz ubrań, łózek i stołu z jadalni mamy to



miejsce okazało się darem niebios.

– Coro, co ty wyrabiasz? – odezwała się mama z drugiej strony małej sypialni.  
– Zamarzniesz na śmierć.

– Patrzę na śnieg. Jest taki piękny. – Kolejna błyskawica rzuciła światło na konary drzew, tworząc aureole wokół maleńkich drobinek szybujących w powietrzu.

Poczuła dłoń mamy na swoim ramieniu. – Jest pięknie. Ale również zimno. – Zatrzasnęła okno z impetem. – A teraz, wracaj do łóżka. – Powlokła się po zimnej podłodze w kierunku swojego posłania.

Mama straciła to, co zawsze ją wyróżniało: swoją delikatność, poczucie humoru i dystynkcję. Pozostały jedynie szorstkość i krytykanctwo.

Cora starała się okazywać jej współczucie. Czy zachowywałaby się lepiej, gdyby sama straciła męża, dom, nagradzany ogród, reputację?

Mama musiała patrzeć, jak licytują jej własność i sprzedają ją temu, kto dawał więcej. Tamtego dnia Cora bała się, że matka postrada zmysły. Nie pocieszał jej fakt, że były tylko jedną z wielu rodzin w okolicy, którym federalni zajęli majątek.

– Mamo? – Cora wróciła do łóżka, wsuwając bosc stopy pod zimną kołdrę.

– Co?

– Zastanawiasz się czasem, czy wszystko z nim w porządku?

– Nie. To skończony tchórz. Jaki mężczyzna trzykrotnie porzuca swoją rodzinę z powodu pieniędzy?

– Tata zawsze mierzył swój sukces pieniędzmi.

– A co ze mną? Z tobą? My się już nie liczymy? Nie wspomnę już o tych ludziach skrzywdzonych przez jego bankowe matactwa.

– Mamo, upadek banku Caldwell pociągnął za sobą bankructwo stu dwudziestu banków.

– To dlaczego rozpoczął z nim współpracę? Wcześniej świetnie sobie radziliśmy. A teraz popatrz...

Znów błyskawica przeszła niebo i odbiła się rykoszetem w śniegu i szybie, rzucając zimne światło na wymizerowaną twarz mamy.

– Za pierwszym razem, kiedy mnie oszukał, to on powinien się wstydzić. Za drugim razem ja. Ale żeby trzy razy? Teraz wszyscy powinniśmy się wstydzić.

– Co zrobisz, kiedy wróci?

– Śpij, Coro.

– On wróci, wiesz o tym.

– Miejmy nadzieję, że jednak nie. – Mama usiadła na łożku. – Bo mogę go wtedy zastrzelić.

– Nie zrobisz tego.

– Jak możesz być taka spokojna? Wolałabym, żebyś choć trochę się wściekała. Zaprzepaścił również twój spadek po cici Jane. Dobrze, że nie wpłaciłaś reszty pieniędzy za zlecenia z ogłoszenia.

– Nie straciłam wszystkich pieniędzy od cici Jane. Miałam trochę gotówki w sklepie.

Teraz, patrząc wstecz, była zdumiona swoją intuicją, która podpowiedziała jej, aby schować trochę gotówki w salonie na czarną godzinę. Dopiero później zrozumiała, ile straciła. Próbowwała wściekać się na tatę, ale potrafiła mu tylko współczuć. I tęskniła.

– Obiecuj mi, Coro, że jeśli kiedykolwiek go spotkasz, to nie dasz mu ani grosza. Ani grosza. – Mama przetrzepała poduszkę. Cora w błyskach światła widziała jej wychudzoną twarz. – Spójrz na nas. Mieszkamy w tym maleńkim mieszkanku jak para imigrantek, które dopiero co zeszły ze statku.

– Nie mów tak, mamo.

– Nie mam nic złego na myśli. Dzięki Bogu za te kobiety i ich odwagę, ale nasi przodkowie przyплыnęli tu już sto siedemdziesiąt lat temu. Ciężko pracowali, żeby Tennessee stało się wspaniałym stanem, który będą mogli pozostawić swoim dzieciom. Nam.

– Tata nie wiedział, że banki upadną. Powinnyśmy być wdzięczne, że mamy nadal salon.

– Nie broń go, Coro.

Wślizgnęła się jeszcze bardziej pod kołdrę. Nie broniła go. Jednak na pewno nie pozwoli, aby zgorzknienie, które odbijało swe piętno na twarzy mamy, wzięło nad nią górę.

– Mieszkanie nie jest takie złe – powiedziała.

Ale mama zarzekała się, że jej składzik na miotły w domu był większy. Jednak prawda była taka, że ciocia Jane zrobiła dobry użytek ze swojego wyszukanego smaku, projektując salon, nieustannie go modernizując, a nawet instalując nową łazienkę i kuchnię rok przed śmiercią. Część mieszkalna była tak naprawdę

całkiem przestronna.

Birch zrobił ściankę działową ze starych desek, żeby mama i Cora miały intymny kącik na ubieranie się. Pomógł im także się przeprowadzić. Meble jadalniane mamy nie zmieściłyby się w ich nowym lokum, więc Esmé poprosiła Bircha, by przetransportował cały kram do Liberty i Jake'a.

Ich skromne mieszkanko na skraju miasta mogło pochwalić się teraz meblami do jadalni w stylu chippendale wraz z serwantką na porcelanę. Mama dorzuciła także Liberty swoją codzienną zastawę i kryształ, a Jake'owi pojemnik na cygara, który tata dostał w nagrodę.

– Mamo?

– Hmm?

– Obiecuję ci, że odzyskasz swój dom.

– A co powiesz na to, żebyśmy sprawiły sobie lepszy dom? Co ty na to, kochanie?

– Cudownie. Gdy tata wróci, kupimy nowy, większy i lepszy dom.

– Nie potrzebujemy twojego ojca. Sprzedajmy jeszcze więcej sukni i znajdziemy coś tylko dla siebie.

Cora przewróciła się na bok, wpatrując się w tańczące w błyskach burzy płatki śniegu.

Salon ślubny uratował ją i mamę. Dał im dom i pracę. Cora była wdzięczna. A jednak, mając przed sobą perspektywę nowego życia w nadchodzącym roku, zastanawiała się, czy to jest wszystko, co Bóg dla niej szykował.

Oczywiście, kochała salon ślubny. Podobało jej się, że daje zatrudnienie dwudziestu kobietom, które pracowały nad zamówieniami z ogłoszenia. Odelia nalegała, aby Cora znów zareklamowała się we „Współczesnej Pryscylli”.

Jednocześnie musiała stawić czoła kolejnym urodzinom bez Rufusa w jej życiu. Pisała mu o tacie, a on posyłał jej słowa pociechy i wsparcia.

Dopało ją poczucie głębokiego, zimnego osamotnienia, kiedy pomyślała, że w tym roku nadal nie będzie jego żoną. I żadna kołdra nie była w stanie ogrzać jej serca.

# trzynaście

## Haley

Za każdym razem, gdy Haley chciała czegoś od swoich rodziców, snuła się po domu, milcząco znacząco. Nie pamiętała dokładnie, kiedy zaczęła stosować tę metodę, ale przez większą część jej życia okazała się ona mniej lub bardziej skuteczna.

Jej rodzice byli molami książkowymi. Zamiast oglądać osiemdziesiąty sezon *CSI: Kryminalne zagadki*, po prostu czytali książki. Tata był fanem morskich opowieści, mama zaś czytywała czasopisma medyczne, poradniki i pamiętniki.

– O co chodzi, Haley? – Mama nawet nie zadała sobie trudu, żeby unieść wzrok znad lektury.

Haley stała oparta o ścianę ich pokoju z dłońmi wciśniętymi w kieszenie dżinsów, od czasu do czasu komentując, jak bardzo podoba jej się pluszowe obicie foteli, na których oddają się lekturze.

– Muszę z wami porozmawiać. – Haley podeszła bliżej i usiadła na skraju pasującej do foteli pluszowej kanapy, potrącając czubkiem butów lampę taty i przerywając mu lekturę.

Mama zdjęła okulary i zamknęła książkę, zaznaczając kciukiem miejsce, w którym przerwała lekturę. – Czy chodzi o salon ślubny?

– Tak. Słuchajcie, wiem, że wszyscy...

Tata uniósł palec. – Poczekaj chwilkę, Hal, skończę tylko ten akapit. – Nigdy nie mógł oderwać się od książki w środku zdania. – No to o co chodzi? – Odłożył książkę na krawędź stołu. Pochylił się do przodu, oparł ramiona na udach i całkowicie skupił się na Haley.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Wiedziałam. – Mama uderzyła w szeroki drewniany podłokietnik fotela.

– Nie mówiłam ci, Davidzie? Haley nie jest w stanie sama wyremontować tego

sklepu.

– Byłaś w banku?

Haley kiwnęła głową. – Dziś po południu. Pogratulowali mi sklepu. Ale nie byli już tak chętni, żeby udzielić mi pożyczki. Nie mam żadnego zabezpieczenia.

– Haley patrzyła to na ojca, to na matkę. Moglibyście podzyrować mi kredyt.

– Nie. Zrobiliśmy to dla Aarona i już nigdy nie powtórzymy tego błędu. – Mama żyła zgodnie z zasadami, które sama ustalała. Tata twierdził, że dzięki temu czuła się bezpiecznie. Kiedy zmarł jej ojciec, miała piętnaście lat. I to właśnie dzięki zasadom oraz ograniczeniom narzuconym jej przez matkę nie straciła poczucia bezpieczeństwa.

– Nie jestem Aaronem. – Najstarszy brat Haley jakieś pięć lat temu poprosił rodziców o podzyrowanie mu kredytu na zakup jakiejś ruiny w północnej Atlancie. Ale jego żona zapragnęła większego domu i wszystko stanęło na głowie. Haley wiedziała tylko, że wyniknęło z tego jakieś zamieszanie związane z pieniędzmi i zaległymi płatnościami. Seth mówił, że napięta sytuacja utrzymywała się niemal rok. Haley ominęła cała ta przyjemność, bo była wtedy w Afganistanie i Kalifornii. – Dostałam dwadzieścia tysięcy od miasta i mam trochę własnych pieniędzy. Dziesięć tysięcy. Przeznaczyłam to na rozkręcenie interesu, stronę internetową, reklamę, towar i tym podobne. – Haley pochyliła się do przodu. – Cole Danner będzie moim kierownikiem budowy.

– Cole? – zdziwiła się mama. – Jak możesz mu ufać po tym, co zrobił jego ojciec?

– Joann, przestań. – Nagana taty była subtelna, ale jednoznaczna. – Cole jest dobrym budowlańcem. Uczciwym człowiekiem.

– Zgadzam się. Mamo, nie obwiniaj go za to, co zrobił jego tata. Popatrz na jego mamę, Tinę. Jej restauracja działa jak dobrze naoliwiona maszyna.

– To może ją poprosisz o pożyczkę.

– Jasne. „Cześć Tina, słuchaj, moi zamożni rodzice nie chcą pożyczyć mi pieniędzy i przysyłają mnie do ciebie”. – Sarkazm rzadko działał na mamę, ale Haley i tak nie mogła się powstrzymać. – Wiecie, że wam oddam.

– Ile potrzebujesz? – Tata inżynier zawsze pytał o szczegóły i fakty.

– Osiemdziesiąt tysięcy.

– Osiemdziesiąt tysięcy! – Mama wystrzeliła z fotela. – David, nawet o tym nie myśl. Nie ma mowy.

– Dlaczego nie? – Haley wstała, rozkładając ramiona. – Rozejrzyjcie się dookoła. Macie piękny dom, porządne samochody, basen, sprzętaczkę i ogrodników, należycie do Country Clubu. Co dwa lata jeździcie na Hawaje albo do Europy. Jesteście ludźmi sukcesu. Wiem, że macie pieniądze odłożone w banku. Jestem przecież waszą córką. Dlaczego nie mogę na was liczyć w sprawie pożyczki? *Pożyczki*. Nie proszę was o darmowy upominek.

Stali we trójkę w ciszy. Zimnej, kamiennej ciszy. Tata bawił się drobnymi w kieszeni, studiując swoje stare, znoszone kapcie. Mama, z dłońmi skrzyżowanymi za plecami, wpatrywała się w przeładowane regały.

– Dobra, dzięki wielkie. – Haley ruszyła w kierunku drzwi. Dziwne zachowania nie były niczym nadzwyczajnym w przypadku jej rodziców. Byli dobrzy, życzliwi i kochający, ale żyli zgodnie z nietypowym zestawem zasad. Tata mówił, że zaczęło się to już, kiedy mama była nastolatką, ale Haley domyślała się, że mama już się taka urodziła się. Przystanęła przy drzwiach. – Czy chodzi o moje studia?

– Nie. – Zdawkowa odpowiedź taty wzbudziła tylko więcej pytań.

– Więc o co?

– Joann, chciałabyś coś powiedzieć?

Haley czekała, słysząc w uszach głębokie, miarowe bicie swojego serca. – Mamo, czy coś jest nie tak? Czy chodzi o twoją praktykę lekarską? Jesteś chora?

– Nie jestem chora. I nie chodzi o moją pracę.

– Po prostu nie chcesz pomóc swojej jedynej córce w kwestii salonu – odparła Haley zwyczajnym tonem, ale nie zostawiając odrobiny wątpliwości. Użyła karty przetargowej „jedyna córka”. Tonący brzytwy się chwyta.

Mama spojrzała jej w twarz. – Nie chcę, żebyś otwierała stary salon ślubny. Niech zrównają go z ziemią i postawią tam ten głupi parking. Haley, Akron przyciągnie do Heart’s Bend wielu przedsiębiorców. Ten salon będzie obsługiwał tylko nieliczną grupę klientów. Ilu osobom dasz pracę? Jednej, dwóm? Akron zatrudni setki ludzi.

– Bardziej zajmujesz się rozwojem gospodarczym Heart’s Bend niż przedsięwzięciem własnej córki?

– Oczywiście, że nie. Ale obawiam się, że nie ma sensu otwierać kolejnego salonu ślubnego. To nie 1890 czy 1930 rok, kiedy kobiety stroiły się, żeby pójść do miasta kupić kawałek wołowiny i parę pończoch. Panny młode zamawiają

teraz wszystko przez Internet. Jadą do Atlanty albo Nowego Jorku, żeby kupić suknię ślubną. Nikt już nie kupuje wyprawy ślubnej. Jak ty chcesz odnieść sukces, co?

– Odniosę sukces. Mam plan. Rynek ślubny to branża warta miliard dolarów.

– Haley patrzyła na obojga swoich rodziców. Coś było na rzeczy. Mama nie walczyła z Haley. Ani ze sklepem. – Czy jesteście jakoś związani z firmą Akron?

– Nie, nie mam żadnych interesów z Akronem – odparł tata.

– Ale chcecie, żeby na rogu Blossom Street i First Avenue powstał parking? To nie ma sensu. Tato, przecież jesteś w komisji „Odbudować Śródmieście”. Poparłeś mnie na spotkaniu w ratuszu. Mamo, a ty byłaś przecież kiedyś w zarządzie Towarzystwa Historycznego.

– Joann, powiedz jej.

– Co ma mi powiedzieć?

– Nie ma o czym gadać. – Mama zniknęła z pokoju, pozostawiając zdezorientowaną Haley.

– Tato, pomóż mi. O co chodzi?

– Hal, będę cię wspierał, jak tylko będę mógł, ale właśnie wyszła z pokoju moja żona i muszę być teraz u jej boku. Po jej stronie. Rozumiesz?

– Ale dlaczego w ogóle tu są jakieś strony, tato? Nie jestem jej *wrogiem*.

– Wiem. Wiem. Ale ciąży jej coś na sercu, a ten sklep tylko rozgrzebuje stare rany. – Tata uściśnął delikatnie jej ramię. – Oduść. Powie ci, kiedy będzie gotowa. Mówiłem jej, że już najwyższy czas.

– Ale co ma mi powiedzieć? Co łączy mamę z salonem?

– To ona musi ci opowiedzieć swoją historię. – Tata wychylił się, żeby spojrzeć w głąb korytarza. – Czasami rzeczy, które nas bolą, nie mają sensu, ale i tak w nas tkwią. Twoja mama to wybitna kobieta. Nasza opoka. Wychowała was, a jednocześnie zrobiła karierę i założyła klinikę. – Tata machnął palcem w powietrzu. – Ale głęboko w środku tkwi w niej zadra, o której nie chce mówić. Czasami ma to wpływ na jej decyzje.

– Ale ja tylko proszę was o pożyczkę, tato. Ja, wasza córka.

– Wiem, dzieciaku, i dałbym ci te pieniądze od ręki, gdyby ta sprawa nie dotykała tak boleśnie twojej matki.

– Więc powiedz mi, o co chodzi!

– To nie ja powinienem ci to powiedzieć. – Tata ucałował ją w czoło. – A jeśli

chodzi o twój salon, to przed oczami staje mi młoda, pełna wiary dziewczyna, która po powrocie z Tammy z rekolekcji powiedziała, że znalazła Jezusa, i bez mrugnięcia okiem znosiła dokuczania swoich braci. Zaufaj modlitwie i swojemu Bogu. Jeśli sklep jest ci pisany, to pieniądze się znajdą.

Haley oparła się o ościeżnicę drzwi. Jak na człowieka, który nie czuł potrzeby wiary w Boga i chodził do kościoła tylko w Boże Narodzenie i Wielkanoc, jej tata miał wiele racji.

- Prawdę mówiąc, tato, w ciągu ostatnich lat zagubiłam nieco swoją wiarę.
- Więc ją odnajdź. I trzymaj się jej.



# czternaście

*Cora*

*Lipiec 1931*

SALON SUKIEN ŚLUBNYCH WYCIĄGA POMOCNĄ DŁOŃ DO PANIEN  
MŁODYCH DOŚWIADCZONYCH PRZEZ LOS  
HATTIE LERNER

*Tego lata salon sukien ślubnych pęka w szwach. Panny młode z całego Heart's Bend i okręgu Cheatum opanowały sklep. Jego właścicielka, Cora Scott, wyciąga pomocną dłoń do kobiet nie mających środków na zakup sukni i wyprawy ślubnej.*

*Zapytaliśmy ją, jak to robi.*

*„Przyjmujemy dary”, mówi Scott. „Jeśli któraś z pań ma w swojej szafie nienoszoną już suknię lub suknię ślubną, której nie przekaze córce czy siostrzenicy, może rozważyć ofiarowanie jej naszemu salonowi. My odpowiednio ją przerobimy, by móc wspomóc panny młode w potrzebie. Zależy nam, aby każda panna młoda w swoim wielkim dniu czuła się wyjątkowo i pięknie.*

*Scott dodaje, że wraz ze swoją asystentką – panią Odelią Darnell – i matką – panią Esmé Scott, żoną byłego bankiera Ernesta Scotta – są gotowe obsłużyć każdą pannę młodą, która się do nich zwróci, niezależnie od stopnia jej majątności.*

*– Byłaby chora, gdyby nie wspomniała o Erniem. – Mama wyprostowała się. Wisiała nad ramieniem Cory, czytając artykuł na głos, jakby ta nie była w stanie sama tego zrobić.*

*Coraz bardziej zaczynała rozumieć, dlaczego dorosłe dzieci potrzebują własnego domu. Albo mieszkania.*

– A kiedy pisała, że biegam jak wariatka po First Avenue, to mówiłaś, że to dobra reklama.

– Co ja tam wiedziałam.

We wnęce na drugim piętrze mama smażyła właśnie jajka na piecyku, waląc żeliwną patelnią w palniki.

– Aż robi mi się niedobrze. Hattie dobrze wie, że zostałam upokorzona, że my...

– Odpuść, mammo. Przecież dobrze sobie radzimy.

Mama stworzyła im uroczy dom. Znalazła piękne meble z odzysku i imponujący żyrandol w porzuconym domu niedaleko Nashville.

– Chyba masz rację. – Mama usiadła z Corą przy stole i rzuciła się na swoje śniadanie.

Cora odłożyła gazetę na bok. – Pomodlimy się?

Mama uniosła wzrok, chwilę wcześniej zanurzywszy zęby w toście. – Mam się modlić? I dziękować Bogu za to, że wszystko nam odebrał?

– Tak. – Cora sięgnęła po dłoń mamy, ale ta ją wycofała, kuląc ją obok talerza. Boże, kiedy zdążyły zamienić się rolami? Od jakiegoś czasu to Cora była rodzicem, a mama niegrzecznym dzieckiem. – Czy to nie ty mnie uczyłaś „Dał Pan i zabrał Pan”. Popatrz, ile mamy pomimo tego, że bank upadł.

– Mówże więc tę swoją modlitwę. Ale szybko. Nie lubię jeść zimnych jajek.

Cora była w stanie znieść odejście taty i zgorzknienie mamy. Ale nie porzuci swojej wiary. Tylko we Wszechmogącym mogła odnaleźć nadzieję.

Kiedy Cora zakończyła modlitwę głośnym „Amen”, mama uściśnęła jej rękę. – Będziesz wierzyć za nas dwie?

Takie momenty słabości zdarzały jej się rzadko, ale okazjonalnie mama otwierała się i odsłaniała przed Corą swoją zranioną duszę.

– Zawsze, mammo.

Dzięki uprzejmości Bircha mama założyła na jego farmie ogród. Rośliny, które zasadziła, obrodziły, choć tegoroczne zbiory nawet w najmniejszym stopniu nie dorównywały tym z jej poprzedniego ogrodu. Zaczęła również hodować kurczaki, połowę na ubój, a połowę z myślą o jajkach.

Aby zaoszczędzić na benzynie, mama sześć dni w tygodniu pokonywała na rowerze niemal dziesięć kilometrów, żeby zająć się ogrodem i nakarmić drób. W niedzielę zaś Birch dawał jej jeden dzień wytchnienia i sam rzucał kurom ziarno.

Cora wymykała się do kościoła, kiedy mama odsypiała.

Taty nie było już od siedmiu miesięcy. Ostatni raz pisał do nich cztery miesiące temu. Nawet Rufus pisywał częściej. Zresztą odwiedził ją w marcu. Zatrzymał się tu na trzy dni. Było bosko. Bawili się świetnie – spacerowali wzdłuż rzeki i chodzili do kina.

Cora trzymała jego ostatni list pod poduszką. Czytała go co noc, przed zaśnięciem.

*Najdroższa Coro! Tak często o Tobie myślę, że aż odchodzę od zmysłów. Ale jakie to miłe myśli...*

– Coro... – Odelia wmaszerowała do mieszkania bez pukania – na schodach przed sklepem stoi Avril Kreyling. Mówi, że chce z tobą porozmawiać. – Z puszki, którą Odelia trzymała w ręku, unosił się smakowity zapach. – Przyniosłam swoje bułeczki cynamonowe.

– Świetnie. Przyda się nowy przycisk do papieru – odezwała się mama, rozbijając swoje jajka.

– Gadanie. Próbowalaś kiedyś swojego ciasta orzechowego?

Odelia usiadła z nimi przy małym stole, który dawniej stał na frontowej werandzie ich starego domu. Sięgnęła po nóż i otworzyła puszkę. – Próbowalam przyprowadzić Avril na górę, ale chyba przyrosła do schodów.

– A czego chce? – Cora odłożyła serwetkę na bok. Avril była klientką ciotki Jane w 1919 lub 1920 roku. Była także koleżanką Cory ze szkoły i mamą trójki dzieci.

– Nie mogłam wydusić z niej słowa. Esmé, popatrz tylko na te bułeczki. Lekkie jak piórko. – Upuściła jedną na talerz mamy.

– Odelio, uważaj, zbijesz mi porcelanę.

– Sprawdzę, co u Avril. A wy dwie... – Cora wskazała na obie kobiety – macie się porządnie zachowywać. Jeśli po powrocie zobaczę krew na podłodze, nie wzywam lekarza.

Schodząc po schodach, słyszała jeszcze ich śmiech.

Otworzyła kluczem drzwi w holu i rozwarła je na oścież, wpuszczając powódź lipcowego światła.

– Avril? – Wyszła, by dołączyć do kobiety na werandzie. Poranek był orzeźwiający i piękny, słońce przedzierało się przez targane wiatrem drzewa. – Wszystko w porządku?

Avril spojrzała na nią z ukosa. Siedziała z ramionami skrzyżowanymi na kolanach, trzymając się za łokcie szczupłymi dłońmi.

Była chuda. Z rękawa jej domowej sukni zwisał naderwany niewielki kawałek materiału. Wyblakłe plamy znaczyły jej dawniej biały fartuch, a z wypchniętych czubków brązowych butów niemal wychodziły palce.

– Mieliśmy takie wielkie plany. Billy i ja. Cały świat miał należeć do nas.

– Pamiętam. Wiele podróżowaliście.

– Był taki przystojny. Czarujący. Straciłam dla niego głowę. – Avril spojrzała na Corę. Jej oczy przypominały dwa smutne, błotne jeziora pośród suchej, zapadniętej ziemi. – Pamiętasz Coro? Wszystkie dziewczęta chciały się z nim umówić, ale on wybrał mnie. Mnie, Avril Falk.

– Pamiętam. Był dokładnie taki, jak mówisz. Jednak żadna dziewczyna nie miała przy tobie szans. Był wręcz szalenie w tobie zakochany.

– A teraz... spójrz na mnie. – Potarła plamę na skórze swojej dłoni. – Szybko się postarzałam. Te zmarszczki i bruzdy na twarzy. Mam tylko trzydzieści lat, a wyglądam jak pięćdziesięciolatka. – Przycisnęła rękę do swoich potarganych, suchych włosów. – Nie byłam w salonie piękności od dwóch lat. Żadne ubranie na mnie nie pasuje. – Pociągnęła za luźną talię swojej sukni.

– Avril, gdzie jest Billy?

– Odszedł. Wziął wszystkie pieniądze i niemal całe nasze jedzenie. Wszystko, co odłożyłam zeszłego lata. – Z kieszeni wyciągnęła liścik i podała go Corze. – Zostawił to.

Cora zawahała się, wyciągając drżącą rękę. Budziły się w niej emocje związane z odejściem taty. – Wiem, jak się czujesz, Avril, ale on wróci.

– Wiem, że mnie rozumiesz. To jeden z powodów, dla których tu jestem.

Cora spojrzała na staranne, zamaszyste pismo, którego nie spodziewałaby się po farmerze.

*Nie mogę tego znieść. Przykro mi, Avril. Wybacz.*

– On nie może tego znieść. A co ja mam niby zrobić? Powiedz mi, Billy? – Avril otarła mokre policzki spracowaną ręką, z brudnymi i zniszczonymi paznokciami, i odebrała od Cory kartkę. – Przykro ci, ale jednocześnie zabierasz mi wszystkie pieniądze. Zabierasz cenne słoiki z jedzeniem, warzywa i owoce, które miały wykarmić naszą rodzinę. Coro, mam trójkę dzieci w domu i żadnych pieniędzy. Kto jego zdaniem je nakarmi?

– Avril, ale dlaczego odszedł? – Cora, choć była zajęta pracą w salonie, wiedziała, że nadal, każdego tygodnia, banki odbierały ludziom ich domy, biznesy i farmy.

– Bank zabrał naszą ziemię, ale powiedzieli, że jeśli Billy zgodzi się ją uprawiać, będą mu płacić. Głodowa płaca. Grosze za katorżniczą pracę. – Wstała, kurczowo chwytając się ramienia Cory. Jej chude, blade palce drżały. – Myślałam, że wróci... Myślałam, że wróci.

– Od jak dawna go nie ma?

– Od wiosny. Próbowałam sama uprawiać ziemię, ale nawet z pomocą mojego ośmioletniego synka nie daję rady. Mój najdroższy Willie myśli, że to on musi być teraz mężczyzną. Szkoda, że go nie widziałas. Wstaje, zanim zapieje kogut, podczepia pług do starego Brutusa i pracuje. Wraca do domu i robi kawę, kiedy ja zajmuję się maluchami. Mój ośmioletni syn wykonuje męską pracę, bo jego tatuś „nie może tego znieść”. – Avril zamknęła dłonie w pięści, kołyszając się, zaciskając szczękę. – To nie w porządku, Coro. Nie w porządku. On powinien chodzić do szkoły, uczyć się, bawić, grać w koszykówkę.

– Masz rację. Powinien żyć jak jego rówieśnicy. Ciężkie czasy nie mają względu na wiek.

Avril postukała się kciukiem w pierś. – Ale ja wiem, jak to jest. Jak to jest stracić swoje dzieciństwo na rzecz pracy. Kiedy miałam dziesięć lat, moja mama pracowała w fabryce w Birmingham. – Avril uniosła dłoń, uginając pierwsze dwa palce. – Straciła dwa palce, a następnego dnia, jak gdyby nigdy nic, znów postawili ją przy linii produkcyjnej. Mój tata też posłał mnie do fabryki, kiedy miałam dziesięć lat. Bez wiedzy mamy.

– Avril, to straszne. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Wpadła tam jak burza, odciągnęła mnie od linii produkcyjnej i zbluzgała właściciela słowami, od których farba sama łuszczyła się na ścianach. Tego wieczoru w domu wybuchła awantura. Mama powiedziała, że jeśli ojciec jeszcze kiedyś pošle mnie do pracy w fabryce, to go zabije. Sześć miesięcy później dostał pracę w zakładzie produkującym paszę w Heart's Bend i się przeprowadziliśmy. Odtąd wiodło nam się dobrze. Miałam szansę na normalne życie. Spotkałam Billy'ego. Pobraliśmy się. Coro, nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będę patrzeć, jak moje dzieci chodzą głodne.

Cora objęła Avril ramieniem, ale ta nadal była sztywna i nieruchoma. – Chciałabyś wejść na kawę? Mama przyrządzi ci jajka. Odelia przyniosła swoje bułeczki cynamonowe.

Avril pokiwała przecząco głową. – Nie jestem aż tak zdesperowana, żeby jeść bułeczki Odelii. – Delikatny śmiech zabulgotał jej w piersi. – Kilka lat temu tata na zabawie złamał sobie ząb na jednej z nich. Te przekłete bułki są twarde jak kamień.

– Ale mama przyrządza doskonałą jajecznicę. Mamy też tosty i kawę.

Avril otrzeźwiała. – Jak mogę jeść jajka, kiedy moje dzieci na śniadanie dostały suchy chleb? – Spojrzała na Corę. – Od jak dawna nie ma twojego taty?

Cora cofnęła ramię, krzyżując ręce na brzuchu i pochylając się do przodu. Zapatrzyła się na rzekę Cumberland i port, do którego wkrótce miał powrócić Rufus. – Od siedmiu miesięcy.

– Píše albo dzwoni?

– Pisał, ale od ostatniego listu minęło trochę czasu.

– Prezes banku i farmer... kto by pomyślał? Walczyli na wojnie, a nie potrafili stawić czoła trudnym czasom.

– Billy cię kocha, Avril. Wróci. Tata zniknął już dwukrotnie. I zawsze wracał.

– Och, Coro, w jakich czasach przyszło nam żyć? Mężczyźni porzucają swoje rodziny, zostawiają je bez grosza przy duszy. Banki upadają. Uprawy marnieją. Susza. – Jej policzki zalały świeże potoki łez. – Wstrzymuję łzy, bo nie ma nic gorszego niż płacząca mama. Nie mogę nawet popłakać w nocy w poduszkę, bo boję się, że mnie usłyszą.

– Avril, pozwól sobie ofiarować część naszych zapasów. Mama ma przyzwoity ogród na farmie Goodów.

– Nadal czuję w ustach smak jej jagodowego placka z festynu. Twoja mama zawsze miała piękny ogród.

– Musisz koniecznie zabrać do domu jakieś przetwory.

– Nie przyszłam tutaj po jałmużnę, Coro. Ani szukać u ciebie współczucia.

– Więc po co przyszedłaś? Jak mogę ci pomóc?

– Ja po prostu... – jej dolna warga zadrżała, zatrzymując słowa, które miała powiedzieć. Odetchnęła kilka razy głęboko, odganiając łzy. – Chciałam tylko przypomnieć sobie najszczęśliwszy czas mojego życia, oprócz narodzin moich dzieci. Chciałam przyjść do miejsca, gdzie kiedyś wydawało mi się, że spełnię

wszystkie swoje marzenia. Gdzie byłam młoda i piękna, i tak zakochana w Billym. Do twojego sklepu, Coro. Twój sklep widział mnie najszczęśliwszą, jaką byłam kiedykolwiek. – Avril pochyliła się, aby wytrzeć nos w swój fartuch. – Wojna się skończyła, chłopcy wrócili do domu i w końcu mogliśmy z Billym zacząć nowe życie. Uwielbiam każdą chwilę spędzoną w tym salonie. Każdą chwilę spędzoną na planowaniu swojego ślubu. Czułam tak wielką radość. Ciągle się śmiałam. – Jej głos pograżył się w melancholii. Po chwili dodała: – Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz się śmiałam.

Na ulicy dał się słyszeć ogłuszający warkot silnika. Kierowca zatrzymał się i z samochodu wysiadła gibka młoda kobieta ze lśniącymi pofalowanymi włosami w stylu Greta Garbo, okalającymi jej twarz. Za nią podążały dwie równie gibkie i szykownie ubrane panie – możliwe że matka i babcia – oraz jeszcze dwie młode kobiety.

– Chyba muszę już uciekać. – Avril poderwała się z werandy. – Zostawiłam dzieci same. Bawią się na podwórku. – Spojrzała pustym wzrokiem na błękitny horyzont. Myślisz, że będzie dziś padać? Przydałoby się nam trochę deszczu.

– Dzień dobry! – zawołała kobieta, zapewne matka panny młodej, machając ręką. – Nazywamy się Kirkpatrick. Moja córka właśnie się zaręczyła. Słyszałyśmy, że w tym salonie można kupić wyprawę ślubną.

– Dobrze pani słyszała. – Avril wstała, mówiąc z dumą: – Bez dwóch zdań, to najlepszy salon mody ślubnej w tej okolicy i jeszcze dalej.

– Miło mi panie poznać. Zapraszam do środka. – Cora przedstawiła się, trzymając jedną dłoń na ramieniu Avril. – Pożegnaj się tylko z moją przyjaciółką i zaraz do pań dołączę. Proszę spocząć na wygodnej sofie.

Zwróciła się do Avril: – Poczekaj tutaj.

Cora przemknęła dookoła bocznej ściany budynku, wpadła do holu na tyłach, kopnęła obcasem luźną deskę w podłodze przy ścianie, podniosła ją i uklękła w poszukiwaniu wciśniętej tam puszk.

Jest. Podważyła pokrywkę i odliczyła dwadzieścia dolarów. Jej oszczędności się kurczyły, ale nie mogła odesłać Avril do domu z pustymi rękami.

W tej puszcze zostało jej już tylko pięćset dolarów. Ale miała jeszcze dwie takie skrytki. Wyjęła zatem jeszcze kolejne czterdzieści, zwinęła banknoty w dłoni i ruszyła na przód budynku. Avril przechodziła już przez ulicę, kierując się w stronę parku Gardenia.

– Avril! – Cora zatrzymała się, przepuszczając wolno sunącego lincolna, a potem rzuciła się biegiem przez ulicę. – Poczekaj!

Gdy kobiety spotkały się na skraju mizernego, wypalonego trawnika, Cora wcisnęła pieniądze w dłoń Avril.

– Wiedziałam, że zrobisz coś takiego. – Avril odepchnęła od siebie zwitek banknotów. – Nie mogę przyjąć tych pieniędzy. Nie chcę mieć długów wdzięczności. Nie wiem, kiedy będę w stanie ci oddać.

– To prezent. Nie musisz mi nic oddawać.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Avril Kreyling, nigdy ci nie wybaczę, jeśli pozwolisz, żeby przez twoją dumę twoje dzieci chodziły głodne. Ty nigdy sobie tego nie wybaczysz. Weź to. Albo sama pójde do sklepu i pojawię się w twoim domu ze sprawunkami. W ten sposób przynajmniej unikniesz upokorzenia, że robię ci zakupy.

– To pozwól mi na to zarobić. Nie mogę tego tak po prostu przyjąć. Może posprzątam w salonie? Albo zrobię ci pranie?

Cora westchnęła. Tej wiosny miały mniej zamówień, więc szyciem zajmowała się tylko Odelia i cztery panie. Mama prała, ale nienawidziła tego. Bardzo odczuwała brak Liberty.

– Możesz wyręczać nas w praniu.

Avril rozpromieniła się, wzruszona. – Dziękuję... dziękuję.

– Przyjdź w piątek. Jeśli będzie ci to odpowiadało, możemy zostać przy tych ustaleniach. Jak długo będziesz chciała. Ale to – Cora wcisnęła jej pieniądze w dłoń – jest prezent.

Avril pękła, opierając swoje czoło na piersi Cory, trzymając się kurczowo jej ramion, łkając. – Wiedziałam, że powinnam przyjść do starego salonu. Wiedziałam. Uratowałeś mnie, Coro Scott. Uratowałeś mnie.



# *piętnaście*

## *Birch*

Zatrzymał swój wóz przy Blossom Lane, zeskoczył z kozła i poklepał czule Wujka Sama po zadzie.

– Zaraz wracam, kolego!

Przeskoczył nad krawężnikiem i wszedł pod koronę dębu, kierując się na tyły salonu ślubnego. – Cora!

Czekał, jednym okiem zerkając na tylne drzwi. Był bardzo dumny z Cory i Esmé, ale nie zapowiadało się, żeby Ernest Scott miał w najbliższym czasie wrócić do domu. Musiał zupełnie postradać zmysły, dając nogę tuż przed Bożym Narodzeniem. Czy miał świadomość, że jego kobiety mieszkają na drugim piętrze, nad salonem? Na tak małej przestrzeni? W tym upale?

Lato nie mogło już być bardziej gorące. Martwił się o swoje uprawy. Każdego ranka budził się i błagał Wszechmocnego o deszcz. – Mogę orać i sadzić, ale tylko Ty, Panie, możesz sprawić, aby moje pola obrodziły.

– Cora! – Zatrzymał się przy tylnych drzwiach, stukając pięścią w moskitierę. – Kobieto, jest już ósma. Lepiej, żebyś była na nogach.

Niestety, tego lata nie widywał Cory zbyt często. Mijał ją w kościele, ale trzymała się na uboczu. Puścił w niepamięć urazę, jaką czuł do niej z powodu kapitana. Miłość nigdy nie porzuciła nadziei.

Każdego dnia widywał zaś Esmé, gdy przyjeżdżała na farmę pielęgnować swój ogród. Jej pomidory i ogórki były jego warzywa na głowę.

Ogród mógł podlewać deszczówką, ale jego pola potrzebowały prawdziwego deszczu.

Co Cora i Esmé będą jadły zimą, jeśli susza nadal będzie się utrzymywać? Już zdecydował, że da im część krowy, którą ubił tej jesieni. I oby Esmé miała wystarczająco kur, by zachęcić koguty i dać im co robić.

Tak naprawdę strasznie im zazdrościł. Też chciałby mieć kure, za którą mógłby gonić. Cóż, pracował nad tym. Gdyby tylko przestała gdać za kapitanem i spojrzeć na niego...

– Coro Scott! – Tym razem walnął w drzwi z impetem.

– Birch Good, na litość boską, co ty wyrabiasz? Dlaczego wydzierasz się jak nieokrzesany prostak? Chcesz, żeby wszyscy cię usłyszeli? – Cora stanęła w drzwiach, mrugając oczami, zziębnięta i piękna z włosami w nieładzie, tańczącymi wokół jej twarzy.

– A czym się tak martwisz? – Birch zerwał kapelusz z głowy i uderzył nim w swoje ogrodniczki. Przeczesał loki ręką, odgarniając je na boki. – Przecież wszystkie sklepy są zamknięte, przynajmniej do dziewiątej.

– Everlysowie mieszkają zaraz obok nas. Nad swoim sklepem. I mają małe dziecko. Mów, czego chcesz?

– Chodź, chcę ci coś pokazać. – Z powrotem włożył czapkę na głowę i porwał jej dłoń, ciągnąc ją za sobą przez wąską werandę.

– Puszczaj mnie. Nie mogę się tak pokazać ludziom. Jestem na bosaka, mam włosy w nieładzie i nie mam szminki. Czy chcesz, żeby wyrzucili mnie z Ligi Kobiet?

– Nikt cię nie wyrzuci. A poza tym nie udawaj, że zależy ci na Lidze Kobiet. Kupa nadętych starych czarownic. – Doszli do wozu, a Birch uderzył w jego bok. – Co myślisz?

Cora zerknęła ponad klapę. – Drewno. Wytargałeś mnie przez tylne drzwi mojego domu, żebym ekscytowała się stertą pociętego drewna? – Obróciła się do niego, patrząc mu w twarz, z jedną ręką opartą na swojej szczupłej talii. – Czasy są ciężkie, Birch, ale nie aż tak ciężkie.

– Zbuduję wam werandę. Na tyłach sklepu. – Uniósł dłonie w powietrzu i spojrzął na dom przez palce niczym przez kadr aparatu. – Będziecie mogły z mamą jeść tam obiady przez całe lato, aż do jesieni. Odetchniecie trochę od rozgrzanego powietrza na drugim piętrze. Wiem, że się tam gotujecie. Mogę wam też pociągnąć przewody, żebyście mogły poczytać wygodnie przy lampie.

Birch spojrzął na nią. Opuścił wzrok i odchrząknął, napotykając wpatrzony w niego zamglone złote oczy. Nigdy nie mógł znieść widoku płaczącej dziewczyny. Zaświerbiły go ręce, by pochwycić ją w ramiona.

– Dziękuję. – Przysunęła się do niego i objęła go.

Powoli otoczył ją swoimi ramionami. – Pomyślałem, że chciałobyście mieć nieco miejsca tylko dla siebie. Żeby salon bardziej przypominał wam dom. Twoja mama uwielbiała werandę w waszym starym domu.

Cora roześmiała się przez łzy, uwalniając się z jego uścisku i ocierając mokre policzki.

– Rzeczywiście, wczoraj wieczorem skakałyśmy sobie do gardeł. – Sięgnęła powyżej boków wozu i poklepała gładkie deski. – Przepiękne drewno.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym zaczął pracę?

– Proszę bardzo. Im szybciej, tym lepiej. Jadłeś śniadanie?

– Wypiłem tylko filiżankę kawy.

– To zaraz przygotuję jajka i tosty. – Cora pośpieszyła w kierunku domu. Spódnica trzepotała wokół jej szczupłych łydek i bosych stóp. Krew w żyłach zaczęła mu płynąć szybciej. Wziął głęboki oddech i otworzył bok wozu, starając się wymazać z myśli ten widok, ale jego uparta dusza odmawiała. Uwielbiał każde wspomnienie Cory Scott. Nie mógł się powstrzymać, żeby i tego nie dorzucić do kolekcji.

Gdy sięgnął po pierwsze deski, nagle poczuł jej zapach. Znienacka oparła się o jego ramiona i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję ci, Birch.

Wyprostował się i obrócił do niej. Zamknął ją w swoich ramionach, czując jak opiera się o niego swoją wysoką, szczupłą sylwetką. – Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Kocham cię. – Dotknął naszyjnika z wisiorkiem w kształcie serca, który wisiał na jej szyi. – Dlaczego to nosisz? On chce tylko kupić twoje uczucie.

– Birch...

Puścił ją, choć jej obecność sprawiała, że jeszcze bardziej pragnął, by była jego. Nieważne, że nie odwzajemniała jego miłości. Liczyło się tylko to, że ją kochał.

Będzie stał u jej boku i czekał, aż w końcu pozbędzie się tego nikczemnego kapitana. Zobaczy wtedy, że Birch jest dla niej stworzony. Ich ciała idealnie do siebie pasują.

– Lepiej pójdę przygotować te jajka dla ciebie. – Wycofała się w kierunku sklepu. – Dziękuję ci jeszcze raz. Mama będzie podekscytowana.

– Pomoże mi Wade Fry. Do końca dnia skończymy.

– Naprawdę? Wspaniale. Rufus przyżywa w przyszłym miesiącu i będziemy

mogli zjeść kolację na mojej nowej werandzie.

Birch zrobił krok do tyłu. Nagle ten piękny dzień stracił swoje kolory. – Rufus, tak?

– Tak, w końcu ma chwilę, żeby spędzić ze mną trochę czasu. Tej wiosny i lata był na wszystkich rzekach, tylko nie na Cumberland.

– Nie jestem pewien, czy chcę budować werandę tylko po to, żebyś mogła spędzać na niej czas z innym mężczyzną. – Nie mógł oderwać od niej oczu. Ukłucie, które poczuł w sercu, zgasiło jego podekscytowanie.

– Zawsze byłam z tobą szczerą.

– To prawda...

– Przygotować ci te jajka? Czy zmieniłeś zdanie? Jeśli budujesz tę werandę, bo masz w tym jakiś ukryty cel...

– Nie mam ukrytego celu. Niczego od ciebie nie wymagam. – Zawsze dotrzymywał słowa.

Birch położył sobie pierwsze kilka desek na ramieniu.

Z czasem zaczął podejrzewać, że jej kapitan był w istocie kobieciarzem. Z plotek i szeptów odgadł to, o czym wiedziała już połowa miasta. Jakim cudem nie doszło to do uszu Cory?

Gdzie był *Rufus*, kiedy Cora i Esmé straciły dom i nie miały gdzie mieszkać? Gdzie był *Rufus*, kiedy Esmé potrzebowała kawałka ziemi na ogród? Gdzie był, kiedy potrzebowały opału, aby ogrzać mieszkanie zeszłej zimy?

Cora zniknęła w środku i słyszał tylko echo jej głosu. – Mamo, jajka i tosty dla Bircha. Zbuduje nam werandę.

Idąc z powrotem do wozu, westchnął, walcząc z ciężarem leżącym mu na sercu. Pewnego dnia przemówi sobie do rozsądku i w końcu zapomni o niej i spojrzy w przyszłość.

Podźwignął kolejne kilka desek na swoje barki i zataszczył je na tyły budynku, z łoskotem zrzucając na ziemię. Przystanął i uniósł wzrok ku błękitnemu niebu i rzucającej cień koronie wiązu.

Tak, pewnego dnia zapomni o Corze Scott. Ale nie dzisiaj.

## *Haley*

Prawo Heart's Bend zezwalało na prace wewnątrz budynku po złożeniu

wniosków o zezwolenia na renowację, więc w poniedziałek Cole i jego ekipa wzięli się do pracy. Gdy tylko rozebrali dobudowane ścianki, salon wypełnił się światłem.

Drewniana podłoga ukryta pod okropną wykładziną zmatowiała i przesuszyła się, ale była w dobrym stanie. – To miła niespodzianka – stwierdził Cole.

Przez weekend Haley pracowała nad swoim biznesplanem. Liczyła na to, że wkrótce będzie już w stanie rozpocząć współpracę z projektantkami. Ale jak je namówić, aby szły dla niej suknie? Nie miała żadnych osiągnięć czy doświadczeń w tej branży...

Potrzebowała mentora. Kogoś, kto pokazałby jej branżę od kuchni. Szukając w Internecie, odkryła sklep Malone & Co w Birmingham. Właścicielka salonu, Charlotte Rose, znalazła swoją suknię ślubną w kufrze. Wcześniej miały ją na sobie jeszcze trzy inne kobiety. Haley, zaintrygowana tą historią, szukała dalej, póki nie natrafiła na artykuł w lokalnej gazecie ukazującej się w Birmingham.

Suknię uszyto w 1912 roku, kiedy to posłużyła pierwszej pannie młodej. Przed Charlotte, która brała ślub w 2012 roku, miały ją na sobie jeszcze dwie inne kobiety. Jedna w 1939 roku, a druga w 1968.

Suknia pasowała na wszystkie cztery kobiety, bez konieczności dokonywania poprawek czy zmian. Jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki. Stowarzyszenie wędrującej sukni ślubnej.

Haley czytała artykuł z bijącym sercem. Musiała spotkać się z Charlotte Rose.

Stojąc nad Cole'em, obwieściła mu swój zamiar. – Zadzwoń do właścicielki salonu ślubnego w Birmingham. Dowiem się, czy chciałaby się ze mną spotkać.

Cole spojrzał na nią znad wykładziny w małym salonie, z której akurat wyciągał gwoździe. – Birmingham? A nie mają salonów ślubnych w Nashville?

– Ta kobieta jest wyjątkowa. Spodobało mi się to, co o niej przeczytałam.

Wręczył jej dodatkowy młotek. – Proszę. Zaczynaj wyciągać gwoździe. Ktokolwiek kładł tę wykładzinę, nie miał pojęcia, co robi.

Haley uklękła na podłodze, biorąc się do pracy.

– A jak ci idzie zbieranie pieniędzy?

– A rozpaczliwe modlitwy się liczą?

– Moim zdaniem, tak – odparł Cole. – A co z twoimi rodzicami?

– Tata pożyczylby mi pieniądze, ale mama się nie zgadza. Nienawidzi tego miejsca, ale nie mogę z niej wyciągnąć dlaczego. – Haley opowiedziała Cole'owi

o swojej rozmowie z rodzicami, która zrodziła jeszcze więcej pytań w jej sercu.

Dlaczego mama była przeciwna salonowi ślubnemu? I dlaczego nie chciała Haley zdradzić swoich powodów?

Cole przerwał na chwilę swoją robotę. – Jesteś pewna, że chcesz nadal w to brnąć, skoro nie masz pieniędzy? A co z bankiem?

– Odmówili mi kredytu.

– Haley...

– Cole, nie poddam się. Nawet, jeśli będę musiała otworzyć salon tylko z połową ukończonych prac...

– Nie przejdziesz pozytywnie kontroli nadzoru budowlanego.

– Znajdę pieniądze. Znalazłam rzadką część do czołgu w samym środku pustyni, a z tym sobie nie poradzę? Myślę, że jakoś zbiorę te marne kilka dolarów, żeby odnowić salon.

– Twoim zdaniem osiemdziesiąt tysięcy to marne kilka dolarów?

– Pamiętasz cud proroka Elizeusza? Pomodlił się nad wdową i udzielił jej rady, by zebrała jak najwięcej naczyń i napełniała je oliwą? Dzięki temu zyskała pieniądze, żeby spłacić swój dług.

– A masz jakieś naczynie z drogą oliwą na sprzedaż?

– Nie, ale rozmawiam z tym samym Bogiem, co Elizeusz, a On ma bardzo dużo pieniędzy.

– Naprawdę opierasz wszystko na wierze?

Haley usiadła i oparła się o ścianę. – Nie mam wyboru, Cole. Miałeś kiedyś przeczucie, które ci mówiło, że powinieneś coś zrobić, choć nie ma to żadnego sensu?

Delikatnie stuknął młotkiem w podłogę. – Miałem, choć u mnie działa to w drugą stronę... Z reguły wiem, jeśli nie powinienem czegoś robić.

– A czy posłuchałeś kiedyś tego przeczucia?

Cole uniósł podbródek. – Tak. To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu.

– Naprawdę? Trudniejsza niż wtedy, gdy twój tata...

– Puk, puk. Dzień dobry?

Haley wymieniła się spojrzeniami z Cole'em i wstała z podłogi. Do holu weszła starsza kobieta, wspierając się na lasce. Za nią, przy drzwiach, stała zniszczona skórzana walizka.

– W czym mogę pani pomóc?

– Czy to pani jest Haley?

– Tak. Proszę wejść. – Haley podała jej rękę dla podparcia, prowadząc ją do starego metalowego krzesła, które podsunął jej Cole. Potem zamknęła drzwi.

– Strasznie zimno na zewnątrz – powiedziała starszuszka, drżąc. – Przeczytałam o pani w gazecie. O tym, że miasto dało pani salon. Musiałam zobaczyć to na własne oczy.

Kobieta roztaczała wokół siebie tajemniczą aurę, ponadczasową jakość, i Haley nie mogła się doczekać, co ma im do powiedzenia.

Cole pognał na antresolę i po chwili wrócił z kolejnym metalowym krzesłem z drugiego piętra. Postawił je dla Haley. Sam usiadł na schodach. W tym czasie kobieta rozglądała się po zakurzonej salonie.

– Widzę, że nie wygląda to tak źle. Salon nadal ma duszę. Silną duszę.

Haley pochyliła się w jej kierunku. – Czy kupiła pani swoją wyprawę ślubną w tym sklepie?

– Dokładnie tak. – Przytaknęła głową. W jej głosie słychać było rozmarzenie.

– Wtedy tamten duży pokój nazywany był dużym salonem. – Kobieta wskazała przed siebie, a potem za plecy. – A tam był mały salon.

– Tak właśnie je nazywałam – powiedziała Haley, uśmiechając się do kobiety. Było to potwierdzeniem tego, co sama wiedziała. Jej wypracowanie z szóstej klasy zaczynało się przydawać.

Kobieta westchnęła, kładąc dłonie na kolanach. – Dobrze. Bardzo dobrze. To pani powinna tu być. Tylko pani.

– Tylko ja? Co ma pani na myśli?

– Zastanówmy się... czyli panny młode będą schodzić po schodach w pięknych sukniach ślubnych, a matki i babki, krewne i przyjaciółki będą podziwiać je, siedząc na dole. – Kobieta wskazała na schody, kontynuując swoją opowieść. – Wszyscy będą wzdychać z zachwytem. Ach, jak sobie przypominam, to był taki *ekscytujący* moment.

Haley zerknęła w stronę antresoli, wyobrażając sobie kolejne panny młode schodzące po schodach w sukniach ślubnych. – Musiało to pięknie wyglądać. – Spojrzała na kobietę. – Jak mogę pani pomóc, pani...

– Peabody. Lillian Peabody. – Kiwnęła w kierunku drzwi. – Moja synowa zostawiła walizkę przy drzwiach. Młody człowieku, czy mógłbyś ją przynieść?

Cole podskoczył do drzwi. Bez trudu uniósł zabytkową walizkę i postawił ją u

stóp pani Peabody. Posłał Haley zdziwione spojrzenie.

*O co tu chodzi?*

*Nie wiem.*

– Peabody? Czy jest może pani spokrewniona z Linusem Peabody?

– To mój bratanek. Niech pani nie chowa do niego urazy za to, że utrudniał pani życie. – Pani Peabody nakazała Cole’owi, żeby otworzył jej walizkę. – Moja matka wyszła za mąż w 1934 roku. Jej rodzice stracili wszystko w czasie kryzysu bankowego. Pracowała jako nauczycielka, ale większość swojej pensji oddawała rodzinie. Kiedy nastały cięższe czasy, kobiety straciły posady w szkołach na rzecz mężczyzn, żeby mogli utrzymać rodziny. Tak czy siak, kiedy mój ojciec się oświadczył, moja mama wymarzyła sobie ślub w kościele. Ale jej ojca nie było na to stać... na suknię, kwiaty, tort. Moja babka nalegała, żeby mama zapomniała o głupstwach, założyła swoją niedzielną suknię i zgodziła się na ceremonię w salonie na ich farmie.

– Coś mi podpowiada, że odmówiła – odezwała się Haley.

– Czyli znała pani moją matkę? – Pani Peabody zaśmiała się lekko, puszczając do Haley oko. – „Mam wyjść za mąż w mojej niedzielnej sukni?”, mówi moja matka. „Ubieram tę szmatę co tydzień. Wszyscy widzieli mnie w niej już sto razy. Nie wyjdę za mąż w spłowiałej niebieskiej sukni”.

– Nie dziwię się jej.

– Mój ojciec zaoferował się, że kupi jej suknię, ale dziadek nie chciał nawet o tym słyszeć. Był dumnym człowiekiem, choć ledwo udawało mu się wykarmić rodzinę. Moja matka zaczęła więc myśleć, jak na własną rękę zdobyć suknię ślubną.

– Więc przyszła tutaj? Do salonu?

– Bystra z pani dziewczyna. Nie daj jej uciec, młody człowieku.

– Och, my nie jesteśmy...

– Jesteśmy przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi.

– Przyjaciele to najlepsi kochankowie. Zaraz, na czym to ja skończyłam?

Haley z trudem powstrzymała śmiech. Pani Peabody miała charakterek!

Starsza pani postukała laską w walizkę. – W środku jest suknia mojej matki. Zwracam ją.

– Jak to, pani ją zwraca? – Haley opierała się, żeby nie spojrzeć na Cole’a za każdym razem, gdy pani Peabody mówiła coś zabawnego. – Nie rozumiem.



Dlaczego miałyby pani ją zwrócić?

– Mojej mamie nigdy nie udało się uzbierać pieniędzy, żeby kupić suknię ślubną. Zaciskała pasa i oszczędzała przez kilka miesięcy, ale tata nie chciał już dłużej odkładać ślubu. Więc moja babcia poszła do panny Cory z prośbą, aby wypożyczyła mamie suknię ślubną. – Pani Peabody zapatrzyła się w dal. – Mama nigdy jej nie zwróciła. Myślę, że czuła do panny Cory jakąś urazę.

– Może panna Cora po prostu dała jej tę suknię.

– Nie, to była pożyczka. Pamiętam, jak moja babcia o tym mówiła. Kiedy byłam małą dziewczynką, przy okazji każdego rodzinnego ślubu babcia zawsze pytała: „Janice, czy ty w końcu oddałaś tę suknię Corze?”, a mama zawsze odpowiadała jej oschle: „Nie”. Gdy ja wychodziłam za mąż, zapytałam ją o suknię... Największy błąd mojego życia. Więc kupiłam nową suknię. Właśnie w tym salonie. Tata nalegał, ale mama nigdy ze mną nie przyszła na przymiarki. Powiedziała, że mi ufa.

– Można by sądzić, że były skłócone z panną Corą.

– Jeśli tak było, to nigdy o tym nie mówiła. Tuż przed śmiercią przeglądałyśmy jej rzeczy i zgadnijcie, co znalazłam: jej suknię ślubną. Tę, którą pożyczyła jej panna Cora. „Mamo, twoja suknia! Myślałam, że przepadła”. – Pani Peabody wciągnęła Haley w swoją opowieść. – Mama pokręciła tylko głową, a jej oczy zaszyły łzami. „Źle postąpiłam względem Cory. Powinnam oddać jej tę suknię. Ukradłam ją jej”. – Pani Peabody postukała laską w swoją walizkę. – Postanowiłam wtedy, że jeśli kiedykolwiek ktoś ponownie otworzy salon, to zwrócę tę suknię. Zostawię ją dla kolejnej panny młodej. Może zwiąże z nią jakieś szczęśliwe wspomnienia.

Haley otworzyła walizkę i delikatnie wyjęła suknię z torby. Jej oczom ukazała się piękna kreacja z dekoltem w kształcie litery V, wysokim plisowanym kołnierzykiem, z tyłu wykończonym podszewką ze złotego ałasu. Spódnica była prosta, ale długa.

– Pani Peabody... jest przepiękna.

– Nieco poźółkła i trzeba ją porządnie wyczyścić, ale myślę, że dzisiejsze dziewczęta lubią stare rzeczy. Vintage, chyba tak to nazywają.

– Szaleją za tym.

Pod suknią znalazła jeszcze zaśnieżony srebrny diadem z wąskim paskiem mieniących się klejnocików.

– Pani Peabody, nie musi pani tego oddawać. Od śmierci Cory minęło dużo czasu. Salon był zamknięty przez niemal trzydzieści lat. – Ale Haley dostrzegła dumę w oczach kobiety. Czowała ją. – I tak nie mam pieniędzy, żeby pani za nią zapłacić.

– Nie przyszłam tutaj, żeby brać od pani pieniądze. – Pani Peabody sięgnęła do swojej torebki i podała Haley białą kopertę. – To niewiele, ale powinno pokryć odsetki od ceny sukni. W 1934 roku za taką suknię, jak ta mamy, zapłaciłybyśmy gigantyczną kwotę, trzysta dolarów. Wyobraża pani sobie?

Haley od razu zwróciła kopertę. – Pani Peabody, nie mogę przyjąć od pani pieniędzy. Zwłaszcza, jeśli zwraca pani suknię. Gdy była tu pani matka, salon nie należał ani do mnie, ani do mojej rodziny czy rodziny moich przyjaciół. Nie jestem nawet spokrewniona ze Scottami.

– To proszę to przyjąć na konto sklepu. – Kobieta wcisnęła kopertę w dłoń Haley. – Proszę potraktować to jako inwestycję. Oddaję suknię, którą moja matka ukradła, i chcę wyrównać rachunki.

Haley zajrzała do środka. – Pięć tysięcy dolarów... Pani Peabody, naprawdę, ja nie mogę tego przyjąć.

– Proszę, kochana. Mój Gilbert spisał się dobrze. Nie wiem, jakie masz plany, ale widać, że salon wymaga nieco pracy. Jesteś bogata? Nie potrzebujesz czasem pieniędzy? – Pani Peabody położyła rękę na sercu. – Czuję, że mam ci przynieść tę suknię i pieniądze. Jak mówiłam, Gil dobrze się spisał. Włożyliśmy małą sumkę. W imieniu mojej matki dług rodziny Peabody i Cook zostaje spłacony.

Haley obejrzała się na Cole'a ze łzami w oczach. *Co mam robić?* Gdyby to się zdarzyło na jej warcie w siłach powietrznych, wiedziałaby, jak się zachować – postąpić zgodnie z przepisami. Ale w życiu musiała sobie radzić sama i na bieżąco odkrywać rządzące nim zasady.

– Aha, jeszcze... Znalazłam je i pomyślałam, że się pani spodobają... – Znów sięgnęła do torebki, wyjmując dwie fotografie. Podała je Haley. – Miałam samych synów, a ich żony były bardziej zainteresowane sukniami ślubnymi swoich matek niż moją. – Dawna panna młoda, klientka salonu Cory, postukała w zdjęcie po prawej. – To ja w mojej sukni. Panna Cora pomogła mi ją wybrać w 1955 roku.

Znacznie młodsza wersja pani Peabody zerknęła na Haley z czarno-białego

świata. Miała wysoko upięte ciemne włosy, co podkreślało jej smukłą szyję. Gorset, odsłaniający ramiona, był wykonany z koronki i wykończony szeroką, tiulową spódnicą.

– Piękna.

– Ja czy suknia? Muszę ci powiedzieć, że suknia zrobiła wrażenie.

– A co się z nią stało?

– W młodości Gil i ja przeprowadzaliśmy się często i zaginęła gdzieś po drodze. Na samą myśl, kraje mi się serce. Przyniosłabym ją tutaj, gdybym ją jeszcze miała.

– Z radością posłuchałabym więcej o panie Corze. – Haley podała zdjęcia Cole’owi, który odłożył je wraz z suknią do walizki. – Zwłaszcza od ludzi, którzy ją znali osobiście.

– Cóż, wiele osób z miasteczka ją znało. Była kimś wyjątkowym. Przystojna kobieta. Wysoka i smukła. Niespecjalnie piękna na zewnątrz, ale miała piękne wnętrze.

– Znała pani jej rodziców? Lub jej męża?

– Widywałam jej mamę w mieście, a o jej mężu słyszałam tylko opowieści. Wie pani, jak ludzie lubią gadać. Wiem, że była zakochana w kapitanie statku rzeczno-jezernego. Niezła historia. I że w latach trzydziestych, po upadku banków, wraz z matką mieszkała nad salonem.

– Mieszkały nad salonem?

Pani Peabody przymrużyła oczy, przywołując mętne wspomnienia. – Nie mam już tak dobrej pamięci jak kiedyś, ale słyszałam, że kiedy nastaly ciężkie czasy, jej ojciec zrobił to samo, co *mój* teść, czyli uciekł i zostawił rodzinę na pastwę losu. Pan Scott prowadził bank, który połączył się z siecią banków, a ta splajtowała. Stracili wszystko. Zamknięcie banku Heart’s Bend Mutual dotknęło całe miasto.

– Czy kiedyś wrócił? – Tej części historii Cory Haley nie znała.

– Nie przypominam sobie. Mój teść zmądrzał i wrócił do domu. – Zaśmiała się, przyciskając swoje szczupłe, powykręcane przez wiek palce do ust. – A dziewięć miesięcy później urodził się mój mąż. Nie, czekajcie. Wydaje mi się, że pan Scott zmarł w czasie Wielkiego Kryzysu. Przynajmniej tak twierdziła pani Scott. Ale ludzie gadali coś o rozwodzie. Nikt już nigdy więcej nie zobaczył pana Scotta, ale ma nagrobek na przykościelnym cmentarzu. Nie widywaliśmy się ze Scottami zbyt często. Od czasu do czasu w kościele.

Otworzyły się drzwi frontowe, przez które zajrzała oszołamiająca blondynka w gustownej sukience i w butach na wysokich obcasach. – Jesteś gotowa?

– Haley, poznaj moją synową Beatriz. Beatriz, to jest Haley. Planuje wskrzesić stary salon ślubny. – Pani Peabody ruszyła w stronę synowej, wspierając się o lasce. – Haley, bardzo miło było mi cię poznać.

– Pani Peabody, to była dla mnie czysta przyjemność. Proszę odwiedzić nas znowu. – Haley pomogła kobiecie dojść do drzwi, a potem próbowała wręczyć czek synowej. – Dała mi pieniądze, ale...

– Więc powinna je pani wziąć. Już dawno nie widzieliśmy jej tak podekscytowanej. Myślę, że Linus pozwolił pani przejąć sklep, tylko po to, żeby ją uszczęśliwić. – Beatriz uścisnęła dłoń Haley. – Proszę to wziąć. Zachować. Wykorzystać, żeby otworzyć salon. Ja tego nie rozumiem, ale to miejsce wiele dla niej znaczy.

Haley zamknęła drzwi za swoim niespodziewanym gościem. Czowała zamęt w głowie, w jej klatce piersiowej toczyły walkę rozbieżne emocje. Trzymając w ręku czek od pani Peabody, Haley zrozumiała, że otwarcie sklepu nie było już tylko jej wymysłem. Było czymś więcej niż wyłącznie próbą wypełnienia obietnicy z dzieciństwa.

Bóg działał. I ukazał jej swoją obecność.

– Haley, masz swoje pierwsze naczynie z oliwą. – Cole sięgnął po czek, a potem oddał go dziewczynie. – Możliwe, że przecucie cię nie myli. – Podniósł fotografie. – Mam pomysł, co z nimi zrobić.

– Cała drzę. – Haley usiadła obok niego, starając się przetrwać to, co właśnie się wydarzyło.

– Z powodu zwykłych zdjęć? Chciałem je tylko oprawić. Pokazać historię tego miejsca. Założę się, że znajdziemy ich więcej. Może w zamkniętym pokoju.

– Głupi. Z powodu pieniędzy.

Stuknął ją ramieniem, szczerząc zęby. Zamknął walizkę i postawił ją obok schodów. – Tak, wiem. Całkiem niesamowite.

– W jednej chwili mówię, że wiara mi pomoże, i bum, nagle wchodzi jakaś pani i daje mi pięć tysięcy dolarów. Kto tak robi?

– Kto to wie? Ale słyszałem, że jak się wypełnia wolę Bożą, dzieją się różne zwariowane rzeczy.

– Czy to właśnie o to chodzi, Cole? Czy ja wypełniam Bożą wolę? – Haley

chwyciła go za ramię, obracając go w swoją stronę. – Kiedy pomyślę o mojej przeszłości, czuję, że jestem najmniej odpowiednią kandydatką na wybraną Boga.

– Tak jak i każdy inny grzesznik na świecie. – Cole przypatrywał jej się przez moment. Na jego ustach powoli pojawił się uśmiech. Jego ramiona delikatnie dotykały jej. – Chcesz powyrywać jeszcze trochę gwoździ z podłogi? – Zaoferował jej swój młotek.

Roześmiała się, chwytając wysłużone narzędzie. – Ty to wiesz, jak zabawić dziewczynę.

Uśmiechnął się szelmowsko. – Dzięki. Zawsze wierzyłem, że posiadam takie supermoce.

# *szesnaście*

## *Cole*

W środowy poranek świeży śnieg pokrył białą pokrywą całe Heart's Bend. Cole i Gomez wraz z Haley i ekipą zakończyli właśnie sprzątanie salonu przed demolką. Teraz czekali tylko na pozwolenia.

W przeszłości niejedną raz zderzył się z polityczną stroną biurokracji, ale miał nadzieję, że ten projekt nie zostanie pominięty w Wydziale Norm Budowlanych i Bezpieczeństwa.

Czyż nie było podejrzane, że rada miasta z taką łatwością powierzyła Haley salon, gdy firma Akron Developers deptała władzom po piętach? To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Będzie czujny. Korzystając z chwili wytchnienia, podzwonił w sprawie przetargów, do których zgłosił się przed świętami. Wszyscy jednak odpowiedzieli: „Wstrzymujemy się”.

Jasne, zima trwa długo, ale ta sytuacja powoli zaczynała być absurdalna. Czy nikt nie chciał zaczynać nowych projektów?

Stojąc na schodach przed salonem, gapił się na świeżo odśnieżone ulice. Miał przed sobą cały dzień, bez żadnego zajęcia.

Cole czekał, aż dopadnie go strach i panika, ale zamiast tego wypełniło go ciepło i poczucie, że wszystko będzie dobrze.

Za jego plecami zamknęły się drzwi. To Haley wyszła z salonu. Zapięła kurtkę i wyciągnęła rękawiczki z kieszeni. – Nie znoszę czekać.

– Witaj w klubie. Jestem jego prezesem. – Otoczył ją ramieniem, po bratersku, i ścisnął ją. Jej bliskość sprawiła, że serce załomotało mu w piersi. – Chcesz być moim wiceprezesem?

– Nie wiem. A co trzeba robić?

– Och, niewiele. Trochę się pomartwić, zaliczyć kilka nieprzespanych nocy.

Haley zaśmiała się. Zerknął na nią kątem oka. Drobna, śliczna siostra jego przyjaciela Seta zawsze go fascynowała. Najmłodsza w rodzinie pełnej chłopaków. Dorastała w ekstremalnych warunkach, a wyglądała niczym porcelanowa laleczka. Filigranowa, z wielkimi oczami i pełnymi ustami, zatopionymi w delikatnych rysach jej twarzy.

– Co?

Zbyt długo się gapił. Cole pokręcił głową, schodząc z werandy. – Nic.

– Mam coś na twarzy? Patrzyłeś, jakbym miała coś na twarzy. – Zeszła za nim, wycierając dłońmi skórę pod oczami, policzki i podbródek.

– Nie, wszystko w porządku z twoją twarzą. – *Jest po prostu piękna.*

Cole ruszył prosto w kierunku swojej półciężarówki. Co to za uczucie? Pragnął się na nią gapić, dotykać jej, myśleć o niej. Na litość boską, była przecież przyjaciółką Tammy.

*Ale Tammy już nie ma.*

Przy samochodzie wyciągnął kluczyki z kieszeni. Wpadł na pomysł. – Przy odrobinie szczęścia dostaniemy pozwolenia w przyszłym tygodniu.

– Lepiej, żeby tak było. Jest już połowa stycznia, a rada miasta zacznie odliczanie za dwa tygodnie.

– Jeśli będzie to trwało za długo, możemy zawsze poprosić o przedłużenie.

– Możemy, ale odnoszę wrażenie, że Linus Peabody się nie ugnie. Nie, kiedy Akron chce tyle zapłacić za tę ziemię.

– To co zamierzasz zrobić z resztą dnia? – zapytał Cole, utwierdzając się w swoim pomysle.

– Nie mam pojęcia. Chciałam pojechać do Birmingham, zobaczyć się z Charlotte Rose, ale wyjechała z miasta. Pracowałam nad pomysłami projektu sklepu. Chciałam uchwycić nastrój dawnych lat, jak świat mógł wyglądać w czasach panny Cory. Wprowadzić atmosferę lat dwudziestych i trzydziestych.

– Hollywoodzki szyk?

– Właśnie. Zapamiętałeś.

– To chcesz pojechać na jakieś zakupy? Znam kilka sklepów z antykami...

Pokręciła głową. – Nie, póki nie zdobędę pieniędzy. Załamię się tylko, jeśli znajdę coś, czego nie będę mogła kupić.

– A karta kredytowa?

– Nic mi nie pomoże. – Odwróciła wzrok i zapatrzyła się na ulicę, kręcąc

głową. Cole takie zachowanie znał dobrze, bo z autopsji. Oznaczało rozczarowanie dawnymi decyzjami, przeklinanie swojej głupoty. – Korzystam z własnych pieniędzy, żeby ruszyć ze stroną internetową i kupić towar. Możliwe, że na meble będę musiała jeszcze poczekać. Cole?

– Tak?

– Czy oszalałam, że chcę to zrobić?

Cole oparł się o drzwi pasażera swojego auta. – Dlaczego miałabyś oszaleć, skoro podążasz za swoim marzeniem?

– Bo to głupie marzenie? Wiem, że nie chcesz, żebym wspominała Tammy, ale...

– Nie ma sprawy.

Spojrzała mu w oczy. – Czy naprawdę nigdy nie mówiła ci o sklepie?

– Nie, ale...

– Ale co? Jeśli zmieniła zdanie, to wyjdę na jeszcze większą idiotkę.

– Jesteś odważna. I lojalna. – Szukał słowa, które odpowiadałoby uczuciu wypełniającemu jego serce. – Ilu ludzi podążałoby za marzeniem przez wzgląd na przyjaciółkę? Żeby wypełnić obietnicę z dzieciństwa?

Haley skubała swoje rękawiczki. – Kiedy odeszłam z wojska, byłam pogubiona, poobijana po nieudanym związku. Tammy dopiero co umarła... – Wiatr odgarnął jej włosy z czoła. – Więc sprzedałam wszystko, wskoczyłam na motor i ruszyłam przez południowy zachód, starając się oczyścić głowę i serce.

Przerwała, a on czekał, powstrzymując się, by nie wypełnić ciszy jakimś banałem.

– Jechałam do moich przyjaciół i właśnie przekroczyłam granicę Teksasu, kiedy przez myśl przeszło mi „Wracaj do domu”. Wiedziałam, że mówi do mnie Bóg, ale na początku się opierałam. Powrót do domu oznaczał zamieszkanie z rodzicami. Przynajmniej na początku.

– Co cię przekonało?

Zaśmiała się nisko. – Moje serce czuło, że tak ma być. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić... Robi się zimno. – Uśmiechnęła się do Cole'a, idąc tyłem w kierunku swojego motoru. – Widzimy się później?

Cole poszedł za nią, zbierając się na odwagę, żeby wcielić swój pomysł w życie. – Co dzisiaj robisz?

Odkąd wyszeptała mu do ucha: „Ale ja chcę ciebie”, tamtego poranka w



restauracji, ku jego zaskoczeniu zapalił się w jego duszy mały płomień, rozpalając w nim pragnienia, które stłamsił w sobie na długo przed śmiercią Tammy. Sprawiał, że jej pragnął.

*Nie mieszaj pracy z przyjemnością.* Ona chciała kierownika budowy, a nie chłopaka.

– Popracuję nad moim biznesplanem. Podzwonię, popytam o towary. Choć tego nie znoszę, bo nie jestem jeszcze pewna, co ja tak naprawdę robię. Wychodzę na idiotkę, kiedy rozmawiam z projektantkami.

– To może zrobimy coś dla zabawy?

Przyjrzała mu się spod przymrużonych oczu. – Zdefiniuj zabawę.

Zaśmiał się. – O nie, musisz mi zaufać. Wchodzisz w to czy nie?

Widząc na jej twarzy toczącą się wewnętrzną walkę, był niemal pewny, że się zgodzi. Jeśli nie myliła go pamięć, nigdy nie bała się wyzwania.

– Wchodzę w to. Chodźmy. – Kiwnęła głową i podeszła do motoru. – Trafiłeś w moją piętę achillesową.

– To chodźmy do mnie. Jedź za mną. Mieszkam przy River Road.

Gdy dojechali do domu Cole'a, zaparkowała motor przy wolno stojącym garażu. Zdjęła kask i podążyła za Cole'em, który otwierał już bramę. Rzuciła okiem na nieruchomość.

– Piękny dom. Czy to nie jest przypadkiem stara farma Goodów?

– Tak. Mój daleki kuzyn ją odziedziczył; podzielił ziemię i ją sprzedał. Chciał jednak, żeby dom i przylegające do niego sześć akrów pozostały nietknięte. – Cole uśmiechnął się z dumą. – Byłem we właściwym miejscu, we właściwym czasie. Złożył mi świetną ofertę.

– Wow, ale to dziwne. – Poszła za nim do garażu. – Ja mam salon ślubny, a ty farmę Goodów. Aż mam dreszcze. – Przystanęła z rękoma opartymi na biodrach.

– Co my tu robimy? Tylko mi nie mów, że będziemy sprzątać w twoim garażu.

– Masz dreszcze? – Skrzywił się. – Co takiego straszego w tym, że ty masz salon, a ja farmę? I tak, tadam, będziemy sprzątać mój garaż! – Zrobił gest w kierunku nieskazitelnie czystej przestrzeni.

– Ha! Gdybym miała w moim oddziale takich żołnierzy jak ty – *westchnienie* – byłoby cudnie. – Stała w otwartych drzwiach, a zarys jej szczupłej postaci odcinał się na tle śniegu, skrzącego się w świetle porannego słońca.

Była przepiękna. Dawniej nie dopuszczał do siebie myśli, jak bardzo mu się

podobała. Przynajmniej nie od piątej klasy, kiedy go znokautowała.

Haley, jako najlepsza przyjaciółka Tammy i młodsza siostra Setha, była zawsze poza jego zasięgiem. Aż do teraz.

– Mam dreszcze, bo farma Goodów i salon sukien ślubnych są ze sobą powiązane. – Splotła palce dłoni, pokazując, co ma na myśli. – Birch i panna Cora. Ja i... ty... – Zabrakło jej słów, więc odwróciła jego uwagę, wskazując na stół warsztatowy. – Poważnie, Danner, jesteś psychopatą. Jak można mieć taki porządek. Każde narzędzie na swoim miejscu.

– Łatwiej wszystko znaleźć. – Birch Good i panna Cora? Zapomniał, że coś ich łączyło. Nie przywiązywał do tego wagi, a może powinien? Jego krewny opowiadał mu co nieco przy podpisywaniu dokumentów sprzedaży...

Serce zabiło mu mocniej pod wpływem jego galopujących myśli, wyczuwając pewnego rodzaju kosmiczny związek, którego żadne z nich nie planowało. Spojrzał na Haley i nie wiedział, jak ubrać swoje uczucia w słowa. Odgonił te myśli i podszedł do szafek.

Otworzył drzwiczki, sięgnął ręką do środka i rzucił Haley kamizelkę kuloodporną i parę gogli. – Orientuj się!

Złapała sprzęt jedną ręką. – Co to takiego?

– Paintball. – Cole wręczył jej marker, model tiberius T9.

– Paintball?

Haley spojrzała na sprzęt i wróciła do rzeczywistości, a Cole przez chwilę zastanawiał się, czy nie poruszył jakiegoś wojennego wspomnienia, o którym chciała zapomnieć.

– Słuchaj, Haley, przepraszam cię. Nie pomyślałem... Nie wiem, co się wydarzyło w Afganistanie...

Podniosła oczy na niego. – Słucham? – Jej uśmiech sprawił, że jego serce się rozplynęło. – Koleś, zrobmy to.

Zaprowadził ją do schowka, skąd mogła wybrać sobie potrzebne rzeczy – stary polar Cole'a i parę wojskowych spodni jego brata. Były na nią zdecydowanie zbyt duże, więc obwiązała się szalikiem jak paskiem.

Potem przyjrzała się broni. – Chcę być pewna, że dałeś mi najlepszy model. A nie jakiegoś grata z zacinającym się spustem.

– Ja bym tak zrobił?

– Tak.

Zaśmiał się. Miała rację. Zrobiliby tak. Ale nie dzisiaj. Nie, kiedy chciał walczyć *fair*. Kiedy chciał po prostu z nią pobyc. Pośmiać się. Naprawdę potrzebował się pośmiać.

Kiedy byli już gotowi do walki, Haley ruszyła pierwsza z tiberiusem przypiętym do biodra. Jako najmłodsza w rodzinie lubiła dyrygować. – Chodź, Danner. Zrobię z ciebie dzieło sztuki.

Będzie się działo. – Jeszcze zobaczymy, Morgan.

Na skraju podjazdu Haley przystanąła, żeby zawiązać sobie bandanę na głowie. Na to założyła znoszoną wełnianą czapkę. – Gotowy?

– Muszę przyznać, Haley, że trochę mnie przerażasz.

– Bój się, Cole! – Odbezpieczyła marker. – Bardzo się bój.

W tej chwili jego serce otworzyło się jeszcze bardziej. *A co jeśli...* Cole stłamsił w sobie te myśli, nie chcąc słyszeć odpowiedzi. To po co zadawać pytanie?

Wziął flagę Uniwersytetu Tennessee i ruszył w kierunku kępy drzew, wyznaczając granice i objaśniając zasady.

– Celem gry jest zdobyć flagę. – Uniósł ją do góry.

– Znam zasady, Cole.

– Chcę ci tylko przypomnieć. Poza tym, odkąd ostatnio graliśmy, byłaś na prawdziwej wojnie i chcę się upewnić, że znasz *moje* zasady.

– Dobra, dobra. Kontynuuj! – Wyprzedziła go truchtem, po czym obróciła się i zwróciła się do niego, biegnąc tyłem: – Jestem gotowa na dobrą zabawę!

– Zatknę ją w środku kępy drzew, w małym lasku, nie większym niż sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Kiedy już to zrobię, daj mi dziesięć sekund, żebym dobiegł do bazy i zaczął grę. Celem jest zdobyć flagę i wrócić do swojej bazy bez postrzału. Mamy trzy rundy. Zwycięzca bierze wszystko. – Uniósł dwa szaliki. – Czerwony czy niebieski?

– Niebieski.

Rzucił Haley szalik. – Wybierz swoją bazę i zawiąż go na drzewie. Jeśli oberwiesz kulka, próbując zdobyć flagę, jesteś martwa na pięć sekund, dając czas drugiej drużynie na wzięcie flagi i ucieczkę. Musisz odliczać na głos, kiedy jesteś martwa. Jeśli strzelisz i spudłujesz, to tracisz kolejne pięć sekund.

Cole usłyszał wystrzał broni i poczuł ukłucie z bliskiej odległości na przedramieniu.

– Nie żyjesz. Zaczynaj liczyć.

Zrobił minę. – Ten strzał jest nieważny.

Odeszła. – Jaką dostanę nagrodę, jak już wygram?

– Możliwość przechwalania się i pastwienia się nad przegranym. Ale gra się jeszcze nie zaczęła.

– Ale trzymasz flagę. – Przystanęła, odwieszając broń na biodro, wylotem lufy ku niebu.

– Tak, bo muszę dopiero ją zatknąć na polu gry.

– Ale nie mówiłeś nic o *polu gry*. – Zanim zdążył mrugnąć, znów do niego wystrzeliła, czego efektem była zielona plama farby na jego nodze. – To już dwa. Myślę, że będę potrzebowała większej nagrody niż tylko satysfakcja z wygranej. Może kolacja. Albo praca za darmo w salonie. O, a może będę mogła sobie wziąć ten marker do paintballa do domu?

– Nie, nie możesz! – Cole pochylił się nad nią, wbijając ją wzrokiem w ziemię, starając się nie roześmiać. – Moje zabawki, moje zasady. Teraz tylko marnujesz naboje.

– Potrzebuję tylko trzech.

– Żeby wygrać, musisz mnie trafić trzy razy, *ale nie pod rząd*, i muszę mieć flagę w *dłoni*. Jeśli uda mi się wrócić do bazy bez trafienia, to wtedy ty jesteś martwa na dziesięć sekund.

– To się nie wydarzy.

– Dobra, dobra. Zobaczymy. – Cole pobiegł tyłem, szczując ją, rozkoszując się uczuciem beztroski. Nie czuł się tak wolny, odkąd zmarła Tammy. Odkąd odwołała ślub.

Doszli do drzew. Flaga łopotała na wietrze nad głową Cole'a.

– Zatknę flagę i wyznaczę swoją bazę. Bez oszukiwania, Morgan! – wyszczerzył zęby. – Przynajmniej nie w pierwszych pięciu minutach.

– Nie muszę oszukiwać.

– Tak tylko mówisz.

– Hej, bycie najmłodszą dziewczyną wśród czterech braci ma swoje dobre strony, jak na przykład bycie najlepszą w paintballu. – Rozpięła polar i pognęła w kierunku drzewa, przebiegając pod najniższymi konarami. Była zwinna i szybka jak pocisk, jak błyskawica. – Lepiej się pospiesz, Danner. Aż mnie świerzbi, żeby cię ustrzelić.

Cole patrzył, jak wskakuje na pień drzewa, chwytając się najniższego konaru, a potem ląduje na ziemi i znika wśród gęstwiny. Był w tarapatach. W wielkich tarapatach.

Pod każdym względem.

# *siedemnaście*

## *Haley*

– Ostrzegałam cię! – Haley, z markerem zawieszonym na biodrze, wdychała zimne, cudownie rzeźkie powietrze, patrząc, jak Cole kuśtyka w jej kierunku, ciągnąc za sobą flagę Tennessee.

– Że będziesz oszukiwać jak szalona?

– Ja oszukiwałam? Jeśli tak zamierzasz ocalić swoją zranioną dumę...

– Zostaw mi chociaż to. Zostałem upokorzony. – Cole zatrzymał się obok niej, z trudem łapiąc oddech. – Ale tak tylko między nami mówiąc... dobra gra. Spisałaś się, Morgan.

– Następnym razem pozwolę ci wygrać. – Parsknęła śmiechem i zawróciła w kierunku domu. Zdążyła zrobić tylko dwa kroki, po czym wylądowała twarzą w śniegu. Cole podciął jej nogi końcem masztu od flagi. Haley podźwignęła się, głośno protestując. – Aha, taki jesteś!

Udał zaskoczenie. – Ale co? Nie wiem, o czym mówisz.

Haley rzuciła broń, głębokim wdechem zaczerpnęła zimnego powietrza i ruszyła na niego z wojowniczym okrzykiem na ustach, uderzając tak szybko, że nie miał nawet czasu zareagować. Powaliła go na ziemię i natarła mu twarz i kark śniegiem.

Cole zaczął tak histerycznie się śmiać, iż nie był w stanie się bronić. Leżał i potulnie wszystko znosił. Haley przetoczyła się na miękki śnieg obok niego i zapatrzyła się w piękne błękitne niebo, głęboko oddychając.

– Dzięki, Cole.

Usiadł, otrzepując twarz i szyję ze śniegu. – Za co? – Rzucił okiem w kierunku jej torsu. – W ogóle nie jesteś wymazana farbą. Proszę, tylko nie mów o tym nikomu, bo nie będę mógł się pokazać na mieście.

Usiadła. – Zdążyłam już ogłosić twoją porażkę na Facebooku, Twitterze i na

platformie Tumblr.

Rzucił ją śniegiem w twarz. – Cha, cha, cha, wygrałem! Wygrałem. – Odrzucił głowę do tyłu, uderzając się w klatkę piersiową.

Haley rzuciła śnieżkę prosto w jego otwarte usta. Wypluł, śmiejąc się, kaszląc, otrzepując zimne kryształki, a potem zapatrzył się na nią przez chwilę.

– Świetnie się bawiłem.

– Tak, ja też. – Próbowала nie odwracać wzroku od wbitych w nią oczu Cole'a i dostrzec coś więcej pod maską „faceta, który tylko miło spędza czas z przyjaciółką”. Czy tylko jej się wydawało, czy momentami coś między nimi *iskrzyło*? – Dzięki... dzięki za dzisiaj. Potrzebowałam tego. Już dawno tak się nie uśmiełam.

– Ja też. – Pochylił się do przodu, żeby zerknąć w jej twarz. – Śmierć Tammy na chwilę zabrała mi radość życia.

– Powinna mieć wtedy dla niej więcej czasu. A ja byłam tak zajęta swoim destruktywnym związkiem.

– Ona to rozumiała, Haley. A poza tym wszystko wydarzyło się tak szybko. Była wycieńczona i słaba...

– Kiedy tydzień przed jej śmiercią udało mi się przyjechać do szpitala i zobaczyłam ją taką wychudzoną, popłakałam się w korytarzu. Ale te jej oczy... nadal widziałam Tammy w tych oczach.

– Do końca miała w sobie ogień.

Haley spojrzała na niego. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, ale nie obiecuję, że odpowiem.

– Czy ty w ogóle spotykasz się ze swoim tatą? Kiedykolwiek? – Haley była na miejskim basenie, w dzień, w którym FBI aresztowało jego ojca za oszustwo. Widziała, jak jego mama rozpaczliwie domagała się, żeby go puścili, krzycząc, że porywają jej męża.

Cole pokręcił głową. – Jest na wolności, mieszka w Nashville, ale nie jest nam ze sobą po drodze.

– A twoi bracia albo mama?

– Nie jestem pewien co do mamy. Wydaje mi się, że Chris i Cap go widują, ale nie pytam. – Cole zgarnął śnieg po swojej prawej stronie i rzucił go w pustkę.

– Wiesz, czego nauczyłam się przez lata? Że dobrzy ludzie robią czasem złe rzeczy.

– Skoro są dobrzy, to dlaczego tak postępują?

Haley zadawała sobie to pytanie przez ostatni rok. – Też chciałabym to wiedzieć. Ale czy twój tata nie okazał skruchy?

– Oczywiście, kiedy federalni go namierzyli. Wtedy bił się w piersi. Ale nie zmienia to faktu, że oszukał ludzi i pozbawił ich pieniędzy. – Cole podniósł się ze śniegu. – Wybaczyłem mu, Haley. Po śmierci Tammy wróciłem do wiary i zdałem sobie sprawę, że jeśli Bóg zawezwałby mnie dziś do siebie, to nie byłbym w stanie stanąć z Nim twarzą w twarz. Nie chcę umierać, nie przebaczywszy tacie. Nie, skoro Bóg mi przebaczył. Nie oznacza to jednak, że chcę go widywać i się z nim zaprzyjaźniać.

– Łatwo jest wybaczać na odległość.

– Bóg każe wybaczać. Nie mówi nic o spędzaniu ze sobą czasu. – Zatknął flagę w ziemię. – A co z tobą? Czy ty wybaczyłaś osobie, która cię skrzywdziła?

– Tylko tysiąc razy. – Haley starała się zapomnieć, wybaczyć, nie wracać do tego, co wydarzyło się w przeszłości. – Pierwszej niedzieli po powrocie postanowiłam wrócić także do Boga. Poszłam do kościoła i usiadłam z tyłu. Akurat nauczwała pewna urocza kobieta. Łagodnym głosem powiedziała coś niezwykle głębokiego. Mówiła, że „problem w tym, że większość ludzi żyje w przeświadczeniu, że pewnego dnia będą mogli zażądać od Boga wyjaśnień. Ale okrutna prawda jest taka, że to my będziemy się przed Nim tłumaczyć. A On nie jest nam nic dłużny, poza swoją sprawiedliwością”. To zmroziło mi krew w żyłach.

Haley unikała wyjawienia reszty prawdy. Że żyjąc z Daxem, stała się najgorszą wersją siebie.

– Pamiętam, że w szkole średniej biegałaś do kościoła jak szalona – odparł Cole.

– Było, minęło. Dziś jestem tylko szalona. – Kiedy Haley coś sobie postanowiła, nie cofała się. Nie było powrotów.

Cole zaśmiał się. – Co? Jakoś tego nie widzę. Haley Morgan, mała, piękna blondyneczka... szalona? Ale niby jak? Pofarbowałaś sobie kiedyś włosy na czarno i sprawiłaś sobie kolczyk w nosie?

– Wygłupy. Pozory. Przerost formy nad treścią. Dawałam się ponieść swoim wariactwom. – Poczula dreszcze. W czasie gry było jej gorąco, ale teraz znów powoli ogarniał ją chłód. Poderwała się z ziemi. – Pójdę już. Robi się zimno.



– Skoro już zadajemy sobie pytania... – Cole podniósł się, opierając się o maszt flagi. – Dlaczego nigdy mnie o to nie pytasz... no wiesz, o mnie i o Tammy?

Haley spojrzała na niego z dołu, pod światło, spod przymrużonych oczu. – A o co mam cię pytać? O to, jak bardzo się kochaliście?

Cole przyglądał się jej. – Czyli nigdy ci nie powiedziała.

– Czego mi nie powiedziała?

Cole zawahał się i westchnął. – Haley, my się rozstaliśmy. Odwołaliśmy ślub.

– Niemożliwe... – Osłoniła oczy dłonią, próbując dostrzec wyraz jego twarzy. Jeśli się wygłupiał, był to kiepski żart. – Zerwaliście? Odwołaliście ślub?

– Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Rozstaliśmy się w listopadzie, tuż przed Świętem Dziękczynienia. Więc nie rozgłaszaliśmy tego. Nie chcieliśmy nikomu popsuć świętowania. Choć myślałem, że tobie powiedziała. Po cichu odwołała wszystko i postanowiliśmy, że dopiero w styczniu zakomunikujemy to światu... Ale tydzień później zdiagnozowano u niej nowotwór i nagle zaczęły się operacje i leczenie.

Haley wpatrywała się w dal na pokryte śniegiem pole. – Nie powiedziała ani słowa.

– Zadzwoiłbym do ciebie, gdybym wiedział. – Cole ścisnął śnieg w swojej dłoni. – Walka z rakiem zdominowała całe nasze życie.

Haley odwróciła ku niemu głowę. – Dlaczego? Dlaczego się rozstaliście?

– Powiedziała, że nie jest gotowa. Chciała pójść na studia prawnicze.

– A trzeba być singielką, żeby pójść na studia?

– Najwyraźniej tak jej się wydawało. Wraz ze zbliżającą się datą ślubu zdała sobie sprawę, że nigdy nie przeżyła takiej przygody jak ty. Powiedziała, że w wieku ośmiu lat postanowiła, że za mnie wyjdzie, ale teraz w wieku dwudziestu ośmiu lat, wydaje jej się to głupie. Nie była pewna, czy chce poślubić *mnie* czy marzenie z dzieciństwa.

– Zadaję sobie to samo pytanie, jeśli chodzi o salon – odparła Haley. – A wiesz dlaczego mi nie powiedziała? Ja... nie mogę uwierzyć, że ze mną o tym nie porozmawiała. Przecież nieustannie szlochałam jej w słuchawkę.

Czy była aż tak pochłonięta swoimi lękami i błędami, oszustwami Daxa, rozczarowaniem z powodu swoich wyborów, że *nie słyszała*, co Tammy miała jej do powiedzenia?

– Haley, ona nie czuła się najlepiej. Na początku myślałem, że może dlatego wszystko odwołała. Od miesiący borykała się z napadowymi migrenami i innymi dolegliwościami.

– Boli mnie świadomość, ile musiała wycierpieć w milczeniu. – Haley otarła zimną łzę z policzka. – Czyli salon ślubny był dla niej tylko dziecięcą fantazją?

Może te wszystkie trudności, z którymi musi się zmierzyć, żeby otworzyć sklep, są zwykłą farsą? Tęskniła za czymś, czego dawno już nie było – za niewinnością i nadzieją, która wypełniała dni jej dzieciństwa.

– Nie wiem. Wiem tylko na pewno, że nigdy mi o nim nie wspomniała.

– A mi nie wspomniała o tym, że rzuciła jedynego chłopaka, którego kiedykolwiek kochała? To nie ma sensu.

– Patrząc wstecz, widzę teraz, że choroba ją zmieniła. Ona naprawdę się zmieniła – odparł Cole. – Teraz już chyba mogę to powiedzieć... od zaręczyn nie układało się między nami najlepiej. Im bliżej ślubu, tym było gorzej. Myślałem, że to tylko stres, ale ona naprawdę się ode mnie oddalała. Pewnej nocy obudziłem się z przerażeniem, zdając sobie sprawę, że nie kocham jej jak mężczyzna, który ma się z nią ożenić.

– Ale byliście ze sobą od zawsze. Jak mogłeś nie wiedzieć, co czujesz? – Gadanie. A przecież ona sama także dała się oszukać swoim uczuciom. Tkwiła w związku z Daxem zbyt długo. Nie miała prawa, żeby osądzać Cole'a. – Dlaczego zatem się jej oświadczyłeś?

Pokręcił głową, rzucając kolejną śnieżkę na mroźny wiatr. Nad ich głowami zaczęły nachodzić z północnego wschodu gęste szare chmury. – Nigdy oficjalnie się nie oświadczyłem.

– Co? To jakim cudem mieliście się pobrać?

– Nie wiem... Kiedyś u niej w domu rozmawialiśmy o naszym związku, przyszłości i, ani się obejrzałem, zaangażowali się jej rodzice. Wiesz, jaki potrafi być jej tata... Wyciągnęli kalendarze i znaleźli datę. Wyszedłem od nich oszołomiony.

– Ale nic nie powiedziałaś. Nie opierałeś się.

– Haley... – Cole stanął przed nią, podnosząc głos – wydawało mi się, że postępuję słusznie. Tammy była piękną, mądrą, utalentowaną i dobrą kobietą. Dlaczego nie miałbym chcieć się z nią ożenić? Wątpliwości wydawały się głupie. Nie chciałem, żeby moje lęki i zranienia mnie ograniczały. Chodziliśmy ze sobą z

małymi przerwami od liceum... Zresztą wiesz. Byłaś tam. Gdyby Tammy i mnie nie było pisane być razem, to byśmy do siebie nie wracali. Więc się nie wycofywałem.

– Wow! Nie wiem co powiedzieć... – Haley ruszyła w kierunku domu, przystanąła, a potem obróciła się na pięcie, maszerując w kierunku Cole'a. – Jestem wściekła. Przepraszam, ale tak jest. Tammy była moją najlepszą przyjaciółką. Potrafię żyć z tym, że nie była zainteresowana salonem ślubnym, ale że zerwała z tobą? Że zdiagnozowano u niej nowotwór? Nie było mnie przy niej, kiedy mnie potrzebowała. Dopiero na końcu.

Była tak zaślepiona głupim Daxem. Świat wokół niej mógł się zawalić, a ona by tego nawet nie zauważyła.

– Haley, choroba ją zmieniła – odezwał się Cole. – A jeśli chodzi o salon ślubny... sam nie wiem, może wróciłaby do tego pomysłu. Za pięć, dziesięć lat.

Haley zaczęła szybko iść. Jej buty ślizgały się po ubitym śniegu, ciepłe łyży topiły jej zimne serce. Czy gonila jedynie za wspomnieniem? Fałszywym dziecinnyim marzeniem? Zatrzymała się przed bramą garażową. Z jej oczu wylewały się rzeki łez. Czowała, jak opuszczają ją siły.

– Po prostu... nie wiem... jaki ma sens... – Haley oparła się o niego, popychana szlochem.

– Ciii, Haley, wszystko będzie dobrze. – Cole mocno ją przytulił. Jego silne ramiona objęły ją, gdy szlochała. – Wszystko będzie dobrze.

Strzępy jej serca – jej rozpacz po Tammy, po Daxie – wylewały się wraz z jej łzami i wsiąkały w pierś Cole'a.

Przywarła do niego, obejmując go w pasie rękoma, uspokajając się przy miarowym biciu jego serca. Ale gdy przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, szepcząc poufale: „Haley...”, wyrwała się. Zrobiła krok w tył i wytarła mokre policzki dłońmi.

– Powinam iść... nie mogę... – Silny powiew lodowatego wiatru uderzył ją ze zdwojoną siłą. – Nie mogę tego znowu zrobić.

Cole wyciągnął do niej rękę, ale zrobiła unik. – O czym ty mówisz? Czego „znowu” nie możesz?

– Cole... – Potrząsnęła głową, drżąc na mrozie od emocji, i ruszyła w stronę garażu. – Muszę już iść.

– Haley – zaczął – wejdźmy do środka. Ogrzejmy się. Napijemy się gorącej

czokolady. Możemy jeszcze porozmawiać. Powiesz mi, co się dzieje.

– Naprawdę muszę jechać. – Będąc w jego ramionach, będąc przy nim, czuła, że nie chce odchodzić. Ale on do niej nie należał. I nigdy nie będzie. Bardziej martwiło ją to, że jeszcze nie zdołała pozbyć się ze swojej duszy odoru Daxa. Ostatnią rzeczą, jakiej Haley Morgan mogłaby teraz chcieć czy potrzebować, był romans.

W garażu rzuciła marker i sprzęt na stół warsztatowy Cole’a. Ściągnęła z siebie jego polar i bojówki jego brata. Wychodząc, przystanęła i zapytała: – Tammy naprawdę nigdy nie wspominała ci o sklepie?

– Nie. – Cole chwycił delikatnie jej przedramię. – Ale ty, Haley, powinnaś podążać za głosem serca. Zapomnij o tym, co Tammy by zrobiła albo czego by nie zrobiła. Podążaj za tym, czego pragniesz. Wiesz dobrze, że gdyby żyła, to by ci powiedziała.

Haley uniosła wzrok, spoglądając mu w oczy i znajdując tam całe mnóstwo niewypowiedzianych uczuć. – Tak mówisz? Bo po dzisiejszym dniu nie jestem tego taka pewna.

## *Cora*

### *Sierpień 1931*

Nastał sierpień, a wraz z nim upał i susza. Nad ziemią unosił się kurz, spragniony smaku nieba. Wieczorami lament świerszczy wypełniał nieświeże powietrze, a Cora wyobrażała sobie, że owady swoją pieśnią błagały Boga o wytchnienie.

Siedząc na tylnej werandzie zbudowanej przez Bircha, chłodziła się wachlarzem z kościoła baptystów przy Main Street. Ostatnio słyszała o nowomodnym urządzeniu, które ochładzało dom latem – o klimatyzatorze. Cora pomyślała, że pewnego dnia, gdy los w końcu uśmiechnie się do mieszkańców Heart’s Bend, zainstaluje jedną z takich nowinek w salonie.

Panny młode, które miały wyjść za mąż latem, w czasie przymierzania sukni ślubnej były złane potem, zanim jeszcze zdążyły zejść po schodach – pomimo wiatraków szumiących przy suficie.

– Mam pewne wątpliwości – powiedziała mama, wchodząc na werandę z dwoma szklankami mrożonej herbaty. – Nie wiem, czy powinnam cię zostawiać. I ogród. – Wręczyła Corze szklankę i usiadła obok w bujanym fotelu.

– Mamo, już o tym rozmawialiśmy i podjęliśmy decyzję. Pojedziesz do Nowego Jorku. A poza tym ciocia Marian zadała sobie tyle trudu, żeby znaleźć ci pracę jako maszynistka w biurze. Nadszarpniesz jej reputację, jeśli zmienisz zdanie.

– Ludzie nieustannie zmieniają zdanie. Chcesz po prostu się mnie pozbyć.

– Na pewno. Sama wpadłaś na to, żeby przeprowadzić się do Nowego Jorku, i naprawdę uważam, że to dobry pomysł. Pomagam ci tylko wytrwać w tym postanowieniu. – Cora wyciągnęła rękę ponad stolikiem i położyła ją na ramieniu mamy. – Ale będę za tobą tęsknić.

– Też będę za tobą tęsknić, kochanie. Ale, och, czyż to nie cudowne, że będę otrzymywać pensję? Zarabiać? Chyba nigdy nie miałam własnych pieniędzy. Najpierw należały one do mojego taty, a potem do mojego męża. W jakich my czasach żyjemy...

Zaraz po tym, jak Birch wybudował werandę na tyłach budynku, a Cora zaczęła używać jej jako przestrzeni mieszkalnej – serwując tam posiłki, a wieczorami czytając książki – w mamie zaszła pewna zmiana. Zaczęła rozmyślać, jak odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

Napisała więc do swojej siostry mieszkającej w Nowym Jorku, żony prominentnego specjalisty do spraw ubezpieczeń, i zapytała ją o pracę. Marian spotkała się z szefem swojego męża i zagadnęła o wolną posadę w zespole maszynistek. Udało się i teraz mama miała zarezerwowany bilet na autobus, który jutro w południe odjeżdżał do Nowego Jorku.

– Na co wydasz swoje pierwsze zarobione pieniądze? – zapytała Cora, starając się skierować myśli mamy na bardziej odległą przyszłość.

Mama, zamyślona, sączyła herbatę. – Pomyślałam, że część wyślę tobie. Zamieszkać z Marian i George'em, więc nie będę miała wielkich potrzeb.

– Zatrzymaj pieniądze dla siebie, mamo. Mam ich dosyć.

– I wszystkie pochłania salon. Ale trzymaj się go, Coro. Kto wie, jak długo utrzyma się kryzys i susza? Nie wiadomo, ile czasu minie, zanim wszystko wróci do normy. Kto mógł przypuszczać, że to nas spotka? A poza tym dlaczego nie mam ci pomagać? Ty się opiekujesz mną, odkąd twój tata... odkąd to wszystko się wydarzyło.

– Pomogłaś mi bardziej, niż ci się wydaje. Byłaś najlepszą hostessą w historii tego salonu, i to jeszcze za darmo.

Mama machnęła ręką. – Jesteśmy rodziną.

– Kup sobie coś za swoją pierwszą wypłatę – odparła Cora. – Suknię albo nawet dwie.

– Cóż, przydałoby się odświeżyć garderobę. Pewnie nie będę na bieżąco z trendami w Nowym Jorku.

Cora nie tylko usłyszała westchnienie mamy, ale je poczuła. Niecały rok temu Esmé Scott była żoną prezesa banku, filarem społeczności Heart's Bend. A teraz mieszkała na drugim piętrze nad sklepem swojej córki. Jutro wyjedzie, sama, do obcego miasta, by podjąć pracę, do której była szkolona ponad trzydzieści lat temu, i zniknąć w tłumie anonimowych sekretarek.

– Mamo – Cora uściśnęła jej przedramię – wiem, że nie tego spodziewałaś się od życia...

– Spodziewałam się, że będę bawić wnuki, wyprawiać wielkie niedzielne obiady dla ciebie i Ernesta juniora. Planowałam doglądać swojego ogródka i opiekować się twoim ojcem; być dobrą żoną wpływowego człowieka. To był dobry plan, Coro. I przez długi czas wszystko chodziło jak w zegarku. A teraz, popatrz na mnie – potarła kciukiem wierzch dłoni – nędzarka. Opuszcza miasto zhańbiona. – Spojrzała na Corę. – Zostawiam cię samą z tym wszystkim.

– Wielu innych mężczyzn też zostawiło swoje rodziny. Pamiętasz Avril? – W mieście mówiło się, że coraz więcej mężczyzn odchodzi. Rozpaczliwe czasy zmuszały ich do niewyobrażalnych posunięć.

– Cóż, ale wielu z nich *zostało*. Stawili czoła trudnościom jak prawdziwi mężczyźni.

– Tata jest prawdziwym mężczyzną, mamo. – Czuła, że musi go bronić. Jej serce nie przestawało wierzyć. – Jeśli chodzi o mnie, to nie będę sama. Mam Odelię. Przyjaciół. Rufusa.

– Ach, Rufus. Nieco cieplej o nim myślę, ale proszę cię, Coro, bądź ostrożna. Zbyt przypomina mi twojego tatę. Przystojny i czarujący, ale mówi jedno, a robi drugie. – Mama odwróciła wzrok. – Za jakie grzechy spadła na mnie ta tragedia?

– Mamo.

– Tak?

– Uczyłaś o Bogu w szkółce niedzielnej połowę mieszkańców Heart's Bend i nie wiesz? Czy to nie ten sam Bóg, który jest dobry i miłosiwy, którego miłość i

wierność nie mają końca?

– Jak możesz być taka świętoszkowata? Spójrz, w jakim trudnym położeniu się znalazłyśmy.

– Trudnym położeniu? Mamy dach nad głową i jedzenie na stole. Mamy się w co ubrać. Straciłyśmy dom i ziemię, ale co z tego? Nadal mamy siebie i zdrowie. Choć ty już przestałaś, ja wciąż wierzę, że tata wróci.

Mama pokręciła głową. – Dostałam list od niego, w dzień, kiedy Birch zbudował werandę.

– Co? Nic mi nie mówiłaś. – Cora pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć twarz mamy. Ona zaś drżącymi dłońmi otarła swoje mokre policzki.

– Coro, on nie wróci. Za bardzo się wstydzi.

A więc dlatego chciała zmienić swoje życie. – Odpisz mu, że to nieważne. – Cora stanęła przed mamą, chwytając ją za ramiona. – Napisz, żeby pomimo tego wrócił do domu. Każdy mierzy się z jakimś wstydem czy porażką. Gdzie on w ogóle jest?

– W Georgii albo na Florydzie. Nie może się zdecydować. – Mama pochyliła się i wybuchnęła płaczem, ukrywając twarz w dłoniach. – Odszedł. Mężczyzna, którego znałam i kochałam od szesnastego roku życia, odszedł. Nawet jeśli wróci, nie będzie już taki sam. Nie tym razem. Jak mogłabym mu kiedykolwiek jeszcze zaufać?

Cora otoczyła ramionami płaczącą matkę. Jej własne łzy stały za barykadą gniewu.

Mama uniosła głowę i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, aby otrzeć oczy i wydmuchać nos. – Nie powinnam obarczać córki swoimi problemami. – Uśmiechnęła się sztucznie do Cory. – Jestem matką i to ja powinnam nosić na swoich ramionach rodzinne ciężary.

– Nikt nie może sam walczyć z przeciwnościami losu. – Cora usiadła z powrotem na swoim fotelu. – Co tata napisał w liście?

– Ma świadomość, że wyrządził mi wielką krzywdę i nie zniesie mojego rozczarowania.

– Ale tu chodziło o pieniądze... przedmioty... rzeczy, bez których możemy się obejść. Nie obejdziemy się bez niego.

Matka chwyciła Corę za ramię. – Sama mówiłaś, że tata patrzy na świat przez pryzmat pieniędzy i nie potrafi oddzielić swojej roli żywiciela rodziny od roli

prezesa banku. Jeśli nie potrafi sprostać tym zadaniom, to ani dla ciebie, ani dla mnie nie będzie tym, kim powinien być. – Wytarła chusteczką nos. – I pomyśleć, że ja go bronię.

Zniknęła w domu. Dźwięk zatrzaskiwanych drzwi rozbrzmiewał w uszach Cory niczym ostatnia nuta długiej piosenki.

Jej życie się zmieniło i nadal się zmieniało, i możliwe, że już nigdy nie będzie takie samo. Tym, co stałe w jej życiu, był jedynie salon i Rufus. Nie chciała porzucać nadziei na szczęśliwe zakończenie.

– Cora? – Ze skraju werandy usłyszała łagodny głos.

– Millie? – Cora otworzyła drzwi z moskitierą, zapraszając kobietę do środka. – Millie Kuehn? Jak się miewasz? Całe wieki cię nie widziałam.

Millie Kuehn, kolejna była klientka salonu ślubnego, kilka lat starsza od Cory, weszła niepewnie na werandę.

– Ile to czasu minęło? Dziesięć lat? – zapytała Cora, zachęcając ją gestem, by usiadła na fotelu bujanym mamy.

– Dwanaście. – Millie pstryknęła paznokciami. Patrzyła na Corę nieobecny, smutnym wzrokiem. – Choć pamiętam, jakby to było wczoraj. – Łzy zakręciły jej się w oczach; częsty widok w tych ciężkich czasach.

– Proszę, usiądź. – Cora podprowadziła ją do fotela. – Co cię trapi?

– Nie mogę narzekać. – Usiadła z gracją, składając dłonie na kolanach i wprowadzając fotel w delikatne kołysanie. – Nie mamy takich problemów jak inni, choć Charles nadal jest wściekły, że banki upadły i zabrały ze sobą całe nasze oszczędności. – Otarła kroplę potu z czoła. – Upał też nie pomaga... Charles boi się, że stracimy kukurydzę.

– Pastor Clinton chce zwołać wszystkich, żeby pomodlić się o deszcz. Planuję pójść.

– Jeśli Bóg by się o nas troszczył, to sam prosiłby o deszcz – odparła Millie.

Jakim cudem Cora stała się dziś rano rozjemcą między ludźmi a Bogiem? Sama przecież miała chwile zwątpienia. Tym mocniej chciała walczyć o swoją wiarę i być wierną do końca. Dlatego nadal dawała szansę Rufusowi.

– Moja córeczka Annie skończyła właśnie dziesięć lat i znalazła moją suknię ślubną. Błagała mnie, żebym pozwoliła jej ją przymierzyć. – Łzawy śmiech Millie zawtórował śpiewom ptaków, dochodzącym przez drzwi werandy. – Jest taką drobinką, więc suknia była na nią o wiele za duża, ale i tak powiedziała:



„Mamo, kiedyś ją założę”. Odparłam: „Annie, byłabym dumna, ale nie chciałabyś wybrać sukni w salonie ślubnym? Zejść po wspaniałych schodach, wyszykowana i piękna, a my podziwiałibyśmy cię z dołu?”. – Millie wzięła głęboki oddech i przycisnęła ręce do serca. – Nigdy nie zapomnę, jak się wtedy czułam. Przepęniała mnie nadzieja, miłość. Gdy szłam do ołtarza, widząc Charlesa, byłam przekonana, że wszystko będzie wspaniałe i cudowne. – Jej palce nerwowo szarpały koronkowy kołnierzyk. – Ale nie dają już rady... Nie czuję tego... To wspomnienie blednie, Coro. Czas jest okrutny.

– Ale mamy nasze wspomnienia i wiarę w to, co ma nadejść. Millie, pomyśl o swojej Annie, wyobraź sobie, jak schodzi po schodach w twojej sukni. Jakież to będzie wspaniałe dzień. Możemy zrobić małe przeróbki sukni, co tylko sobie zażyczysz. – W tak małym mieście jak Heart’s Bend nie było miejsca na towarzyską ekstrawagancję. Nie organizowano balów debutantek, więc pierwszym ważnym wydarzeniem towarzyskim w życiu dziewczyny był jej ślub. – Pamiętam, jak pięknie wyglądałaś, Millie. Zgodnie z ciotką Jane stwierdziłyśmy, że tamtego roku miałaś najwspanialszą wyprawę ślubną.

– Naprawdę? – Jej uśmiech zadrżał. – W pierwszym roku naszego małżeństwa straciłam w pożarze wszystko oprócz tej sukni. – Millie z roztargnieniem potarła różową bliznę z boku ramienia. – Myślę, że bardziej rozpaczałam z tego powodu, że straciłam suknię na podróż poślubną, niż nad tym, że ogień strawił połowę domu.

– Możemy uszyć Annie ładny kostium albo zamówić coś z Nowego Jorku. I oczywiście uszyjemy kreację dla matki. Zobaczysz, znów będzie dobrze, Millie. Po wojnie branża ślubna bardzo się zmieniła. Panny młode mają teraz szeroki wybór. Dawniej Europa dyktowała, co jest modne, a teraz ostatnim krzykiem mody są kreacje z Nowego Jorku. Po przystępniejszych cenach. Gdy Annie będzie wychodzić za mąż, kto wie, na co będzie stać pracującą rodzinę.

– Jeśli czasy się nie zmienią, to na nic.

– Millie, ona ma dopiero dziesięć lat. – Słowa Cory były pełne nadziei.

– Jeśli Charles postawi na swoim, to Annie nie wyjdzie za mąż przed trzydziestką. – Millie wciągnęła szybko powietrze. – Och, Coro, przepraszam. Nie o to mi chodziło...

– Lepiej nie mieć męża w wieku trzydziestu lat i czekać na właściwego mężczyznę, niż wyjść za tego niewłaściwego w wieku lat dwudziestu.

– Masz absolutną rację. Ja miałam szczęście. Wyszłam za tego właściwego. – Millie przechyliła głowę do tyłu, opierając ją o oparcie fotela, i przymknęła oczy.  
– Przyszłam tu, bo chciałam znów znaleźć się w miejscu, gdzie kiedyś byłam szczęśliwa. Zrzucić ciężar z serca. Pamiętam, jak siedziałam podekscytowana w dużym salonie z moją matką, babcią, siostrami i kuzynką, popijając herbatę twojej cioci. To był najlepszy dzień w moim życiu. Po prostu.

– A miałybyś teraz ochotę na mrożoną herbatę?

– Byłoby cudownie. – Usiadła głęboko w fotelu, bujając się w przód i w tył, odpływając. Jej oczy sennie trzepotały.

Cora wstała z fotela i na palcach weszła do domu. W przedpokoju spotkała mamę, w kapeluszu i rękawiczkach, z kopertą w dłoni. – Właśnie miałam cię szukać. Muszę załatwić kilka spraw przed wyjazdem. A to przyszło do ciebie. Polecony.

Cora spojrzała na zwykłą białą kopertę, bez podpisu. – Na werandzie siedzi Milie Kuehn.

– Chce czegoś? – Mama podniosła koronkową firankę na oknie.

– Tego samego, co Avril Kreyling i pozostałe kobiety. Przypomnieć sobie szczęśliwsze czasy.

– Wszyscy staramy się kurczowo trzymać tej odrobiny dobra, która pozostała.  
– Mama weszła do małego salonu. – Odwiedziła nas też Gwen Parker. Zaręczyła się i chciała umówić się na wizytę. Oszczędzała pieniądze, odkąd skończyła osiem lat, żeby tu kupić suknię. Zapisalam ją na poniedziałek.

– Dobrze. Dziękuję ci. – Zawisły między nimi niewypowiedziane słowa. W poniedziałek mamy już tu nie będzie.

Mama wyszła załatwić swoje sprawy, a Cora wsunęła kopertę do kieszeni, żeby przygotować mrożoną herbatę dla Millie. Ale kiedy wyszła na zewnątrz, kobiety już nie było, tylko fotel, na którym siedziała, nadal się kołysał.

– Niech Bóg ci błogosławi, Millie. – Cora odstawiła herbatę i wyciągnęła swój list. Gdy zorientowała się, że to wiadomość od Rufusa z wczorajszą datą, serce zabiło jej mocniej.

*Najdroższa, jutro wieczorem będę w porcie. Kolacja o dziewiętnastej? Tak bardzo potrzebuję Twojego towarzystwa. Tęsknię za Tobą, Twój Rufus.*

Cora przycisnęła list do piersi, a następnie przyłożyła go do nosa, wdychając jego zapach. A jednak Bóg troszczy się o swoich. Trzeba być tylko cierpliwym. Być wiernym.

Prawdziwa miłość zawsze zwycięża.

# osiemnaście

## Cole

W poniedziałkowy poranek Cole, w drodze do *Heart's Bend Inn*, wpadł do *Java Jane's* na szybką kawę. Dzięki Bogu zadzwonili i zlecili mu wyremontowanie kilku pokojów. Bez wątplenia była to odpowiedź na jego modlitwy.

Nie widział się z Haley od czasu ich gry w paintballa i wyznań na śniegu w zeszłym tygodniu. Żadne z nich nie wypowiedziało tego głośno, ale musieli od siebie odpocząć. Żeby zmierzyć się z prawdą. Zmierzyć się ze słowami, które nadal pozostały niewypowiedziane. I zmierzyć się z uczuciami, które nie chciały odejść.

Chwila, gdy płakała wtulona w niego, wryła mu się w pamięć i serce. Coś ją zraniło, a raczej *ktoś*. I to bardziej niż sekrety, które miała przed nią Tammy. Tak bardzo chciał być teraz przy niej. Cały piątek i sobotę wydzwaniał, starając się wynegocjować najlepsze ceny na potrzebne materiały budowlane. Chciał być przygotowany do podjęcia prac, gdy tylko dostaną zezwolenie na remont.

Jak dotąd jego starania były daremne, ale miał nadzieję.

– Dzień dobry, Cole. To, co zwykle? – zawołała baristka *Java Jane's* na powitanie.

– Cześć, Alice Sue. Tak, to, co zwykle. – Zwykła kawa z odrobiną śmietanki. Cole położył piąta na barze i rozejrzał się dookoła. Stali poranni klienci.

– Och, prawie zapomniałam, ktoś czeka na ciebie przy stoliku. – Alice Sue wzięła jego pieć dolarów i podała mu dużą kawę.

– Kto? – Rozejrzał się po zakamarkach kafejki. Zrobiło mu się gorąco, kiedy przy najdalszym stoliku dostrzegł swojego tatę. – Reszty nie trzeba.

– Dzięki, Cole. Dobrego dnia.

Wziął głęboki oddech. Pomyślał, że mógłby po prostu wyjść z kawiarni, ale

ojciec już go zobaczył. Kiwnął do niego, unosząc kawę w geście toastu. Cole ruszył w jego kierunku, klucząc pomiędzy stolikami. Kiedy ostatnio widział swojego ojca? Na zakończeniu szkoły średniej Chrisa? Zaraz przed tym, jak skazano go na sześć lat.

Tata wstał, kiedy Cole podszedł. – Dzień dobry.

– Co ty tu robisz? – Cole pobieżnie zlustrował zapadnięte policzki ojca i siwe włosy, którym przydałoby się strzyżenie. To cień człowieka, którego Cole pamiętał z dzieciństwa. Piętnaście lat temu był wpływowym człowiekiem. Jego firma budowlana prowadziła rozległe interesy, aż po centralną część stanu Tennessee. Wtedy nikt nawet nie słyszał o Akron Developers.

Ale zamienił to wszystko na ufundowaną przez państwo wycieczkę do stanowego pudła z wyrokiem pozbawienia wolności na dziesięć do dwudziestu lat. Zmniejszono mu odsiadkę za dostarczenie dowodów i dobre sprawowanie.

– Chciałem się z tobą zobaczyć.

– Pracujesz? – Cole nie siadał, więc ojciec, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wstał z za stołu, by spojrzeć synowi w oczy.

– Dostałem pracę w Nashville. Pracuję w ekipie zajmującej się utrzymaniem budynków miejskich. Nie wymaga myślenia, ale wypełnia mi czas.

– To co tu robisz? – Cole wskazał na zegar wiszący na ścianie. – Nie powinieneś być w pracy?

– Dziś zaczynam później. Pomyślałem, że wpadnę i się z tobą zobaczę.

– Masz mieszkanie?

– Małe. Mysia nora. – Tata upił trochę kawy. – Jak się miewa twoja matka?

– Fantastycznie. Świetnie sobie radzi z prowadzeniem restauracji. – Przechwalanie się osiągnięciami mamy dawało mu satysfakcję. Chciał uświadomić ojcu ogrom jego głupoty. Nigdy nie znajdzie takiej kobiety jak mama, a ona świetnie sobie bez niego radziła. – Cap studiuje w Vanderbilt, a Chris na Georgetown, niedługo kończy studia.

– Tak, wiem. Widziałem się z Capem i Chrisem przed Bożym Narodzeniem.

Cole zawahał się, zanim upił kolejny łyk kawy. Więc jego bracia widywali się jednak z tatą.

– A jak twoje interesy? – odezwał się po chwili ojciec Cole'a. – Idzie dobrze? Czytałem w gazecie, że radni dali Haley Morgan stary salon sukien ślubnych. To córka Dave'a i Joann?

– Tak, będzie otwierać dawny salon ślubny.

– Pracujesz dla niej?

– Może.

– To solidny budynek. Robiłem jakieś drobne naprawy, zanim panna Cora zamknęła go pod koniec lat siedemdziesiątych. Miałem wtedy osiemnaście lat. To była moja pierwsza praca w budowlance, w ekipie Jima Bartholomewa. Ten człowiek nauczył mnie wszystkiego, co potrafię.

– Ale oszukiwać cię nie uczył.

Tata kilka razy zamieszał kawę swoim patyczkiem. – Należał mi się taki komentarz.

– Tato, muszę lecieć. Przyjechałeś tu tylko po to, żeby się przywitać?

Cole zrobił krok w kierunku drzwi, obrócony twarzą do ojca, czekając. Nie był pewien, jaką odpowiedź chce usłyszeć.

Tata zawahał się, znów wbijając wzrok w kawę, a potem w ogromne okna, wychodzące na Main Street. – Myślałem ostatnio o stratocasterze. Chris powiedział mi, że powiesiłeś gitarę w szklanej gablocie na ścianie.

– Chris za dużo gada.

– Może i tak, ale to była nasza wspólna gitara, Cole. Kiedy czasy były lepsze, mogłem sobie pozwolić na taki luksus. Ale teraz nie jest najlepiej. Tak, wiem, że to wszystko moja wina. Jeśli na niej już nie grasz, pomyślałem, że rozważyłbyś jej sprzedaż.

– Pieniądze, tobie zawsze chodzi tylko o pieniądze.

– Cóż, jeśli się ich potrzebuje, to zawsze chodzi o pieniądze. Odsiedziałem swoje. Pracuję, staram się zbudować jakoś swoje życie na nowo, ale przydałby mi się samochód. Mógłbyś sprzedać gitarę za cenę dwóch nowych aut.

– Więc mam ją sprzedać i dać pieniądze tobie?

– Pomyślałem, że możemy się podzielić zyskiem. Wiem, jak to jest prowadzić firmę. Jestem pewien, że tobie też przydałaby się gotówka.

– Nie sprzedam stratocastera.

– Tylko, żeby zrobić mi na złość? Bo potrzebuję pieniędzy? Ta gitara to moja prawowita własność.

Cole podszedł do niego. – Moja również. Możesz mieć gdzieś mnie i rodzinę, ale mnie oni obchodzą. Czy ci się to podoba, czy nie, ta gitara jest ostatnim dobrym wspomnieniem związanym z tobą i nie jest na sprzedaż.

– Gitara nie jest wspomnieniem. To czas, który spędziliśmy na poszukiwaniach, na graniu, naprawianiu jej.

– Muszę iść. – Cole ruszył w kierunku drzwi; był wściekły. Jego ojciec miał tupet. Tuż przy drzwiach kątem oka dostrzegł Branta Jacksona i Linusa Peabody’ego, rozmawiających w nieco oddalonej części kawiarni. Co oni knuli? Ten widok sprawił, że na chwilę zapomniał o ojcu.

Wsiadł do swojej półciężarówki, zatrzasnął drzwi, wsadził kubek w uchwyt na napoje i odpalił samochód. Sprzedać rzadki okaz fendera stratocastera? Prędzej przywdzieje suknię ślubną i zejdzie po wielkich schodach w salonie na oczach uśmiechniętej grupy starszych pań. Jeśli kiedyś go sprzeda, to da pieniądze mamie albo swoim braciom, albo innej potrzebującej duszyczce.

Widok Linusa i Branta zaniepokoił Cole’a równie mocno, co prośba jego taty. Administrator miejski, *de facto* przewodniczący rady miasta, wydawał się czuć zbyt swobodnie w towarzystwie największego wroga salonu ślubnego.

Cole wycofał auto z parkingu i ruszył w kierunku ratusza, żeby wypytać o zezwolenia. Był gotowy wypowiedzieć wojnę wszystkiemu i wszystkim, którzy staną mu na drodze.

# *dziewiętnaście*

## *Cora*

Cora siedziała na werandzie w przyćmionym blasku świateł. W zamyśleniu bawiła się złotym sercem od Rufusa, zawieszonym na łańcuszku wokół szyi, zaś radio stojące na parapecie wypełniało werandę muzyką. Sophie Tucker śpiewała: *To me it's clear, he'll appear... the man I love.* „Dla mnie to jasne, że zjawi się... mężczyzna, którego kocham”.

Gdzie podziewał się mężczyzna jej snów? Rufus spóźnił się już godzinę. Cora zerwała się z fotela, sięgnęła przez okno i wyłączyła radio. Pognała na drugie piętro, żeby sprawdzić potrawę, którą przygotowała na kolację. Wysoka temperatura bijąca od pieca sprawiała, że przebywanie w mieszkaniu było nie do zniesienia – choć wyłączyła piekarnik godzinę temu. Wiatraki na suficie bezskutecznie próbowały zagarnąć trochę chłodnego powietrza od strony otwartych okien.

Dziś wieczorem najchętniej zniosłaby na dół materac i po prostu spała na werandzie.

Otworzyła drzwiczki piekarnika, sprawdzając, czy z pieczeniem jest wszystko w porządku. Usiadła przy stole. Nadal stało tu krzesło mamy.

Gdyby tu była, powiedziałyby jej kilka słów do słuchu.

Cora cieszyła się, że była sama, z dala od krytycznego spojrzenia matki. Choć na pewno przydałby jej się teraz sławny przepis mamy na sos pieczeniowy. Uratowałyby wysychające w piekarniku mięso. Tata zawsze mawiał, że mogłaby połączyć nim skórzany pasek, a ludzie i tak waliliby w stół, błagając o więcej.

Ale mama podróżowała właśnie autobusem do Nowego Jorku.

Cora zerknęła przez okno swojego mieszkania, wychodzące na Blossom Street. Pięć po ósmej. Co go zatrzymywało? Każda minuta dłużyła jej się niemiłosiernie.

Zeszła na dół do salonu. Poprawiła suknię, którą umieściła dziś po południu w



oknie wystawowym, i przesunęła buty bliżej ulicznego światła lamp.

Była to jedna z jej ulubionych sukni, stworzona przez Odelię z trzech różnych wzorów. Jednak przez swoje długie koronkowe rękawy nie nadawała się ona na pełnię lata.

Musi ją sprzedać do końca tego tygodnia.

Wyjrzała przez drzwi wejściowe i wychyliła się, by zobaczyć, czy Rufus nie nadchodzi z drugiego końca ulicy, od strony parku Gardenia. Cień jego postawnej sylwetki nie pojawił się jednak na żadnym rogu.

Wróciła na werandę. Przez drzwi z siatką wpadł wiatr, porywając do tańca płomienie smukłych świec. Cora pochyliła się, żeby je zgasić. Po chwili jednak zmieniła zdanie. A co, jeśli Rufus jednak się zjawi i zamiast romantycznego powitania zostanie jedynie ciemną werandę i serenadę cykad?

Usiadła przy stole, poprawiając sztucze, upewniając się, że wszystko jest, jak należy. Ale niecierpliwość i adrenalina poderwały ją z fotela. Poszła przed budynek i stanęła na krawężniku Blossom Street.

– Rufus? – podniosła nieco głos. – Jesteś tutaj?

Ale odpowiedział jej jedynie wystrzał z gaźnika przejeżdżającego samochodu.

Gdy doszła do rogu First Avenue, spojrzała na zachód w kierunku portu. Poczła upiorny dreszcz na skórze. Śródmieście było ciemne. Ciche. Świeciło się tylko kilka ulicznych lamp.

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami pognała z powrotem w kierunku werandy i do małego salonu. Usiadła, by skorzystać z telefonu. Miała ten luksus, że był tu podłączony drugi aparat.

– Centrala? Poproszę o połączenie z portem.

Cora przycisnęła kciuk do ust i czekała, wsłuchując się w sygnał w słuchawce, jednak nikt nie odpowiadał. Rozłączyła się. Coś było nie tak. Była o tym przekonana. Zaczynała się martwić.

Pobiegła na drugie piętro po kapelusz, rękawiczki, torebkę i kluczyki. Spódnica trzepotała wokół jej nóg, a zdecydowany stukot obcasów jej niedzielnych butów z zapięciem na kostce odbijał się echem na stopniach, gdy zbiegła na dół.

Wsiadła do samochodu i drżącymi rękoma chwyciła za kierownicę. Miała pustkę w głowie. Serce waliło jej w piersi. Nie miała pojęcia, co czeka ją w porcie, ale musiała spróbować.

Wiedziała, że „Wędrowiec” zawinął do portu wczesnym popołudniem. W miejscowej jadłodajni na końcu ulicy widziała dziś robotników, którzy pracowali z Rufusem.

*Panie, pozwól mi się z nim zobaczyć.*

Najpierw pocałowały go, a potem powiedziały mu, co myśli o jego opieszałości, oraz że wystraszył ją na śmierć. Nie tak dawno temu jeden ze statków pocztowych zatonął opodal ławicy w górnym biegu Greasy Creek.

Gdy dotarła do portu, zaparkowała auto wzdłuż ulicy. Przeszła pomostem na nabrzeżu w kierunku hangaru dla łodzi, gdzie powitał ją mężczyzna z siwiejącą brodą i niebieską czapką na głowie.

– Szukam pana Rufusa St. Claire’a.

– Nie ma go. Wypłynął około szóstej.

– Co? Nie, to niemożliwe. Widziałam jego towarzyszy w mieście dziś po południu. Jest kapitanem „Wędrowca”.

– Wiem, kim jest, i mówię pani, że kapitan St. Claire wypłynął około godziny szóstej. Widziałem go na własne oczy. Przyszedł, skorzystał z telefonu, wziął pocztę, wymamrotał coś niegodnego uszu damy, a potem zebrał chłopaków i ruszył w dół rzeki. Był nieco poruszony.

– A zostawił jakąś wiadomość? Może dla panny Cory Scott?

– Nie, ale nie byłem przy nim cały czas. – Mężczyzna zniknął w drugim pomieszczeniu na tyłach i Cora usłyszała dudnienie pudeł. Wyłonił się z białą kopertą w dłoni. Odetchnęła z ulgą, wyciągając rękę po list. *Dzięki Bogu.*

Mężczyzna przycisnął wiadomość do piersi. – Zaraz, zaraz, to nie dla pani. To do kapitana. Pewnie zapomniał. Włożę ją do jego pudła, odbierze następnym razem.

– Proszę, czy mogę chociaż zobaczyć? – Cora westchnęła, przybierając łagodniejszą pozę. – Miałam się z nim spotkać dziś wieczorem i martwię się.

Staruszek zawahał się, ale później wręczył jej kopertę. – Chyba nic się nie stanie, jeśli pani sobie popatrzy. Ale proszę nie otwierać, bo stracę posadę.

Corę przeszedł zimny dreszcz strachu, zmartwienia. Znała to pismo. Przypominało jej to, które widziała na kartce pocztowej dwie wiosny temu. W lewym górnym rogu widniało to samo imię. „Miriam”. Tym razem z adresem zwrotnym, który Cora zapamiętała, zanim oddała list. – Dziękuję.

– Czy chce pani zostawić dla kapitana jakąś wiadomość, gdyby wrócił?

– Nie, nie, nie chcę. – Cora popchnęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Tego wieczoru wiatr znad rzeki, ciężki i wilgotny, pachniał latem.

*Rufus, łamiesz mi serce.*

– Ty jesteś Cora?

Obróciła się zaskoczona i zobaczyła mężczyznę opartego o ścianę hangaru. Aromat jego fajki mieszał się z zapachem rzeki.

– Nie mam pieniędzy, jeśli o to chodzi. – Uniosła torebkę. Miała w niej wyłącznie kluczyki do auta, którego nie chciałaby stracić...

– Szukasz kapitana? St. Claire’a?

Podeszła do mężczyzny zdecydowanym krokiem. – Tak. Wiesz, gdzie go znajdę? Kiedy wróci?

– A więc to ty.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– To ty się w nim kochasz. Jesteś stąd? Na rzece krąży legenda, że jakaś panienka na Cumberland czeka na niego od pięciu lat. I jeszcze się niczego nie domyśliła.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Ale wiedziała. Czego się nie domyśliła?

Mężczyzna wypuścił dym ze swojej fajki i zapatrzył się na rzekę. – Nie uśmiecha mi się wcale, być tym, który złamie ci serce.

Rozpaczliwa potrzeba usłyszenia prawdy zagłuszyła jej strach. Podeszła bliżej do nieznanego. – Powiedz mi, co wiesz. Proszę.

Postukał fajką w ścianę hangaru. – Na pewno chcesz wiedzieć? Jak mówiłem, nie uśmiecha mi się łamać ci serce.

– Jak możesz złamać mi serce, skoro nawet mnie nie znasz?

Wybuchnął śmiechem. – Masz rację. – Spojrzał na nią spod przymrużonych oczu i westchnął. – Wyglądasz na porządną dziewczynę. Przykro patrzeć, gdy taki mężczyzna jak Rufus cię wykorzystuje. Mówi się, że wzdłuż rzeki kapitan ma kilka kobiet. Tylko, że ty chyba go kochasz. Reszta już dawno się na nim poznała i wykorzystuje go tak, jak on je.

– To nieprawda. – Ale gdy tylko to powiedział, poczuła dreszcze na całym ciele. – Prosił mnie o rękę.

Ponury, dekadentcki śmiech mężczyzny przeszył powietrze. – Masz sklep z sukniami ślubnymi, prawda? Pracuję na „Rowenie”, tam w dali. – Kiwnął głową w kierunku uszpiętego, zacumowanego statku pocztowego. – Byłem w Heart’s

Bend dziesiątki razy. Słyszysz się to i tamto. Nie mogę tylko zrozumieć, jakim cudem jeszcze nie zmadrzałaś.

Bo wierzyła. Miała nadzieję. Bo go kochała. Bo...

Cora zaczęła się bronić. – On buduje swój interes, oszczędza pieniądze. I wtedy się pobierzemy. – Choć nie wiedziała, dlaczego tłumaczy się z ich wspólnych planów przed tym człowiekiem. Może miała po prostu potrzebę wypowiedzenia ich na głos.

– Buduje swój interes? Panienko, to jeden z najbogatszych ludzi na rzece. Jego ociec jest właścicielem dwóch firm rzecznych.

Pstryknął zapalniczką i przyłożył płomień do główki fajki. W wąłym żółtawym świetle lampy hangaru Cora dostrzegła poszarpaną bliznę na wskroś jego policzka.

– Jest legendarnym kapitanem. Widziałem, jak potrafi manewrować po wodach, które wciąż śnią mi się po nocach, a pływam po rzece, odkąd byłem małym chłopcem. O jego podbojach miłosnych także krążą legendy. Panienko, on cię nie kocha. I nie zamierza się z tobą ożenić. Mówi się w porcie, że wypłynął dziś, bo jego żona w St. Louis rodzi mu dziecko.

*Jego żona?* – Łzesz! – Ale Cora czuła ciężar jego słów. Czuła, jak wbijają ją w ziemię.

– Powtarzam tylko to, co mówi się na rzece. Ale kapitan jest przebiegły. Nie da się z niego wyciągnąć prawdy. Nawet gdy jest zalany w trupa.

– On nie pije. Przysięgał mi.

– Przysięgał, co? – Mężczyzna wypuścił dym z ust. W końcu odezwał się niskim i pojednawczym głosem. – Żał patrzeć, jak taka ładna kobitka jak ty daje się wodzić za nos takiemu człowiekowi jak St. Claire. Choć przyznaję, ma swój urok. Magiczny dotyk.

Chciała odejść, przestać słuchać jego kłamstw, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Bo przecież wiedziała... ta gardłowa, zachrypnięta opowieść była prawdziwa.

– Dzień... dziękuję, panie...

– Daughtry. Wszyscy mówią na mnie Daughtry.

Cora poszła w stronę ulicy, do swojego samochodu, ledwo słysząc przenikliwy ryk syren, rozdzierający nocne powietrze.

Kilku mężczyzn wypadło z hangaru: – Pożar! – Jeden wskoczył za kierownicę

starej ciężarówki, a reszta na tylne siedzenia. Gdy kierowca dodał gazu, chwycili się boków auta. Z rury wydechowej wystrzelił dym.

Wiatr zawył, żałośnie wtórując, mierzwiąc nieruchomą taflę rzeki. Znów odezwały się syreny; ich przenikliwa pieśń przyprawiła Corę o gęsią skórkę.

Jej serce wyło z bólu, wołając z najgłębszych zakamarków: *Rufus! Rufus!*

Syrena znów zaczęła zawodzić, wysyłając groźne ostrzeżenia. Z ciemności wyłoniło się jeszcze więcej osób. Ukazali się w świetle ulicznych lamp i znów zniknęli.

Cora spojrzała w kierunku, w którym biegli, i na tle rozświetlonego gwiazdami nieba zobaczyła kłęby dymu.

Gdy doszła do samochodu, akurat podjechał Joe McPhearson swoją półciężarówką i wychylił się przez okno. – Dzięki Bogu, nic ci się nie stało.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby mi się coś stać?

– Bo twój salon ślubny się pali.

## *Birch*

Nagle zerwał się z łóżka, gdy dotarło do niego pianie koguta. Próbował uspokoić swe walące serce. Pewnie się zdrzemnął. Pamiętał jedynie, że ochładzał twarz Cory zimnym kompresem, a potem usiadł w fotelu w rogu pokoju, żeby odpocząć. Tylko na chwilę...

Czerwonozłote światło sierpniowego poranka wdzierało się przez szpary między zasłonami. Lampa obok łóżka Cory niemal dogasała. Spragniony oliwy knot walczył o przetrwanie.

Birch wstał z fotela. Wziął miskę oraz dzbanek z wodą i poszedł do kuchni. Musiał napić się kawy. I przygotować jakieś śniadanie. Pozwoli Corze pospać, póki nie zanieśie jej tacy z jedzeniem. Oby była głodna.

Potem ustalą, gdzie zamieszka, zanim wyremontuje salon ślubny. *Jeśli* go wyremontuje. Z tego, co widział wczoraj, będzie potrzebowała mnóstwo pieniędzy, żeby przywrócić mu dawną świetność.

Przystanął przy zlewie, opierając ręce na porcelanowej krawędzi, i spojrzął na horyzont malowany różowozłotym świtem za oknem.

Jego sąsiad Wade wpadł wcześniej, żeby nakarmić zwierzęta, ale Birch i tak musiał zająć się dziś wyrywaniem chwastów z ogródka i naprawianiem

skórzanych uprząży. Był wdzięczny Wade'owi za jego życzliwość. Dzięki jego pomocy mógł zaopiekować się kobietą, którą kocha.

Wczorajsza noc zmroziła mu krew w żyłach. Dźwięk syren straży pożarnej to jedno. Ale gdy pędził do miasta, żeby wypełnić swój obowiązek, i odkrył, że to salon ślubny stoi w płomieniach – serce zamarło mu w piersi.

Nadjechał akurat w chwili, gdy Cora wbiegała do płonącego budynku po swoje „rzeczy”. Birch ruszył za nią, choć komendant Hayes go zatrzymywał.

*„To zbyt niebezpieczne”.*

*„Więc zamierzasz ją tam zostawić samą?”*, uwolnił się z jego uścisku i pobiegł za nią. Znalazł ją nieprzytomną dopiero na antresoli, leżącą po drugiej stronie obalonej, płonącej belki.

Birch oparł się o zlew i gapił się przez okno. Serce waliło mu w piersi na samo wspomnienie nieprzytomnej Cory pośród płomieni. Niemal ją stracił. Jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochał. Do licha, nie zmarnuje już ani jednej minuty. Nie będzie tylko stał obok, marząc, by była częścią jego życia.

Mamrotała coś przez sen. Coś o Rufusie, wzywała go. Ale tego łobuza nie było nawet w mieście.

Birch wyciągnął bochenek chleba z drewnianej skrzynki i z trzaskiem postawił patelnię na piecu, nakładając na żeliwo odrobinę smalcu. Roztrzepał kilka jajek z mlekiem i zanurzył w nich chleb.

Przygotował zaparzaczkę do kawy i wstawił czajnik z wodą na herbatę dla Cory. Nigdy nie przepadała za kawą.

Z serwantki stojącej w jadalni delikatnie wyjął dwie filiżanki i spodeczki z kompletu najlepszej porcelany jego mamy. Dostała ją w prezencie ślubnym od swojej ciotki, kiedy wychodziła za tatę. Była to najcenniejsza pamiątka Bircha.

Postawił porcelanę na tacce, a obok masło, syrop i wypolerowane srebro mamy, a następnie zajął się tostami, pilnując, by dobrze się usmażyły i były chrupkie.

Nalał sobie kawy i przygotował Corze filiżankę herbaty z cukrem i śmietanką. Ruszył na górę po skrzypiących schodach, by zanieść tacę do pokoju gościnnego.

– Jak bardzo jest źle? – zapytała Cora, siadając na jego widok. Choć zmęczona, nadal wyglądała prześlicznie. Gęste zmierzwione pukle okalały jej twarz.

Birch, zostawiwszy otwarte drzwi, walczył ze ściśniętym gardłem, gdy stawił

tackę na łóżku obok Cory. – Spłonęła weranda. Pokój kredensowy. Cały tył salonu jest zwęglony. Wszędzie czuć zapach spalenizny. Oczywiście, woda też spowodowała zniszczenia.

– A moje pieniądze, schowki... puszki z pieniędzmi... pod podłogą w holu...

Birch skinął głową w stronę stołu pod oknem. – Znalazłem puszki z pieniędzmi. Zabrałem je ze sobą.

– Dziękuję ci. – Odetchnęła z ulgą, siadając głębiej na łóżku i ukrywając twarz w dłoniach. – Czy jest sens pytać o inwentarz? Boże, jaka ja jestem głupia. Taka głupia.

– Nie mów tak, Coro.

– Ale to prawda. I wie o tym teraz całe miasto.

– Myślę, że nikt nie twierdzi, że jesteś głupia. Szczególnie, że niemal przypłaciłaś to życiem, kiedy zemdlałaś wśród dymu. – Podał jej herbatę. – Po kiego czorta wbiegłaś do palącego się budynku?

– Po moją księgę główną, depozyty z dwóch dni. Dopiero co zaczęłam wpłacać pieniądze do nowego banku Downtown Mutual na High Avenue. Och, Birch, powiedz mi, co z sukniami i resztą towarów?

– Jeśli chodzi ci o to, co znajdowało się w zamkniętym pokoju, to pewnie nic nie ucierpiało. Przedmioty w oknie wystawowym mogą pachnieć dymem, ale pożar nie zdążył się rozprzestrzenić. Ugasili ogień, zanim przedostał się przez antresolę. Twoja księga i cała reszta powinny więc być bezpieczne. Pojadę tam dziś, poszukam twojego depozytu.

– Dzięki Bogu. – Wzięła łyk herbaty. Jej złotobrzazowe oczy wypełniły się łzami. – Czy to przez świece? To one wywołały pożar?

– Jeśli tak było, to stopiły się w płomieniach. A były na tylnej werandzie?

– Tak... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Zostawiłam je zapalone, kiedy poszłam szukać Rufusa.

– Wczoraj wiał silny wiatr.

Podniosła oczy w kierunku sufitu. Łzy spływały jej po policzkach. – Salon to jedyna rzecz, jaką mam na tym świecie i niemal ją zniszczyłam. I dla kogo? Dla mężczyzny, który miał mnie kochać? Który miał się ze mną ożenić? Nie raczył nawet zjawić się na umówionej kolacji.

– Co się stało? – Birch położył kawałek smażonego tosta na talerzu, posmarował go masłem, polał syropem i podał go Corze. Wzięła go w dłoń, ale

była nieobecna.

– Spóźniał się, więc pojechałam na nabrzeże i tam powiedziano mi, że wypłynął. Jakaś nagła sprawa. Ale, Birch... – Cora utkwiała w nim swój wzrok. – Widziałam go, wśród dymu, jak pędzi mi na ratunek. – Poruszyła się, gniotąc poduszki za swoimi plecami. – Tak, teraz pamiętam. Widziałam jego niebieski płaszcz. Rufus przybiegł mi na ratunek, prawda? Powiedz mi, czy on tam był? Gdzie jest teraz?

– Coro, to nie Rufus cię uratował. – Birch pokręcił głową. – To byłem ja. Ja cię uratowałem.

– Ty? – Przycisnęła rękę do czoła. – To ty byłeś mężczyzną w płaszczu? Takim z guzikami, jak kapitańska marynarka?

– Komendant kazał mi ubrać strażacki kombinezon. Powiedział, że nie chce, żebyśmy oboje zginęli w pożarze.

– Więc to byłeś ty?

Birch wskazał na jej talerz. – Zjedz śniadanie, poczujesz się lepiej. Jedz. – Sam napił się kawy. Delikatna porcelana wydawała się nie pasować do jego dużych, szorstkich dłoni.

Ugryzła mały kęs. – Kiedy byłam mała, zawsze bałam się ciemności – zaczęła opowiadać, mówiąc nie tyle do Bircha, co w przestrzeń. Może do siebie. – Zakradałam się do łóżka rodziców. Tata wtedy mówił mi, że boję się ciemności, bo nic w niej nie widać. Potem zapalał zapałkę i dzięki temu małemu płomieniowi widziałam cały pokój. – Otarła policzki palcami. Zaśmiała się cicho. – Czekał, aż zapałka sama się wypali, zazwyczaj parząc mu palce. Wyrzucał ją, przeklinając. A mama go besztła: „Ernie, proszę cię. Co to za język”. A potem odszedł, kiedy miałam siedem lat. Naprawdę się bałam. Mama była silna. Ernest junior próbował być mężczyzną, choć miał tylko dziesięć lat. Ciągłe mi mówili, że jedyną rzeczą, której nie widać w ciemności, jest światło. Ale jeśli zapalimy lampę lub zapałkę albo popatrzymy na księżyc, to wtedy *widzimy*. Tak bardzo chciałam *zobaczyć* tatę. Po kilku miesiącach wrócił i cały dom wypełnił się jego światłem.

Birch usiadł w fotelu w rogu pokoju, słuchając. Starł się nie oddychać, nie chcąc, by przerywała.

– I znowu odszedł podczas kryzysu w 1914, by wrócić ponownie w słoneczny jesienny dzień. Wszystko wtedy było w porządku. A potem Ernest junior



wyruszył na wojnę. Tylko po to, żeby zginąć. To były *mroczne* dni.

– Tak, to prawda.

Spojrzała na niego, jakby przypominając sobie o jego obecności. – Oczywiście... byłeś tam. Na wojnie, w ciemności. – Zerknęła na swój talerz. – Birch, to wygląda przepysznie.

Ucieszył się, gdy odkroiła sobie kawałek tostu i wzięła go do ust, kiwając głową z aprobatą.

– Czy mogę cię o coś zapytać?

Spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

– Coro, co takiego trzyma cię przy Rufusie? Dlaczego na niego czekasz?

Odłożyła sztućce. – Ponieważ... Chyba... chyba chcę w niego wierzyć. Jeśli będę wierzyć, to mnie nie porzuci. Tak jak tata, jak Ernest junior.

– Ale twój brat cię nie porzucił. On zginął.

– Ale nie ma go tu, prawda? Taty też nie ma. Birch, ja po prostu nie chcę wierzyć w to, że kolejny mężczyzna mógłby mnie porzucić. – Chwyciła za wisiołek na szyi. Ten sam, który Rufus ofiarował jej cudownego czwartego lipca. Dlaczego? W dowód swojego uczucia. Co tam mógł wiedzieć jakiś Daughtry. – Nie zniosę kolejnego razu. Umrę, jeśli tak będzie.

Podbiegł do brzegu łóżka. – Coro, ja jestem przy tobie. Tuż obok. Ja cię nie porzucę. Nigdy cię nie porzucę.

– Kochany Birch – powiedziała, gładząc go po policzku. – Zawsze mogłam na ciebie liczyć.

– To wyjdź za mnie. – Jego słowa płynęły prosto z serca. Planował się jej oświadczyć subtelnie, w romantyczny sposób, trzymając ją za rękę i wręczając jej pierścionek swojej matki, ale nie mógł pozwolić, by ta chwila mu umknęła.

– Wyjść za ciebie? – Odsunęła rękę.

– Tak, wyjść za mnie. – Zerwał się na równe nogi, pobiegł korytarzem do swojej sypialni i wyciągnął pierścionek mamy z aksamitnego pudełka, które trzymał w szufladzie na skarpety. Kiedy wrócił do Cory, ukląkł przed nią, unosząc pudełeczko. – Kocham cię. Zawsze będę u twojego boku.

– Och, Birch... – Drżącymi palcami zakryła usta.

– Nie chcę słyszeć „Och, Birch” tylko „Tak, Birch, wyjdę za ciebie”. Czekałem na ciebie, Coro. Czekałem w czasie wojny, czekałem, kiedy rozpaczalas po Erneście juniorze, po ciotce Jane, czekałem, kiedy przejęlas salon. Nie słuchałem

mojego taty, kiedy mówił, żebym zaczął starać się o ciebie. Myślałem, że potrzebujesz czasu. To obróciło się przeciwko mnie. Zjawił się Rufus i odtąd musiałem patrzeć, jak tęsknisz za tym kmiotkiem. Jeśli cię tak kocha, to dlaczego się z tobą nie ożenił?

Cora, westchnąwszy, odstawiła swój talerz na tacę. W jej oczach lśniły łzy. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Miał wczoraj wieczorem być na kolacji. Nie zjawił się, więc pojechałam na nabrzeże. Powiedziano mi, że odpłynął do St. Louis. Chodziło o jego dziecko. Jakiś człowiek o nazwisku Daughtry powiedział mi, że Rufus jest żonaty.

Birch usiadł, wzdychając, trzymając w dłoni puzderko z pierścionkiem. – Słyszałem różne rzeczy, plotki, ale nigdy nie miałem pewności.

– Ten człowiek powiedział, że jestem jedyną kobietą, która się na nim nie poznała. I że Rufus wcale nie buduje swojej firmy, jak mi opowiadał. Jest jednym z najzamożniejszych ludzi na rzece.

– Okłamywał cię?

– Birch... – Jej policzki oblały się rumieńcem. Przez chwilę zapomniała nawet o pożarze. – Birch, czy pojedziesz ze mną do St. Louis? Proszę...

– Po co chcesz jechać do St. Louis? Żeby się z nim zobaczyć? Coro, musisz odbudować salon. Nie marnuj czasu i pieniędzy, żeby gonić za tym łajdakiem.

– Mam pieniądze, Birch. Możesz mi nie wierzyć, ale jestem w stanie odbudować salon. Kiedy przejęłam go po cioci Jane, tata kazał mi wykupić ubezpieczenie. Ale chcę poznać prawdę. Proszę, zawieź mnie do St. Louis. Mam adres. To chyba tam mieszka Rufus.

– Coro, siedziałaś i opowiadałaś mi przed chwilą o ciemności, a teraz prosisz mnie, żebym razem z tobą wmaszerował w sam jej środek?

– Tak, bo muszę odnaleźć światło. Jestem zmęczona tą... ciemnością. To właśnie mnie otacza. Ciemność. Nie wiem, co się za nią kryje. Co jest prawdą? Boję się, że jak skończona idiotka będę ciągle mieć nadzieję, że Rufus wróci. – Położyła mu dłoń na ramieniu. Patrzyła na niego pewna siebie, mówiąc zdecydowanym głosem. – Całe życie czekałam na mężczyznę takiego jak Rufus. Który zwalił mnie z nóg. Kiedy już myślałam, że jestem za stara na romantyzm, pojawił się w moim sklepie i porwał moje serce. Miał iskrę w oku, jakby jedna z gwiazd stwierdziła, że jest tak uroczy, że zamieszka w jego spojrzeniu. Z takim czymś człowiek się rodzi. Niemal nie mogłam oddychać. Uśmiechnął się do mnie

i myślałam, że zemdleję.

Birch odsunął się, włożył pudełko z pierścionkiem do kieszeni. Chciał wyjść, ale zawahał się przy drzwiach. – Teraz już wiesz, co czuję.

– Przepraszam cię Birch, ale muszę być z tobą szczerą.

– Jeśli tak bardzo cenisz sobie szczerą, to dlaczego znosisz jego kłamstwa?

– Chyba dlatego, że go kocham. Birch, pojedziesz ze mną? Czy mam w ogóle prawo cię o to prosić? Poprosiłabym jedną z moich przyjaciółek, ale wszystkie są zameżne i muszą zajmować się swoimi rodzinami. Nie ma taty... mama wyjechała.

– Coro, odpocznij. – Birch podszedł do łóżka i delikatnie ułożył Corę na poduszkach, zabierając jej talerz. – Nadal jesteś wycieńczona po wczorajszym dniu. Lekarz mówił, że nawdychałaś się dużo dymu. Musisz się położyć.

– A pojedziesz ze mną? Proszę.

– Jesteś przecież dorosłą kobietą. Pojedziesz sama, kiedy dojdiesz do siebie.

Nie chciał widzieć, jak ten brutal ją obcałowuje i obłapia swoimi łapskami.

– Birch, sama nie dam rady stawić temu czoła. Jedno spojrzenie, jedno czułe słówko i boję się, że znów będę mieć mętlik w głowie. Uwierzę w każde jego kłamstwo. Nigdy nie odkryję prawdy, jeśli zaufam swojemu sercu. Proszę cię. Bądź moim światłem.

Podniósł tacę i ruszył w kierunku drzwi. – W grę wchodzi tylko niedziela. Nie mogę się z tobą za nim uganiać w dzień roboczy. Ale nigdzie nie jadę, póki w pełni nie odzyskasz sił.

– Dziękuję ci, Birch, dziękuję.

– A co, jeśli go nie zastaniesz, Coro? Albo, co gorsza, jeśli spotkasz jego żonę i dziecko?

– To będę już wiedziała. Będę mogła zapomnieć o Rufusie St. Clairze i zacząć żyć swoim życiem.

Może zgodzi się wtedy zostać jego żoną. Zostać panią Good. – W porządku. Ale przemyśl to dobrze, Coro. Wejdiesz z butami w życie innej kobiety, mówiąc jej, że mąż ją oszukuje.

– A czy ona nie zasługuje na to, by wiedzieć?

– Po co? Ty wydawałaś się szczęśliwa, tkwiąc w *ciemności* przez cały ten czas.

– To niesprawiedliwe. Ja chciałam wierzyć. – Zadrżały jej wargi. – Kochałam go. Chyba nadal go kocham.

Westchnął. A niech to, czuł, że kocha ją jeszcze bardziej. – Pojadę z tobą. A teraz pomyśl, gdzie chciałabyś zamieszkać na czas remontu salonu.

Jej uśmiech był dla niego największą nagrodą.

– Później odwiedzę Tony’ego Nance’a – odparł. – Zobaczą, czy uda się skrzyknąć jakąś ekipę, żeby posprzątać sklep i usunąć ślady pożogi.

– Naprawdę jesteś dla mnie za dobry.

– Miałbym mówić, że cię kocham i nie okazywać ci tego? – Odstawił swoją filiżankę i spodek na tackę. – Zjedz teraz śniadanie. – Wskazał na talerz Cory, stojący na nocnym stoliku. – Mam trochę roboty. W łazience na końcu korytarza są czyste ręczniki. Jeśli będziesz mnie potrzebować, zadzwoń dzwonkiem. – Cora sięgnęła po dzwonek na stoliku nocnym i potrząsnęła nim. Birch uśmiechnął się. – Przybiegnę co sił w nogach.

Zbiegł po schodach, postawił tackę przy zlewie i zjadł resztkę usmażonych tostów, popijając je kawą. Była w jego domu. Opiekował się nią. Jeśli w ten sposób nie zdobędzie jej serca i ręki, to jak inaczej?

Z wieszaka przy tylnych drzwiach porwał swój kapelusz i, pogwizdując, wyszedł z domu, witając pokryty rosą świt i zapraszające światło dnia.

## *Haley*

*4 lutego*

Pierwszy czwartek lutego był pięknym, mroźnym dniem – idealnym na przejażdżkę szosą I-65 do Birmingham.

Tata Haley jeździł do pracy swoim nowym bmw, więc mama zasugerowała, żeby ona wzięła jego półciężarówkę. Haley chciała jednak poczuć wolność, którą gwarantowała tylko przejażdżka motocyklem.

Miesiąc po złożeniu wniosku o wydanie zezwolenia na renowację salonu ślubnego chciała znaleźć się na drodze, żeby pomyśleć, oczyścić głowę, wsłuchać się w głos Boga.

Ale zanim wyruszyła w trasę, podjechała do salonu po swój notatnik, który zostawiła wraz ze wszystkimi planami na antresoli.

Czuła zastrzyk energii, wbiegając po schodach i pokonując je po dwa stopnie na raz. Działo się tak za każdym razem, gdy wchodziła do salonu.

Od czasu, kiedy Cole i Gomez wyburzyli ścianki przy drzwiach wejściowych,

salon był skąpany w świetle. Haley spojrzała w dół z antresoli. Dzięki promieniom słonecznym wpadającym przez okna salon emanował wewnętrznym blaskiem. Jakby odetchnął z ulgą, dziękując, że ktoś znowu go pokochał.

Poklepała poręcz schodów. – Nie martw się. Robię wszystko, co w mojej mocy. – W modlitwach nieustannie prosiła Boga, żeby pomógł jej znaleźć potrzebne pieniądze i środki.

W przyszłym tygodniu miała umówione spotkanie w banku w Nashville.

Schodziła właśnie ze schodów, gdy nagle drzwi wejściowe otworzyły się na oścież. Wysoka, postawna postać Daxa wypełniła całe wejście. Haley potknęła się, zahaczając obcasem o najniższy stopień. – Co, co ty tu robisz?

– Szukam cię. – Dax wszedł nieco do środka i przystanął, uśmiechając się z udawaną skromnością i eksponując swoje wystające kości policzkowe.

– Wynoś się. Już! – Wypchnęła mężczyznę, niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, za drzwi. Obecność Daxa kalala jej salon, jego piękno i niewinność. – Wynoś się.

Dax zrobił krok do tyłu. Haley była jak mucha uderzająca o drzewo. – Uspokój się, Haley! Jezu...

– Nie mów mi, co mam robić. – Zamknęła drzwi za sobą i przekręciła klucz w zabytkowym zamku. Przy piersi trzymała kurczowo swój notatnik. – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Nie wiedziałem. Ale mówiłaś kiedyś o starym salonie ślubnym w śródmieściu. Kiedy przejeżdżałem, zobaczyłem twój motor przed budynkiem. – Wyszczrzył zęby, jakby znalazł garnek ze złotem na końcu tęczy.

– Żegnam więc.

Haley ruszyła chodnikiem w kierunku swojego motoru i zaparkowanego za nim ciemnego samochodu. Czowała dreszcze na całym ciele, zimniejsze niż otaczający ją chłód.

Cały Dax. Zjawia się nie wiadomo skąd. Próbuje ją znowu wciągnąć do swojego życia. Zdobyć ją swoim zakłamanym spojrzeniem i oklepanym uśmiechem, który dawniej sprawiał, że ugiwały się pod nią kolana. Choć jeśli miała być szczerą, nadal czuła motyle w brzuchu.

– Tęskniłem za tobą. – Dax oparł swoją muskularną sylwetkę o samochód, zakopując stopy w brudnym śniegu leżącym przy krawężniku. – Chciałem sprawdzić, czy nie moglibyśmy...

– My? Nie ma żadnego „my”. Nie ma nas. – Walnęłaby go w ramię, gdyby była szansa, że poczuje coś pod swoim płaszczem i twardymi mięśniami prosto z kalifornijskiej plaży. – Czego nie zrozumiałeś, kiedy mówiłam, że nie chcę cię więcej widzieć?

– Byłaś zła.

– Oczywiście, że byłam zła. Dax, jesteś *zontaty*. – Zaciśnęła dłoń. Och, jakąż miała ochotę rozkwasić ten jego idealny nos swoją pięścią. – I wciągnąłeś mnie w sieć swoich kłamstw i oszustw. Nawet nie mogę cię za to winić, bo ja sama, głupia, się na to zgodziłam!

– To ucieszysz się, bo problem został rozwiązany.

– Problem? Tak nazywasz swoje dzieci i małżeństwo? Czy ty słyszysz, co mówisz?

– Rozwodzę się.

Haley zaśmiała się. – Znowu? Tak jak wcześniej, z dziesięć tysięcy razy? Kiedy błagałam cię, żebyś ją zostawił? – Zatraciła część swojej duszy, związując się z tym draniem, który gapił się teraz na nią swoimi stalowymi oczami, uśmiechając się z wyższością. – Rób, co chcesz, Dax. Ale mnie w to nie mieszaj. Ani teraz, ani nigdy nie będzie już „nas”.

Odkąd Bóg powiedział jej, że ma wracać do domu, miała nadzieję, modliła się, wierzyła, że powrót do Heart’s Bend – a teraz otwarcie salonu ślubnego – pozwoli jej odzyskać choć część siebie, którą zatraciła dla tego mężczyzny.

Swoją niewinność. Godność. Szacunek do samej siebie. Marzenia i radość życia.

A teraz stał przed nią i znowu bała się, że to straci.

– A więc to jest ten sławny salon ślubny? – Znów podszedł w kierunku budynku, przyglądając się frontowi, filarom przy oknach wystawowych, zaniedbanej zieleni.

– Dax – odezwała się Haley, sprawdzając godzinę na telefonie – muszę jechać. Mam spotkanie.

Odwrocił głowę i spojrzał na nią. – Mogę ci pomóc przy remoncie. Mówiłem, że ci pomogę. Kiedy tylko chcesz, kochanie.

Kochanie? Poczula niesmak, słysząc to słowo w jego ustach. – Nie, dzięki.

– Naprawdę? Przestań, wiem, że nie masz pieniędzy.

– Dzięki tobie.

Dax miał sieć klubów fitness i sprzedawał po domach płyty z nagraniami swoich treningów. Spotkał się nawet z pewnym uznaniem. Karta kredytowa i oszczędności Haley pomogły mu sfinansować jego pierwsze nagrania.

– Wiesz, że jestem twoim dłużnikiem. Pomogłaś mi. Teraz moja kolej, żeby się odwdzięczyć. – Wyszczrzył zęby, unosząc znacząco brwi. – To był dobry rok dla DM Enterprises.

Miała pozwolić, żeby swoimi obleśnymi mackami dobrał się do jej życia, do jej kochanego sklepu? Nie ma mowy. Nie pozwoli na to, jeśli nie dla siebie, to z miłości do panny Cory.

– Dax, przejechałeś taki szmat drogi na marne. Ja naprawdę muszę już iść.

– Tak naprawdę, to mam spotkanie w Nashville. – Podszedł do niej. – Para artystów muzyki country schudła dzięki moim instruktażowym filmikom. Kroi się współpraca; ich muzyka będzie w mojej nowej serii treningowej. – Czekał, aż Haley coś powie i wyrazi podziw. – Pójdiesz ze mną dziś na kolację?

– Nie. – Odwróciła się w stronę swojego motoru i włożyła notes do sakwy. – Miłego spotkania i życia.

– Kotku, co ty, czemu mi to robisz? – Obszedł motor, wyciągając do niej rękę.

– Dax... – W chwili, gdy się wyswobodziła, nadjechał Cole, spuszczać okno od strony pasażera.

– Haley, jesteś gotowa? Wiesz, na co.

Racja. – Tak, już idę. Jestem spóźniona? Przepraszam. – Wsiadła na motor, wcisnęła kask na głowę i zwiększyła obroty silnika. Cały ten czas Cole czekał i patrzył na nią przy wtórze leniwego warkotu ciężarówki.

Ale zaraz... Musiała postawić sprawę jasno. Zeskoczyła z motoru i podeszła do Daxa, stojącego nadal przy swoim samochodzie.

– Kiedy wrócę, ma cię tu nie być. Nie chcę cię widzieć w tym mieście.

# *dwadzieścia*

*Cora*

*Październik 1931*

– Nie najlepiej się czuję. – Zaparkowała przy krawężniku nieopodal Forest Park w środkowo-zachodniej części St. Louis. Dobrze, że zdecydowała się kilka lat temu na zakup bardziej luksusowego samochodu, w przeciwnym razie bałaby się, że ktoś mógłby poprosić ją teraz o przeparkowanie auta „na tyły”.

Co za bogata dzielnica.

Birch zagwizdał znacząco. Siedział obok niej, na miejscu pasażera, z wciśniętym nisko na czoło kapeluszem, który podkreślał zgrabny zarys jego twarzy. – Wiedziałaś o tym?

– Nie miałam pojęcia – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do Bircha.

– Ale skoro jest jednym z najbogatszych ludzi na rzece, to nie powinno to nas dziwić.

Przed domem znajdowała się bujna i wypielegnowana zieleń. Większość trawników w Heart’s Bend była wypalona od upału i suszy.

Cora wyłączyła silnik i zaciągnęła hamulec bezpieczeństwa. Zaciskając dłonie na kierownicy, gapiała się na imponujące drzwi wejściowe pomiędzy rzędem oknem.

W samochodzie słychać było tylko ich oddechy. Po chwili Birch poruszył się na swoim siedzeniu i wytarł spoconą dłoń w swoje niedzielne spodnie. Spod podwiniętych rękawów znoszonej i spranej koszuli frakowej widoczne były jego opalone, umięśnione przedramiona. Wokół szyi miał luźno zawiązany ciemny krawat, odsłaniający odpięty ostatni guzik przy kołnierzyku. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Pojedyncza strużka spłynęła mu po policzku przy uchu.

– Birch... – Cora położyła rękę na jego kolanie. – Dziękuję ci.

Spojrzał na nią. – Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Wiesz o tym dobrze.



Od pożaru salonu minęły niemal dwa miesiące. Cora zamieszkała z Odelią, a Tony Nance z kilkoma ludźmi remontował w tym czasie salon.

To cud, że się nie pozabijały. Cora po tym, jak w czasie pożaru nawdychała się dymu, doszła do siebie, ale nadal walczyła z bólami głowy i wieczornym zmęczeniem.

W pierwszej kolejności odszukała swoją polisę ubezpieczeniową i wysłała telegram do głównego biura w Nowym Jorku. Przysłali inspektora, który stwierdził, że nie doszło do pożaru w wyniku podpalenia, i zatwierdził wypłatę funduszy na remont.

Tata miał wiele wad, ale jego namowy, aby wykupiła ubezpieczenie, ocaliły salon ślubny w tych trudnych czasach.

Nie miała tyle szczęścia, jeśli chodzi o Rufusa. Dlatego znalazła się w St. Louis, aby odkryć prawdę.

– Kiedy byłem dzieckiem – zaczął Birch – mój tata pojechał na Wystawę Światową do Luizjany. Chciał mnie zabrać ze sobą, ale mama stwierdziła, że to zbyt dużo wrażeń dla dziewięciolatka. Kilka lat później tata powiedział mi, że żałował, że jej wtedy posłuchał.

– Tata i mama też tam byli. Zostawili mnie i Ernesta juniora z cicią Jane.

– Jeśli kiedyś będę miał dziecko, zabiorę je na Wystawę Światową. Tata opowiadał mi, że była imponująca. Przywiózł mi nawet monetę wybitą z okazji tego wydarzenia. Nadal ją mam.

– Naprawdę? Rodzice przywieźli nam książkę o Wystawie Światowej. Też nadal ją mam. – Westchnęła. – Dzięki Bogu. Nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby pożar pochłonął cały salon.

Jej smutek niemal natychmiast przerodził się we wściekłość. Cały weekend doświadczała takich wahań nastroju – od łkania po złość. Przez swoje naiwne oddanie Rufusowi niemalże straciłaby wszystko – swój interes, fotografie, meble, zastawę, ulubione wspomnienia, jak chociażby ta książka z Wystawy Światowej. Swoją przyszłość.

– Musimy zeswatać twoją książkę i moją monetę. – Chciał, by to zabrzmiało jak żart, ale Cora pojęła dwuznaczność tego komentarza. Po tym, jak odchrząknął i spojrział w dal, wiedziała, że też ją zrozumiał.

Od tamtego pamiętnego dnia w domu nie rozmawiali o oświadczeniach Bircha. Ani o podróży do St. Louis. Gawędzili o farmie, pogodzie, o tym, kto w mieście

najbardziej odczuł kryzys. O tym, jak postępują naprawy w sklepie. O jesiennych żniwach i zbliżającym się festynie.

Cora opowiedziała mu, co słyhać u mamy, gdyż rozmawiały wczoraj wieczorem przez telefon.

– Nadal nie powiedziałam jej o pożarze. Po prostu nie mogłam. Birch, szkoda, że nie słyszałeś tej radości i ulgi w jej głosie. Śmiała się serdecznie, opowiadając mi o tym, jak była z moim wujostwem w teatrze i jak zagubiła się w czasie antraktu. To była muzyka dla moich uszu i nie mogłam zasmucić mamy informacją o pożarze. Jeśli jej powiem, to wsiądzie w pierwszy lepszy autobus do domu. Nie mogę jej tego zrobić.

Birch zgadzał się z nią. Cora świetnie sobie ze wszystkim radziła. Nie było potrzeby, żeby ściągać tu Esmé.

– Siedzimy tu już wystarczająco długo. Na pewno już spojrzeli przez okna i nas zobaczyli. – Birch złożył mapę i włożył starannie do schowka. – Chcesz zawrócić? Nie musisz tam iść.

– Ale przejechaliśmy taki szmat drogi.

– I co z tego?

– Birch, myślisz, że on naprawdę mnie okłamywał? Dlaczego miałabym ufać jakiemuś Daughtry’emu, skoro Rufusa znam, kocham i mu ufam?

– To nie jest pytanie do mnie. Wejź do środka i sama się przekonaj.

Wzięła z tylnego siedzenia swoją torebkę wykończoną paciorkami i ją otworzyła. Wyciągnęła rękawiczki i ubrała je z determinacją. Ale z każdym kolejnym ruchem narastało w niej zdenerwowanie, które sprawiało, że czuła się słabo.

– Poczekaj. – Birch położył swoje ręce na jej dłoniach. – Nie pójdę tam z tobą, jeśli będziesz kłębkiem nerwów. Nie chcę, żebyś wyglądała na desperatkę. Stać cię na więcej. Cora, nie rozumiem, dlaczego nie widzisz siebie takiej, jaka jesteś naprawdę: silna, niezależna, *dobra* chrześcijanka.

– Wiem, kim jestem. Zbyt wysoką i chudą, pospolitą i naiwną kobietą, która wcale nie jest taka święta.

Birch poruszył się na siedzeniu, splatając dłonie na kolanach. – Jeśli koniecznie chcesz mówić o sobie złe rzeczy, nie będę próbował cię przekonywać.

– Birch, czy możemy po prostu mieć już to za sobą? Potem możesz mnie zrugać.

– Chodźmy – oddychał ciężko, poprawiając krawat. – Ale nie obiecuję, że nie spiorę go na kwaśne jabłko.

– Nie bądź śmieszny. Widziałeś jego ramiona? Ma posturę boksera.

Birch zmarszczył się. – A widziałeś moje ramiona? – Tak się składa, że tak. – Żadne ze mnie chuchro.

– No właśnie. Więc żadnych bójek. – Cora chwyciła za klamkę drzwi i zamarła. – Tak bardzo się boję.

– Bo poznasz prawdę.

– Myślisz, że tak dobrze mnie znasz, co?

– A nie? – odgarnął ciemną grzywkę z czoła i utkwiał w Corze swoje bladoniebieskie oczy. – Znam cię od dziecka. Odkąd zaczęliście przyjeżdżać na farmę babci na pikniki. – Zaśmiał się tubalnie, zakrywając usta zaciśniętą pięścią. – Pamiętasz, jak pływaliś w stawie i nagle obok nas przepłynął ogromny wąż? – Klepnął się w kolano, a jego śmiech wypełnił auto. – Tak szybko chciałaś przed nim uciec, że przysiągłbym, że zaczęłaś chodzić po wodzie.

– Na litość boską, miałam dwanaście lat. Cicho. Śmiejesz się równie głośno, co wtedy.

– Jest to nadal najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Powinni to puszczać w kinach.

– Nie pomagasz.

– Śmiech zawsze pomaga. – Otworzył drzwi ze swojej strony i obszedł samochód. – Chodź. – Otworzył drzwi, podając jej rękę. – Jeśli chcesz, to poczekam gdzie indziej. Pobiegnę do sklepu po coś zimnego do picia.

– Co? – Cora zawahała się, zanim podała mu rękę. Gdy wychodziła, wsparła się na nim. Dotyk jego ciepłej dłoni ukoił jej skołatane nerwy. – Chcesz mnie tam wysłać samą? Tego się po tobie nie spodziewałam, Birchu Good. – Kurczowo trzymała się jego ręki.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powinnaś tam wmaszerować jak dzielny hinduski służący z wiersza Kiplinga, Gunga Din, i mu wygarnąć.

– Gunga Din, co? Dobrze. – Zrobiła krok do przodu, ale jej osłabione ciało nie chciało jej słuchać. Potknęła się przy samochodzie.

Birch otoczył jej talię ramieniem. – Tak długo tu jechaliśmy, że pewnie zdrętwiały ci nogi.

Spojrzała mu w oczy. – Gdybym zapomniała później... jesteś kochany, Birch.

Dziękuję ci, że tu ze mną jesteś.

Zrobili trzy kroki w stronę lśniącego czarnego płotu z kutego żelaza przed dwupiętrowym domem z czerwonej cegły. Birch odsunął zasuwę furtki, a Cora zaczęła iść długim chodnikiem w kierunku frontowych drzwi. Raz czy dwa Birch dotknął delikatnie jej pleców. *Jestem tutaj.*

Zadzwoiła do drzwi. Po ich drugiej stronie dał się słyszeć odgłos kroków stawianych najprawdopodobniej na marmurowej posadzce. Drzwi otworzyły się i stanęła przed nimi młoda ciemnoskóra kobieta w fartuszkach służącej. Cora zapragnęła nagle zobaczyć się z kochaną Liberty.

– W czym mogę państwu pomóc?

– Ach tak... Szukam Miriam. – Serce dudniło z każdą wypowiedzaną sylabą.

– Kogo mam zaanonsować?

– Pannę Corę Scott.

– Niedzielne popołudnia pani Miriam spędza z rodziną. Muszę zobaczyć, czy będzie mogła panią przyjąć. – Służąca otworzyła drzwi. – Proszę poczekać w holu.

– Dziękuję. – Cora oparła się o Bircha. – Źle się czuję. – Wzięła głęboki oddech. Spokojnie, tylko spokojnie. Rozejrzała się po obszernym holu. Nie miała wątpliwości: ktokolwiek tu mieszkał, dysponował dużymi pieniędzmi. Marmurowe podłogi i adamaszkowe zasłony były jedynie czubkiem góry lodowej.

Zza ściany dobiegały niskie, stłumione głosy. – Weź Rufiego. Zmień mu pieluszkę.

Po chwili zjawiała się przepiękna, szczupła kobieta ze sznurem pereł na szyi, bujnymi kasztanowymi włosami okalającymi jej delikatną twarz i z zaokrąglonym brzuchem. – Miriam St. Claire. W czym mogę pomóc?

Birch otulił talię Cory silnym ramieniem.

– Proszę mi wybaczyć, że nachodzę panią bez zapowiedzi. Nazywam się Cora Scott. – Z przyzwyczajenia od razu podała jej rękę. Nie miała pojęcia, co powie dalej. Wmawiała sobie, że Miriam jest siostrą, kuzynką, dziewczyną, o którą tak naprawdę Rufus nie dbał. A ona była jego żoną. I miała dziecko!

– Birch Good. – Przedstawił się i uściśnął dłoń Miriam. – Miło mi panią poznać.

– Florence powiedziała mi, że chce pani ze mną porozmawiać. – Spoglądając

na Corę i Bircha, położyła jedną dłoń na brzuchu.

– Na kiedy ma pani termin?

Uśmiechnęła się i rozluźniła. – Za miesiąc. – Przycisnęła dłoń do czoła. – Już myślałam, że straciłam je dwa miesiące temu. Ale dzięki Bogu... więc jak mogę pani pomóc?

W tym momencie Cora chciała obrócić się na pięcie i uciec. Z każdą chwilą Miriam była coraz bardziej oszałamiająca. Gdy Cora zobaczyła, jak się uśmiecha, zrozumiała, że Rufus ją nikczemnie okłamywał. Kto by chciał taką kobietę jak Cora, z jej pospolitymi brązowymi włosami i ostrymi rysami, kiedy taka bogini czekała w domu? I jeszcze rodziła mu dzieci.

– Kochanie, słyszałem dzwonek. Kto przyszedł?

Rufus. Poznałaby jego głos wszędzie.

Wbiła palce w przedramię Bircha, gdy zobaczyła, jak Rufus schodzi ze schodów z ufryzowaną grzywą, ubrany w ciemne spodnie i bonzurkę.

– Panna Cora Scott, kochanie.

Przystanął. Krew odpłynęła mu z policzków. W jego oczach pojawił się błysk gniewu i Cora poczuła strach. Nigdy się go nie bała. Aż do tej chwili.

Podszedł do niej. Jego ruchy były wyrachowane i ostrożne. Lew broniący swojego stada. Naruszyła jego teren i nie zamierzał tego tolerować.

Jeszcze mocniej ścisnęła przedramię Bircha. Cała drżała. Rufus wyglądał wspaniale. Potężny i przystojny. I prawdziwie przerażający.

– Panna Scott... – odezwał się. Ton jego głosu, oczy, wyraz jego twarzy nakazywały jej milczeć. *Ani słowa!* – Miriam, czy to twoja koleżanka z Ligi Kobiet? – Uwięził jej oczy w swoim spojrzeniu. Czowała, że pragnie mieć nad nią kontrolę.

– Nie, kochanie. Pani mnie szukała.

– Nazywam się Birch Good. – Birch zrobił krok do przodu, wyciągając do Rufusa rękę, ale mężczyzna zignorował go, jeszcze bardziej świdrując Corę spojrzeniem.

– Jeśli przysłała pani po datki na biednych, to w tym miesiącu już złożyliśmy darowiznę. – Nakłaniał ją do kłamstwa.

– Mamy jeszcze ubrania, które chciałam przeznaczyć na cele dobroczynne. – Miriam zmierzyła Corę wzrokiem. – Nie wolno nam zapominać, że w tych ciężkich czasach jest wielu potrzebujących. Poślę Florence, żeby zapakowała

wszystko do pudeł. – Ujęła ramię męża, posyłając mu swój idealny, olśniewający uśmiech.

– Nie. – Cora odnalazła w sobie odwagę, swojego wewnętrznego Gunga Dina. – Nie potrzebujemy pomocy. Nie przyjechaliśmy tu po datki.

– Och, mój błąd. – Miriam odwróciła się w ich stronę. Musiała czuć napięcie. – Jak mogę zatem pani pomóc? Florence powiedziała, że chce pani ze mną rozmawiać. O co chodzi?

– Kochanie – odezwał się Rufus – zaschło mi w gardle. Poproś o szklanę mrożonej herbaty dla mnie. Słodkiej, takiej jak lubię. Z kilkoma kostkami lodu.

– Oczywiście. Zadzwońię po Florence. – Podeszła do adamaszkowego sznura ukrytego pomiędzy zasłonami w rogu pokoju. – Usiądziemy? Powiem Florence, żeby wszystkim nam przyniosła mrożonej herbaty. Piła pani kiedyś mrożoną herbatę? Rufus przywiózł nam przepis, gdzieś z dalekiego Południa. Ma wielkie szczęście, że może podróżować i zwiedzać kraj.

– Tak, piłam już mrożoną herbatę.

– Miriam – Rufus przemówił do żony delikatnym, słodkim głosem – proszę cię, czy mogłabyś przypilnować Florence? Ostatnio nie mieszała właściwie składników. Herbata była zbyt słodka.

– To chyba niemożliwe – odezwał się Birch, a jego nerwowy chichot zwiększył tylko napięcie.

Miriam kiwnęła głową, przystając na prośbę męża. Zanim zniknęła w zacienionym korytarzu, spojrzała z niepokojem na Rufusa. Gdy tylko Miriam wyszła, ruszył na Corę, przeklinając przez zaciśnięte zęby.

– Co ty tu robisz?

Birch odepchnął go. – Spokojnie, kapitanie.

– Mój sklep spłonął. Wybuchł pożar.

– I dlatego tu przyjechałaś? Po kiego licha... – Wyjrzał przez okno przy drzwiach. – Jechałaś pięć godzin, tylko po to, żeby powiedzieć mi, że twój sklep spłonął?

– Spalił się przez ciebie. – Cora dźgnęła go palcem w pierś. – Bo nie zjawiłeś się na kolacji i pojechałam cię szukać. Wiatr przewrócił świece.

Poczuła dreszcze, słysząc jego śmiech. – Mnie obwiniasz o swoje niedbalstwo?

– Spokojnie, St. Claire. – Birch osłonił Corę. – Ona martwiła się o ciebie.

– To nie mój problem.

– A właśnie, że twój problem. – Cora rzuciła się na niego i popchnęła do tyłu.  
– Ty zakłamana świni! Jesteś żonaty. – Wyrzucała z siebie swój ból. – Jak mogłeś? Jak mogłeś?

Birch odciągnął ją, przytrzymując jej ręce po bokach. – Nie dawaj mu tej satysfakcji, Coro. Jeśli Miriam to zobaczy, obwini ciebie i stanie po stronie męża.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – Uwolniła się z jego uścisku. – Masz żonę. I dziecko w drodze.

– Jak mnie znalazłaś?

– Jak mnie znalazłaś... tylko to cię obchodzi? A nie „Przepraszam, że cię skrzywdziłem, Coro. Przepraszam, że cię okłamałem”? – Zrobiła zamach, uderzając jedynie powietrze. Łzy ją oślepiły.

– Musisz stąd iść. – Rufus popchnął ją w kierunku drzwi, patrząc na Bircha. – Nie obchodzi mnie, kim jesteś, ale jeśli ci na niej zależy, to wyprowadź ją stąd.

Mówił nad jej głową, jakby nic nie znaczyła. A Birch mu to ułatwiał.

Nie! Cora uwolniła się i wbiła obcas w but Rufusa. – Nie dam się uciszyć. – Posłała Rufusowi wściekłe spojrzenie i pobiegła na koniec korytarza, wpadając do wielkiej kuchni z elektrycznym piecem i lodówką. – Miriam?

Nagle czyjaś ręka złapała ją za włosy i szarpnęła jej głowę do tyłu. – Zamknij się, ty mała wiedźmo.

– Puszczaj ją St. Claire! – zagrzemiał Birch, wpadając do kuchni i rzucając się na Rufusa.

– Złaż ze mnie.

Cora krzyknęła i upadła na podłogę. Mężczyźni się bili. Rufus nadal trzymał jej włosy w zaciśniętej pięści.

– Puść ją.

Cora usłyszała odgłos pięści uderzającej w szczękę. Podniosła ręce i zatopila paznokcie w dłoni Rufusa. – Przestań... puść mnie.

– Co tu się dzieje? – odezwała się Miriam. – Rufus, uwolnij ją. Co w ciebie wstąpiło?

Rufus puścił Corę i pchnął ją na drewnianą podłogę. Podniosła się, żeby pochylić się nad Birchem, i kątem oka zobaczyła, jak Rufus pociera szczękę.

– Nic – odparł, stając przed żoną. – To dwójka oszustów.

Miriam poprawiła małego chłopca siedzącego na jej biodrze. – Panno Scott, dlaczego zakłóca pani spokój mojego domu w niedzielne popołudnie?

Wentylatory nad ich głowami spokojnie mruczały i furkotały, wprawiając w ruch upalne powietrze.

– To mój narzeczony – powiedziała Cora, słysząc absurdalność swoich słów. – To znaczy... obiecał, że mi się oświadczy, kiedy...

– To skandal. Miriam, kochanie, dlaczego jej słuchasz?

Birch wtrącił się, patrząc z wyższością na kłamcę. – St. Claire, daj jej mówić.

– Jak mógłby coś takiego obiecać? – Miriam zaśmiała się sztucznie, drżącym głosem. – Jest przecież żonaty.

– Nie wiedziałam. Nie wiedziałam. Mówił mi, że jak już zdobędzie fortunę i będzie w stanie dać mi to, na co zasługuję, to się ze mną ożeni.

– Kochanie... – Rufus zaszczebotał do żony. – Ona kłamie.

Cora przejrzała na oczy, słysząc wężowy jad w jego głosie.

– Ona nie kłamie, pani St. Claire – włączył się Birch.

Miriam powstrzymała dłonią swojego męża, patrząc na niego surowo. – Milcz Rufus. Chcę jej wysłuchać. Czy jest pani jego kochanką?

Cora zwiesiła głowę. – Nie. – Nie żeby nie było okazji. – Ale go kocham.

– Gdzie pani mieszka?

– W Heart's Bend w Tennessee. Dowiedziałam się o pani istnieniu z kartki pocztowej, którą wysłała pani Rufusowi, a która omyłkowo trafiła do mojego salonu ślubnego.

– Miriam, kochana, dlaczego ty jej słuchasz. Ona kłamie.

– St. Claire, ostrzegam cię! – Birch wyszedł przed Corę w stronę Rufusa. – Daj jej mówić.

– Czy pani kłamie, panno Scott? Co mój mąż pani zrobił, że przyjeżdża pani, z jakiegoś Heart's Bend, żeby opowiadać o nim jakieś niestworzone historie?

– Dwa miesiące temu miał spotkać się ze mną na kolacji. Kiedy się nie zjawił, pojechałam go szukać. Zostawiłam zapalone świece i w moim salonie wybuchł pożar.

– Słyszysz, że to kretynka. Dlaczego miałbym przystawać z kimś jej pokroju? To prostaczka. Kompletne zero.

Te słowa cięły jej duszę niczym brzytwa. – Pewien człowiek w porcie powiedział mi, że kapitan ma wiele kobiet i że tylko ja się na nim jeszcze nie poznałam. Powiedział mi, że Rufus jest jednym z najbogatszych ludzi na rzece, więc przyjechałam, żeby się o tym przekonać.



– Rufus? Czy to prawda? – Rąbek wspaniałej sukni Miriam zakołysał się, zdradzając zdenerwowanie, które starała się ukryć pod maską opanowania. – Czy obiecałeś pannie Scott, że się z nią ożenisz? Czy masz inne kobiety?

– Miriam, zabraniam ci słuchać kłamstw tej kobiety. Jak mógłbym zniżyć się do odpowiedzi na twoje pytanie?

– Pani St. Claire, dostałam kartkę, którą wysłała pani do swojego męża. Trafiła do mojego salonu w Heart's Bend. Pytałam go o panią. Powiedział, że jest pani żoną kolegi. – Krew odpłynęła z delikatnej twarzy Miriam. Bładość policzków sprawiała, że jej wielkie zielone oczy wyglądały jak nie z tego świata. Cora chwyciła się ramienia Bircha. – Chodźmy.

– Jesteś pewna? – zapytał Birch, ciągnąc ją z powrotem. – Czy powiedziałaś już wszystko, co chciałaś? Nie będzie drugiej szansy.

Wzięła głęboki oddech. Pragnęła jeszcze raz spojrzeć na Rufusa, ale przed oczami miała ciągle wyraz twarzy Miriam. Sama była na granicy rozpacz i nie miała pewności, czy da radę znaleźć odpowiednie słowa.

Czy było ważne, że kochała Rufusa każdą cząstką swojego ciała? Że na niego czekała? Że marzyła o dniu swojego ślubu i ich miesiącu miodowym, kiedy będzie mogła całkowicie mu się oddać? Że znosiła szyderstwa swojej matki, swoich przyjaciół i zawsze go broniła? Że mu ufała?

Był żonaty.

Cora czuła, że gdyby powiedziała coś jeszcze, straciłaby część siebie, której nigdy już nie odzyska. A poza tym zraniłaby Miriam, która tak jak inni była ofiarą kłamstw i zdrad Rufusa. Po co miała to robić? Żeby dostał za swoje?

Co stanie się z tym uroczym dzieckiem z rumianymi policzkami i ufnymi oczami? Albo z tym w łonie Miriam? Zasługiwały na to, żeby mieć ojca bez względu na to jaki był podły.

– Pani St. Claire, proszę mi wybaczyć, że zrujnowałam pani popołudnie. Zniknę i nigdy już pani o mnie nie usłyszysz.

– Ale czy to prawda? – Miriam chwyciła rękę Cory. – Muszę wiedzieć. Czy Rufus obiecał pani, że się z panią ożeni? – Wbiła palce w jej skórę. – Mogę od niego odejść. Zbudował swoją pozycję na rzece tylko dzięki pieniądзом mojego ojca.

– Słyszałam, że to były pieniądze jego ojca.

– Nie, *mojego*. – Odwróciła się do Rufusa. – Rozpowiadasz ludziom, że to

pieniądze twojej rodziny?

– Nie mogę uwierzyć, że trzymasz stronę tej... tej... ladacznicy.

– Miriam – odezwała się Cora – jeśli chcesz odejść, to musi być to całkowicie twoja decyzja. Nie odchodź przede mną.

– Ale to prawda? Mówił ci o ślubie?

Co mogła powiedzieć? Miriam St. Claire ucierpiała znacznie bardziej niż Cora.

– Tak, mówił.

Miriam cofnęła się, zakrywając usta ręką, przytuliła mocniej synka i wybiegła do bocznego korytarza, uciekając z kuchni i od prawdy.

– Popatrz, coś narobiła – warknął Rufus, patrząc Corze w twarz.

– Nie, coś ty narobił.

Cora wymaszerowała z jego domu z uniesioną głową, wystukując obcasami na marmurze pieśń żałobną. Starła się nie rozplakać, gdy wychodziła przez drzwi wejściowe, przez furtkę, gdy już szła chodnikiem.

Gdzieś poza nią, na błękitnym niebie, ptaki wyśpiewywały swoją pieśń wśród czesanych wiatrem, zmieniających się październikowych drzew.

Zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu. Próbowwała włożyć klucz do stacyjki, ale cała drżała i nie kontrolowała swoich ruchów.

– Pozwól, że ja to zrobię. – Birch wziął z jej ręki pęk kluczy, wybierając ten właściwy. – Mogę poprowadzić, jeśli chcesz.

– Nie. – Głos uwiązł jej w gardle, choć próbowała trzymać wysoko uniesioną głowę. – Dam radę prowadzić.

– Udało ci się, Gunga Din.

– Udało mi się? Naprawdę? Możliwe, że zniszczyłam właśnie dom tego dzieciaka, bo wydawało mi się, że mam do tego prawo.

– Nawet się nie waż, Coro Scott. Nie waż się, brać na siebie grzechów St. Claire'a. – Birch oparł się o drzwi pasażera. – Krzywdzi kobietę, a z niewiadomych przyczyn to ona czuje się winna, że wykrzyczała mu swoją krzywdę. Że zraniła jego żonę, która, jeśli chcesz znać moje zdanie, powinna znać prawdę.

– Ale dzieci nie musiały na tym ucierpieć. Jeśli ona go zostawi...

– Nie robi tego. Uwierz mi.

– Skąd wiesz? Ma pieniądze. Nie potrzebuje go.

– Nie zostawi go, bo jest ojcem jej dzieci. Bo pieniądze jej tatusia będą trzymać

go w ryzach. Bo jest twardy i przystojny i dopóki będzie traktował ją jak królową, gdy będzie w mieście, ona zapomni o tym, że ugania się za spódnicami, gdy wyjeżdża. To dla niej idealny układ. Skandal rozwodu bardziej zrujnowałby jej życie niż to, co zrobiłaś. Ale musiała się dowiedzieć. A ty? – Położył jej rękę na ramieniu. – Musiałaś zamknąć ten rozdział w swoim życiu. Coro, uwolniłaś się od niego. Jesteś wolna.

– Jestem? Naprawdę?

Uruchomiła korbą silnik i otarła potok łez wierzchem dłoni.

– Prawda jest taka, Birch, że go kochałam. Nadal go Kocham. Chciałam z nim budować swoje życie. – Cora wrzuciła bieg, ale nie była w stanie puścić sprzęgła i ruszyć.

Oparła głowę na kierownicy, trzęsąc się tak bardzo, że każdy oddech sprawiał jej ból. W jej piersiach skumulował się szloch. Kiedy wypuściła powietrze, wpadła w czekające ramiona Bircha.

– Och, Birch, och Birch...

Obejmował ją, ocierając jej łzy. – Cora, jesteś kimś więcej, niż ci się wydaje. Kimś znacznie więcej. Zobaczysz, Kochanie, wszystko znów będzie dobrze. Tak jest, wyrzuc to z siebie. Wszystko znów będzie dobrze.

## *Haley*

Malone & Co. był wspaniałym salonem ślubnym. Haley od razu pokochała zarówno atmosferę, jak i jego właścicielkę, Charlotte. Była uderzająco piękna i pewna siebie. Otaczała ją aura życzliwości, która szybko pomogła Haley zapomnieć o niedawnej konfrontacji z Daxem.

Haley potrzebowała dwu i półgodzinnej jazdy w mroźny dzień szosą I-65 i długiej modlitwy, by pozbyć się tego człowieka ze swojej głowy.

Miał tupet, żeby się tak nagle zjawiać.

Ale teraz, w miłym towarzystwie Charlotte, mogła wyciszyć swoje myśli i uczucia.

Charlotte przejrzała biznesplan Haley i zaaprobowала go. Zwróciła jej uwagę, że powinna przewidzieć w budżecie wydatki na zatrudnienie kogoś do pomocy i na utrzymanie sklepu. Podpowiedziała jej, jak współpracować z lokalnymi firmami i pozyskać ich wsparcie oraz jak targować się o reklamę i znaleźć

sponsorów.

Doradziła jej, jak zamawiać suknie, jaki towar kupić za gotówkę, a jaki w ramach umowy konsygnacyjnej. Wprowadziła ją we wszystko, począwszy od tego, jak nakierować pannę młodą na wybór odpowiedniej sukienki, a kończąc na księgowości i zysku, którego Haley może się spodziewać w ciągu pierwszych pięciu lat działalności.

– Branża ślubna w Tennessee jest warta ponad miliard dolarów. – Charlotte uniosła jedną brew. – Nie powinnaś mieć problemu, żeby kawałek tego tortu przypadł i tobie. Masz już wyznaczoną datę otwarcia?

– W pewnym sensie. Dostałam budynek od miasta, ale muszę wyrobić się z pracami renowacyjnymi do pierwszego maja i otworzyć salon w czerwcu. Problem polega na tym, że nie mam jeszcze wszystkich pieniędzy, a zezwolenia utknęły w ratuszu. Miasto pożyczyło mi dwadzieścia tysięcy, jednak to nadal za mało. Ale zjawiała się pewna starsza pani z suknią swojej *matki*. – Haley odżyła na chwilę, mogąc opowiedzieć tę historię. – Powiedziała, że panna Cora pożyczyła suknię ślubną jej matce, ale ta nigdy jej nie zwróciła. Dała mi suknię i pięć tysięcy dolarów. Powiedziała, że spłaca swój dług z odsetkami.

Charlotte przyjrzała jej się. – Czyli ludzie wierzą w to, co robisz.

– Chyba tak. Nie mogę tylko przestać wierzyć. – Nagle przypomniał jej się Dax i jego oferta pomocy. Nie, nie, nie. Jego obecność zniszczyłaby ją i sklep.

Charlotte oprowadziła ją po salonie, a potem pokierowała na wspinałe, szerokie schody, podobne do tych w Heart's Bend, i zachęciła, żeby za nią poszła.

– Podoba mi się, że dawna panna młoda przyniosła ci suknię ślubną swojej matki. To chwyta za serce. Ale zastanów się, czy chcesz sprzedawać zarówno suknie vintage, jak i te nowoczesne. Masz na to odpowiednio dużo miejsca?

– W sumie to mam. Jest mały i duży salon. W jednym mogłyby być wystawione klasyczne suknie, a w drugim nowoczesne.

– Podoba mi się. To nietuzinkowy pomysł. Robisz coś niszowego.

Charlotte opowiedziała jej, jak latami budowała swoje relacje z projektantami z Nowego Jorku, Paryża i Mediolanu. Jak oparła swój biznes na wyjątkowych w swoim rodzaju, drogich sukniach.

– Mam do tego smykałkę. Moja asystentka, Dixie, mówi że jestem zaklinaczką sukni. Ale ty chcesz trafić do innego odbiorcy, masz inne zalety... rób to, w

czym czujesz się dobrze. Połączenie staroświeckiej i nowoczesnej mody brzmi interesująco. Radziłabym ci tylko nie iść w stronę dyskontu czy hurtowni, to zabiera całą przyjemność z prowadzenia takiego sklepu.

Haley się z nią zgadzała. – Poprzednio, do połowy lat dwudziestych, salon prowadziła jego założycielka, Jane Scott. Potem sklep przejęła jej bratanica i prowadziła go aż do późnych lat siedemdziesiątych. Z historii, które słyszałam, wiem, że szczególnie na sercu leżało im zadbanie o panny młode i ich rodziny, żeby wszyscy poczuli się wspólnotą.

– To jest zatem klucz do twojego sukcesu. Czerp z historii salonu.

Na szczycie schodów Charlotte włączyła dziesiątki światełek. – A oto nasz wielki salon.

Haley wzięła głęboki wdech. Światło z wbudowanych lamp rozlało się po ścianach, mieniając się, mrugając, przenosząc ją w inny wymiar.

– Każdą pannę młodą stawiam na podwyższeniu, przygaszam światła i włączam gwiazdny pył – zaczęła opowiadać Charlotte.

Za sprawą kolejnego przełącznika salon zamienił się w baśniową krainę.

– Niesamowite. Zapiera dech w piersiach. – Haley przespacerowała się wśród mrugających, wirujących świateł. – Jest przepięknie. Jak to zrobiłaś?

– Twój remontowiec musi zadzwonić do mojego, bo nie mam zielonego pojęcia. To on wpadł na ten genialny pomysł.

– Niesamowite.

– A teraz najlepsze... – Charlotte pociągnęła za kolejną dźwignię na ścianie i otulił je aksamitny głos Michaela Bublé. – *Stardust melodies...*

– Nie wytrzymam. Bublé?

– Zazwyczaj przypieczętowanie wyboru klientki.

Haley nabazgrała coś w swoim notatniku. – Niesamowite. Nie-sa-mo-wi-te. Nawet *ja* mam ochotę wyjść teraz za mąż. – Ups.

– A nie chcesz wyjść za mąż? – W pytaniu Charlotty dało się słyszeć zaskoczenie pomieszane ze smutkiem.

Haley westchnęła, opuszczając notatnik i spoglądając do tyłu, na Charlotte. W jej sercu tkwiło jeszcze rozgoryczenie po spotkaniu z Daxem. – Nie, nie bardzo. Wolałabym raczej pozostać po *tej* stronie biznesu ślubnego.

Charlotte ścisnęła jej ramię. – Nie przekreślaj miłości, Haley. Przecież pracujesz w branży miłości. Przez twój salon przetoczy się cała masa różnych panien

młodych. Niektóre będą prosić cię o radę, będą chciały usłyszeć od ciebie, że w tym wszystkim nie chodzi o najdroższą suknię i salę weselną, ale o wspólne życie razem. Musisz wierzyć w instytucję małżeństwa. Musisz przypominać im, jak piękne są miłość i małżeństwo. Uwierz mi, twój brak doświadczenia jest twoim najmniejszym problemem, jeśli nie brak ci wiary w małżeństwo.

Haley opadła na zamszowy fotel z walącym sercem w piersi i łzami pod powiekami. – Ale ja chcę wierzyć, naprawdę.

Charlotte usiadła obok niej. – A dlaczego przestałaś?

– To wynik bardzo złej decyzji. I ta decyzja zjawiała się dzisiaj rano w Heart's Bend. Wyobrażasz sobie? Ale i tak zawsze widziałam się bardziej w roli druhny niż panny młodej. Wychowywałam się wśród braci, byłam chłopczycą. Aż do końca podstawówki ubierałam się jak chłopak. Chciałam być dziewczęcą, ale nikt w mojej rodzinie taki nie był...

– Nie musisz być dziewczęcą, żeby być kobietą czy panną młodą.

Haley zerknęła na nią. Pokiwała głową, uśmiechając się. – To prawda.

Charlotte pogładziła dłonią ramię Haley. – Póki nie poznałam Tima, też nie wierzyłam w miłość. Nigdy nie znałam swojego ojca, a moja matka zginęła, kiedy miałam dwanaście lat. Wychowała mnie jej nieco zrzędliva przyjaciółka, Gert.

– Czytałam o sukni, którą znalazłaś w kufrze.

– Haley, to nie ja ją znalazłam. To ona znalazła mnie. Pojechałam do Red Mountain, żeby pomyśleć, bo nie byłam pewna, czy chcę wyjść za Tima. I trafiłam na aukcję. Tysiąc dolarów za okropny kufer. To było czyste szaleństwo. Ale licytator mnie przekonał i podsunął mi go pod nos.

– I kupiłaś go? A on wiedział, co w nim jest?

– Myślę, że wiedział. Był kimś więcej niż licytатorem, Haley. To była Boża interwencja.

– Przydałaby mi się Boża interwencja. – Haley zaśmiała się, ale mówiła szczerze.

– Nigdy nie wiadomo, jak i kiedy Bóg zjawi się w naszym życiu, ale musimy wierzyć, że zawsze chce naszego dobra. Znalezienie tej sukni było jedynie początkiem wspaniałej podróży w głąb siebie. Dzięki niej odkryłam, kim jestem.

– Charlotte popadła w zamyślenie. – Spotkałam jeszcze dwie inne kobiety, które wcześniej miały na sobie suknię mojej prababci. Dowiedziałam się, jak w

cudaowny sposób suknia przechodziła z rąk do rąk i pasowała na każdą z nas, choć nie nosiliśmy tego samego rozmiaru.

– Zastanawiałam się, czy kobiety z mojego miasta będą nadal przynosić swoje stare suknie ślubne i, sama nie wiem, może pewnego dnia na jedną z nich natknie się jakaś daleka krewna.

– Całkiem możliwe. Wierzę, że moją suknią posłużył się sam Pan Bóg. Wszystkie kobiety, które miały ją na sobie, zostały w jakiś sposób uzdrowione. Nigdy nie trzeba było dokonywać przeróbek czy napraw. Choć uszyto ją w 1912 roku, nigdy nie wydawała się staroświecka. Mary Grace i Hilary wyglądają na fotografiach jak współczesne panny młode. Stary pastor, który udzielił ślubu mi i Timowi, był mężem Mary Grace. Powiedział, że ta suknia jest jak Ewangelia Jezusa. Zawsze pasuje. Nie wymaga zmian. Nigdy nie niszczeje i zawsze jest w modzie. Suknia nie tyle pokazała mi, że mam wyjść za Tima, co pomogła mi zrozumieć, że Bóg mnie kocha.

– A gdzie jest teraz?

– W moim domu. W pudle. Schowana.

– Hmm.

– Hmm? – powtórzyła Charlotte, patrząc na nią spod zamglonych oczu. – Co masz na myśli?

– Sama nie wiem... – Haley spuściła wzrok, starając się dobrać właściwe słowa. – Wydaje mi się, że skoro ta suknia ma jeszcze przed sobą drogę do przebycia, którą zaplanował jej sam Bóg, to kto powiedział, że powinno się ją spakować i schować? Może powinnaś się zastanowić, kto następny ją założy?

Kiedy zerknęła na Charlotte, spostrzegła, że ta cała zbladła. Haley żałowała tego, co powiedziała. – Hej, nie słuchaj mnie. Co ja tam wiem? Mam tylko głupie pomysły.

– Nie, nie... – Charlotte wstała i zrobiła kilka kroków. – Po prostu... zawsze wydawało mi się, że suknia należy do mnie. Że w końcu odnalazła swoją drogę do domu. Nigdy nie znałam mojej prababci ani babci. Suknia jest dla mnie jak rodzina.

– Masz rację, oczywiście. Przechowujesz ją dla swoich córek. Powinnaś ją przekazać dalej. Myślę, że patrzę na to przez pryzmat opowieści, które zdradziły mi panny młode z Heart's Bend. Chcą przekazywać innym swoje suknie i swoje doświadczenia. Łączy je salon ślubny.

– No właśnie. W moim przypadku łączy nas ta sama suknia.

Rozmowa urwała się. Mama zawsze ostrzegęła Haley, żeby nie mówiła na głos, co jej ślina przyniesie na język. Kiedyś dostanie nauczkę.

– Haley, czy kiedyś przymierzałaś suknię ślubną? – Charlotte pochyliła się, żeby zobaczyć jej minę.

– Słucham? Nie, to znaczy... nigdy nie byłam panną młodą.

– Ale jeśli zamierzasz obsługiwać panny młode, powinnaś wiedzieć, jak to jest mieć na sobie jedwabistą białą suknię. – Charlotte pokazała jej, by wstała.

– Nie, nie mogę. Nie, po co miałabym to robić?

Haley opierała się. Dawała radę starszym braciom, instruktorom musztry i pyskatym szeregowym, to i z Charlotte sobie poradzi. – Nie chcę być niegrzeczna, ale nie zamierzam przymierzać sukni ślubnej.

– Haley... – Charlotte odsunęła błyszczące, rustykalne drzwi z ciemnego drewna, odsłaniając morze białych sukien. – Musisz to zrobić.

– Ale ja nie chcę tego zrobić.

Charlotte obróciła się i na nią spojrzała. – Nie chcę, bo...? – Właścicielka sklepu uśmiechnęła się. – Dalej, to może uleczyć twoje rozterki sercowe związane z małżeństwem.

– Nie mam problemów z małżeństwem. Nie jestem po prostu pewna, czy się do tego nadaję.

– Naprawdę? Czyli nic się nie stanie, jeśli przymierzysz suknię? – Wskazała na rząd białych jedwabnych sukni. – Któraś ci się podoba? Kiedy otworzyłam sklep, przymierzyłam wszystkie sukienki.

Charlotte zdjęła z wieszaka jedną z sukni. – To kreacja miejscowej projektantki, Heidi Elnory. Prosta, ale piękna, z odkrytymi ramionami i spódnicą w kształcie litery A. – Pasuje do ciebie, Haley.

– Do mnie? Ja tam wolę mundur i dżinsy.

– To już przeszłość. A teraz... – Charlotte zagoniła Haley wraz z suknią do trójkątnego pomieszczenia z przyćmionymi lampkami halogenowymi i lampą w najwyższym punkcie sufitu. Pod stopami Haley leżał pluszowy dywan w kolorze głębokiego fioleto. – Nie śpiesz się, na koniec przyjdę pomóc ci z guzikami.

Charlotte zamknęła za sobą drzwi i zostawiła Haley samą. Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc, starając się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Boże, jak zdołała wpakować się w taką kabałę? Chciała pomagać pannom



młodym, a nie zostać jedną z nich. Zrzekła się swojego prawa do szczęścia przez krzywdy, które wyrządziła Daxowi i jego żonie.

– Jak ci idzie? – Głos Charlotte dobiegał przez szczeliny wąskich drzwi.

– Dobrze. – Chyba.

Nagle drzwi do przebieralni otworzyły się i wpadła Charlotte z welonem i ozdobą do włosów. – Co ci się bardziej podoba: ten dwuwarstwowy welon do ramion czy woalka? Myślę, że woalka będzie lepsza, jesteś taka drobna... Haley, jeszcze się nie przebrałaś?

Siedziała zatopiona w poduszkach siedziska, nie mogąc otrząsnąć się ze spotkania z Daxem. Wspomnienia ich wspólnego życia stały jej żywo przed oczami.

– Chciałaś kiedyś przeżyć jakąś część swojego życia w inny sposób?

Charlotte odłożyła welony oraz buty na siedzisko i usiadła na podłodze przy nogach Haley. – Jasne. Czy to cię trapi? Wiem, że dopiero się poznałyśmy, ale możesz na mnie liczyć, jeśli chciałabyś porozmawiać.

– Charlotte, jesteś wierząca?

– Tak.

Haley podniosła się z westchnieniem. – Spotkałam Jezusa, kiedy miałam czternaście lat. Przez całą szkołę średnią gorliwie wierzyłam. Jako jedyna z mojej całej rodziny chodziłam do kościoła, ale wierzyłam, rozumiesz?

– Tak.

– Kiedy poszłam do college'u, nieco oddaliłam się od Boga, zaczęłam trochę imprezować, ale nic poważnego. Potem było wojsko i za dużo piłam, spędziłam noc z facetem. – Spojrzała na Charlotte. – Ale to nie byłam ja. Nie chciałam być tą dziewczyną.

– Czyli jak proszę cię, żebyś ubrała suknię, to wszystko ci się przypomina? – zapytała Charlotte.

– Kiedy mieszkałam w Kalifornii, poznałam mężczyznę, który zwał mnie z nóg.

– I?

– Był żonaty. Na początku o tym nie wiedziałam. Wpadłam w szal, kiedy to wyszło na jaw. Ale nie zakończyłam tego. Wierzyłam, że mnie kocha i że ją zostawi. Namawiałam go, żeby złamał daną przysięgę.

– I to dyskwalifikuje cię, żeby ubrać suknię ślubną?

Haley wstała. – A nie? Czy biała suknia nie jest symbolem? Albo nie powinna nim być? Ja robiłam wszystko, żeby zniszczyć czyjeś małżeństwo, Charlotte. Kto tak robi? Mówiłam mu, żeby zostawił żonę i dzieci. Chciałam mieć go dla siebie, kosztem szczęścia i serca kogoś innego.

Poczuła się wolna, mogąc w końcu zrzucić ten ciężar.

– Haley, nie możesz pozwolić, żeby twoja przeszłość definiowała ciebie i twoją przyszłość. To, co *zrobiłaś*, nie powinno przesądzać o tym, kim jesteś teraz czy kim się staniesz. Czy nie o to chodzi w idei krzyża, w wybaczeniu? Że stajemy się *biali* jak śnieg. – Ściągnęła suknię z haczyka. – Ta suknia nazywa się „Śnieżnobiała”.

Haley oparła się o ścianę z oczami pełnymi łez. – Nie mogę. Nie jestem *śnieżnobiała*.

– Haley, posłuchaj mnie, nie możesz się karać. Jeśli Bóg ci wybaczył, dlaczego i ty nie możesz sobie wybaczyć?

– Wybaczyłam sobie. – Póki nie przypominała sobie, jak nisko upadła.

– Naprawdę? To dlaczego się skreślasz, kiedy Bóg mówi, że masz prawo do szczęścia? – Charlotte podeszła do drzwi. – A teraz włóż suknię i buty, wybierz welon, który ci się podoba, i wyjdź. Ja zapnę ci guziki, a ty, moja nowa przyjaciółko, przeżyjesz swoją wielką chwilę na podeście ze światłami i gwiazdnym pyłem.

– Charlotte, słuchaj, doceniam...

– Do dzieła! – Szorstkie zachowanie Charlotty przypomniało jej instruktora musztry, kiedy Haley była szeregowcem. Drzwi za Charlotte zamknęły się, przypieczętowując jej rozkaz.

Właścicielka Malone & Co. nie patyczkowała się. A Haley o niczym bardziej nie marzyła, niż o wyrzuceniu Daxa z pamięci. Jego niespodziewana wizyta na nowo obudziła żale, pogardę względem siebie i wspomnienia ich wspólnego życia. Czy kiedykolwiek przestanie się wstydzić?

Westchnęła z determinacją. Zrzuciła kozaki, dzinsy i bluzkę i ostrożnie weszła w suknię, czując, jak jedwab otula jej nogi i koi rozgrzane emocje.

Gorset prześlizgnął się w górę, wzdłuż jej nóg, i zatrzymał na talii. Włożyła ręce w krótkie koronkowe rękawki.

Zebrała spódnicę drżącymi dłońmi i włożyła stopy do butów w stylu lat dwudziestych, z zapięciem wokół kostki. Chwyciła woalkę i poszła do salonu,

cały czas nie patrząc na swoje odbicie w lustrze. Nie była w stanie na siebie spojrzeć.

Co by zobaczyła? Czy śnieżna biel sukni wyśmiałyby ją?

– Och Haley... – Charlotte podeszła do niej z rozmarzonym spojrzeniem, przyciskając rękę do piersi. – Wyglądasz *zjawiskowo*.

– Proszę cię, mam włosy w nieładzie i rozmazany makijaż po podróży motorem.

– Stop, już przestań mi mówić, co z tobą jest nie tak. Albo, że się mylę. – Charlotte odwróciła Haley do lustra. – Widzisz?

Podnosząc nieznacznie wzrok, Haley kątem oka zaczęła przyglądać się sukni. Ale zatrzymała się na ramionach. Widziała kiedyś zdjęcie żony Daxa w sukni ślubnej i to jej wystarczyło.

– Wejdz na piedestał. Włączę światła i muzykę.

Haley zawahała się. – Charlotte, nie trzeba...

– Trzeba, trzeba.

– Czy już nie wystarczy, że przymierzyłam suknię? Załapałam. Rzeczywiście, to wspaniałe wrażenie czuć ten piękny jedwab na skórze...

Charlotte ustawiła światła i Haley załapała fala błyszczącej poświaty. Podniosła głowę i zobaczyła swoje pełne odbicie w lustrach. Suknia była piękna. Ale ona...

Rozbrzmiała smyczkowa muzyka, a jej serce zaczęło bić szybciej, a ciało drżeć. Poczula nagły przypływ łez.

– Nie mogę... nie mogę. – Odwróciła się, żeby wybiec, ale Charlotte blokowała jej drogę ucieczki.

– Haley, nie jestem prorokiem, ale tu nie chodzi o suknię ślubną. Tu chodzi o to, żebyś spojrzała na siebie tak, jak On patrzy na ciebie. – Obróciła ją i podprowadziła do podestu. – Białą jak śnieg.

Męski głos zaczął delikatnie śpiewać. Ale tym razem nie był to Bublé. *What can wash away my sins, nothing but the blood of Jesus*. „Tylko krew Jezusa może zmasać moje grzechy”.

Haley, zaciskając zęby i pięści, próbowała zwalczyć napływające łzy i narastający w niej gniew.

– Zniszczyłam czyjaś rodzinę, małżeństwo. I przez rok miałam to gdzieś. Chciałam mieć swojego mężczyznę dla siebie.

– Haley, wybacz sobie. Skoro Pan ci wybaczył, to dlaczego rozpamiętujesz

swoje winy?

– Zniszczyłam czyjeś małżeństwo... to niewybaczalne. – Uniosła zaciśniętą dłoń. – Jak mogłam? Jak mogłam? Przecież wiedziałam, co jest dobre, a co złe. Przecież wiem to *teraz*. – Drgawki ledwie pozwalały utrzymać jej się na nogach.

Charlotte delikatnie dotknęła jej ramienia. – Zapomnij o tym, bo w przeciwnym razie odbije się to na wszystkim, co robisz w życiu. Na wszystkim.

Kim była ta ledwo co poznana kobieta, która przemawiała do jej duszy?

Haley zachwiała się na piedestale, upadając obok Charlotte. Leżąc na podłodze, znaczyła koronkę i jedwab śnieżnobiałej sukni łzami wstydu, żalu i wybaczenia.

Ta chwila, ta kobieta, którą ledwo znała, zaskoczyły ją. Bóg zdecydował, by tak do niej przemówić, wlać w nią swojego Ducha. A ona usłyszała Jego głos, założywszy po prostu suknię, na którą nie zasłużyła.

# *dwadzieścia jeden*

*Cora*

*Marzec 1932*

To był przecudowny dzień. Obietnica wiosny pozwoliła zapomnieć o posepnym zimowym chłodzie. Cora miała ochotę świętować.

Wydała całe pięć dolarów na ogłoszenie w gazecie „Tennessean” oraz dolara i trzydzieści pięć centów na ogłoszenie w lokalnej „Trybunie”, obwieszczając ponowne otwarcie salonu sukien ślubnych po wyniszczającym pożarze.

Hattie Lerner umieściła krótką życzliwą adnotację w swojej kolumnie towarzyskiej w „Trybunie”:

SALON SUKIEN ŚLUBNYCH ZNÓW OTWARTY DLA PANIEN  
MŁODYCH Z CAŁEGO KRAJU

*Dziękuję Hattie.*

Cora złożyła gazetę i wsadziła ją sobie pod ramię, zadowolona z ogłoszeń i z powrotu do pracy. W końcu będzie mogła spojrzeć w przyszłość i wymazać z pamięci ostatnie osiem miesięcy swojego życia.

Oprócz krzywdy, którą wyrządził jej tata, pozbawiwszy ją domu i porzuciwszy rodzinę, otrząśnięcie się z uczucia do Rufusa było najbardziej męczącym doświadczeniem w jej życiu. Gardziła sobą i swoją naiwnością. Ale najgorszy był dla niej wstyd, który czuła, gdy wypłakiwała się na ramieniu Bircha, wyznawała prawdę Odellii i mamie, która na początku ich rozmowy łaskawie ograniczyła się w swoich komentarzach jedynie do: „Mówiłam ci. Mówiłam ci”.

Cóż, teraz to wszystko było już za nią. Skończone. Przeszłość.

Odłożyła gazetę w pokoju kredensowym i wzięła głęboki wdech, rozkoszując się zapachem świeżego drewna i farby, którą odświeżono salon.... Wyglądał jak nowy. Ożywiony.

Cora pognała na antresole, dziękując w duchu, że udało się odnowić to, co zostało zniszczone. Wyjęła klucz z kieszeni spódnicy i otworzyła drzwi na zaplecze.

Poczuła ukłucie radości w sercu. W czasie gdy malowano nową część sklepu, Cora zleciła odświeżenie zaplecza. Biel białych sukni ślubnych zawieszonych w rzędzie odbijała się na tle świeżych, różowych ścian. Przez okno w najdalszej części pomieszczenia widać było okoliczny pejzaż. Pokój był świeży, jasny, przestronny i wypełniony wszystkim, co Cora kochała.

Zaszalała (a co tam!) i zamówiła mnóstwo nowych rzeczy z Nowego Jorku – suknie, welony, rękawiczki, buty. Płaciła Odelii i jej szwaczkom dodatkowe trzy dolary za suknie na podróż poślubną i bieliznę na noc poślubną.

Skoro nie mogła sama być panną młodą, będzie najlepszą *panną* i druhną na świecie. Niech tylko zjawią się klientki.

Cora pokonała całą długość pomieszczenia, dokładnie oglądając każdą mlecznobiałą suknię. Kreacje na podróż poślubną były w tym sezonie w zaskakująco odważnych kolorach: czerwone, niebieskie i fioletowe.

Przystanąła przy oknie, żeby wyrzucić na zewnątrz, i w przypływie energii krzyknęła przez zamkniętą szybę: – Wróciłam i zwyciężę!

Krząjąc się dookoła, gotowa do pracy, Cora pochwyciła dwie głowy manekinów i pudło z welonami. Szybko zlustrowała pomieszczenie. Czy jeszcze czegoś potrzebuje? Po buty wróci za chwilę. Wpadła na świetny pomysł, żeby wystawić je na schodach – na każdym stopniu jedna para. Będą wyglądały uroczo.

Pożar, choć był dla niej wielkim wstrząsem, okazał się być błogosławieństwem. Płomienie obnażyły jej głupotę i oczyściły z całego zła, które wyrządził jej Rufus St. Claire.

Pierwszej niedzieli po pożarze Cora błagała Boga o wybaczenie, błagała, aby ukoił jej rozpacz. Czuła, że Pan dotknął jej duszy. Bywały jednak chwile, kiedy nachodziły ją fale ciemności – nawiedzały ją wspomnienia i tęsknoty; załamywała się.

Jak mogła być taka ślepa? Czy zdoła jeszcze kiedyś zaufać swojemu sercu?

Cora ułożyła welony na głowach manekinów w oknie wystawowym w małym salonie i otworzyła drzwi frontowe, pozwalając, by poranny wiatr wymiół stęchłe nocne powietrze i oczyścił jej głowę z pajęczyn wstydu.

Spojrzała przez okno i zobaczyła Odelię idącą ulicą. – Odebrałaś ciasteczka z cukierni?

– A jakże. – Odelia uniosła wysoko dwa duże pudełka.

– Cora, proszę, przestań wydzierać się jak dzikuska.

Obróciła się i zobaczyła mamę sunącą w dół schodów. Wyglądała tak szczupło i elegancko w swojej sukience z luksusowego domu handlowego Saks na Fifth Avenue w Nowym Jorku i z włosami w kolorze porannego słońca, ufryzowanymi w fale.

Wróciła do domu, gdy tylko Odelia napisała jej o pożarze. Cora chciała wyjawic jej całą historię, gdy wszystko się uspokoi, ale Odelia była odmiennego zdania. Mama była jej za to wdzięczna.

– Gdyby tata cię teraz widział.

Uśmiechnęła się, podnosząc papierosa do ust. – Zaraz po tym, jak zrobiłam sobie tę fryzurę, wysłałam mu swoje zdjęcie w tej sukni.

– Pisał? – zapytała Cora. Nie miała wieści od taty od Bożego Narodzenia.

Uśmiech mamy zbladł. – Nie, ale spodziewam się listu. – Dym z papierosa zakłębił się wokół jej włosów. Jej zgrabny i egzotyczny wygląd nie mógł ukryć rozpaczy, która widoczna była w jej oczach.

– Ciastka są w pokoju kredensowym. – Odelia wyszła z zaplecza, zawiązując swój fartuch. – Słyszałam w Klubie Kobiet, że dziewczęta niemal z całego miasta chcą przybyć do salonu i się rozejrzeć. Chcą przyjść i choćby sobie pomarzyć, bo większości z nich nie będzie stać na wyprawę ślubną.

– Ten przeklęty kryzys nie może trwać wiecznie – odparła mama. – Prezydent Hoover na pewno jakoś pomoże.

– Mamo, prezydent nie wywoła deszczu. Nie przejmuje się też losem panien młodych w Heart's Bend, w Tennessee. My to co innego. Możemy je wesprzeć i zapewnić im wyprawę ślubną, odpowiednią do ich funduszy. – Corę przepęniało na nowo zrodzone w niej poczucie misji. – Znajdziemy sposób.

– Oczywiście, ale jeśli nie będziesz ostrożna, zanim skończy się kryzys, stracimy wszystkie pieniądze. Nie możesz rozdawać wszystkiego za darmo – powiedziała mama, znikając w nowym pokoju kredensowym, jej ulubionym miejscu w całym sklepie. Tak przynajmniej twierdziła.

Teraz, przepracowawszy kilka miesięcy w wielkim mieście, bardziej niż do tej pory czuła się ekspertem w każdej kwestii. Hojnie obdarzała innych swoimi

spostrzeżeniami.

– Tak jak zwykle, Coro? – zapytała Odelia, idąc w stronę antresoli.

– Tak, suknie z Nowego Jorku na manekiny. I przynieś cały towar. Zawiesimy to na nowych stojakach w dużym salonie. – Kolejny pomysł zainspirowany remontem. Cora kazała zamontować w wielkim salonie wieszaki na suknie. Dzięki temu nie będą musiały z Odelią na noc odwieszać wszystkiego na zapleczu. – A na manekinach krawieckich zawieś wszystkie swoje ulubione modele wzorzystych sukienek. Aha, jeszcze jedno, zeszłej jesieni w „Vogue” widziałam reklamówkę z butami ustawionymi na schodach. Wyglądało to wspaniale. Zrobimy coś podobnego, co?

– Dobrze. – Odelia pośpieszyła po schodach. – Chyba ktoś tu jest zakochany.

– Zakochany? – Mama wyłoniła się z pokoju kredensowego z filiżanką kawy w jednej ręce i świeżo zapalonym papierosem w drugiej. – Kto jest zakochany?

– Cora.

– Co wy wygadujecie? *Nie* jestem zakochana.

– Ostatnio jesteś jakaś taka weselsza. Szczególnie w towarzystwie Bircha Gooda.

Mama popijała kawę, przyglądając się Corze. – Zgadzam się. Oświadczam, że oficjalnie uwolniłaś się od Rufusa. Dzięki Bogu.

– Czuję się świetnie, ale to nie znaczy, że jestem zakochana w Birchu. – Dobry Boże. Uwzięły się na nią dwie zwariowane staruszki.

Jasne, Cora lubiła Bircha. Nawet bardzo. Tak naprawdę to go uwielbiała. Przez ostatnie osiem miesięcy okazał się dla niej prawdziwym wybawieniem, ale miłość? Nie, nie, nie.

Był farmerem. O jego życiu decydowały słońce i deszcz. Ziemia była jego panią. Nie chciała takiego życia dla siebie.

Właśnie miała ruszyć w górę schodów, by pomóc Odelii, kiedy pewien młodzieniec w uniformie posłańca stanął w drzwiach. – Szukam pani Scott.

Mama wyłoniła się z małego salonu. – To ja.

– Mam list polecony dla pani.

Mama wzięła papierosa do ust, wręczyła Corze filiżankę z kawą i podpisała odbiór listu. Cora wyszperała z kieszeni dwudziestopięciocentówkę na napiwek.

– Mamo, o co chodzi?

Mama, stojąc w przepelnionym słońcem holu, czytała list. – To od twojego



ojca.

– Od taty? Co pisze? – Cora odstawiła filiżankę na małej żardinierze pomiędzy oknami i starała się spojrzeć matce przez ramię.

– Chce rozwodu.

– Rozwodu? – Cora wyrwała jej list. – Na pewno nie o to mu chodzi. To niemożliwe.

W liście, który dostały na Boże Narodzenie pisał, że ma się dobrze, że o nich myśli, ale nie jest w stanie stawić czoła mieszkańcom Heart's Bend i temu, jakie krzywdy wyrządził swoim przyjaciółom.

Ale rozwód. Czy on postradał zmysły? To skandal.

A jednak Cora miała przed oczami pismo sądowe, które czarno na białym wzywało do rozwodu.

– Mamo, on nie może tego zrobić. Sąd mu na to nie pozwoli. To on porzucił *nas*, a nie my jego.

Mamie drżała dłoń, gdy wypuszczała z ust dym papierosowy. – Jeśli chce rozwodu, to dlaczego mam mu stać na drodze? Coro, zostawił mnie, *nas*, już trzy razy.

– On jeszcze wróci do domu.

– Coro, kochanie, masz tyle wiary w sobie. Ale nie tym razem. Minął już rok.

– Mama zawróciła w kierunku schodów. – Odelio, jak mogę ci pomóc? Może poustawiam buty?

– Mamo, jak możesz być tak obojętna? Nie dotyka cię to? To, że tata nas zostawia, to jedno, ale że chce się z tobą rozwieść?

Mama westchnęła. – Jeśli już musisz wiedzieć, to pisał już wcześniej, pytając, czy to nie ja chciałabym wystąpić o rozwód. Odpisałam mu, że nie chcę zbrukać mojego imienia w sądach w ten sposób, ale jeśli on będzie chciał się ze mną rozwieść, to droga wolna. Zajmijmy się teraz wielkim otwarciem salonu sukien ślubnych. – Odwróciła się ku schodom i zawołała: – Odelio, nie zapomnij o długich atłasowych rękawiczkach. Mają w sobie tyle uroku.

Cora ruszyła za matką po schodach. – Mamo, nie jesteś smutna? Jak możesz się tym nie przejmować?

Na szczycie schodów mama wyciągnęła kolejnego papierosa z kieszeni. Cora wyrwała jej go z dłoni.

– Nie przy sukniach.

Mama westchnęła. – Coro, dużo o tym myślałam i chcę patrzeć w przyszłość. Rozumiesz? Wiele kobiet się rozwodzi. Nic mi nie będzie. – Uderzyła powietrze pięścią. – Jestem wojownicza.

– Mnóstwo kobiet? Kto, mamó? Znasz kogoś w mieście, kto się rozwiódł? – Corze nikt nie przychodził na myśl. – A kogo w ogóle obchodzą inne kobiety? Kochałaś tatę, odkąd skończyłaś szesnaście lat. Wyszłaś za niego w wieku osiemnastu. Jak możesz się na to godzić?

Wśród rozwódek była Mary Denton, ale jej mąż wylądował wcześniej w więzieniu za oszustwa. Kilka lat temu rozwiedli się także Andersonowie, ale dlatego, że pani Anderson piła. Poza tym...

– Coro, zostawmy ten temat. – Mama poklepała ją po ramieniu. – Chcę być dziś szczęśliwa.

– A jesteś szczęśliwa? – Cora dotknęła jej przedramienia. Skoro utrata Rufusa tak pioruńsko bolała, to jak musiała czuć się mama, tracąc męża, z którym żyła przez trzydzieści sześć lat?

– Dzięki tobie jestem szczęśliwa. Dzięki temu salonowi. Coro, nie przejmuj się mną. Zajmijmy się lepiej ustawianiem butów.

Wielkie otwarcie rozpoczęło się nieśmiało, ale zakończyło sukcesem – sklep odwiedziły tłumy kobiet, młodszych i starszych, świętujących jego powrót na mapę miasta. Cora miała już umówione trzy spotkania na przyszły tydzień i była pewna, że będzie ich więcej.

Kiedy o dziewiętnastej zamknęła sklep i zgasiła światła, mama i Odelia wyszły jej naprzeciw do holu, niosąc herbatę. Mama uniosła szklankę. – Za nasz sukces!

– Za dobry dzień! – dołączyła się Odelia. – Świetna robota, Coro. Cieszę się, że wszystko wraca do normy.

Słyszając, jak Odelia uskarża się, że zaraz „odpadną jej nogi” i że będzie uciekać do domu, mama wybuchnęła śmiechem, zachłystując się herbatą. Przycisnęła palce do ust i pokręciła głową.

Cora wraz z mamą przygotowały i zjadły lekką kolację w mieszkaniu, korzystając z nowego pieca i lodówki. Rozmawiały o sprawach błahych, nie poruszając tematu rozwodu.

Gdy skończyły, Cora wstała, by pozbierać naczynia. – Posprzątam, mamó. Idź, odpocznij.

– Dziękuję ci, kochanie. Rzeczywiście jestem wykończona. Ale to był dobry

dzień, prawda?

– Tak. Bardzo dobry.

Cora odłożyła naczynia do zlewu i jej twarz wykrzywił niekontrolowany grymas. Po chwili zaszlochała: – Tato...

On nie zamierzał już wrócić. Nie miała już rodziny. Cora ukryła twarz w ręczniku kuchennym, chcąc stłumić płacz, i oparła się o ścianę. Mama nie mogła jej zobaczyć ani usłyszeć w tym stanie.

Pozbierała się. Schowała peklowaną wołowinę, a potem cicho zeszła na dół, na werandę z tyłu domu.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca rozpościerały się wzdłuż ciemnego horyzontu, jednak nie dawały już ciepła. Cora opatulila się swetrem. Wieczór był chłodny, zima bowiem nie miała zamiaru odpuścić.

– Mogę się przyłączyć? – Birch zerknął na nią przez moskitierę w dalszym końcu werandy.

– Ależ proszę, wejdz. – Wstała, gdy wszedł, a on zdjął kapelusz i pocałował ją w policzek. – Co tu robisz?

– Przyjechałem zobaczyć, jak wam poszło otwarcie. – Birch usiadł na fotelu obok niej, kładąc sobie kapelusz na kolanie. – Ładny dziś wieczór.

– Piękny.

– Miałaś dobry dzień?

– Ponowne otwarcie salonu było sukcesem. Jestem bardzo zadowolona. A jak tobie minął dzień?

– Orałem dziś pole nowym traktorem. Wujaszek Sam cieszy się, bo może odpoczywać w oborze.

– Stary dobry muł.

– Najlepszy wspólnik. Co byśmy bez niego zrobili?

Zerknęła na Bircha. Był przystojnym mężczyzną. Miał przysłądzone do tyłu włosy i lekko zaczerwienione od wiosennego słońca policzki. – Tata przysłał mamie papiery rozwodowe.

– Och nie, Coro... – Pochylił się do przodu, oparłszy przedramiona o kolana i biorąc kapelusz w dłonie. – Tak mi przykro. Jak czuje się Esmé?

– Mówi, że dobrze. Okazuje się, że tata już wcześniej jej o tym pisał. – Cora spojrzała na swoje złożone dłonie na kolanach. – Zastanawiam się, czy jest w ogóle coś takiego jak prawdziwa miłość.

– Tuż obok ciebie, kochanie. Spójrz na mnie. – Sięgnął po jej dłoń, sprawiając, że Cora wstała. Ujął ją w tali. Czują na swojej skórze jego słodki, gorący oddech. – Kocham cię, szczerze. Jeśli za mnie wyjdiesz, nie zostawię cię. Rozwód nie wchodzi w grę.

Delikatnie ją objął, a ona poczuła, że nogi się pod nią ugięły. – Och, Birch, jesteś dla mnie taki dobry. – Położyła dłoń na jego policzku. – Przystojny i porządny.

– To wyjdź za mnie, Coro. Wyjdź za mnie.

– Chcę się zgodzić, naprawdę. Ale...

– Ale co? Powstrzymują cię tylko twoje obawy. Czy chodzi o Rufusa? Nadal go kochasz?

– Nie, nie chodzi o niego. Birch, ja... ja nie wiem, czy chcę mieszkać na farmie. Jestem dziewczyną z miasta, właścicielką salonu ślubnego.

– Nie proszę cię, żebyś to rzuciła. – Birch dotknął jej podbródka swoim opuszką palca. – Od pożaru proszę cię, żebyś za mnie wyszła. Czekam na ciebie, odkąd tylko pamiętam. Nie zostałąś moją żoną?

– Birch... – podeszła do moskitiery i spojrzała na park. O tak późnej godzinie miasto osnuwała ciemność. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Ulice były ciche i opustoszałe, zaś drogi prowadzące do serca Cory – zakorkowane, przepełnione nostalgicznymi dźwiękami przeszłości i wizją nieuchronnie zbliżającego się rozvodu rodziców. – Nie jestem pewna, czy czuję do ciebie to, co powinna czuć dziewczyna, wychodząc za męża. Poza tym nie mogę teraz zostawić mamy. Nie, kiedy tata ma się z nią rozwieść.

Znów uwięził ją w swoich ramionach. – Mogę kochać was obie. Razem możemy wspierać twoją mamę. Przeprowadzi się na farmę. Dam jej wielki kawałek ziemi na ogród.

– Nie będzie chciała mieszkać z nowożeńcami.

– To może zajmować się sklepem. Mieszkać na drugim piętrze. Przyjeżdżać na farmę, kiedy tylko zapragnie, i mieć tak duży ogród, jaki tylko będzie chciała. Będziemy jadal wspólnie niedzielne obiady. Grali w warcaby, słuchali radia. – Puścił Corę, ale nadal stał przy niej, patrząc w stronę parku. – Prawdę mówiąc, rozmawiałem już z Wade'em o budowie małego domku po drugiej stronie pola kukurydzy. Mogłaby tam zamieszkać. A nawet mieć swój własny podjazd.

– Ona nie ma prawa jazdy.

– Moglibyśmy ją nauczyć.

Cora parsknęła śmiechem. – Aż tak nienawidzisz mieszkańców Heart's Bend? Mama za kółkiem siałaby grozę. – Pogładziła jego klatkę piersiową i przesunęła dłoń w dół po jego ramieniu. – Czym sobie na ciebie zasłużyliśmy, Birch Good?

– Miłość krzepi serce mężczyzny. A ja ciebie kocham, Coro.

Przycisnęła dłoń do jego piersi. – Ja po prostu nie wiem...

Uwięził jej wzrok w swoim spojrzeniu. Między nimi rozlewało się światło z werandy. – Po prostu się zgódź. Czego nie wiesz? Coro, kiedy cierpiałś po Rufusie dałem ci spokój, tak jak prosiłaś. I potem, kiedy odbudowywano sklep po pożarze. Ale czas ucieka, a ja już mam dość stania w miejscu.

– A czy ja cię prosiłam, żebyś dla mnie stał w miejscu?

– Tak. Nie powiedziałaś mi nigdy wprost: „Nie, Birch, nie wyjdę za ciebie”.

– Skąd mogłam wiedzieć, że mamę spotka takie nieszczęście? – Skrzyżowała ręce i ściszyła głos. – Rozwód. Pomyśl, jaki to wywoła skandal.

– Muszę ci przypomnieć, że twoja mama jest już nieszczęśliwa od ponad roku. Będę wam towarzyszył, pomogę, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Czy nie lepiej zmierzyć się z tym we dwójkę? Pozwoliłaś mi wierzyć, że z czasem przyjmiesz moje oświadczenia. Minęło już kilka miesięcy. Chcę znać twoją odpowiedź.

– Stawiasz mi ultimatum?

– Byłem cierpliwy, Coro.

Podeszła z powrotem do swojego fotela na biegunach i usiadła na nim ciężko. Światło lampy torowało sobie drogę pośród wieczornych ciemności. – A skąd mam wiedzieć, że nie popełnię kolejnego głupiego błędu? Że nie wychodzę za ciebie tylko dlatego, że inny mężczyzna złamał mi serce?

– Jeśli mam być szczery, to będziesz głupia, jeśli za mnie *nie* wyjdiesz. Czasy są ciężkie. Mężczyźni z całej okolicy tracą swoje farmy. Ale nie ja. Moja farma nie ma obciążonej hipoteki. Nie mam żadnych długów. Mam trochę pieniędzy odłożonych na czarną godzinę, nie w banku. Mam piwnicę pełną przetworów. W domu nie ma prądu ani kanalizacji, ale jeśli za mnie wyjdiesz, zdobędę agregat. Wokół domu rosną wysokie wiązy, więc zimą jest zawsze ciepło, a latem chłodno. Zresztą wiesz, byłaś u mnie setki razy. Możesz go zmieniać, jak tylko będziesz chciała, Coro. Nowe kolory na ścianach, tapety. Piec jest przedwojenny,

ale kupię ci nowy. I lodówkę. Takie jak te w sklepie. Co ty na to?

– Mam się zgodzić? I jak to sobie wyobrażasz? Wbiegnę po schodach i oznajmię mamie: „Przykro mi, że tata się z tobą rozwodzi, ale ja wychodzę za Bircha”!

– Dobrze, masz rację. Dam ci czas, żeby jej powiedzieć – odparł, znów wyciągając po nią rękę, podrywając ją z fotela i przyciągając do siebie. Jego skóra pachniała ziemią. Jego oczy, jak letnie niebo, szukały jej spojrzenia. – Zgódź się. Póki nie powiesz Esmé, to będzie nasza mała tajemnica. Chcę tylko usłyszeć, jak mówisz, że za mnie wyjdiesz. Dam ci miłość, jaką mężczyzna daje kobiecie. Zaufaj mi, Coro.

Zadrżała, słysząc tak intymne wyznanie. – Birch, daj mi czas. Pozwól mi powiedzieć o tym najpierw mamie, i potem się zgodzę.

Puścił ją. – Dobrze. Jak myślisz, ile czasu to zajmie?

– Miesiąc? Nie wiem. Nie wiem, jak długo mama będzie cierpieć.

– Ale nagle wiesz, jak długo będziesz się zastanawiać? Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, to po prostu mi to powiedz. Zrozum, że robisz mi dokładnie to, co Rufus robił tobie. Igrasz z moimi uczuciami. Trzymasz mnie przy sobie, bo ci to odpowiada.

– Nie robię tak. Birch Good, jak śmiesz!

– Ale wiele się nie pomyliłem, prawda? Coro... – Jego głos nęcił ją, a usta muskały jej szyję.

– Birch...

– Kocham cię. *Pragnę cię*. Nie masz podobnych uczuć do mnie?

– Czasami tak, ale przestań, mieszasz mi w głowie.

– Nie mieszam. Po prostu się opierasz. Nasze ciała są wprost stworzone dla siebie. – Birch zbliżył się do niej jeszcze bliżej, osłabiając jej determinację. Drżała z namiętności, odkrywając, że wcale nie chce od niego uciekać. *Zlituj się...* Birch. Nie znała go od tej strony. Ujął jej dłoń i położył ją sobie na piersi. – Poczuj, jak bije mi serce.

Jej serce również waliło jak oszalałe. – Birch, nie, zachowuj się. – Odsunęła go na bok, dysząc, starając się uspokoić galopujący puls.

Ale obrócił ją do siebie i bez ostrzeżenia, ale i bez udawania, pocałował ją. Wlewając w to całe swoje serce. Początkowo trzymała ręce sztywno na jego piersi, ale po chwili, gdy ręką ciaśniej otoczył jej talię, a jego pocałunek stał się

głębszy, dała się ponieść, oplatając go ramionami, poddając się sile jego perswazji.

*Birch, Birch.* Gdy przerwał, starała się złapać powietrze. Birch zrobił tylko krok w tył i włożył kapelusz na swoje zmierzwiłone, ciemne włosy. Ogień, który czuła pod skórą, sprawiał, że pragnęła znów go do siebie przyciągnąć.

– To po to, żebyś wiedziała... – zaśmiał się. – Mam jeszcze wiele do zaoferowania, Coro. – Pchnął drzwi werandy i wyszedł. – Kiedy się zdecydujesz, znajdź mnie. Mam nadzieję, że usłyszę twoje „tak”.

Cora przycisnęła twarz do siatki, patrząc, jak odchodzi. Krew krążyła jej szybciej w żyłach, a serce niemal eksplodowało. Obudził w niej namiętność, dziwny ogień, którego nie rozpałił nawet Rufus. Nie czuła się już pusta i samotna, ale spełniona i kochana.

Zatopila się w fotelu, kurczowo trzymając się podłokietników. „Tak” błąkało się gdzieś na końcu języka. Był dobrym człowiekiem. Serdecznym. Bogobojnym. Czy to możliwe? Czy naprawdę...?

Czy była zakochana w Birchu Goodzie?

# *dwadzieścia dwa*

*Haley*

*10 lutego*

Siedziała na schodach z telefonem przy uchu, przyciskając dłoń do czoła. – Rozumiem. Dziękuję. Dobrze... tak zrobię. – Rozłączyła się, upuszczając telefon obok siebie na stopniu.

Był już drugi tydzień lutego, a w ratuszu nadal nikt nie wiedział, kiedy zostaną wydane jej zezwolenia na przebudowę salonu.

Haley spojrzała w sufit i zaapelowała do niebios o pomoc, o przysługę. Od spotkania z Charlotte, w jej salonie w Birmingham, Haley czuła, że znów, tak jak w młodości, zaczyna ufać Bogu. Poczwała się bardziej wolna.

Łatwiej było jej się modlić. Nie były to już bezmyślne słowa do Boga, który nie słucha, ale słowa pełne nadziei, do Boga, który nigdy jej nie porzuci.

W zeszłym tygodniu poszła do kościoła pierwszy raz od zerwania z Daxem. Patrząc wstecz, zrozumiała, że związek z nim był jedynie zwieńczeniem jej powolnego, stopniowego upadku, odejścia od wszystkiego, w co wierzyła. Pozwoliła, by życie zrównało z ziemią jej przekonania i wartości.

W salonie zaś prace stanęły w miejscu. Zezwolenia utknęły gdzieś między trybikami biurokratycznej maszyny.

Wczoraj Haley została członkiem Stowarzyszenia Przedsiębiorców Śródmieścia. Później spotkała się *U Elli* z Emmą Branson i Taylor Gillingham w sprawie kaplicy ślubów na River Road, żeby porozmawiać o potencjalnej współpracy. Mąż Taylor pracował w reklamie i Haley miała nadzieję, że mógłby zaoferować jej pomoc. *Pro bono*.

– Jestem matką jego dziecka. Zrobi, o co go poproszę – oznajmiła Taylor, uśmiechając się przebiegle.

Haley miała również pomysł, aby w otwarciu salonu, planowane wstępnie na



piętnastego czerwca, włączyć także inne lokalne biznesy. Oby tylko miała wystarczająco dużo towaru. Okazało się bowiem, że – w porównaniu z trudami zdobycia upragnionych przez nią sukien, butów i innych akcesoriów – remont to bułka z masłem.

Skorzystała z kontaktów Charlotte i zadzwoniła do kilku projektantek w Nowym Jorku i jednej w Atlancie, aby zagadnąć, czy nie chciałyby zaprezentować swoich nowych kolekcji w dzień otwarcia salonu na zasadzie sprzedaży konsygnacyjnej, ale wszystkie ją jedynie wyśmiały. Uprzejmie. Jedwabiście tiulowym śmiechem, oczywiście.

*„W tym sezonie wszystkie terminy mamy już zajęte. Może w przyszłym roku, w maju. Proszę dzwonić jesienią i się umówić”.*

Haley zamknęła oczy i przechyliła głowę w kierunku sufitu, starając się wsłuchać w swój wewnętrzny głos. Co powinna zrobić?

– Boże, jeśli ten salon nie jest mi pisany, to, proszę, daj mi to jasno do zrozumienia. Jeśli Ty tego nie chcesz, ja tego też nie chcę.

Haley delektowała się chwilą spokoju, nie myśląc o niczym, częściowo nasłuchując Bożego głosu, a częściowo przysypiając, gdy nagle otworzyły się drzwi salonu.

Do środka weszła starsza pani w płaszczu wykończonym futrem, zapiętym pod samą szyję, z twarzą poprzecinaną delikatnymi zmarszczkami.

– Czy ty jesteś Haley?

– Tak. W czym mogę pani pomóc?

Kobieta oparła na biodrach swe dłonie w rękawiczkach. – Nazywam się Elliot. Lenora Elliot.

– Witam w salonie sukien ślubnych. A raczej, mam nadzieję, że kiedyś się nim stanie.

– Byłam tu już kiedyś.

– Kupiła pani tu swoją suknię ślubną? U Cory?

– Dokładnie. Sześćdziesiąt lat temu. Schodziłam wtedy po tych szerokich schodach. – Bez zawahania, pewnym krokiem, podeszła do pierwszego stopnia i zapatrzyła się na antresolę. – Moja matka i teściowa siedziały tu wraz z moimi siostrami i przyjaciółką. – Wskazała na duży salon. – Mimo wiosennej pory nadal czuło się w powietrzu zimowy chłód. W sklepie było tak przytulnie i ciepło. Rozmawialiśmy o ślubie, popijałyśmy gorącą herbatę i słuchałyśmy

muzyki. Wszystkie płakałyśmy, gdy schodziłam po schodach. Miałam na sobie białą suknię z tiulową spódnicą do połowy łydki, z gorsetem w kształcie serca i prosty welon. Wyglądałam jak księżniczka. Jak Jackie Kennedy Południa. Panna Cora zaproponowała mi prześliczny kostium na podróż poślubną. Nie było nas stać na obie suknie, więc udzieliła mi bardzo hojnego rabatu.

– Słyszałam, że często robiła to dla swoich klientek.

– Najwspanialsza kobieta, jaka chodziła po ziemi. Dorzuciła też śliczną biżuterię. Oczywiście nic kosztownego, sztuczną, ale gdyby nie to, nic bym nie miała. Zrobiła ze mnie piękną pannę młodą. Spełniła moje marzenia.

– Czy mieszka pani w Heart's Bend?

– Mieszkałam tu przez pierwszy rok małżeństwa, ale potem przeniosłam się z mężem do Los Angeles. Tam stworzyliśmy nasz dom. Bean zmarł tydzień temu.

– Jej orzechowe oczy zaszły mgłą. – Chciał być pochowany w rodzinnych stronach.

– Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Kochałam tego mężczyznę przez sześćdziesiąt pięć lat. Z czego przez sześćdziesiąt byliśmy małżeństwem. Mamy czwórkę dzieci, dwóch chłopców, dwie dziewczynki. Marzyło mi się, że moje dziewczynki kupią tutaj swoje wyprawy ślubne, aby odpłacić pannie Corze za jej dobroć, ale zamknęła sklep, zanim wyszły za mąż. – Oczy kobiety błyszczały od łez, kiedy podniosła wzrok na Haley. – Oczywiście, uważały się za nowoczesne dziewczęta z Kalifornii i mały swoje pomysły na suknie ślubne. Nie były zainteresowane moją starą suknią z lat pięćdziesiątych. A teraz moje wnuczki sobie ją wyrywają. Mówią, że to suknia „vintage”. – Pani Elliot wyciągnęła rękę w stronę Haley i wcisnęła jej w dłoń papieraek. – Słyszałam, że ktoś znów otwiera salon, i chciałam życzyć ci powodzenia. Niech Bóg ma cię w opiece.

– Dziękuję – Haley spojrzała w dół na złożony czek – ale nie mogę przyjąć pani pieniędzy.

– Możesz, i to zrobisz. – Uniosła podbródek, mierząc w Haley swoim długim palcem ze świeżym manicure. – Za kilka lat chcę tu przyjechać ze swoimi wnuczkami. – Przystanęła przy drzwiach. – To takie urocze, piękne miejsce. Tyle panien młodych wpisało się w jego historię.

– Ale pani nawet mnie nie zna. – Haley chciała oddać jej czek. – Jak pani może powierzyć mi swoje pieniądze?

Pani Elliot zamknęła dłoń Haley w swojej. – W chwili, gdy dowiedziałam się, że ktoś ponownie otwiera salon, serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Wiedziałam, że mam ci pomóc. Po prostu to wiedziałam. Wlej życie w to miejsce, niech znów stanie się drogą mieszkańcom Heart's Bend.

– Dziękuję. Nie zawiodę pani. – Haley wsunęła czek do kieszeni.

Pani Elliot jeszcze raz przespacerowała się po sklepie, opowiadając o starym zegarze szafkowym, o szerokiej złotej sofie, pluszowych fotelach, porcelanowej zastawie, o świetle i atmosferze salonu. Potem podeszła do drzwi wejściowych. – Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy, razem z moimi wnuczkami.

Haley delikatnie ją przytuliła. – Byłoby cudnie. I jeszcze raz pani dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

Gdy Haley została znów sama w sklepie, wyciągnęła czek z kieszeni. Oparła się o poręcz, przeczytawszy wypisaną na nim sumę.

Dziesięć tysięcy dolarów. *Dziesięć*. Tysięcy. Dolarów.

To niemożliwe. Nie może przecież przyjąć takiej sumy pieniędzy. – Proszę pani! – Haley otworzyła drzwi frontowe i wołając panią Elliot, podbiegła do krawężnika. Ale kobiety już nie było.

Wróciła do środka, usiadła na schodach i spojrzała na czek. Świetnie. Żadnego adresu. Tylko jej nazwisko.

No dobrze. Przyjmie zatem te pieniądze. Czują, że nie zasługuje na taką hojność, ale pomachała czekiem w stronę niebios w geście wdzięczności. – Dziękuję.

– Haley? – W drzwiach pojawił się Cole. Podeszedł do niej. – Byłem właśnie w ratuszu sprawdzić, co z pozwoleniami.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Nie musisz tego robić. Dzwonię tam codziennie.

– Pomyślałem, że użyję swoich supermocy. – Usiadł przy niej, opierając ręce na nogach.

– Naprawdę? – Ścisnęła jego przedramię. – Masz trochę na zbyciu?

– Cha, cha, cha, jaka zabawna. – Zdjął kurtkę i napiął biceps pod rękawem koszuli. – Trochę mogę ci użyczyć.

– Przyjmę każdą pomoc.

Potań dłonie i ubrał z powrotem rękaw kurtki. Bez ogrzewania w sklepie było zimno. – To nicnierobienie doprowadza mnie do szału. A mówiłem ci, że

widziałem Branta Jacksona w biurze Linusa Peabody'ego? A wcześniej ich obu w *Java Jane's*, knujących coś razem przy stoliku. Jeśli tych dwóch jest w znowie...

– Cole, spójrz. – Haley wręczyła mu czek. – Zjawiła się kolejna panna młoda Cory i mi to dała. Mam już połowę pieniędzy na renowację.

Wyrwał czek z jej dłoni. – Weszła i dała ci dziesięć tysięcy dolarów?

– Najpierw powspominała, a *potem* dała mi dziesięć tysięcy.

Cole wyszczerzył zęby. – Haley, *ktoś* nad tobą czuwa. Zabraniam ci kiedykolwiek jeszcze w siebie wątpić.

– I to nie byle kto. – Haley wzięła czek z powrotem i schowała go do kieszeni, uśmiechając się w duchu. – *Bóg* nade mną czuwa.

– Dobrze, że *Bóg* nad tobą czuwa. – Cole wstał, wciskając dłonie do kieszeni džinsów, w których wyglądał zdecydowanie zbyt dobrze. Czy zawsze był taki przystojny? Trudno powiedzieć, Haley za każdym razem patrzyła na niego oczami Tammy.

– Jak myślisz, dlaczego *Bóg* chce ponownie otworzyć studwudziesięciosześcioletni sklep w Heart's Bend? I dlaczego ja mam to zrobić?

Spojrzał na nią, a intensywność tego spojrzenia sprawiła, że jej serce na chwilę przestało bić. – Dobrze pytanie.

– Poza tym, że bawiłam się tu jako dziecko, nic nie łączy mnie z tym sklepem. Kocham jednak to miejsce.

– Może to wystarczy – odparł Cole – żeby po prostu je kochać. Przecież w Ewangelii jest napisane: „Tak bowiem *Bóg* umiłował świat”.

– Ale czy to chodzi o miejsce, czy o ludzi, którzy tu przyjdą? O panny młode?

– Myślę, że jesteś blisko. – Przykucnął przed nią, szukając jej spojrzenia swoimi niebieskimi oczami. – Tak się zastanawiałem... – Przerwał, odchrząkując. – Czy miałabyś ochotę wpaść dziś wieczorem do mnie do domu, zjeść pizzę, obejrzeć jakiś film?

Poczuła, jak pali ją skóra, słysząc intymność w jego głosie, w jego pytaniu. – Zapraszasz mnie na randkę?

Uśmiechnął się i spuścił wzrok, wpatrując się w podłogę. – Tak, myślę, że tak.

– Wow, dobrze... – Ale przecież on należał do Tammy, nawet jeśli zerwali zaręczyny. Haley w ogóle do niej nie była podobna. – Cole, ale ja nie jestem Tammy.

– Wiem.

– I masz świadomość, że zapraszasz na randkę Haley Morgan?

– Jestem całkowicie tego pewien. – Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę swoimi błękitnymi oczami. – Czy to dla ciebie zbyt dziwne?

– Nie, po prostu zaskoczyłeś mnie.

Zaśmiał się i usiadł po turecku na podłodze, opierając przedramiona na zgiętych kolanach. – Znamy się dwadzieścia kilka lat, ale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek naprawdę się poznałem. Zawsze kręciła się wokół ciebie Tammy albo był przy tobie jeden z twoich braci. Poza tym jednym razem, kiedy przegadaliśmy całą noc.

– Tak...

– Podoba mi się kobieta, którą zaczynam poznawać.

– Cole, ale powinieneś wiedzieć, że jest też Haley, której nie znasz. Która popełniła kilka poważnych błędów w swoim życiu.

– Jak ten facet? Dax Mills? Ten, którego widziałem kilka dni temu?

– Tak. Rozpoznałeś go? Dlatego się wtedy zatrzymałeś? – Dax byłby w siódmym niebie, słysząc, że ktoś rozpoznał go na ulicy. W pewnym momencie Haley miała wrażenie, że jest to jego jedyny cel w życiu.

– Rozpoznałem go. Kiedyś ćwiczyłem, korzystając z jego nagrań treningowych. Ale zatrzymałem się przy sklepie, bo wyglądałaś na przygnębioną.

– Byłeś w stanie dostrzec z ulicy, że jestem przygnębiona?

Wzruszył ramionami. – Czy to zbrodnia? Więc skąd znasz Daxa?

Nie, skądże. – Byliśmy parą.

– Aha... – Cole zamyślił się przez chwilę. – Czy on nie jest czasem żonaty?

Zaczął dostrzegać wszystkie szczegóły, bez pomocy Haley. – Czy nadal chcesz ze mną zjeść pizzę?

– Tak, chcę. Ja też nie jestem święty, Haley. Czy wszystko między wami skończone?

– Z mojej strony tak. Ale jemu wydaje się, że może zjawiać się w moim życiu, kiedy tylko mu się podoba, i mówić mi, co mam robić.

– Dobra, to pizza i film u mnie. O szóstej?

– Jesteś pewien?

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, a ona coraz bardziej rozpląwała się w jego niebieskich oczach. – Ja tak, ale jeśli ty masz wątpliwości...

– Lubię wyzwania. Jeśli dla obojga z nas jest to dziwne, to powinniśmy potraktować to jako zabawny eksperyment.

– Umowa stoi. – Wyciągnął do niej dłoń. Kiedy Haley podała mu swoją, zrodziło się w niej to samo uczucie, co tego wieczoru, kiedy rozmawiali po raz pierwszy. Na werandzie salonu. Rozlało się w niej delikatne ciepło, które sprawiało, że zapomniała o troskach.

– Ale, Cole, powinieneś wiedzieć, że nie szukam związku. – Chciała cofnąć swoje słowa w chwili, gdy tylko wyszły z jej ust. Jej wyznanie było aroganckie. Niegrzeczne. I rzuciło cień na rozpromienioną twarz Cole'a.

– Haley, to tylko pizza i film. – Zaczął iść w kierunku drzwi. – A nie oświadczyły.

– Jasne. Masz rację. – Był zły? – O szóstej?

Zatrzymał się przy drzwiach, uśmiechając się do niej szeroko, przebacząc wszystko. A ona czuła, jak całe jej ciało wypełnia pozytywna energia.

– Nie spóźnij się.

# *dwadzieścia trzy*

## *Haley*

Kluczyki. Musiała tylko znaleźć kluczyki i już jej nie ma. Za dziesięć szóstą. Pewnie spóźni się kilka minut do Cole'a, ale po południu dzwoniła do Charlotte po radę, jak rozmawiać z projektantkami i rozgadały się o życiu, miłości i Bogu.

Choć Haley rozmawiała z Charlotte tylko raz osobiście i dwukrotnie przez telefon, nawiązała z nią więź. Podziwiała ją. Zaczęła ją nawet nazywać swoją przyjaciółką.

Dzięki Cole'owi, Charlotte i dziesięciu tysiącom od pani Elliot poczuła lekki podmuch wiatru w ciemnościach, które nastały w jej życiu przez Daxa. Już prawie widziała światło na końcu tunelu.

Znalazła kluczyki na wyspie kuchennej. Mama wyjmowała właśnie butelkę wody z lodówki.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała. – Pomyśleliśmy z tatą, że zjemy kolację we trójkę. We wschodniej części miasta otworzono nową wegetariańską restaurację.

– A skąd pomysł, że jestem wegetarianką? – zaśmiała się Haley. – Dziś jem pizzę.

– Sama?

– Jeśli już musisz wiedzieć, to z Cole'em

– Czy to rozsądne? – Mama wzięła mały łyk wody. – Wiem, że pracuje z tobą przy tym *sklepie*... – zaakcentowała słowo *sklep* – ale jeśli będziecie za dużo czasu spędzać ze sobą, to...

– To co, mam? Polubimy się? Poznamy bliżej? Pośmiejemy się?

– Zakochacie się w sobie?

– Nie mam zamiaru się w nim zakochać, a nawet jeśli, to co z tego? To wspaniały facet.

– Słuchaj, nie wiem, co wydarzyło się między tobą a Daxem, ale wiem, że cię

to podłamało. – Mama używała swojej intuicji, żeby zajrzeć za zamknięte drzwi w sercu Haley. – Myślę, że w tym całym zamieszaniu, związanym z twoim zerwaniem, śmiercią Tammy, otwieraniem tego dziwnego *sklepu*, próbujesz uchwycić coś, czego już nie ma. Boję się, że przeniesiesz na niego pewne uczucia, myśląc, że to miłość. A to nie będzie prawda.

– Mamo, uwierz mi, że jestem w pełni świadoma końca mojego związku i śmierci mojej przyjaciółki. Owszem, otwarcie salonu ma dla mnie wartość sentymentalną. I jest bardzo frustrujące. Ale nie gonię za duchami przeszłości. Próbuję coś zbudować. Biznes. Cole jest przyjacielem. To wszystko.

– Skoro jesteś tego taka pewna...

– Jestem. Już mu powiedziałam, że nie szukam miłości.

– Zawsze szczerza do bólu. – Łagodny śmiech mamy troszkę ocieplił uczucia Haley. Była perfekcjonistką, osobą, która zawsze osiągała więcej niż inni. Często zachowywała się bardziej jak instruktor musztry niż matka, ale kochała swoją rodzinę.

– Przepraszam, mamo.

Zrobiła wielkie oczy. – Za co?

– Za to, że cię osądzałam.

– Mnie? – Mama znów napiła się z butelki, nie spuszczając wzroku z Haley.

– Tak, zawsze myślałam, że nie kochasz nas naprawdę, że ważniejsze są dla ciebie twoja kariera i sukces.

– Taka ci się wydawałam? – Mama stała, wyprostowana. Nigdy nie wycofywała się z konfrontacji i nie unikała gorzkiej prawdy.

– Często tak było. Miałam też wrażenie, że nie potrzebujesz córki. Że wolisz chłopaków.

– Haley, na miłość boską, przecież mam piątkę dzieci tylko dlatego, że tak bardzo chciałam mieć dziewczynkę.

– Więc byłam dla ciebie tylko kolejnym celem, który chciałaś osiągnąć?

Mama obeszła wyspę, wyciągając ręce do Haley. Po chwili jednak zawahała się i zatrzymała. – Chciałam mieć córkę. Miałam świetną relację ze swoją mamą. Byłyśmy bardzo blisko.

– Z mojego punktu widzenia ze mną nigdy nie chciałaś mieć innej relacji poza tą rodzic – dziecko. Dobrze się mną opiekowałaś, mamo. Nie zaprzeczam. Ale aż do końcówki podstawówki traktowałaś mnie tak jak chłopców. Nigdy nie



odniosłam wrażenia, że tak bardzo pragnęłaś córki.

– Przepraszam cię zatem. – Mama zamyśliła się nad słowami Haley. – Chciałam mieć córkę, ale nigdy nie zastanawiałam się, czy będę dla niej dobrą matką.

Haley przypatrzyła się jej i zaśmiała się cicho. – Nikt też nie mówił, że trafi ci się dobra córka.

– Jesteś wspaniała. Jestem z ciebie bardzo dumna. – Mama przycisnęła dłoń do serca. – Przykro mi, jeśli kiedykolwiek czułaś się niechciana czy niekochana. Nigdy, przenigdy tak nie było.

Haley zadzwoniła kluczykami. Czas uciekał, a ona nadal nie wyszła z domu. – Wszystko dobrze się skończyło. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek odnalazłabym Boga, gdyby nie te małe zranienia, które w sobie nosiłam.

– Zranienia? Och, Haley...

– Mamo, w porządku. Nic mi nie jest, naprawdę.

Mama delikatnie przytrzymała ramię Haley. – Kocham cię. Proszę, zrozum, jak bardzo cię kocham. Zawsze chciałam mieć córkę. Jeśli ktokolwiek powinien czuć się niechciany, to Seth. Kiedy na USG powiedzieli nam, że to chłopak, byłam gotowa odesłać go tam, skąd przyszedł.

– Tylko mu tego nie mów. Abigail miałyby używanie, gdyby musiała urządzić mu domową terapię. Przecież Seth jest synusiem mamusi.

– Wiem. I nie wyobrażam sobie życia bez niego. I ciebie.

Dzięki tym kilku spontanicznym słowom zrobiło się sentymentalnie. Już dawno tak się nie zbliżyły. Prawdopodobnie od szkoły średniej, kiedy Brandon Lutz złamał Haley serce i zamiast z nią poszedł na bal z Misty Stone. Mama była dla niej prawdziwą podporą w czasie tego rozdmuchanego nastoletniego dramatu.

– A więc... – Mama wzięła głęboki oddech, bawiąc się butelką w dłoniach. – Jak... jak tam *sklep*?

Haley uśmiechnęła się. Widziała, że mama się stara. – Hmm. Dobrze. Tak mi się wydaje. Nadal nie mamy zezwoleń. A minęło już sześć tygodni. – Haley zerknęła na zegar na piekarniku. Była już naprawdę spóźniona.

– A co z pieniędzmi?

– Pracuję nad tym. Nie wiem, czy uwierzysz, ale dziś do salonu przyszła kobieta i wręczyła mi czek na dziesięć kawałków.

Mama otworzyła szeroko oczy z niedowierzaniem. – Żartujesz.

– Była jedną z klientek panny Cory. Powiedziała, że sklep odegrał ważną rolę w jej życiu i że cieszy się, że ktoś go znów otwiera. Pani Peabody, ciotka Linusa Peabody’ego, też dała mi pieniądze.

Mama wzięła łyk z butelki. – Wiesz, że to Linus zainicjował pojawienie się Akron Developers w Heart’s Bend?

– Cole wspominał o tym. Myślisz, że to Linus opóźnia wydanie mi zezwoleń?

– Nie zdziwiłoby mnie to.

– Dobrze, może porozmawiam o tym z Cole’em dziś wieczorem. – Haley podeszła do drzwi. – Dzięki, mamó, za to, że spytałaś o salon. Wiem, że jesteś temu przeciwna.

– Nie darzę tego miejsca sympatią, ale... – westchnęła – nie jestem przeciwko tobie.

– A czy mogę zapytać, co masz przeciwko salonowi?

Zawahała się. Rzadki widok. Doktor Morgan działała zawsze zdecydowanie i szybko. – Bawisz się kluczami. Pewnie jesteś spóźniona.

– Cole nie może czekać.

Mama wyszła z kuchni i ruszyła w kierunku drzwi. – Jedź już lepiej. Wkrótce zjawi się twój ojciec. Głodny. Baw się dobrze.

– Czy kiedykolwiek mi powiesz?

– Nie wiem – odpowiedziała, nie odwracając się już. – Czasami nawet nie wiem, czy w ogóle siebie znam.

Cole powitał Haley przy frontowych drzwiach. Stał boso, ubrany w luźną koszulkę Tennessee Volunteers, opinającą ciasno jego ramiona.

– Masz dyżur przy desce do krojenia.

– Nie wiedziałaś? – Odparła Haley. – Ja nie siekam. Nie mieszam. Nie smażę. Nie gotuję. W ogóle. – Postawiła plecak przy drzwiach i zdjęła rękawice. Choć była nieco zmarznięta po jeździe motorem, nadal czuła w sercu ciepło po szczerej rozmowie z mamą.

– Trudno. Dziś masz dyżur przy warzywach. Ściągaj buty. Rozgość się.

– Jeśli chcesz, żebym poczuła się jak w domu, to nie dawaj mi nic do krojenia.

– Zdjęła buty i podążyła za nim do kuchni, gdzie na kwarcytowym blacie czekały na nią warzywa i deska do krojenia.

– To twoje stanowisko. – Podał jej duży nóż i odwrócił się do ciasta na pizzę, rzucając jej szybkie spojrzenie. – Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję. – Przeczesła ręką włosy potargane od kasku.

Napotkała jego wzrok. Uśmiechał się, patrząc na nią z iskrą w oku. Sięgnęła po nóż. Jej serce zabiło nieco szybciej.

*Nie komplikuj tego, tylko spokojnie.*

– A więc co ja mam tu robić? – Usiadła na stołku barowym i kątem oka zauważyła gitarę w szklanej gablocie, wiszącą na ścianie nad stołem w jadalni. – Hej, czy to ta gitara, na której grywałeś w czasach naszej szalonej młodości?

Zaśmiał się. – Tak, to fender stratocaster.

– Pamiętam, jak Tammy mi o niej opowiadała. Mówiła, że jest sporo warta.

– Tata kupił ją dla nas na aukcji. Jest warta znacznie więcej, niż za nią zapłacił. Nie sądzę, żeby licytator miał świadomość, co trzyma w rękach.

– Po co zamknąłeś ją w szklanej gablocie? Nie chcesz już na niej grać?

– Hej, koleżanko! – powiedział Cole, wskazując na kupkę warzyw leżącą przed Haley. – Zabieraj się za krojenie.

Nieżyły unik. Haley zastanawiała się, czy nie naciskać dalej, ale jeśli chodziło o starszego Dannera, Cole z reguły nie był skory do zwierzeń.

Haley zagapiła się na nóż oraz na warzywa: paprykę, pomidora i cebulę, które czekały na pokrojenie. – Myślisz, że Linus blokuje wydanie naszych pozwoleń?

– To bardzo prawdopodobne. Ale jest na tyle sprytny, żeby nie zostawiać śladów. – Cole przełożył wyrobione ciasto na pizzę z dużej misy na blat oprószony mąką.

– Powinniśmy coś z tym zrobić? Jeśli sam wstrzymuje prace, to nie może ode mnie wymagać, że skończę remont salonu do końca kwietnia.

– Oczywiście, że może. To on dyktuje reguły gry.

– To spotkam się z nim jutro.

– Mogę rano tam podjechać – Cole zerknął na nią – i sprawdzić w twoim imieniu, co się dzieje.

– Dzięki, ale pojedę sama.

– Jesteś pewna? Znam ludzi w dziale zezwoleń, znam Linusa...

– Nie potrzebuję, żebyś mnie ratował, Cole.

– Nigdy tak nie twierdziłem.

Haley westchnęła. *Odpuść, dziewczyno.* – Po prostu ja powinnam to zrobić, nie uważasz? To moja walka.

Westchnął, przytakując głową. – Dobra, jasne. Ale daj mi znać, jeśli byś czegoś potrzebowała.

– Chcę dostać pizzę. Tego mi trzeba. – Haley odłożyła na chwilę nóż, przyglądając się Cole’owi. Czy wyglądał na zawiedzionego? Tyle dla niej zrobił, więc stwierdziła, że niektóre bitwy musi stoczyć sama. Nie potrzebowała Cole’a u swojego boku. Skoro chciała być kobietą interesu, będzie musiała sama nauczyć się, jakie prawa rządzą małym światkiem Heart’s Bend. – To... jak nauczyłeś się robić pizzę?

– Moja babcia była Włoszką. Nauczyła nas gotować.

– Kiedy dorastałam, mieliśmy kucharkę. Pamiętasz ją? Hildę?

– Pamiętam. – Cole zrobił minę. – Nie była zbyt uzdolniona.

– Nie musisz mi tego mówić. Dałabym sobie rękę uciąć, że raz zaserwowała gotowaną korę i pieczone szyszki. Mamie strasznie smakowało. Wiedziałeś, że w mieście jest nowa restauracja wegetariańska? Rodzice pojechali ją dziś wypróbować. – Haley wzdrygnęła się.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jak to możliwe, że jesteś ich dzieckiem?

– Niemal codziennie, kiedy byłam mała. Tatę rozumiałam, ale mamę? Jesteśmy jedynymi kobietami w domu pełnym mężczyzn, a już bardziej nie mogłybyśmy się od siebie różnić. W sumie, to ucięłyśmy sobie z mamą o tym pogawędkę dziś wieczorem. – Haley oparła podbródek na dłoni. – Wyszło dobrze.

– Tak? – Cole zerknął na nią, wyrabiając ciasto. Potem rozpląszczył je na jednym z trzech kamieni do pizzy. – Hej, nie kroisz?

– Mówiłam ci. Ja nie kroję.

Otrzeptał dłonie z mąki i obszedłszy wyspę, stanął za Haley. – Weź nóż... – Wziął jej rękę w swoją prawą dłoń i podniósł nóż. Jego dłoń była delikatna od mąki, ciepła, całkowicie obejmowała jej rękę. Poczowała pulsowanie w ramieniu.

– Weź paprykę. – Cole położył warzywo na desce do krojenia, dopasował swoją dłoń do ręki Haley i przeciął grubą, zieloną skórę nożem. Zapach jego skóry i koszulki obudził w niej powściągliwe pragnienia. – Podkul palce, żeby ich nie odciąć. Dobrze.

Otoczył ją swoim ciałem, swoim głosem, delikatnym ruchem, który wykonywał, szatkując. Jego oddech muskał jej policzek... I w pewnym

momencie poczuła, że ztraca się w jego obecności.

Zerknęła na niego. On jednak cały czas był skupiony na krojeniu. – Widzisz? – powiedział, przechwytyjąc jej spojrzenie.

– Tak, widzę. – Ale wcale nie skupiała się na papryce. Widziała zarys jego szczęki obsypanej delikatnym zarostem, uroczy łuk ust, głębię jego błękitnych oczu i spokój na jego twarzy.

– Haley...

– Cole... – Jego bliskość skradła jej oddech. – Ja nie szukam...

Zrobił krok do tyłu. – Czego? Związku? – Wrócił do swojego stanowiska z pizzą. Odwrócił się do niej plecami i zaczął rozkładać ciasto na jednym z kamieni.

– Lubisz pizzę z warzywami? Z pepperoni?

– Lubię wszystko oprócz oliwek i anchois. – Czyż nie wyszła na idiotkę? Przypisywała mu swoje uczucia.

Uśmiechnął się przez ramię. – Ja też.

Ale widziała, że zeszło z niego powietrze. Haley sięgnęła po cebulę, odkroiła jej wierzchołek i zaczęła obierać ją ze skórki, starając się za wszelką cenę nie amputować sobie kciuka. – Dax był żonaty, kiedy go poznałam, ale nie wiedziałam o tym.

Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę. – Haley, nie musisz mi tego mówić.

– Muszę. Chcę. Rozłożył mnie na łopatki. Dosłownie.

– Haley...

– Straciłam dla niego głowę. Tak bardzo chciałam za niego wyjść. Niemal od chwili, kiedy go poznałam. Był niesamowity. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego. Kiedy zaczął się za mną uganiać, czułam się jak królowa.

– Haley, jesteś bardzo piękna.

Przecięła cebulę nożem, przemilczając jego komplement. Wystarczy, że go poczuła. Uderzył ją z niespodziewaną siłą.

– Ale nie byłam w typie kobiet, które zazwyczaj łąsiły się do Daxa. On umawiał się z atrakcyjnymi dziewczynami, modelkami bikini, które miały przepiękne długie włosy i perfekcyjne piersi. Tammy byłaby w jego typie. Ale nie ja, nie niska, drobna dziewczyna w mundurze.

– Co było dalej? – Cole wziął nóż i sięgnął po paprykę, ale cały czas był skupiony na Haley.

– Kiedy dowiedziałam się, że jest żonaty, chciałam umrzeć.

– Zostawiłaś go?

– Nie. Poprosiłam go, żeby się rozwiódł z żoną. Nie jestem z tego dumna.

Czekała. Na spojrzenie. Na smutne westchnienie. Potrząsanie głową. Zasłużyła sobie na to. Na jego potępienie.

Cole jednak przerwał krojenie i spojrzał na nią życzliwie. – Rozumiem, że nie zostawił żony.

– Przez sześć miesięcy obiecywał mi, że ją rzuci. Potem dowiedziałam się, że ma dzieci i, matko, poczułam się, jakbym wjechała w ścianę rozpędzonym motorem. W co ja się wplątałam? Jednak tkwiłam w tym jeszcze przez kolejne pół roku. – Haley ześlizgnęła się ze stołka i spojrzała na drzwi balkonowe z widokiem na patio i garaż. – Stałam się niszcycielką rodzin. Kapitan Niszczycielka.

– On też miał w tym swój udział, Haley.

– To mnie nie tłumaczy. Robi mi się niedobrze, gdy pomyślę, że odegrałam w tym jakąś rolę.

– Co sprawiło, że od niego odeszłaś?

– Śmierć Tammy. Rzuciłam go już trzy miesiące wcześniej, ale ciągle wracałam. A potem, gdy Tammy umarła, mój świat się zawalił. Przez dwa miesiące miałam koszmary, że w czasie sądu ostatecznego stoję przed Bogiem w tym stanie ducha, w jakim byłam wtedy. Budziłam się złana potem, roztrzęsiona. Wiedziałam, że moje życie nie powinno tak wyglądać. Pewnego popołudnia spotkałam się z Daxem w parku i powiedziałam mu, że to koniec. W trakcie naszej kłótni zadzwoniła jego żona. Jedno z jego dzieci miało wypadek na deskorolce. Pamiętam wyraz jego twarzy... Dax kochał swoje dzieci. Powiedziałam mu, żeby już nigdy do mnie nie dzwonił. Powinien być ze swoją rodziną. Rzuciłam wojsko i przyjechałam do domu.

Kiedy się obróciła, Cole stał za nią. – Cieszę się, że wróciłaś do domu. – Odgarnął jej grzywkę, a Haley poczuła mrowienie na całym ciele.

Oczy zaszkliły jej się łzami. – Nie, Cole. Nie możemy... ja nie mogę...

Myślała, że wypłakała już cały swój wstyd na ramieniu Charlotte, ale Cole swoją życzliwością, akceptacją i delikatnością wydobył jej prawdziwe, głęboko skrywane oblicze.

Nie zasługiwała na takiego mężczyznę jak Cole. Nie była go warta. Głos uwiązał jej w gardle, gdy przyciągnął ją do siebie, przytulając do piersi.

Haley poddała się mu, przez chwilę nic nie mówiąc, po czym wybuchnęła szlochem. Uczepiła się Cole'a, ściskając w pięściach jego koszulkę.

– Wszystko dobrze, Haley. – Cole kołysał ją, odganiając jej wstyd i strach. – Wyrzuć to z siebie. – Oparł policzek o jej głowę. – Wyrzuć to z siebie.

# *dwadzieścia cztery*

*Charlotte*  
*Birmingham*

Zegar stojący po drugiej stronie pokoju wyświetlił minutę po trzeciej. Charlotte usiadła na łóżku. W pokoju było ciemno i spokojnie, ale w jej duszy czuła bezsprzeczne poruszenie. – O co chodzi? – Wyszeptała modlitwę do Wszchemogącego.

Wielokrotnie w nocy czuła Jego szturchańce, gdy wzywał ją do modlitwy, do wielbienia. Nie miała nic przeciwko, że budzi ją o trzeciej nad ranem. Nie, skoro dawniej o takiej godzinie zrywała się z reguły pełna strachu i lęku.

Nie była już jednak tamtą dziewczyną. Odnalazła Miłość, która odpędziła cały strach. Podłożyła sobie poduszkę pod plecy, oparła się o wezglowie łóżka i zamknęła oczy. Jej mąż, Tim, spał obok niej, oddychając spokojnie.

Pomodliła się do Ducha Świętego, aby otworzył jej serce na Jego szepty.

Myślami wróciła do wczorajszego dnia, do salonu, panien młodych, które obsługiwała i... – Charlotte pochyliła się do przodu i otworzyła oczy.

Do *niego*. Wydawało jej się, że *go* wczoraj widziała – mężczyznę w purpurze. Nie wiedziała, jak *go* inaczej nazwać. Cztery lata temu zjawił się nie wiadomo skąd i przemówił do niej, rozpalając jej ducha.

Zakładała, że musiał być aniołem. Czasami odważała się myśleć, że mógł to być sam Pan Bóg. Pewnej niedzieli usłyszała w kościele historię o tych, którzy dotykali niewidzialnego, którzy widzieli Pana. Charlotte nigdy nie spodziewała się, że będzie jedną z nich.

Człowiek w purpurze pojawił się w jej życiu, kiedy nie była pewna, czy chce wyjść za Tima. Tamtego dnia w Red Mountain zachęcił ją, aby wzięła udział w licytacji brzydkiego, zniszczonego kufra, w którym znalazła swoją suknię ślubną.

Nie miała pojęcia, że ten stary, zniszczony kufer kryje w sobie stuletnią suknię i



jej dziedzictwo.

Mężczyzna w purpurowej koszuli zjawił się w jej salonie. Teraz, gdy potrzebowała kuksańca, by potwierdzić jej przypuszczenia.

– Kochanie, nie śpisz? – Mąż położył jej dłoń na plecach.

– Nie, myślę, modłę się. – Charlotte opadła w jego ramiona. – Obudziłam cię?

– Wydawało mi się, że słyszę, jak się modlisz.

– Tim, chyba widziałam dzisiaj człowieka w purpurowej koszuli.

– Chyba?

Uśmiechnęła się, wtulona w jego klatkę piersiową. – No dobrze, na pewno go dziś widziałam.

– W salonie?

– Stał na chodniku przed salonem. Zaglądał do środka, jakby na coś czekał. – Charlotte zadrżała. – Myślę, że chciał, żebym do niego wyszła, ale obsługiwałam właśnie klientkę.

Na samo wspomnienie czuła znów na sobie intensywne spojrzenie jego błękitnych oczu, pragnienie, by do niego wyszła. Ale była zbyt zajęta.

Charlotte usiadła, niespokojna. Przejęta.

– Minęłaś się z nim?

– Kiedy skończyłam, już go nie było. – Charlotte wytoczyła się z łóżka, zamyślona, wpatrując się w okno. – Nie widziałam go, odkąd się pobraliśmy. Zaskoczył mnie.

– Czego twoim zdaniem chciał?

– Nie mam pojęcia. – Wybiegła z sypialni. Pognała na koniec korytarza, do gabinetu. Włączyła światło.

Czy chodziło mu o suknię?

– Char? – Tim przyszedł za nią. – Co robisz?

– Pamiętasz, gdzie schowaliśmy suknię ślubną?

Wprowadzili się do jednopiętrowego domu, który Tim zaprojektował dla nich w zeszłym roku. Obawa przed przeprowadzką zmieszała się z radosnym odkryciem, że Charlotte jest w ciąży. Charlotte była gotowa na to, by w domu pojawiła się mała Rose. Jednak kilka tygodni później poroniła.

– Twoją suknię ślubną? – zapytał Tim. Wyminął ją, otworzył drzwi garderoby.

– Włożyłem ją tutaj... gdybyś kiedyś chciała wziąć ją do sklepu.

Charlotte po ślubie schowała suknię, którą jej prababcia miała na sobie w czasie

swojej uroczystości w 1912 roku. Uroczą Emily Ludlow, postać znana w kręgach towarzyskich Birmingham, filantropka.

Ale zanim suknia stała się własnością Charlotte, w ciągu swojej stuletniej podróży trafiła w ręce jeszcze dwóch innych kobiet, z którymi łączyła ją jedynie wiara w Boga, który dawał życie.

Potem, jakby przypadkiem, odnalazła drogę do domu, do Charlotte.

– Oto ona. – Tim sięgnął do tyłu po pudło, które spoczywało na starym, zniszczonym kufrze, w którym Charlotte znalazła tę suknię.

Postawił pudło na jej biurku. – Jesteś pewna, że chcesz je otworzyć? Wcześniej byłaś przekonana, że powinnaś ją schować.

Charlotte kiwnęła głową. Jego spostrzeżenie na nowo obudziło w niej głos Ducha. – O to właśnie chodzi, Tim. Ja wcale nie miałam jej zamykać w pudle i chować przed światem, tylko dlatego, że użyłam jej już zgodnie ze swoją wolą. A co z wolą Boga?

Przekopywał szuflady biurka w poszukiwaniu nożyczek. – Myślałem, że chcesz ją zachować dla naszych dzieci.

– Chciałam... chcę... ale nie jestem przekonana czy *On* przeznaczył ją tylko dla naszych dzieci. – Powoli otwierały jej się oczy.

– Ona nie jest po to, żeby ją chować i chronić, prawda? – Tim przeciął tasiemkę nożyczkami.

– Myślałam, że to mój spadek po babci. W końcu byłam w posiadaniu czegoś, co należało do mojej rodziny. Tim, przecież to był cud, że w ogóle do mnie trafiła. Ale ta suknia nie należy do mnie. Ale do Boga. Dlatego człowiek w purpurowej koszuli czekał dziś na mnie. – Charlotte ożywiła się, dzięki swojemu odkryciu. – Chciał mi powiedzieć, że nadszedł czas, by ją oddać. Ja byłam zbyt zajęta, żeby do niego podejść i go wysłuchać. A wystarczyło pięć minut. Pięć minut. A ja zostałam z klientką i o nim zapomniałam, aż było za późno.

– Przecież Bóg mówi do ciebie teraz. – Tim odsunął się i wyminął Charlotte, żeby odłożyć nożyczki. – Gotowe. Możesz zajrzeć do pudła.

Kiedy uniosła wieczko, przepełniła ją ogromna radość. Jakby na nowo przeżywała każdy szczęśliwy dzień swojego życia.

Poczuła, że musi przekazać suknię dalej. Ale komu?

Charlotte wyciągnęła kreację z lnianego pokrowca. Jedwabny gorset gładził jej skórę, a tren opadł u jej stóp jak naniesiony wiatrem śnieg. Gorset i rękawy

odbijały światło tak, iż wydawało się, że suknia lśni.

– Myślisz, że powinna trafić do jednej z twoich klientek? – Tim przeciągnął suknię z tylnej części garderoby i zawiesił ją w rogu. – Spotkałaś dziś w sklepie jakąś wyjątkową pannę młodą? Jeśli człowiek w purpurze zjawił się dziś, to może to jakaś podpowiedź.

– Nie wiem. Spotykam tyle panien młodych, ale nigdy wcześniej nie przypomniałam sobie o tej sukni. Nawet dzisiaj, kiedy go zobaczyłam. – Charlotte założyła suknię na manekin. – Sama nie wiem...

Cofnęła się o krok, przyglądając się białej kreacji, rozmyślając, modląc się. Przychodziła jej do głowy tylko jedna osoba. – Kilka tygodni temu pomogłam nowej właścicielce salonu ślubnego z Heart's Bend. Myślę, że ci o niej opowiadałam. Zmusiłam ją, żeby założyła suknię ślubną...

– I Pan ją uzdrowił. Chodziło o grzechy przeszłości.

Charlotte spojrzała na męża. – Haley. Suknia trafi do Haley. – Słyszając swoje słowa, utwierdziła się tylko w swoim przekonaniu. Jej dusza rozpromieniła się. – Tak, do Haley.

– Jesteś pewna? – Tim ziewnął, drapiąc się po głowie. Emocje związane z poszukiwaniami ustępowały miejsca senności.

– Tak. Jestem pewna. Dam sobie jeszcze kilka dni, ale tak Tim, Haley jest kolejną panną młodą, którą wybrała suknia. – Mrowienie, które poczuła na ramionach przypieczętowało jej deklarację.

– To zadzwoń do niej. Kiedy wychodzi za mąż?

– O to właśnie chodzi. Nie wychodzi. Powiedziała, że nie chce wyjść za mąż. Chce być *panną*, ale nie panną młodą. Przeżyła dramatyczne rozstanie.

– Czyli najwyższy czas, żeby oznajmić jej, że Bóg przygotował dla niej coś wspaniałego. – Tim pocałował żonę w policzek. – Wracam do łóżka.

– Zostanę tu jeszcze i się pomodłę. – Charlotte przyciągnęła sobie jedno z krzeseł i usiadła obok sukni, spokojna, gotowa, by zanurzyć się w rozmyślaniach. – *Gdzie będzie twój nowy dom?*

Tim przystanął przy drzwiach. – A jeśli pewnego dnia będziemy mieć córkę?

– To Pan będzie musiał ją jej odesłać. Jeśli będzie jej pisane ją ubrać.

Charlotte została sama, siedząc w blasku sukni, w milczeniu. Ząb czasu nie naruszył złotych nici sprzed stu lat. To cud, że przebyła taką drogę i nie uległa zniszczeniu.

Nigdy nie była przerabiana, a jednak pasowała na każdą z panien młodych, które miały ją na sobie. Choć zaprojektowano ją sto lat temu, śmiało mogłaby znaleźć się na okładce współczesnego czasopisma ślubnego.

Mieszanka starego i nowego. Ponadczasowa.

Charlotte była coraz bardziej pewna swojej decyzji. Haley Morgan będzie kolejną panną młodą, która założy tę suknię na swój ślub.

## *dwadzieścia pięć*

*Cora*

*Święto Dziękczynienia 1932*

– Powinnaś przyjąć dzisiaj oświadczyzny Bircha. – Mama siedziała na miejscu pasażera przy oknie uchylonym do połowy. Jej złożone dłonie spoczywały na kolanach. Pyszny zapach wspaniałego smażonego kurczaka, fasolki i świeżo pieczonego chleba wypełniał samochód Cory. – Jeśli nadal cię chce.

– Nie zwiedzie mnie ta twoja wojownicza mina. – Cora skręciła z Mason Road w kierunku farmy Goodów. Pasma błękitu próbowało przebić się przez szare chmury. – Wcale nie chcesz mieszkać sama nad salonem.

– To ty się oszukujesz, Coro. Wydaje ci się, że odrzucasz Bircha dla mnie, ale ty uciekasz. Boisz się. Wiesz, że jest twoją ostatnią szansą na drodze do szczęścia, ale co, jeśli okaże się taki jak tata czy Rufus. – Mama uniosła swój podbródek nieco wyżej. – Jeśli byłabym tobą, to ten kawałek złomu, który nosisz na szyi, wyrzuciłabym do rzeki. Nie oznacza nic dobrego. Obraża Bircha, jeśli zamierzasz przyjąć jego oświadczyzny.

– To ładna biżuteria. Prawdziwe złoto. Rufus był paskudnym typem, ale to nie oznacza, że naszyjnik... – Cora przycisnęła palce do złotego serca. Nie ściągała go, odkąd jej je wręczył, obsypując pocałunkami i sprawiając, że rozpływała się jak lody w upalny letni dzień. – Nie sądzę, żeby Birch był taki jak tata czy Rufus. Muszę się tylko zastanowić, czy chcę być żoną farmera. – Myślała o tym całą wiosnę, lato i jesień, choć zapewniał ją, że nie będzie musiała porzucać pracy w salonie.

Pomimo emocjonalnej walki, która się w niej toczyła, nie mogła zaprzeczyć jednemu – Birch był wspaniałym człowiekiem, który ją kochał. I to przerażało ją najbardziej. Czowała się źle, będąc kochana przez mężczyznę tak pokorną miłością. Patrząc na niego, zrozumiała, że Rufus nigdy jej nie kochał.

– Żona farmera ma przynajmniej co jeść.

– Po całodniowej pracy w kurzu.

– Też pracujesz cały dzień, w innym kurzu. Birch wcale nie chce cię zmuszać, żebyś porzuciła salon. Powiedział ci to. Wie, jak bardzo jest on dla ciebie ważny, i dla Heart's Bend. – Mama wyciągnęła papierosa z kieszeni. Ubrana była w spódnicospodnie, czyli spodnie, przypominające spódnicę luźno kołyszącą się wokół bioder i nóg, ostatni krzyk mody. Pofarbowała włosy na jasny blond i wyrwała sobie brwi, by namalować nowe i upodobnić się do Joan Crawford.

– Kiedy rozwód stanie się faktem, myślę, że wrócę do Nowego Jorku. Będzie już wiosna. Zanim wyjadę, chciałabym mieć pewność, że wyszłaś za mąż i się urządziłaś.

– Możesz wprowadzić się do mnie i Bircha.

Spojrzała nieufnie na Corę. – Więc zdecydowałaś się.

Kiwnęła głową. – Ale pomyślałam, że wprawdzie powiem to jemu.

Mama wydmuchnęła dym papierosowy przez okno. – Coro, już czas, żebyśmy obie zapomniały o przeszłości. Cieszę się z twojego powodu.

Ale Cora była zdenerwowana. – Nie widziałam go od czasu parady z okazji Święta Pracy. – Kupił jej lody i oprowadził po mieście, trzymając za rękę. W parku Gardenia ponownie zapytał, czy podjęła już decyzję.

„Coro, dałem ci całą wiosnę i lato na zastanowienie się. Na pewno już wiesz, co chcesz zrobić”.

Wydawało się, że zaakceptował jej odpowiedź. „Mama jest nadal taka słaba”.

– Będzie szczęśliwy, że w końcu się zdecydowałaś – powiedziała mama. – Mam tylko nadzieję, że okażesz się warta tego czekania.

– Mamo!

Tymczasem w salonie ruch był niewielki. Susza na całym Południu skuteczniej niż kryzys doprowadziła do ruiny wiele farm. Panny młode decydowały się więc brać ślub w niedzielnych sukniach albo przerabiać suknie swoich matek.

Cora skrupulatnie pilnowała swoich pieniędzy, uważając, by kolejne wypłaty z banku nie naraziły na szwank wszystkiego, na co ciocia Jane tak ciężko pracowała.

– Słyszałam, że Birch zaprosił w tym roku pół miasta na ucztę z okazji Święta Dziękczynienia. – Mama potrząsnęła głową, wzdychając. – Bardzo tęsknię za

przyjęciami w naszym starym domu.

Trudno było uwierzyć, że minęły już dwa lata, odkąd tata poinformował je o swoim bankructwie.

– Kiedy wyjdę za Bircha, będziesz mogła znów grać rolę gospodyni. Jesteś w tym o wiele lepsza niż ja.

– Będę w Nowym Jorku.

– Ale wrócisz w podskokach, kiedy urodzi się twój pierwszy wnuk. – Cora mówiła to, co jej zdaniem powinno się mówić w takiej sytuacji. Chciała, żeby to było prawdą. Ale słowa brzmiały obco, jakby nie były przeznaczone dla niej.

Miłość do mężczyzny pokroju Rufusa spustoszyła jej serce. Czy miłość do takiego mężczyzny jak Birch wleje w nie nowe życie?

– Pomyślimy – odparła mama, unosząc jednak kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Całą wiosnę i lato mama leczyła swoją rozpacz i przeżywała zmiany zachodzące w jej życiu, jeżdżąc codziennie na farmę Bircha, by pielęgnować swój ogród. Zdobyła nawet nagrody na okręgowym pokazie roślin.

Cora zwolniła i wjechała na długi podjazd prowadzący do domu Goodów. Tak, *mogłaby* zbudować tu resztę swojego życia. Zaparkowała na otwartej przestrzeni, na końcu długiej kolejki samochodów.

Mama rzuciła okiem na horyzont i łąkę. – Popatrz na wszystkich tych ludzi. To się nazywa piknik. Tylko pomyśl, wkrótce będziesz panią tego wszystkiego. – Sięgnęła na tylne siedzenie po miskę z kurczakiem i wzięła pod ramię kosz z chlebem.

– Wszystko po kolei, mamo. – Wyobraziła sobie, jak Birch kołysze ją w ramionach i kręci się z nią w koło, krzycząc na cały głos: „Jestem zaręczony!”.

Gdy szły po zakurzonym żwirowym podjeździe, Cora wśród licznie zgromadzonych gości szukała twarzy Bircha.

Doszły do stołów z jedzeniem. Mamę w jednej chwili otoczyła grupa kobiet zafascynowanych i zdumionych jej ubiorem. Ich podniesione głosy zdradzały zazdrość pomieszana z przerażeniem.

– Nie mogłabym.

– Dean nie wypuściłby mnie z domu!

– Uważam, że wyglądasz bosko.

– Brawo, Esmé, odzyskujesz kontrolę nad swoim życiem.

Cora witała się z przyjaciółmi, uśmiechając się, cały czas wypatrując Bircha.

– Coro, kochanie, jak się miewasz? – Żona pastora Clintona uścisnęła jej ramiona, delikatnie ją przytulając. – Tak nam przykro z powodu twojego taty.

– Cóż, nic na to nie poradzimy. – Cora uśmiechnęła się powierzchownie. Czy żona pastora mówiła o rozwodzie? Mama zapewniała ją, że nikomu nic nie powiedziała. – Mama pani mówiła?

– Ależ oczywiście. Taka tragedia. Modlimy się za ciebie i Esmé. Możecie na nas polegać, jeśli byście czegoś potrzebowały.

– Dziękuję... modlitwa rzeczywiście może pomóc.

Dziwne. Bardzo dziwne. Cora chwyciła mamę, gdy ta obok niej przechodziła. – Mamo, dlaczego Rosalee Clinton mnie pocieszała z powodu taty? Proszę, nie mów mi tylko, że powiedziałaś im o rozwodzie. – Nie chciała o tym myśleć w dniu swoich zaręczyn.

– Nie, nie mówiłam im nic o rozwodzie. – Mama westchnęła i przygryzła wargi. – Ale mogłam posłużyć się niewinnym kłamstwem.

– Na litość boską, co ty im nagadałaś? – Cora zacisnęła palce na ramieniu mamy, odciągając ją na bok. – Nie istnieje nic takiego jak niewinne kłamstwo. Wiem, bo moja matka mi to mówiła i myła mi usta mydłem za karę, kiedy kłamałam.

– Wszyscy o niego pytali. – Mama uwolniła rękę i złożyła dłonie. Wpatrzyła się w pastwisko, gdzie chłopcy grali z mężczyznami w futbol. Serce Cory zaczęło bić szybciej, gdy zauważyła tam Bircha. – Pomyślałam wtedy, że to dobry pomysł. A twoim zdaniem, co miałam powiedzieć? Prawdę? Rozwód oznacza dla mnie wstyd i poniżenie, szept, odrzucenie. Wyrzucono by mnie z rady Ligi Kobiet. A może chciałabym znów wyjść za męża. Mam tylko pięćdziesiąt pięć lat.

– Aż boję się pomyśleć, co im powiedziałaś. – Cora skrzyżowała ręce na piersi, czekając. – Mówże, czego im nagadałaś?

– Możliwe, że powiedziałam kilku osobom... – pochyliła głowę, zniżając głos  
– ...że on, no cóż, umarł.

Cora z trudem złapała powietrze i cofnęła się. – Ale to przecież wielkie, paskudne kłamstwo. Mamo, jak mogłaś?

Wyrwała się z uścisku Cory. – Zrobiłam to, żeby nas ocalić.

– Nas? Chyba siebie. Przeprowadzasz się do Nowego Jorku, więc co cię to obchodzi? A teraz zostawiasz mnie z tym samą.

– Wyświadczam ci przysługę, dziewczyno. – Mama odważnie zrobiła krok do



przodu. – Robię to, bo jesteś moją córką. Bo masz wyjść za mąż. Myślisz, że chcę, żeby tchórzostwo i egoizm Erniego ciągnęły się za tobą, gdy będziesz już zamężna? Bo zrobił z naszej rodziny pośmiewisko, bo nie potrafił wrócić do domu i stawić czoła światu, rzeczywistości, do której się przyczynił? Bo nie potrafił zachować się jak mężczyzna? Teraz ludzie przynajmniej nam *współczują*. I przy okazji jemu też. Wolę stawić czoła jego zmyślonej śmierci niż skandalowi rozwodu.

– A gdzie pogrzeb? Świeży pochówek w rodzinnym grobowcu?

– Powiedziałałam, że zmarł na Florydzie i tam go pochowano. Ludzie są zbyt uprzejmi, żeby zadawać dodatkowe pytania.

– Pochowany na Florydzie. A nie na cmentarzu w Heart's Bend, gdzie leżą wszyscy Scottowie? Gdzie pochowane są trzy pokolenia naszej rodziny, łącznie z twoim synem? Chcesz mi powiedzieć, że ludzie dali się na to nabrać?

– Och, na litość boską, Coro, o co ci chodzi? Przecież on nie żyje tylko na niby. Idź poszukaj Bircha. Powiedz mu, że za niego wyjdiesz. Pomyśl o swoim życiu, o przyszłości. Ja właśnie tak robię.

– Jesteś zepsuta do szpiku kości, mamó. Jak myślisz, co zrobią życzliwi ludzie z naszego miasta, kiedy dowiedzą się, że tak naprawdę ojciec żyje?

– Chwała Panu! – Mama podniosła ręce do góry, udając zaskoczenie. – Cud! Ernie Scott wrócił z martwych.

– Mamó, odpowiesz za to pewnego dnia.

Ale kiedy matka podniosła wzrok na Corę, jej usta drżały, a oczy były mokre od łez. – Nie gniewaj się na mnie. Fałszywa śmierć Erniego była najlepszym rozwiązaniem. Wiesz, że mam rację.

Cora przytuliła swoją matkę – dostojną, dobrą kobietę, która ją wychowała, która pokazała, jak kochać Boga oraz innych, i robiła najgłupsze rzeczy, żeby zachować godność wśród ludzi, których znała całe życie, i móc żyć wśród nich choćby z odrobiną godności.

– Kocham cię, mamó.

– Też cię kocham, najdroższa. – Mama uściśnęła ją mocno i uwolniła się z objęcia Cory, pokazując głową na pole. – Idź, zdobądź swojego mężczyznę.

Jej skóra płonęła. – Denerwuję się.

– Dalej, dalej, nie młodniejesz.

– O takiej zachęcie marzy każda dziewczyna. – Cora wygładziła dłonią

spódnicę nowej sukienki, którą postanowiła ubrać właśnie dziś.

– Wyglądasz pięknie. – Mama dotknęła opuszkami palców jej podbródka. – Sukienka podkreśla miodowe drobinki w twoich oczach. A teraz idź i pokaż tym młodym pannom, jak dojrzała, mądra i piękna kobieta postępuje ze swoim mężczyzną. Gdzie ten twój śliczny uśmiech? O, jest. Zuch dziewczyna. – Mama uniosła rękę, machając do Janice Pettrey. – Popatrz na Janice, taka młoda i zakochana w tym swoim chłopcu, Rickym Cantwellu. A teraz idź, zdobądź Bircha.

Cora umierała ze strachu, idąc pod wiatr przez pole. Słońce zasiadało właśnie na południowej grzędzie, rzucając światło pod jej nogi. To *była* jej chwila. Ich chwila.

Osloniła oczy dłonią i zauważyła Bircha, jak biegnie przez pole w rozchełstanej koszuli, z piłką wciśniętą pod pachę, śmiejąc się i napinając opalone mięśnie.

Jego lśniąca grzywa podskakiwała mu na czole. Przypominał chłopców, którzy go gonili. W wieku trzydziestu siedmiu lat miał w sobie równie dużo krzepy i energii, co Orie Westbrook, niedawna gwiazda drużyny futbolowej liceum Rock Mill High, które skończył kilka lat temu. Razem ze swoją żoną Verą mieli małego synka Jimmy'ego.

Orie zablokował Bircha, powalając go brutalnie na ziemię. Ten podźwignął się i z uśmiechem rzucił piłkę do Freda Clemsona, który chyba był sędzią.

Tata kochał futbol, więc Cora słuchała transmisji radiowych razem z nim. Wzruszył się, gdy w 1927 roku zgodziła się posłuchać z nim meczu Rose Bowl, pomiędzy jego ukochaną drużyną uniwersytetu z Alabamy a Stanfordem z Kalifornii, po raz pierwszy transmitowanego na cały kraj.

Cora podeszła do sekcji kibiców, witając się ze wszystkimi, zagadując gaworzącego malutkiego Jimmy'ego i czekając, aż Birch ją zauważy. Wyglądał na szczęśliwego, pełnego energii. Jego szeroki uśmiech niemal zmiotł ją z nóg. Jak mogła wcześniej go nie dostrzegać? Teraz, gdy w końcu podjęła decyzję, by za niego wyjść, jej serce było gotowe na miłość.

Zaraz po przyłożeniu drużyny pobiegły do zbiornika z wodą. Cora pomachała więc do Bircha w nadziei, że do niej podbiegnie. Ale wydawał się zajęty swoją drużyną.

– Napiałabyś się wody, Coro? – zapytała Vera. – Poszłabym z tobą.

– Jak ci się podoba macierzyństwo? – Vera była młoda, nie miała więcej niż

dziewiętnaście lat. Dla niej trzydziestodwuletnia Cora była już staruszką.

– Dużo pracy. – Spojrzała na Jimmy’ego, który robił użytek ze swojego gryzaczka. – Jest uroczym chłopcem, ale...

Cora przestała jednak słuchać, gdyż jej uwagę przykuła scena rozgrywająca się przed jej oczami, dwadzieścia metrów przed nią. Otóż piękna Janice Pettrey, zamiast do *tego swojego chłopaka* Ricky’ego, podbiegła do Bircha i padła mu w ramiona. Birch uniósł ją i zakręcił w kółko, zatapiając twarz w jej policzku. Podekscytowany ni to śmiech, ni to krzyk dziewczyny przeszył powietrze. I duszę Cory.

Zatrzymała się w pół kroku. Birch? Co się dzieje?

– Cora? – powiedziała Vera, oglądając się za nią. – Idziesz?

– Tak, tak, oczywiście. – Cora zmusiła swoje nogi do posłuszeństwa, choć widok Janice w ramionach Bircha wypalił się ogniem w jej duszy.

Czyż to nie Cora się oświadczył? To *ona* była jego dziewczyną. Nie mogła jednak odwrócić oczu od intymnej wymiany uczuć między Birchem i Janice.

Birch postawił Janice na ziemi i pochylił się do niej. Jego usta dotknęły jej ust i pocałował ją tak, jakby robił to już tysiąc razy wcześniej. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, gdy otoczyła jego szyję ramionami.

Nie, nie... co tu się dzieje? Corę ogarnęła panika, strach. Scena, która rozgrywała się przed jej oczami przekreślała wszystkie jej nadzieje. W jednej chwili poczuła, jakby znów znalazła się w kuchni Rufusa i patrzyła na jego ciężarną żonę i ich małego synka, słuchając, jak wypiera się miłości do niej.

Jak ją nazwał? Kretynką. Prostaczką i zerem.

Przy zbiorniku z wodą Birch poklepał Oriego po plecach, śmiejąc się, a potem przypadkowo spojrzał w jej stronę. Kiedy ich oczy się spotkały, bijący od niego blask osłabł.

– Cora! – Podszedł do niej. – Nie wiedziałem, że przyjdiesz.

Potrząsnęła głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa, jej oczy zaczęły wypełniać się łzami. Już dwa razy zrobili z niej idiotkę... Jak mogła znów zakochać się w niewłaściwym mężczyźnie?

Birch otoczył ją ramionami, przytulając serdecznie. – Cieszę się, że jesteś.

Odepchnęła go i spojrzała spod przymrużonych oczu, drżąc na całym ciele. Kiwnęła głową w kierunku Janice. Znów musiała stać się Gunga Dinem. – Co tu się dzieje?

Birch pochylił głowę, gładząc swój kark, kopiąc butem wysoką trawę. – Spotykam się z Janice, Coro.

– „Spotykam się”. Co to w ogóle znaczy? Przecież to mi się oświadczyłeś. – Jej słowa obróciły się przeciwko niej, tnąc, zadając ból.

– Nigdy nie dałaś mi odpowiedzi. Czekalem osiem miesięcy, aż zgodzisz się za mnie wyjść. Nawet kiedy twoja mama dowiedziała się, że się oświadczyłem, i namawiała cię, żebyś się zgodziła, nigdy nie przyjęłaś moich oświadczeń.

– Chciałam być pewna.

– Nie, Coro. Chciałaś znaleźć drogę ucieczki.

– Nie chciałam uciekać. Chciałam za ciebie wyjść.

– W końcu stwierdziłem, że twoje milczenie oznacza odmowę. – Birch obejrzał się przez ramię w stronę śmiejącej się i rozmawiającej z innymi Janice. Cały czas obserwowała Bircha kątem oka.

– Więc zaprzyjaźniłeś się z Janice Pettrey?

– Zaczęliśmy rozmawiać na przyjęciu urodzinowym jej brata. Ty też byłaś na nie zaproszona. Zawsze się dobrze dogadywaliśmy, a tamtego wieczoru coś zaiskrzyło między nami. Zbliżyliśmy się do siebie po Świącie Pracy.

Birch stanął przy Corze. Czują się niezręcznie, stojąc obok niego. Miała nadzieję rzucić mu się w ramiona, udzielając mu swojej odpowiedzi. Zamiast tego napotkała mur.

– Powiedziałeś, że mam dać ci znać, kiedy będę gotowa. Cóż, teraz jestem gotowa.

– To było dawno temu, wiosną. Dałem ci miesiąc, a potem kolejne pięć. W Świąto Pracy nadal nie byłaś gotowa. Nie zrobiłaś żadnego gestu w moim kierunku. Żadnego, Coro. Skąd miałem wiedzieć, że zjawisz się w Świąto Dziękczynienia zazdrosna o Janice? Przyszłaś, żeby mi coś powiedzieć? Wcześniej w ogóle się do mnie nie odzywałaś. Postanowiłem zapomnieć. Poczekalbym na ciebie jeszcze jeden rok, gdybyś wyszła mi naprzeciw, Coro. Choć trochę. Ale tak się nie stało.

– Postanowiłeś zapomnieć o mnie, spotykając się z Janice? – Wskazała na młodą nauczycielkę. Chłodny podmuch listopadowego wiatru przeczesał jej włosy. – Z dziewczyną dziesięć lat od ciebie młodszą? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Coro, nie zwalaj winy na mnie. Przyszedłem do ciebie z sercem na dłoni, a ty

tylko mówiłaś „Pojedź ze mną do Rufusa” albo „Mama cierpi”. Rozumiałem cię. Naprawdę. Nadal cię rozumiem. Ale w końcu pojąłem, że to twoje życie, a nie moje. Nie mogę przestać żyć, bo ty nie możesz się zdecydować. A tak w ogóle, czy wiesz, że twoja mama rozpowiada ludziom, że twój ojciec nie żyje?

– Tak. Chciała sobie oszczędzić wstydu rozvodu. Birch... – Cora przycisnęła dłoń do czoła, czując narastający ból między oczami. – Zdaję sobie sprawę, że kazałam ci czekać, i przepraszam cię za to. Ale wiem również, że jestem już gotowa. Wyjdę za ciebie. Przyszłam, żeby powiedzieć „tak”. Tak, Birch, tak! – Uśmiechnęła się, podchodząc do niego. – Wyjdę za ciebie.

Westchnął, klnąc cicho pod nosem, machając głową i spoglądając w dal. – Cora, ale jest już za późno. Nie mogę się z tobą ożenić. Nie mogę.

– Co masz na myśli? Ja... nie rozumiem. – W końcu zdecydowała się skoczyć, podjąć ryzyko, a czekało ją jakże twarde lądowanie. *Boże...*

– Spotykam się z Janice. – Nie chciał spojrzeć na Corę. – Jest nam dobrze ze sobą. Dogadujemy się. Jest gotowa, aby za mnie wyjść i założyć rodzinę.

– Ja też jestem gotowa. – Przycisnęła dłoń do jego boku. – Birch, jestem tutaj. – *Przygarnij mnie.*

– A kochasz mnie, Coro? Bo Janice, tak. Jest zdeterminowana. Chce być żoną farmera i wychować gromadkę dzieci. A czy ty tego pragniesz?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Stała, drżąc jak spadający liść.

– Coro? Chcesz tego?

– Tak i jestem skłonna...

– Skłonna? – Birch potrząsnął głową, spoglądając na towarzystwo zebrane przy wodzie. – Był czas, że wydawało mi się, że to wystarczy. Że jesteś *skłonna*, żeby mnie pokochać. Ale nie teraz. Nie, kiedy poznałem Janice. – Odsunął się od niej. – Uwalniam cię, Coro, od swoich oświadczeń. Uwalniam cię od swojego uczucia.

– Nie, nie, Birch. Ja nie chcę być wolna.

– Ale nie kochasz mnie, prawda?

*Powiedz to. Powiedz, że go kochasz. Powiedz...* Cora wzięła głęboki oddech, walcząc z narastającym wodospadem łez. Patrzyła w dal, zła, że głupie słońce zaniedbuje swoje obowiązki i nie rozpędza szarych chmur.

– Tak jak myślałem. Słuchaj, miałem cię odwiedzić w przyszłym tygodniu, ale mogę równie dobrze powiedzieć ci to dziś. – Birch odsunął się od niej jeszcze

bardziej. – Oświadczę się Janice i chcę, żebyś to wiedziała. Nie muszę ci mówić pierwszej, ale biorąc pod uwagę naszą historię i całą resztę, powinienem tak postąpić.

Cora zadrżała. Choć stała bez ruchu, wpatrzona w horyzont, czuła, jakby zaraz miała runąć w przepaść. – Kochasz ją?

– Dogadujemy się. Jest energiczna i ładna, potrafi gotować, sprzątać, szyć i, jak mówiłem, jest gotowa, żeby założyć rodzinę.

– Nie odpowiedziałeś mi. – Cora podeszła do niego. – Kochasz ją?

– Cora... – Spojrzał na nią trzeźwym wzrokiem. – Rozmawialiśmy już z Janice. Chcemy się pobrać jak najszybciej to możliwe po Nowym Roku. Wtedy nie mam dużo pracy na farmie, więc będziemy mieć czas, żeby się poznać.

– Więc wszystko już ustalone. – Znalazła gdzieś w głębi siebie resztki sił i powiedziała: – W takim razie życzę wam wszystkiego najlepszego.

Czekała na Rufusa, gdy Birch czekał na nią, a teraz straciła ich obu. Jakby miłość zbłądziła i nie mogła odnaleźć do niej drogi. Nie powinna winić Bircha. Czekał na nią tak długo. To wszystko jej wina.

– Dziękuję. Doceniam to.

Spojrzała na niego. – Chciałam cię kochać.

– Tak? – Otarł pot z czoła. – Po Świącie Pracy zdałem sobie sprawę, że nigdy się nie zgodzisz. Zawsze żądałaś ode mnie więcej czasu. Janice powiedziała mi, że mnie kocha, po naszej pierwszej randce. Jej uczucie było tak zaraźliwe, że nie mogłem się oprzeć. Myślę, że czuje do mnie to, co ty do Rufusa. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem spragniony miłości przez to czekanie na ciebie. Coro, miłość to potężna siła. Wciąga cię. To piekielnie odurzające uczucie, kiedy ktoś cię kocha.

Gapiała się na swoje splecione dłonie, a na jej kciuk opadła łza. – A więc kochaj ją, Birch Good, ze wszystkich sił.

– Chciałaś za mnie wyjść, choć mnie nie kochałaś?

Uniosła podbródek. – Czy to nie ty przed chwilą powiedziałeś, że miłość to potężna siła? – *Powiedz to. Powiedz, że go kochasz.*

– Ale nie na tyle potężna, żebyśmy byli razem, Coro. Moja miłość nigdy nie sprawiła, żebyś mnie dostrzegła. Janice się udało.

– Jesteś szczęśliwy?

Przytaknął. – Tak myślę.

– A byłbyś ze mną szczęśliwy, gdybym powiedziała „tak” w marcu?

– Po co pytasz, jeśli odpowiedź nie ma już znaczenia?

Położyła dłoń na jego ramieniu. – Przepraszam, Birch. Życzę tobie i Janice szczęścia.

– Dziękuję. – Pochwyił jej dłoń, gdy się odwróciła. – Coro, Janice nie może się doczekać, kiedy będzie mogła przyjść do salonu. Okaż jej życzliwość, jeśli nie dla mnie, to przez wzgląd na nią. Jej rodzice nie mają dużo pieniędzy. Stracili wszystko po upadku banku. Oddawała im swoją nauczycielską pensję, żeby mogli związać koniec z końcem. Chciałbym, żeby przeżyła swój dzień w salonie i mogła nacieszyć się swoim ślubem.

– Oczywiście. Będzie mile widziana.

Cora zaczęła iść w stronę stołów, zdezorientowana i bliska płaczu. Słońce zaś przebiło się przez gęste chmury i rzuciło swoje złote promienie na piknik z okazji Święta Dziękczynienia, na Corę i kolejny rok jej życia.

# *dwadzieścia sześć*

*Cole*

*22 lutego*

Wszedł do biura Linusa bez pukania. Zapewnił jego asystentkę, że potrzebuje tylko minuty.

Od czasu randki z Haley cały czas o niej myślał. Podobało mu się, że ma okazję odkrywać, kim była naprawdę. Że poznał jej słabszą, bezbronną stronę. Że mógł słuchać, jak z pasją mówi o starym salonie ślubnym.

Jego serce zaczynało mocniej bić na myśl o tym, że mógłby zdobyć jej uczucie. Ale musiał działać powoli, ostrożnie, by jej nie spłoszyć. Bowiem w przeciwnym razie mógłby już nie dostać kolejnej szansy.

– Linus, co z naszymi zezwoleniami? – Cole przechylił się przez biurko Linusa, sprawiając, że ten musiał odchylić się do tyłu w swoim krześle.

– Linus, próbowałam go zatrzymać.

Uniósł rękę, by uspokoić asystentkę. – Nie ma sprawy, Sandy. Może podałybyś nam kawę?

– Ja dziękuję. – Cole wyprostował się, uśmiechając się do Sandy na zgodę.

– A więc, Cole, w czym problem? – Linus wstał, próbując spojrzeć mu prosto w oczy. Ale był zbyt niski.

– Chcę dostać zezwolenia i zacząć prace w salonie ślubnym.

Linus wykrzywił twarz w grymasie. – Wiesz dobrze, że nie mam nic wspólnego z zezwoleniami. To wydział Alastaira. Na końcu korytarza. Ostatnie drzwi na prawo. Cole, myślałem, że człowiek pracujący w branży będzie wiedział takie rzeczy.

Cole parsknął śmiechem, potrząsając głową. Twardy zawodnik, bez wątplenia. – Alastair wszystko z tobą konsultuje. To ty jesteś szefem. A on tylko twoim pachołkiem.



– Nie podobają mi się twoje insynuacje, Cole.

– A mi się nie podoba, że rada miasta najpierw powierza Haley budynek, narzucając ostateczny termin ukończenia remontu, a potem wstrzymuje wydanie zezwoleń. Wiesz coś na ten temat? Jesteś przecież najbliższym przyjacielem Branta Jacksona.

– Dlaczego przychodzisz tu i perfidnie mnie oskarżasz?

Cole westchnął. – Linus, po prostu wydaj te zezwolenia. Haley złożyła wniosek pierwszego stycznia. Mamy już trzeci tydzień lutego. Tego jeszcze nie było w tym mieście. Nawet mając na uwadze reputację twojej biurokracji...

– Co mogę powiedzieć? Miasto coraz bardziej się rozrasta. – Przebiegły, uśmiechnięty gad. Nie obrażając gadów.

– Nie wyjdę stąd, póki nie dasz mi tych zezwoleń. Miejmy to już z głowy. Czego chcesz?

Linus usiadł twarzą do komputera, jego łysa głowa lśniła w sterylnym świetle sufitowej lampy. Jak on w ogóle znalazł się na tym stanowisku?

– Wiesz, czego chcę – odparł.

– Słucham? Skąd mam niby to wiedzieć?

Linus wpatrywał się w niego znacząco przez dłuższą chwilę. – Pomyśl. Wiesz, czego chcę.

– Nie, nie wiem... – Cole cofnął się o krok, kiedy w końcu zrozumiał. – Chcesz... o nie. Nie. Coś ty wymyślił... Jak możesz robić to Haley? Nie jest przecież związana ani ze mną, ani ze stratocasterem. Naprawdę, tak prowadzisz swój urząd?

– Stratocaster na pewno byłby pięknym dodatkiem do mojej muzycznej kolekcji.

Cole ruszył w kierunku drzwi. – Nie dostaniesz mojej gitary. – Zatrzymał się i podszedł do biurka Linusa, cedząc: – To wyłudzenie.

Linus odchylił się w swoim krześle, wysuwając dolną wargę do przodu, aż prosząc się o prawy sierpowy. – Nazwałbym to bardziej motywacją.

– Powinienem pójść do prokuratury.

– I co im powiesz? Że posprzecaliśmy się w sprawie zezwoleń? Na wydanie których i tak nie mam wpływu?

Cole zaśmiał się. To się nie dzieje. – Linus, a ciebie w ogóle stać, żeby kupić taką gitarę?

Linus wstał. – Jestem w stanie wypisać ci czek na pięćdziesiąt tysięcy choćby dziś po południu.

– Pięćdziesiąt tysięcy? O nie, to za mało. Sześćdziesiąt. Nie, siedemdziesiąt. – Cole przechadzał się po biurze, klepiąc się po brzuchu. – Czuję, że cena rośnie.

Linus wystrzelił zza swojego biurka, wyciągając rękę. – Umowa stoi. Siedemdziesiąt tysięcy.

Cole odsunął się, unosząc ręce w górę. – Nie mówiłem, że myślę o tym poważnie.

– Cole, dobijamy targu, ty przynosisz gitarę... – Wrócił za biurko, z impetem otworzył środkową szufladę i wyciągnął teczkę. Otworzył ją, pokazując zezwolenia na remont salonu ślubnego. – ...a to będzie twoje.

– Ty zakłamanym skur...

– Nie bądź dla mnie taki ostry. Musiałeś się kiedyś dowiedzieć, że czasami tak się tutaj załatwia interesy. W końcu twój tatuś stracił osiem lat swojego życia za to, że dał się złapać.

– I pomimo tego jesteś na tyle głupi, żeby nadal w ten sposób postępować.

– Nie zaniżam cen dostawcom i nie daję w łapę. Nigdy nie wziąłem centa od Branta Jacksona. Nie ma nic nielegalnego w przetrzymywaniu zezwoleń. Ani dobijaniu targu w sprawie gitary.

– Chyba że przetrzymujesz zezwolenia, żeby zdobyć gitarę. – Cole chodził po biurze, trzymając ręce na pasku. – Nie wierzę. Zawsze cię podejrzewałem.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Dostrzegłem szansę, żeby dostać coś, czego pragnę, więc z niej korzystam.

– Kretynie, to nie jest mój salon, tylko Haley. Dlaczego ją karzesz przeze mnie?

– Jak już wspominałem, dostrzegłem szansę. – Linus oparł się o krawędź swojego biurka. – Musi być dla ciebie kimś wyjątkowym, skoro rozważasz sprzedaż mi gitary.

– Niczego *nie* rozważam.

– To żegnam. – Linus wrzucił zezwolenia z powrotem do szuflady biurka i zatrzaskał ją z hukiem.

– Nie ujdzie ci to na sucho. – Cole wypadł z biura jak burza. – Jak ty możesz z nim pracować, Sandy?

– Dobrze mi płaci.

– To przestępca.

– Nie jest taki zły. Tylko troszeczkę skorumpowany.

Gdy wyszedł na zewnątrz po gorącej wymianie zdań z Linusem, wydawało mu się, że promienie słoneczne nie docierają do jego lodowatej duszy. Jasne, w Heart's Bend czasami można było coś załatwić na zasadzie przysługi, ale Linus zwrócił się z tym do niewłaściwego faceta.

Wsiadł do auta i zatrzęsął drzwiami. Zapalił silnik. Podejrzewał, że ten gad mógł też blokować kandydaturę firmy Cole'a w miejskich przetargach.

Krążył po centrum miasta, gotując się od środka, i w końcu zapędził się do restauracji *U Elli*. Mama wyszła z kuchni w chwili, gdy Cole opadł na swój wysiedziany stołek. Postawiła przez nim filiżankę i napełniła ją kawą.

– Co cię gryzie?

Cole wlał sobie dwie śmietanki do kubka. – To głupie miasto.

– To głupie miasto zaopiekowało się nami, kiedy twój tata odszedł. Więc bądź miły. Co się dzieje?

– Linus.

– Ach tak? – Mama oparła się łokciem o ladę, pochylając się w kierunku Cole'a.

– Przetrzymuje zezwolenia na renowację salonu ślubnego, bo chce dostać stratocastera.

Wyprostowała się i wzruszyła ramionami. – I co z tego? – Pomachała w kierunku drzwi. – Mert, jak się masz?

– I co z tego? Mówisz, że mam go sprzedać?

– A co z nim zrobisz? Pozwolisz, żeby wisiał na ścianie w tej szklanej gablocie? Nie grasz już na nim. Dlaczego więc nie zrobić z niego użytku?

– Kupiłem tę gitarę razem z tatą. *Razem* na niej graliśmy.

Mama westchnęła i pochyliliła się ku niemu, opierając się na łokciach. – Ta gitara nie zmieni go w człowieka, którego chciałbyś w nim widzieć. On nie jest już tym samym ojcem, którego znałeś czy pragnąłeś, czy nadal pragniesz. Może być tylko takim ojcem, na jakiego pozwala mu sytuacja.

Cole uniósł swój kubek z kawą. – Masz klientów.

– Mam rację i wiesz o tym.

– Mert na ciebie macha.

– Jasmine może się nią zająć. – Mama delikatnie opuściła jego rękę, wpatrując się w Cole'a swoim przenikliwym matczynym spojrzeniem. – Ta gitara nie jest

twoją relacją z ojcem. Jeśli chcesz naprawić wasze stosunki, to możesz raz w miesiącu przejechać się do Nashville i chociażby zjeść z nim ciasto. Dlaczego tak kurczowo się trzymasz tej gitary? Myślę, że poczujesz się wolny, jeśli się jej pozbędziesz. A wraz z nią resztek rozgoryczenia. – Mama obeszła ladę. – Sprzedaj ją. Pomóż Haley, którą, tak na marginesie, *bardzo* lubię.

– Powiniennem złożyć skargę na Linusa w prokuraturze.

– Mógłbyś, ale to twoje słowo przeciwko jego słowu. Stracisz więcej czasu w sądach. Haley musi otworzyć salon do czerwca albo go straci. Tak jak i miasto, bo w zamian dostaniemy ten paskudny parking.

Cole wpatrywał się w mamę bez mrugnięcia okiem, popijając swoją kawę. Częściowo się z nią zgadzał, choć nie w sprawie gitary. A może jednak miała rację? Czy naprawdę zależało mu na tej gitarze? Czy tylko na tym, co dla niego znaczyła?

Nie grał na niej od lat. Sięgnął pamięcią do szczęśliwych czasów, które spędził z tatą. Po chwili stanęły mu jednak przed oczami mroczniejsze wspomnienia – dzień, kiedy widział, jak FBI aresztowało jego tatę na basenie miejskim. Zanurkował pod wodą ze wstydu, gdy wyprowadzali ojca. Noce, kiedy siedział w ciemnościach na swoim łóżku, grając na fenderze na cały regulator, żeby zagłuszyć swój ból.

Gitara bardziej ich jednak dzieliła, niż zbliżała do siebie. To grając na swojej starej gitarze marki Gibson, Cole odnalazł drogę do Boga, prawdy i światła.

Na koniec przypomniał sobie tatę w kawiarni *Java Jane's*, proszącego go, żeby mu pomógł, sprzedając gitarę. Cole westchnął. Przez Haley i ten salon musiał zagłębiać się w siebie, w miejsca, których nie badał od dłuższego czasu.

Rozejrzał się po sali w poszukiwaniu mamy. Gdy napotkał jej wzrok, kiwnął do niej głową i sięgnął po komórkę. Wybrał numer Linusa i powiedział tylko sześć słów. – Siedemdziesiąt tysięcy. To moje ostatnie słowo.

– Biorę.

– Linus, jeśli jeszcze kiedyś wykręcisz mi taki numer, to idę z tym do władz. Mówię poważnie. – Rzucił na ladę kilka dolarów za kawę i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się jeszcze przy mamie i pochylił się do jej ucha.

– Masz jego numer? Taty?

Uniosła twarz, spojrzała na niego i z uśmiechem wyjęła telefon z kieszeni. – To dobra decyzja, Cole. Naprawdę.

– To się jeszcze okaże. Przejrzał jej kontakty w poszukiwaniu Wilsona Dannera. Wziął głęboki oddech i wybrał numer.

## *Haley*

Haley codziennie jeździła do ratusza, by zapytać o pozwolenia. Urzędnicy znali już ją po imieniu. Wczoraj poczęstowali ją nawet kawałkiem ciasta, które Harriet przyniosła na urodziny Billa.

Ale pozwolenia? Ciągle czekała na ich wydanie.

Dziś była pełna nadziei. W tym tygodniu kolejne dwie dawne panny młode zajrzały do salonu i powierzyły Haley swoje wspomnienia i pieniądze.

Pani Reinhold i pani Patterson. Obie zostawiły pokaźną sumę. Zbliżała się już do pięćdziesięciu tysięcy. Cud. Bóg dzięki swojej hojności uczył jej zranione serce pokory.

Dotarwszy do ratusza, minęła strażników, szepcząc „Proszę cię, Boże”, i skierowała swoje kroki do biura Wydziału Prawa Budowlanego i Bezpieczeństwa.

Kiedy pojawiła się w drzwiach, urzędniczka Darlene aż podskoczyła rozradowana, machając teczką, którą trzymała w ręku. – Haley, zobacz, co dla ciebie mam.

## *Cora*

*4 grudnia 1932*

– Daję słowo, byłam tak zaskoczona, kiedy się oświadczył, że prawie zemdląłem.

– Gdy Cora weszła przez tylne drzwi z pudełkiem ciastek w dłoni, salon wypełniał kobiecy chichot.

– Wprost pani promienieje. – Radosny i energiczny głos mamy dochodził z wielkiego salonu. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ten wielki dzień dorównał pani swą urodą. A teraz proszę spocząć na kanapie. Cora zaraz do pań przyjdzie. Ma któraś z pań ochotę na gorącą herbatę? Jakąś przekąskę? Aż trudno uwierzyć, że Boże Narodzenie już za pasem.

Kobiety odpowiedziały zgodnym chórem: – Tak, och, tak.

Słysząc było, jak obcasy mamy stukały o drewnianą podłogę, gdy szła przez sklep. Cora oparła się o półki w pokoju kredensowym. Janice Pettrey. To musiała być ona. Któż inny?

Większość mężczyzn czekała z oświadczeniami do świąt Bożego Narodzenia. Ale nie Birch.

– Mamy już klientki od rana – powiedziała mama, sięgając po filiżanki i podstawki.

– Słyszałam. – Cora rozerwała sznurek na pudełku z ciastkami. – Poradzisz sobie dziś beze mnie?

– Nie ma mowy. Nie ma Odellii, a tylko wy dwie wiecie, jak ubierać panny młode. Jesteś w tym świetna. Ja jestem tylko hostessą. – Mama pochyliła się, żeby spojrzeć Corze w twarz. – Co się z tobą dzieje?

– Po prostu nie czuję się dobrze.

– Musisz to zwalczyć. Kobięce sprawy? Możesz się położyć, kiedy pójdą. – Ustawiła filiżanki na tacce. – Muszę iść na górę, żeby zagotować wodę na herbatę. – Chwyciła Corę za ramiona. – A ty idź do klientek. Głowa do góry. Uśmiechnij się. Brawo! Trochę bardziej szczerze.

– Mamo, nie mogę... Po prostu nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. Pochodzimy z rodu Scottów. Jesteśmy ulepione ze szkockiej gliny. A teraz idź do nich.

Mama uleczyła już swoje złamane serce i nabrała dystansu. Z pewnością Cora poradzi sobie z własnym bólem z podobną odwagą i godnością.

A jednak czuła się nadal zraniona i słaba, jakby nie była w stanie unieść głowy czy nabrać powietrza w płuca.

– Idź już. Czekają – powiedziała mama.

Cora przystanęła za ścianą małego salonu, by zebrać odwagę i stawić czoła uśmiechniętej i promiennej Janice. Jej kolana drżały jednak z każdym krokiem. A w żołądku czuła strach.

– Dzień dobry, drogie panie. Witam w salonie ślubnym.

Wstała starsza pani w płaszczu sprawiającym wrażenie drogiego. – Jesteśmy bardzo podekscytowane, że możemy tu być. Tak wiele dobrego słyszeliśmy o pani od Dunlapów. Nazywam się Pasty Connery, a to moja córka Miranda, świeżo upieczona narzeczona, i jej siostry...

Cora przyglądała się twarzom na kanapie, w trakcie gdy kobieta przedstawiała

poszczególne damy – piękności z rodziny Connerów. A nie Janice Pettrey. Zadrzała, odczuwając ulgę.

– Dunlapowie. Wspaniała rodzina. Jak się miewa Ruth?

– Spodziewa się swojego pierwszego dziecka. – Młodsza kobieta uśmiechnęła się, zalewając się rumieńcem.

– Mirando! – Cora zwróciła się do panny młodej. – Moje gratulacje. – Urocza brunetka z opadającymi na ramiona falami uniosła lewą dłoń z pierścionkiem. Błysk diamentu na nowo rozświetlił pokój.

– Czyż nie jest zachwycający?

– Wspaniały. – Cora widziała w swoim życiu tylko kilka pierścionków z diamentami, gdyż nie były one tak popularne wśród ludzi żyjących z własnej pracy, zwłaszcza w tych ciężkich czasach.

– Należał do jego babci. Wylie kazał na nowo go oprawić. – Panna Miranda przycisnęła dłoń do piersi. – Nigdy go nie zdejmę.

– I nie powinnaś. Spójrzmy na suknie. – Cora oprowadziła Mirandę i jej matkę po salonie i pokazała im wszystkie kreacje. Potem zaprowadziła je na górę, zachwalając krawieckie talenty Odelii.

Ale Miranda była zdecydowaną kobietą, która wiedziała, czego chce. Wybrała gotową kreację z koronkowymi rękawami i gorsetem, zapinaną na guziki z przodu i ze schludnym kwadratowym dekoltem. Suknia miała długą i pełną spódnicę z atłasu i tiulu.

– Chcę być najpiękniejszą kobietą na sali – powiedziała Miranda, kiedy weszła z Corą za parawan, by się przebrać.

– Tak będzie, nie mam co do tego wątpliwości.

Miranda zachichotała. – Jestem taka zdenerwowana. Czy pani też się denerwowała, kiedy wychodziła za mąż?

Cora przerzuciła suknię przez krawędź parawanu. – Ja... nie jestem zamężna.

Nad parawanem pojawiły się szeroko otwarte brązowe oczy. – Och, przepraszam. Po prostu założyłam...

– Nic się nie stało. Proszę dać znać, jeśli będzie pani potrzebowała pomocy. Nie będzie problemu z zapięciem sukni z przodu, ale rękawy są trudne do ubrania. Pójdę na zaplecze po welon.

– Chciałabym mieć długi welon. Moja kuzynka przymierzała krótki i wcale mi się nie podobał. Jakby czegoś brakowało. Och, proszę, czy pomoże mi pani z

rękawami?

Cora cofnęła się, by wejść za parawan i pomóc tej szczupłej młodej kobiecie wbić się w suknię, która zabierze ją w podróż życia. – Ile ma pani lat, Mirando?

– Dwadzieścia. Poznałam Wyliego na balu debutantek mojej kuzynki. Był bratem jej partnera do tańca. – Spojrzała na Corę. – Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia.

– To ma pani wiele szczęścia. – Poprawiła ramiona sukni i zrobiła krok do tyłu. – Proszę, może pani dokończyć zapinanie. Zaraz wracam.

– Dla... dlaczego pani nigdy nie wyszła za mąż? – Pytanie dopadło Corę na schodach.

Zawahała się, starając się stłumić szalejące emocje. – Po prostu nie było mi to pisane.

– Mam nadzieję, że wkrótce spotka panią to szczęście. Miłość jest taka ekscytująca.

To prawda. Choć przysparzała także wiele cierpienia. U dołu schodów Cora przemówiła do czekających kobiet, które siedziały na krawędzi kanapy oraz na fotelach i popijały herbatkę, przegryzając ciasteczkami, które podała im mama.

– Wybrała przepiękną suknię. Za chwilę zejdzie do pań. – Cora wyjęła z gablotki najdłuższy welon, jaki miała w sklepie. Wygładziła go na swoim przedramieniu i pokazała zgromadzonym, które okrzykiem zachwytu wyraziły swoją akceptację, po czym ruszyła w górę schodów.

Nagle tylne drzwi sklepu otworzyły się z hukiem, który rozniósł się po całym budynku. Mama wstała, rozglądając się dookoła. – Co tu się wyrabia?

– Coro Scott! Gdzie jesteś? – Tubalny głos i ciężkie kroki na drewnianej podłodze odbiły się szerokim echem po ścianach salonu i w piersi Cory. – Muszę z tobą porozmawiać. Teraz!

Birch wyłonił się zza ściany małego salonu, z głową zadartą do góry, na półpiętro. Spojrzył na Corę niespokojnymi błękitnymi oczami. Jego włosy, choć uczesane, nie chciały pozostać na swoim miejscu.

– Birch, mam klientki. – Cora zeszła kilka stopni niżej. – Ścisz głos. Pani Connery, najmocniej panią przepraszam. Nie wiem, o co chodzi. Mamo? – Przywołała ją gestem, żeby zabrała od niej welon i dała go Mirandzie.

– Niech nikt się nie rusza! Esmé, zatrzymaj się. – Birch uniósł ręce. – Mam coś do powiedzenia i powiem to teraz.



– Nie ma powodu, żeby być niegrzecznym, młody człowieku – odezwała się pani Connery. Kochana kobieta.

– Coro, zacząłem żyć na nowo. – Szedł powoli po schodach. Jego policzki oblały się purpurą. – Czekałem na ciebie w nieskończoność. Czternaście lat. I w końcu się poddałem.

– Czy to naprawdę konieczne? Wiem to wszystko. Przyszedłeś tu tylko po to, żeby rzucić mi tym w twarz na oczach moich klientek?

Miranda stanęła na szczycie schodów. Na jej łagodnej twarzy malowało się zakłopotanie. – Co się dzieje?

– Proszę mi wybaczyć, panienko, ale mam coś do powiedzenia i to powiem. Coro, spotkałem dziewczynę. Dobrą. Ładną, zabawną. Kochała mnie. – Birch uderzył się w piersi. – Kochała *mnie*. Chciała za mnie wyjść.

– To się z nią ożeń. Nie przekreślaj swoich planów. Przecież cię nie zatrzymuję.

Birch pokonał kolejny stopień, przybliżając się do Cory. – A właśnie, że tak. Bo w końcu powiedziałaś „tak”. W końcu, po długich miesiącach, *latach* czekania, słuchania twoich wymówek, pewnego pięknego popołudnia zjawiłaś się ni stąd, ni zowąd, taka śliczna, na mojej farmie i obwieściłaś mi, że *jesteś gotowa*. „Wyjdę za ciebie, Birch”. I to do tego w Święto Dziękczynienia.

– To śmieszne. – Cora odwróciła się i zaczęła iść w stronę antresoli. – Idź do domu, Birch. Jestem w pracy.

Ale Birch podbiegł i zatrzymał ją na schodach. – Pogodziłem się z tym. Ty i ja mieliśmy rozejść się w dwie różne strony. Ale, do licha, nie mogłem wyrzucić cię z mojej głowy. Próbowałem. Zacząłem spędzać z Janice jeszcze więcej czasu. Wyciągnąłem pierścioneł mamy. Próbowałem jej się oświadczyć trzy razy. Ale nie byłem w stanie tego zrobić. Dlaczego? Bo kocham ciebie, Coro Scott. Straciłem dla ciebie głowę i nie mogę od ciebie uciec.

Kobiety zawtórowały jego wyznaniu zbiorowym westchnieniem.

– Birch... Ja nie... Co ty chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć... – Uklęknął na jedno kolano na samym środku schodów i wyciągnął z kieszeni kurtki małe pudełeczko. – Coro Scott, czy wyjdiesz za mnie? I nie waz się, dziewczyno, mi odmówić, bo serce wybuchnie mi w piersi. Padnę trupem, tak jak stoję. Nie chcę już więcej marnować ani jednej chwili mojego życia bez ciebie u mego boku. – Otworzył pudełeczko, ukazując połyskujący szafir w złotej oprawie. – Proszę, wyjdź za mnie.

Cora upuściła welon, który poszybował w dół schodów jak beztroski obłok. Opadła na schody, słysząc w uszach dudnienie serca, zatapiając się w oczach Bircha. – Naprawdę? Czy to się dzieje naprawdę? Kocham cię, Birchu Good. Tak, tak! Oczywiście, że za ciebie wyjdę. – Dłoń Cory drżała, gdy wkładał jej pierścionek na palec. Kobiety nad nimi i pod nimi zaakceptowały wybór, wzdychając i szepcząc między sobą: – Jakie to piękne.

Opadła w jego ramiona, zatapiając twarz w jego szyi, znacząc łzami radości ciepłą skórę. W końcu.

Birch wstał, podnosząc Corę z podłogi, przytulając ją mocno przy wtórze głośnych kobiecych okrzyków, trzymając ją tak blisko siebie, że niemal nie mogła złapać powietrza. Kiedy dotknął jej ust, całe jej ciało wypełniło się światłem i miłością.

Kiedy Birch przerwał pocałunek, oparł swoje czoło o jej, pytając: – Czy to się dzieje naprawdę?

– Tak, naprawdę. – Oplotła dłońmi jego szyję i pocałowała go, oddając mu wszystko – swój świat, swoje słowo, swoje przyrzeczenie.

– Drogie panie, nie przerywajcie sobie – powiedział Birch, schodząc ze schodów. – Sam mam robotę. Kto by pomyślał? *Żenię się.*

Cora zbiegła po schodach, żeby pocałować go jeszcze jeden, ostatni raz, czując jego ciepłe i chętne usta i przyciskając swoje serce do jego piersi. To była miłość, na którą czekała całe swoje życie. Tuż obok, bezpieczna w jej ramionach.

# *dwadzieścia siedem*

*Haley*

*2 marca*

To był długi dzień. Haley podjechała pod dom swoich rodziców, zaparkowała półciężarówkę taty pod dębem, po czym wyczołgała się zza kierownicy, jakby miała sto lat.

A niech to, budowlanka to jednak katorżnicza praca. Odkąd z dumą przykleiła zezwolenia do frontowego okna salonu i dołączyła do ekipy Cole'a, zjawiała się w pracy przed wszystkimi i wychodziła ostatnia.

Opóźnienia w wydaniu zezwoleń nie zmieniły przecież terminu, w którym miała zakończyć remont. Pierwszego maja sklep musiał pozytywnie przejść inspekcję nadzoru budowlanego.

Weszła przez tylne drzwi, zdjęła buty w holu i rzuciła swoją zakurzoną kurtkę na wieszak.

W domu było cicho i ciepło; z pokoju rodziców biła delikatna poświata.

– Wróciłam. – Haley wyciągnęła miskę z szafki kuchennej, a ze spiżarni pudełko płatków.

Kiedy była małą dziewczynką, mama nie tolerowała w domu płatków śniadaniowych, ale jako dorosłej osobie udało jej się je przemyścić.

– Haley? – Mama pojawiła się w drzwiach kuchni z kieliszkiem wina i książką w dłoniach. – Jak ci minął dzień?

– Dużo pracy. – Sięgnęła po mleko z lodówki. Miała tak zmęczone ręce, że z ledwością udawało jej się utrzymać karton.

– Zdążycie na czas?

– Wypruwamy sobie żyły, żeby się udało. Myślę, że zdążymy. Zrobiliśmy już instalację elektryczną i kanalizacyjną. Cole mówi, że mieszkanie na drugim piętrze będzie gotowe w poniedziałek. – Haley obejrzała się i spojrzała na mamę.

– Wprowadzę się tam, kiedy będzie skończone.

Mama podeszła do wyspy kuchennej, a Haley usiadła i zabrała się za jedzenie płatków. – Cieszę się, że z nami mieszkaś.

Haley zerknęła na matkę. Od czasu ich intymnej rozmowy relacja między nimi się zmieniła. Czułe słowa padały z większą łatwością. – Dzięki za to, że mnie przygarnęliście.

Mama lekko się uśmiechnęła. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jesteś zdeterminowana.

– Bo byłam pogubiona.

Mama zmarszczyła się. – No cóż, teraz widać, że wiesz, czego chcesz.

Haley nabrała na łyżkę sporą porcję płatków i sprawdziła telefon. Czekala na wiadomość od projektantki. Charlotte skontaktowała ją z Melindą House, projektantką z Europy, która otworzyła właśnie salon w Nowym Jorku. Obiecali, że przyślą jej wszystko, co będą mieli na stanie. Ale minęły już dwa tygodnie i nic. Haley rozumiała, że takie sprawy wymagają czasu, ona nie miała go jednak zbyt wiele.

– Mam coś dla ciebie. – Mama poszła do pokoju.

Haley ześlizgnęła się z krzesła. Miała ochotę jeszcze na tosty. Sprawdziła w spiżarni. Brak chleba. A niech was, bezglutenowcy...

Mama wróciła, trzymając w ręku białą kopertę i klucz. – Proszę.

Haley odwróciła się w chwili, gdy mama kładła kopertę i klucz na kuchennej wyspie. – Co to jest?

– W kopercie są pieniądze. Chcę ci pomóc w otwarciu salonu. – Westchnęła, pocierając palcami czoło. – Mam ci jeszcze więcej do powiedzenia, ale na razie po prostu weź pieniądze. I klucz.

– Mamo, jesteś pewna? – Haley przyciągnęła ją do siebie, przytulając mocno. Kochała swoją mamę, która tak często ukrywała, jak bardzo jest wrażliwa. – Dziękuję ci. Ale do czego jest ten klucz?

– Do zamkniętego pomieszczenia w salonie.

Haley przypatrywała się jej przez chwilę. – Skąd to masz?

– Cóż, Cora mi go dała.

– Cora? Panna Cora? Właścicielka salonu ślubnego. Znałaś ją?

– Tak, ale niezbyt dobrze.

– Co? Ale... ale dlaczego dała ci klucz?

– Bo... – Mama unikała jej wzroku, a jej dolna warga drżała. – Bo Cora była moją siostrą.

*Cora*

*Styczeń 1935*

Stała na brzegu rzeki Cumberland, tuż obok ścieżki prowadzącej do ich starego domu. Do miejsca, w którym dorastała, bawiła się z Ernestem juniorem, w którym tata wyjawiał, że jego bank zbankrutował, gdzie Birch oświadczył jej się po raz pierwszy, wyznając jej miłość.

W ten zimowy dzień gęsta mgła osnuła cały świat. Cora podeszła do wody, wspominając, jak wpatrywała się w zakole rzeki, tęskniąc za Rufusem St. Claire'em.

Dziś świętowała z Birchem drugą rocznicę ślubu. Nigdy nie przypuszczała, że będzie w stanie tak mocno kochać mężczyznę. I być tak kochaną. O mały włos nie straciła swojej szansy na życie, które budowała teraz ze swoim mężem.

Mieli nadzieję, że wkrótce pojawią się dzieci.

W zeszłym roku spaliła listy od Rufusa. Nie żeby Birch kiedykolwiek wspominał o tym człowieku... Ale kiedy wyznała mu, że wrzuciła je do metalowej beczki i podpaliła, wyraz jego twarzy zastąpił tysiąc słów. Tej nocy kochał się z nią żarliwie.

Ale nadal, od czasu do czasu, wspomnienie Rufusa ożywało w jej sercu, budząc stare podszepty i pragnienia. Ostatnio, bardziej niż kiedyś, czuła potrzebę modlitwy.

*Panie, wymaż go całkowicie z mojego serca.*

I nagle, w czasie środowego wieczornego nabożeństwa, przypomniała sobie o naszyjniku. Przestała go nosić po oświadczeniach Bircha, ale nadal trzymała go w szufladzie ze skarpetami. Tego ranka wyjęła go i przyjechała nad rzekę.

Cora spojrzała w dół na swoją dłoń. Złoty medalion, który dał jej Rufus, leżał na jej skórzanej rękawiczce. Wiatr przy brzegu nasilił się tak, że spódnica uderzała o jej nogi.

Dlaczego to zatrzymała? Jako pamiątkę? Skarb? Tak naprawdę symbolizował jedynie kłamstwa i ból.

– Żegnaj na zawsze, Rufusie. Już nigdy więcej nie wtrącisz się do mojego

życia.

Rzuciła medalion w kierunku rzeki i obserwowała, jak szybuje w górę, po czym opada w dół, kręcąc się i wirując na wietrze, a w końcu uderza o wodę i znika w wartkim nurcie.

# *dwadzieścia osiem*

## *Cole*

Rzucił kluczyki na stół przy drzwiach i schylił się, żeby rozwiązać buty. Przechodząc obok kominka, zawahał się. Włożył trochę drewna do paleniska i rozpałił ogień.

Po całym domu rozniósł się charakterystyczny zapach i słychać było trzask drewna trawionego płomieniami. Cole udał się do kuchni, starając się nie patrzeć na dziury w ścianie nad stołem w jadalni.

Jutro je zaszpachluje i pomaluje ścianę. Cały dom wydawał mu się pusty bez gitary. Jakby pozbył się resztki swojego dzieciństwa.

Ale wykorzysta te pieniądze w dobrym celu. To była pewna inwestycja. Był niemal wdzięczny Linusowi za jego podłą manipulację.

Szarpnięciem otworzył drzwi lodówki. Kiszki grały mu marsza, a jego kończyny drżały od braku pożywienia i odpływu adrenaliny.

Był zmęczony dwunastogodzinnymi dniami pracy, wyścigiem z czasem, żeby zdążyć wyremontować sklep dla Haley. Ale dzięki temu mógł codziennie być w jej pobliżu.

Cole wypatrzył półmisek przykryty folią spożywczą, a na nim swój obiad. Resztki pizzy. Czy może być coś lepszego? Przełożył je na papierowy talerz i wstawił do mikrofalówki.

Czekając, aż pizza się podgrzeje, spojrzął na ścianę, na której kiedyś wisiał stratocaster. Kiedy zadzwonił do taty, żeby obwieścić mu nowinę, ten rozkleił się i jedyne, co Cole mógł zrobić, to rozłączyć się, póki jeszcze sam panował nad emocjami. Słuchanie szloch ojca jest gorsze niż widok płaczącej matki.

*„Dziękuję ci, synu, dziękuję. To tak wiele dla mnie znaczy”.*

Cole uśmiechnął się, przypominając sobie, jak tata pochwalił go, kiedy powiedział mu, ile Linus zapłacił za gitarę.

„Dobra robota, synu”.

Synu. Teraz był synem swojego ojca. Skoro Bóg potrafił zapomnieć o jego grzechach, dlaczego Cole nie miałby zapomnieć o grzechach swojego ojca? Stan, do którego doprowadził się jego tata, uczył Cole’a pokory. W ostatnim czasie było mu nieco łatwiej zapomnieć o przeszłości.

Dał ojcu połowę pieniędzy. Swoją połowę zdeponował w banku, wdzięczny, że może zabezpieczyć przyszłość swoją, salonu ślubnego i – niewykluczone – wkrótce kupić ładny pierścionek zaręczynowy.

Mikrofalówka zapiszczała. Cole wyjął swój talerz oraz sięgnął po butelkę wody i podszedł do fotela. Dziś wieczorem powinien być jakiś dobry mecz koszykówki w telewizji.

Przeskakiwał po kanałach, kiedy usłyszał głośnie pukanie do drzwi.

– Cole! Otwórz, Cole!

– Haley? – Otworzył drzwi, ustępując miejsca, żeby ją wpuścić. – Co się dzieje?

Wpadła do środka. Odważny zapach Haley idealnie harmonizował z wyrazem jej twarzy. – Co się dzieje? Nie uwierzysz! – Rozpromieniła pokój swoim uśmiechem. *Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Masz w sobie ogień.*

Palce świerbiły Cole’a, żeby jej dotknąć, przyciągnąć ją do siebie, pogłodzić włosy, odgarnąć je z twarzy i...

– Mam klucz na zaplecze. – Haley energicznie wmaszerowała do kuchni, wyciągając klucz z kieszeni. – Moja matka miała ten klucz. – Rzuciła go na wyspę kuchenną i spojrzała na ścianę, marszcząc się. – Hej, a gdzie twoja gitara? Ta z gabloty?

– Sprzedałem ją. – Odstawił swoją pizzę i wodę i sięgnął po klucz. – Twoja mama go miała? Ale skąd?

– Sprzedałeś gitarę? Dlaczego? Przecież ją uwielbiałeś.

Machnął ręką. – Haley, jak twoja mama zdobyła ten klucz?

Pochyliła się w jego kierunku. – Jesteś gotowy, żeby te twoje błękitne oczy wyskoczyły z orbit? Panna Cora i moja mama były siostrami.

– Widzisz? – pokazał na podłogę. – Moje oczy. Na podłodze. Jakim cudem twoja mama jest siostrą Cory?

– Zgodnie ze zdawkową wersją mamy – nie była zbyt wylewna – jej ojciec, a mój dziadek, ożenił się z moją babcią, wdową po żołnierzu, w 1946 roku i rok



później na świecie pojawiła się moja mama. Cora była jego dzieckiem z pierwszego małżeństwa i była w wieku mojej babci. Wyobrazasz to sobie? – wykrzywiła się. – Tak czy siak, dziadek miał sześćdziesiąt parę lat, kiedy urodziła się mama. Cora była czterdzieści siedem lat od niej starsza. Mogłaby być jej babcią.

Cole pokiwał głową. Zaprowadził Haley do kuchni i nałożył na papierowy talerz kawałek pizzy. – Człowiek czyta o takich rzeczach, ale... Czy znały się blisko? Czy dlatego twoja mama była przeciwna otwieraniu salonu?

– Nie chce mi zdradzić reszty historii, ale dała mi klucz i czek na dziesięć tysięcy. Powiedziała, że chce mnie wesprzeć. Nie tyle salon, co mnie.

Objął jej ramiona. Ładnie wpasowała się w jego bok. – To mamy już prawie sumę, której potrzebujemy, żeby wykończyć sklep. Tak na marginesie, mam rachunki od elektryka i hydraulika. Nie policzyli nam za robociznę. Tylko za materiały.

– Żartujesz?

– Nigdy nie mów, że Bóg nie jest Bogiem cudów.

– Nigdy tak nie mówiłam.

– Nie twierdzą tak.

– Właśnie powiedziałeś: „Nigdy nie mów, że Bóg nie jest Bogiem cudów”.

– Tak się mówi. – Cole pocałował ją w czubek głowy. Ich oczy spotkały się. Odsunęła się od niego, ale on po chwili sięgnął po jej dłoń – Haley...

– Cole, co robisz?

– Ja... – Przerwał mu sygnał mikrofalówki. Walczył ze sobą, by wypowiedzieć, co leży mu na sercu. Krew pulsowała w jego żyłach niczym rwąca rzeka.

Haley przeszła na drugą stronę wyspy, pokazując palcem. – Mikrofalówka...

– Słyszałem.

Cole wyciągnął pizzę i położył ją przed Haley. Rzucił jej szybkie spojrzenie, starając się wyczytać coś z jej twarzy, i sięgnął po serwetkę z serwetnika. – To pizza. Sprzed dwóch dni.

Tak zamierzał ją poderwać? Mówiąc, że pizza jest stara? Serce waliło mu jak oszalałe, wybijając rytm jego pragnień. Czuł mrowienie warg, żądnych posmakowania jej ust.

– Jest w porządku – odparła Haley, odgryzając gorący kawałek i przecierając

usta serwetką.

Zapadła cisza. Nie ta naturalna, kiedy dwie osoby swobodnie czują się w swoim towarzystwie, ale krępujące milczenie, wynikające z jego niezdarności i głupoty.

Cole poszedł do salonu po czekający na niego zimny kawałek pizzy. Odgryzł spory kęs, ale czuł, że stracił apetyt.

Na swoim końcu wyspy Haley przez chwilę skupiała całą uwagę na jedzeniu, po czym spojrzała na Cole'a. – Jeśli mnie pocałujesz, to wszystko się skomplikuje. – Znów wbiła oczy w talerz. – A ja nie szukam związku. Nic się nie zmieniło.

Cole odepchnął swój talerz do przodu i oparł się o blat. – A kto tu mówił o całowaniu? Wydawało ci się, że...?

Zaśmiała się, przyciskając dłoń do ust pełnych pizzy. Sięgnął do lodówki i wyjął dla niej butelkę wody.

– No dobrze. Zamierzałem cię pocałować.

Haley wzięła duży łyk i uśmiechnęła się, poklepując jego dłoń, i dochodząc do siebie. – Byłeś... Odkąd sięgam pamięcią, byłeś najprzystojniejszym chłopakiem w klasie. Mądry. Uroczy. I wiesz... pomimo tego, co stało się z twoim tatą, wyrosłeś na porządnego mężczyznę. – Ich oczy spotkały się. – Ale zawsze przy tobie była Tammy. Zawsze do niej należałeś.

Cole chwycił jej dłoń i przyciągnął ją do siebie, opierając swoje czoło o jej. – Tammy tu nie ma.

– Wiem, ale... – Haley postukała się w serce. – Jest tutaj. A poza tym, nie jestem gotowa...

– Haley, nie jestem Daxem.

Wyrwała mu się. – Wiem. I jeśli ktokolwiek ma u mnie szansę, to tylko ty, Cole. Potrzebuję jednak czasu... żeby oswoić się z tą sytuacją. Otrząsnąć się. Wybaczyć sobie, że dałam się oszukać. Chcę mieć pewność, że mam poukładane w głowie i że widzę w sobie tę samą osobę, którą widzi we mnie Bóg, a nie jakiś mężczyzna.

Kiwnął potakująco głową. Przyjemna była świadomość, że Cole jej się podoba. – Zgoda. Zgoda. – Poszukał wzrokiem swojej pizzy i odgryzł kolejny kawałek. – Po moim rozstaniu z Tammy przez chwilę zastanawiałem się nad tym samym. Jak mogłem pozwolić, żeby to zaszło tak daleko? Mama czuła, że mam

wątpliwości co do ślubu. Powiedziała mi, że jeśli się boję, to powinienem pamiętać, że jestem oddany Tammy, a to wystarczy tam, gdzie zawodzi miłość. A miłość wystarczy, kiedy oddanie jest wystawiane na próbę. A gdy do miłości i zaangażowania doda się jeszcze Boga, to nic nie może nas złamać. Myślę, że nawet gdybyśmy się pobrali, to nasz związek by przetrwał. Musielibyśmy nad tym mocno pracować, ale byśmy sobie poradzili.

– Nie brzmi to zbyt romantycznie, prawda?

Zaśmiał się niskim głosem, bardziej do siebie niż do niej. – Brzmisz jak Tammy, tuż przed śmiercią. „Nawet mi się porządnie nie oświadczyłeś”, mówiła.

– Więc czym uczucie do mnie, jeśli w ogóle coś czujesz, różni się od uczucia do Tammy? Tego nie rozumiem, Cole. Czy mogę ci zaufać? Czy mogę zaufać sobie? Skąd mam wiedzieć czy to, co do ciebie czuję, jeśli coś czuję, nie jest tą samą ślepą miłością, którą obdarzyłam Daxa? Już nigdy w życiu bym nie chciała, by drugi człowiek tak mnie kontrolował i tak mną manipulował.

– Nie jesteś Tammy, a ja nie jestem Daxem. To wystarczy na początek. I proszę cię, nie wrzucaj mnie do jednego worka z tym umiśnionym kobieciarzem.

Próbowała się uśmiechać, ale jej oczy wciąż zasnuwał smutek.

– Haley... – Cole wyciągnął do niej rękę, przyciągając ją do siebie z drugiego końca wyspy. – Moje serce bije przy tobie szybciej. Ciągle o tobie myślę. Kiedy nie jestem z tobą, *chcę* być z tobą. Kiedy wchodzisz do salonu, całe moje ciało promienieje na twój widok. Każdy dzień z tobą jest dobry. Chcę z tobą rozmawiać, słuchać cię, wiedzieć, co dzieje się w twoim życiu. Modlę się za ciebie. Chcę, żeby udało ci się otworzyć sklep, abyś była szczęśliwa.

– To, co mówisz – łzy kapały jej z kącików oczu – brzmi zupełnie jak miłość. Czy... Czy ty mnie *kochasz*?

Odsunął się na chwilę i westchnął. – To dziwne, wyznawać to w ten sposób... ale tak, myślę, że cię kocham.

# *dwadzieścia dziewięć*

*Cora*

*Październik 1950*

– Grace, Ray, dziękuję wam wszystkim za przybycie. – Cora odprowadzała właśnie Grace Kirby do frontowych drzwi salonu ślubnego. Przez okna wpadała delikatna biała poświata.

Birch stał na stopniach z mężem Grace, Rayem. Cora dołączyła do Bircha, wsunęła mu rękę pod ramię i oparła się o jego smukłą sylwetkę, którą zawdzięczał pracy na farmie.

Straciła go na kilka lat w czasie drugiej wojny światowej. Orie Westbrook i jego syn Jimmy pracowali na farmie z jednym z kuzynów Bircha. Kiedy wrócił do domu, padła mu w ramiona, szlochając. – Już nigdy więcej mnie nie zostawiaj.

– Kochanie, jestem już w domu. Jestem.

Mysłała, że wraz z powrotem Bircha w ich życiu pojawi się również dziecko. Choć miała czterdzieści sześć lat, nadal pragnęła zostać matką. Ale nie było jej to pisane. Na domiar złego mama zaczęła długą walkę z rakiem.

– Naprawdę przykro nam z powodu twojej mamy. – Grace przytuliła Corę do swojego obfitego biustu. – Będziemy za nią tęsknić. Wniosła tyle światła w nasze życie, prawda?

– Zdecydowanie.

Tego ranka Cora i Birch pochowali mamę na cmentarzu w Heart's Bend. Na jej cześć salon sukni ślubnych stał się tymczasowo miejscem żałoby. Ludzie z różnych stron przyjeżdżali, by wspominać Esmé Scott i wszystko, co zrobiła dla społeczności i dla panien młodych, które przetoczyły się przez salon.

– Kiedy wychodziłam za mąż, byłam taka zdenerwowana. – Grace zatrzymała się na werandzie, uśmiechając się. – Pamiętasz, Ray? Moja mama zmarła tak

młodo. A Esmé wzięła mnie na bok i powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze. A ty, Coro, pomogłaś mi wybrać precudowną wyprawę ślubną. – Rzuciła spojrzenie na sklep. – Tak dobrze wspominam te kilka wizyt w waszym salonie. Nadal pamiętam słodkie bułeczki Odellii... – Dała kuksańca Corze. – A raczej słodkie *kamienie*.

– Grace, robi się późno. – Ray stał już na chodniku przed sklepem. – Daj już im spokój.

– Do widzenia, Coro. Pamiętam o tobie w modlitwach. – Grace pocałowała Corę w policzek, a potem Bircha. Była panną młodą z czasów cioci Jane, ale po jakimś stała się po prostu częścią *rodziny* salonu ślubnego. Prędzej czy później wszystkie panny młode zlewały się w jedno piękne wspomnienie w sercu Cory, odnoszące się do wszystkich kobiet, które przetoczyły się przez sklep.

– Nie spiesz się tak, Ray. – Grace spojrzała w twarz Corze. – Ty i twoja mama byłyście dla nas wszystkich oparciem w czasie Wielkiego Kryzysu, a potem w czasie wojny. Wiem, że moja Mary Jane będzie zawsze pamiętać o waszej życzliwości, którą okazałyście jej, kiedy wychodziła za męża, a Ray stracił pracę.

– To był zaszczyt wam służyć.

– Grace, odpalam auto i jeśli nie będzie cię w nim, kiedy wrzucę bieg, odjeżdżam. – Ray zszedł z krawężnika.

Birch stłumił śmiech.

Kobieta skrzywiła się, machając ręką. – Nie zastraszy mnie. Ta niezdara umarłaby z głodu beze mnie. Kto smarowałby mu tosty co rano? – Mrugnęła. – Ustawiłam go, jak trzeba. – Potruchtła jednak w stronę auta, gdy Ray włączył silnik swojego oldsmobile'a. – Coro, dzwoń, jeśli czegoś będziesz potrzebowała. Czegokolwiek.

– Dzięki, Grace. Tak zrobię.

Gdy wrócili do środka, Cora odetchnęła, opadając na kanapę w wielkim salonie. Birch zamknął drzwi wejściowe, a potem dołączył do niej i czule ją objął... Dzień chylił się ku końcowi.

– Jak się trzymasz? – Pocałował ją w czoło. W czasie osiemnastu lat ich małżeństwa dotrzymywał słowa i zawsze był dla niej wszystkim, czego potrzebowała. A nawet czymś więcej.

Był wymarzoną mężem Cory. Dobrym. Cierpliwym. Wiernym. Oddanym i lojalnym. I ku jej wielkiemu zaskoczeniu – namiętym. Farmerem w dzień i

romeem w nocy.

Cora nigdy by nie powiedziała, że Birch był pretensjonalny czy romantyczny. Mogła policzyć na palcach jednej ręki przypadki, kiedy ofiarował jej kwiaty. Ale troszczył się o nią, dbał, wsłuchiwał się w jej serce.

– Tak sobie myślę – chwycił jej dłoń – może byśmy wybrali się na wakacje? Mówimy o tym, odkąd się pobraliśmy. Do Kalifornii albo na Florydę.

Cora usiadła wyżej. – Naprawdę, Birch? Naprawdę myślisz, że moglibyśmy to zrobić?

– Czemu nie? – Przyciągnął ją i pocałował z uśmiechem na ustach i iskrą w oku. – Orie może się zająć farmą. Nie ma tam za wiele do roboty w styczniu.

– Mogłabym zamknąć sklep.

Walka mamy z rakiem była tak dramatyczna, że w ciągu ostatniego półtora roku ich małżeństwo zeszło na dalszy plan. Cora spędzała więcej nocy, czuwając przy mamie niż w łóżku ze swoim mężem.

Jego dłoń powoli powędrowała z jej policzka na kark. – Jesteś dziś piękniejsza niż w dzień naszego ślubu.

– Przestań. Wyglądam jak straszidło. Jestem wykończona. I nie byłam w salonie piękności od ostatniego ataku mamy.

Birch uniósł jej podbródek, przybliżając twarz do jej ust. – Nie żałujesz, że za mnie wyszłaś?

Cora odsunęła się gwałtownie. – Birch Good, jak możesz w ogóle tak pomyśleć? – Pogłaskała wierzchem dłoni jego wystające kości policzkowe. – Jeszcze nie zrozumiałeś, że nie mogłabym bez ciebie żyć? Dlaczego pytasz?

– Bo... odejście twojej mamy i to, że nie mamy dzieci, sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, czy...

– Ciiii, nie miej żadnych wątpliwości. Gdyby nie ty, byłabym teraz sama jak palec.

– Znalazłby się jakiś mężczyzna. Uwierz mi.

– Nie chcę pierwszego lepszego faceta. Chcę ciebie.

– Masz mnie, Coro. Jestem twój.

Oparła się o jego klatkę piersiową, z sercem przepelnionym miłością. To były jedyne wyznania, które wypowiedzieli sobie od dłuższego czasu. Może i nawet od nocy poślubnej. Cora pogłaskała dłonią jego umięśniony tors. Miał teraz pięćdziesiąt cztery lata, ale wyglądał równie młodo, co w dzień ich ślubu.

Cztery lata temu Cora zmieniła się – przytyła nieco, a jej dotąd chłopcęca figura zaokrągliła się, co ją cieszyło. Mama od razu jednak zaczęła ją strofować.

„*Coro, tak ci zostanie*”, powiedziała, nakłaniając Corę do picia kawy i palenia, żeby utrzymała figurę.

Ale lekarz podejrzewał, że to właśnie papierosy wykończyły płuca mamy. A poza tym Birchowi podobały się jej delikatne krągłości, a to właśnie jego chciała zadowolić.

– Miałaś jakieś wieści od swojego ojca? – Birch pogładził włosy Cory, odgarniając je z jej twarzy.

– Nie pisałam do niego. Nie wiem, gdzie jest.

Wstała, rozglądając się po pokoju. – Lepiej wezmę się teraz za sprzątanie, zanim dopadnie mnie zmęczenie. Muszę jutro otworzyć salon.

– Coro, a może rzucisz to wszystko na trochę? Pozwolisz sobie na kilka dni żałoby?

Posłała uśmiech swojemu mężowi. – Praca pomoże mi przeżyć żałobę. A ty... – pochyliła się i szturchnęła go palcem w pierś – dowiedz się wszystkiego o naszych wakacjach.

Cora zebrała puste filiżanki i szklanki na tackę. Choć stół w małym salonie był niemal doszczętnie wyczyszczony, to i tak mieli wystarczająco dużo szynki i sałatki ziemniaczanej, żeby przetrwać kolejne kilka dni.

– Zadzwoń w tym tygodniu do biura podróży. – Birch zaczął składać krzesła i ustawiać je przy ścianie. – Miło, że Millerowie przyszli na pogrzeb.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechali aż z Teksasu. A widziałeś Clarka i Darcy Hath? Ostatni raz widziałam ich w szkole średniej.

– Dorobił się na ropie. Zaczynam żałować...

– Birch, niczego nie żałuj. – Z tacą w ręku Cora ruszyła do pokoju kredensowego, po chwili jednak przystanąła obok męża. – Nie chciałabym mieć innego życia.

W spiżarni postawiła naczynia przy zlewie. Kilka lat temu Birch zamontował zlew w pokoju kredensowym i podciągnął tam prąd, żeby mama nie musiała biegać dwa piętra, by zaparzyć kawę i herbatę dla klientek.

Cora wyjrzała przez okno. Kolory jesieni rozlewały się po przerzedzonym zielonym trawniku. *Och, mamó... Opanował ją smutek zmieszany z ulgą. Co ja bez ciebie zrobię?*

Była pełna temperamentu do samego końca. Nosiła blond peruki i malowała usta czerwoną szminką. Siedziała uczepiona ręki Cory, gdy ta czytała jej gazetę. Hattie Lerner nadal prowadziła swoją kolumnę „Głos Miasta”.

„Coro, myślisz, że jestem gotowa, żeby stanąć przed Jezusem?”

„A wierzysz, mamó? Wybaczyłaś tacie?”

– „Tak. Tak mi się wydaje. Naprawdę wybaczyłam twojemu tacie”.

Cora rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła i ustawiła je przodem do okna. Myślami przeniosła się do czasów młodości, kiedy mama gotowała coś smacznego w kuchni, a tata zjawiał się na śniadaniu z nadmiarem brylantyny i intensywnym zapachem wody kolońskiej. Do dni, gdy z Ernestem juniorem biegała wśród jesiennych liści.

Nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat, a już ich wszystkich straciła. Pozwoliła, by do oczu napłynęły jej łzy.

Birch pogłaskał ją po plecach. – A może zamkniemy salon i pojedziemy do domu? Zamówię coś na wynos *U Elli*? Hmm?

Cora otarła policzki. – Mamy mnóstwo resztek.

– Przetrywają. A co powiesz na jedną z tych nowości? Pizzę? Zobaczymy, co dziś w telewizji.

– Nie mamy zbyt wielu kanałów na farmie.

Birch zachichotał. – Prawda. Jeden, i to z zamazanym obrazem. To włączymy sobie radio. – Delikatnie pomógł jej wstać. – Przyjadę z tobą rano i pomogę ci posprzątać.

– Pozwól mi tylko schować resztki do lodówki.

Gdy już wszystko posprząтали, Cora jeszcze zamiotła podłogę w salonie. Jutro to miejsce, zamienione w dom żałobny, musi znów stać się wyjątkowym butikiem ślubnym.

Na podłodze pojawił się cień osoby stojącej przed drzwiami wejściowymi.

– Cora? – Do środka wszedł starszy dżentelmen ze śliczną małą dziewczynką uczepioną jego ręki. Mogła mieć ze trzy lata. Przystanęła. Miała na sobie koronkową sukienkę, białe skarpetki i wypolerowane buciki zapinane na kostce. Ciemne włosy, wcześniej nawinięte na lokówkę, a potem rozczesane, otaczały teraz falami jej śliczną buzię w kształcie serca. Wpatrywała się intensywnie w Corę, przyglądając się wszystkiemu z uwagą.

– W czym mogę pomóc?



– To tak witasz starego ojczulka?

Wzięła głęboki oddech i przyglądała mu się przez moment, starając się dostrzec pod przeredzającymi się włosami i pomarszczoną twarzą swojego ojca. – Tata?

– Tak, tata. – Kiwnął głową. Zrobił krok wprzód, jakby chciał ją przytulić, ale potem się wycofał. W jego zmęczonych oczach zalśniła łza. – Tak mi przykro z powodu twojej matki.

Cora spłótła dłonie, skupiając się na tym, co dyktowała grzeczność. Inaczej zachowałyby się niczym liść miotany burzowym wiatrem. – Co tu robisz? – Nie była już na niego wściekła. Kartki bożonarodzeniowe, które wysyłał jej co roku, podpisywał: „Kocham cię, tata”. Wiedziała, że żył i ma się dobrze. Ale nic więcej.

Był dla nich martwy. Tak, jak chciała mama.

– Dowiedziałem się o Esmé. Chciałem ją pożegnać.

– To jedź na cmentarz. Pochowaliśmy ją obok Ernesta juniora.

– Dziękuję. Tak zrobię, Coro... – Odchrząknął. – Pewnie jest za późno, żeby przeprosić.

– Dla mamy jest za późno. – Cora skrzyżowała ręce na piersi. Jak on śmiał ją nachodzić. Wchodzić z buciorami w jej w żałobę, w jej życie. Był dla niej zerem, zwykłym złodziejem.

– A dla ciebie?

– Tato. Ja już się ze wszystkim pogodziłam. Nie rozdrapuj starych ran.

– Coro, jesteś już gotowa? – Wszedł Birch. Wolnym krokiem podszedł do Cory. – Ernie?

– Birch... – Twarz taty powoli się rozpromieniła. Rzucił się w kierunku Bircha, by uścisnąć mu dłoń, ciągnąc za sobą małą dziewczynkę. – A niech mnie. W końcu ją usidliłeś.

– Tak naprawdę, tato, to ja go usidliłam.

– Jak długo jesteście małżeństwem? Macie dzieci?

– Osiemnaście lat – odpowiedziała Cora.

– Nie mamy dzieci. – Birch otoczył jej talię ramieniem. – Lubimy własne towarzystwo.

Tata pokiwał głową, a potem wskazał wzrokiem dziewczynkę przy jego boku. – A to jest.. cóż... – Tata uklęknął, przyciągając małą do siebie, rozbudzając w Corze zapomniane tęsknoty. – To ktoś bardzo wyjątkowy. Coro, miałem nadzieję, że zechciałabyś się nią zaopiekować, kiedy pójdę odwiedzić grób. Jest

za małą, żeby pójść ze mną. A chciałbym powiedzieć kilka rzeczy twojej mamie.

– Wiesz, że nie ma jej tam naprawdę. Jeśli chcesz jej coś powiedzieć na głos, to przejdź się po parku.

Pochylił głowę zganiony jej ostrym tonem. Nie miała zamiaru za nic przeproszać.

– Popilnujesz jej, zrobisz to dla mnie? Jej matka jest w pensjonacie. Nie chciała przyjść.

– To zaprowadź ją z powrotem do pensjonatu. A tak w ogóle, to kim jest jej matka i co robisz z córką tej kobiety?

– Ja... – Tata wstał, odchrząknął, rozejrzał się po salonie, patrząc wszędzie tylko nie na Corę. – Ponownie się ożeniłem.

Birch zatopił palce w talii Cory, podtrzymując ją, żeby nie upadła. – Ożeniłeś się?

Cora spojrzała najpierw na małą dziewczynkę, która nadal przyglądała się jej swoimi błękitnymi oczami, niczym u laleczki, a potem znów zerknęła na tatę.

– Tak. Pierwszy mąż Lydii zginął na wojnie. Poznaliśmy się w Nashville, na spotkaniu organizowanym przez stowarzyszenie zajmujące się wojskowymi i ich rodzinami. Grałem na bandzo w zespole folkowym. Tak czy siak... chcemy wrócić i tu zamieszkać, Coro. Chcemy wychować Joann w Heart's Bend. Urok małego miasteczka, rozumiesz.

Corze zaschło w ustach. Wszystkie słowa, które chciała wypowiedzieć, wyparowały. Oparła się o Bircha, potrząsając głową. – Nie, nie...

Większość wdów wojennych, które знаła Cora, była od niej o połowę młodsza. Miały po dwadzieścia kilka lat. Znała kilka trzydziestolatek. Jeszcze mniej czterdziestolatek. Były to wdowy po oficerach, którzy stracili życie w bitwie.

Która wdowa po bohaterze wojennym chciałaby jej wyniszczonego, tchórzliwego ojca? W związku z tym, że ich przyjaciele i krewni ze strony mamy myśleli, że tata nie żyje, nikt go nie wspominał. Nikt nie pytał: „Co porabia Ernie?”, nikt nie spekulował ani nie ogłaszał: „Mam wieści od Erniego. Wiesz, że znów się ożenił?”.

Nie wiedziała, co ma myśleć o tych rewelacjach.

– Coro – tata podprowadził małą dziewczynkę do przodu – wiem, że dużo od ciebie wymagam. Ale... to twoja młodsza siostra, Joann.

## Haley

Kiedy Haley i Cole weszli do zamkniętego dotąd magazynu w salonie, natychmiast przenieśli się w czasie. Daleko w przeszłość. Do lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych.

Cole poświecił latarką po podłodze i ścianach, szukając wyłącznika światła. W świetle latarki dostrzegli stare manekiny, wieszaki z sukniami ślubnymi, bielizną i wełnianymi kostiumami, a także ustawione w szeregu zakurzone buty z zapięciem przy kostce i poszarpane welony.

Po tym, jak Cole w kuchni wyznał Haley miłość, zapadła niezręczna cisza. Kiedy w końcu Cole odezwał się pierwszy i zasugerował, by wzięli klucz i otworzyli zaplecze, Haley rzuciła się jak poparzona do drzwi.

Zburzył jej spokój. Pokonał mur, który zbudowała wokół siebie. A co gorsza, nawet jej się to podobało. *Panie, jeszcze nie. Jeszcze nie.*

– Wehikuł czasu – wyszeptała, nie mogąc się ruszyć.

Cole podparł otwarte drzwi wielkim pudłem i pociągnął za sznurek zwisający z gołej żarówki na suficie. Ściany od dołu do góry wyłożone były imitacją drewna i wykończone białymi, ozdobnymi listwami sufitowymi i przypodłogowymi.

Po lewej stronie Haley znajdowały się starodawne wieszaki na kółkach, na których wisały suknie ślubne i kostiumy. Ściana po prawej stronie miała wbudowane półki na buty, kapelusze i eleganckie rękawiczki w etui.

Nieco głębiej znajdowały się dwie gablotki – jedna pusta, a druga z pociemniałą i zmatowioną sztuczną biżuterią.

Natomiast na najdalszej ścianie, na rozciągniętym, słabym sznurku wisały największe skarby. Dziesiątki fotografii.

– Jest ich chyba ponad setka. – Haley pochyliła się do przodu, przyglądając się każdemu zdjęciu z osobna.

Cole podał Haley pudło z fotografiami i zaczął podświetlać jedno zdjęcie po drugim – najpierw te czarno-białe, potem nieco wyblakłe kolorowe, a na końcu polaroidy. – Dlaczego zostawiła tu te rzeczy? Jakim cudem poprzedni najemca nie otworzył drzwi?

Haley przycisnęła dłoń do brzucha, czując powoli narastający, ale wyczekiwany wybuch radości. – Cole, to miejsce zawsze miało być salonem ślubnym.

Cole przyjrzał się sufitowi, wbudowanym meblom i podłogom. – Solidna

robota. Trzeba tylko posprzątać. Nie będziemy mieć tu dużo pracy. Chcesz zachować to pomieszczenie? – Poświecił latarką. – Moglibyśmy zburzyć tę ścianę i otworzyć pokój na antresolę.

– Nie, nie... – Haley obróciła się powoli, wdychając zapach cedru i upływającego czasu, lawendy, perfum Chanel nr 5, starego drewna i skóry. – To pomieszczenie ma przetrwać na zawsze. Kiedy mnie już nie będzie, następny właściciel ma wiedzieć, że była tu Cora, że ja tu byłam. – Haley wypatrzyła ramkę z fotografią Cory na półce pod oknem. – Chciała, żebyśmy o niej pamiętali. Żebyśmy wiedzieli, że tu była, że chodziła po tej ziemi. Że służyła swoim pannom młodym.

Haley przyjrzała się fotografii. Cora stała w swojej sukni ślubnej obok przystojnego mężczyzny w garniturze, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami i szczerym uśmiechem. Biło od niego prawdziwie szczęście.

Cole zerknął na zdjęcie. – Piękna para.

– To z jej ślubu z Birchem Goodem. – Haley odwróciła ramkę, próbując otworzyć ją z tyłu, w poszukiwaniu daty. – Nadal nie mogę uwierzyć w to, że jest moją *ciocią*. – Haley okręciła się na pięcie, żeby spojrzeć na Cole'a. – Cora jest moją ciocią. Czy myślisz... że dlatego tak bardzo kocham to miejsce?

Uśmiechnął się. Jego wargi drgnęły, jakby chciał ją pocałować. Może nie miałyby nic przeciwko temu. – Bóg działa w tajemny sposób.

Zrobiła minę. – To jest twoja odpowiedź? Będziesz mnie karmił frazesami? – Zaśmiała się, otwierając ramkę. U jej stóp spadła koperta.

– To dobre powiedzonko. I prawdziwe. – Schylił się i podniósł list. – Zaadresowano do Joann.

– To dla mamy. – Haley odstawiła zdjęcie i ramkę na wbudowane biurko. – Powinnam go otworzyć? – Wyciągnęła telefon i spojrzała pytająco na Cole'a. – Zadzwoń do mamy.

Ale mama miała właśnie pacjenta, i choć Haley była świadoma, że łamie jej prawo do prywatności, nie mogła się powstrzymać. Otworzyła kopertę i wyciągnęła list, odręcznie napisany na eleganckiej papeterii.

– Maj 1980 roku. Idealny charakter pisma. Piękny.

– Co napisała? – Cole zrobił jej miejsce, odchodząc na bok i opierając się o biurko.

Haley usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła czytać na głos.

*Droga Joann,*

*myślę o Tobie, moja mała Siostrzyczko. Nigdy Cię nie poznałam. Na starość robię się sentymentalna. Skończyłam właśnie osiemdziesiąt lat, zamknęłam salon i jestem na farmie z moim Birchem.*

*Ostatnio rozmawiałam z Twoją matką na rynku. Powiedziała mi, że wiele osiągnęłaś jako lekarz i że urodziłaś swoje pierwsze dziecko, syna. Wspaniałe wieści.*

*Tata byłby z Ciebie dumny. Prawdę mówiąc, ja jestem dumna. Po śmierci Ernesta juniora nigdy nie spodziewałam się, że będę miała jeszcze rodzeństwo, a co dopiero siostrę czterdzieści siedem lat ode mnie młodszą. Kiedy spotkałam Cię po raz pierwszy, wtedy w salonie, nadal rozpaczałam po śmierci mojej mamy. Może, pod pewnymi względami, rozpaczałam też nad swoją bezpłodnością. Właśnie rozmawialiśmy o tym z Birchem, kiedy zjawiliście się z tatą.*

*Mogłabyś być moim dzieckiem. Moją wnuczką. Ale byłaś moją siostrą. Jesteś nią nadal.*

*Z oddali przyglądałam się, jak dorastasz. Teraz ubolewam nad tym, że ograniczyłam się tylko do tego. Chciałam Cię przeprosić za naszą scysję U Elli tego popołudnia, kiedy powiedziałaś mi, że tata umiera.*

*Widzisz, razem z mamą uważałyśmy go za zmarłego przez niemal trzydzieści lat. Po prostu nie byłam w stanie znów rozpaczać. Przeżyłam już żałobę po nim. Pożegnałam się z tatą, jakiego znałam, gdy moi rodzice rozwiedli się w 1932 roku.*

*Ale teraz żałuję, że nie zjawiłam się u jego boku, by pożegnać się z nim naprawdę i powiedzieć, że mu przebaczyłam. Przepraszam, jeśli moje postępowanie w jakikolwiek sposób Cię zraniło.*

*Zastanawiałam się, czy nie powierzyć Ci sklepu, ale skoro twoje wprawki medyczne przynoszą owoce, może prowadzenie salonu ślubnego nie jest dla Ciebie.*

*Latami myślałam o tym liście. Zastanawiając się, czy, kiedy i jak mogłabym z Tobą porozmawiać, opowiedzieć Ci o moim życiu, o tym, kim jestem. Teraz nie będziesz tym zainteresowana, ale może kiedyś. A jeśli nie Ty, to może Twoje dzieci.*

*Mam tę przewagę, że jako osiemdziesięcioletnia kobieta wiem już, że*

*ideały, którymi się kierowałam w wieku dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, przeminęły. Wiek złagodził moje serce. To, co wydawało się tak bardzo ważne, dziś wydaje się błahe.*

*Salon ślubny był całym moim życiem, póki nie wyszłam za mąż w wieku trzydziestu trzech lat. Choć nawet później w większości wypełniał mi dnię, to Birch stał się moim życiem. Joann, jeśli znalazłaś właściwego mężczyznę, nie puszczaj go. Nie ma nic bardziej kojącego, podnoszącego na duchu, radosnego niż życie u boku mężczyzny, którego kochasz. I który kocha Ciebie.*

*W Księdze Przysłów jest werset, który szczególnie mnie ujął: „Trzech rzeczy pojąć nie mogę, a czterech nie znam: drogi orła po niebie, drogi węża po skale, drogi okrętu po morzu, drogi mężczyzny u młodej kobiety”.*

*Drogi mężczyzny u młodej kobiety. Czyż to nie zmusza do myślenia? Poznałam tę wspaniałą drogę. Jest ona nadal dla mnie zagadką, ale jakże wspaniałą! Nie popadam w sentymentalizm? Mój Boże.*

*Zbyt długo byłam zakochana w niewłaściwym mężczyźnie. W obcesowym i czarującym kapitanie, dla którego straciłam serce i głowę. Ta miłość zżerała mnie, póki nie dowiedziałam się, że on ma żonę i dzieci.*

Haley westchnęła, patrząc szeroko otwartymi oczami na Cole'a. – O Boże, też spotkała takiego Daxa. – Poglądziła się po przedramieniu. – Zobacz, mam ciarki.

– Ale odnalazła swoją drogę do właściwego mężczyzny.

– Najwyraźniej.

*Birch zawsze był w moim życiu. Był przyjacielem naszego brata Ernesta juniora.*

– Naszego brata. Mama miała brata. Zginął w czasie pierwszej wojny światowej. Tylko pomyśl, Cole. Jak bardzo wszyscy jesteśmy połączeni.

– Cora najwyraźniej chce, żeby twoja mama poczuła się członkiem tej rodziny.

*Był przy mnie, kiedy, robiłam z siebie idiotkę, i został, choć na to nie zasługiwałam. Kiedy w końcu się otrząsnęłam, niemal go straciłam na rzecz Janice Pettrey. Ale – niech będzie uwielbiony Bóg miłości – Birch do mnie wrócił.*

*Joann, tak bardzo bałam się, że popełnię ten sam błąd, co z Rufusem. Skoro dałam się raz oszukać, jaką miałam pewność, że znów nie dam się nabrać, choć moje serce, umysł, oczy i uszy wiedziały, że Birch Good jest wartościowym, honorowym, dobrym człowiekiem?*

*Moje wahanie niemal kosztowało mnie utratę mężczyzny mojego życia.*

Głos Haley ucichł. Podniosła wzrok na Cole'a. – Cora niemal straciła swoją wielką miłość.

Usiadł obok niej na podłodze, odgarniając jej grzywkę z czoła. Delikatny dotyk jego palców sprawił, że znów przeszły ją ciarki. – Jeśli Birch mógł czekać, to ja też mogę.

Zagubiła się w jego głębokich, błękitnych oczach. – Ale... ale ja nie wiem, czy jesteś miłością mojego życia, Cole.

– Ona też nie wiedziała. Ale dała Birchowi szansę. Dała sobie szansę.

– Więc nie powinnam się bać? Powinnam zaufać porządному facetowi, który jest teraz obok mnie?

– Myślę, że o to jej właśnie chodzi. Może nie czujesz do mnie namiętnego uczucia, które czułaś do Daxa...

– To nie była namiętność. To była choroba. Za każdym razem po tym, jak... byliśmy ze sobą blisko, czułam się pusta, spragniona czegoś, czego nigdy mi nie dał. Dax tylko brał. Kradł. – Westchnęła. – To bzdura, że seks bez zobowiązań jest taki świetny.

– Skąd miałbym to wiedzieć. – Mrugnął do niej, gdy na niego spojrzała, sprawiając, że się zaczerwieniła.

– Masz szczęście.

Pochylił się, zaglądając jej przez ramię. – Czytaj dalej, posłuchajmy więcej mądrości Cory.

*Podejrzewam, że jesteś zła, iż tata zostawił mi spadek. Ale gdy upadł jego bank, straciłam mnóstwo pieniędzy, które odziedziczyłam po cioci Jane. Myślę, że tata chciał odkupić swoje winy. Pomimo wad był człowiekiem honoru.*

*Te pieniądze nigdy nie były mi potrzebne. Włożyłam je do sejf. Otwiera go kombinacja 24-82-16. Wykorzystaj je. Daj mojemu siostrzeńcowi. Albo innemu swojemu dziecku. Och, jak to wspaniale pisać, że mam*

*siostrzeńca!*

*Teraz wynajmuję sklep, ale po mojej śmierci budynek zostanie sprzedany, chyba że się o niego upomnisz. Mam nadzieję, że tak będzie.*

*Ciocia Jane wybudowała ten salon dla kobiet z Heart's Bend, dla naszych córek i wnuczek. Ale ja już nie daję sobie rady. Zbyt szybko się męczę. Zawiodłam ciocię Jane i nie znalazłam spadkobiercy, który przejąłby salon.*

*Edwina Park prowadzi w nim sklep z codziennymi sukniami, więc zobaczymy, co z tego wyjdzie. Pytałam ją: „Gdzie tu miejsce na wyobraźnię, Edie? Pracuj z pannami młodymi”. Ale ona chce dotrzeć do większej rzeszy kobiet. Och, nie wie, co traci.*

*Życie nauczyło mnie jeszcze jednej ważnej rzeczy, a mianowicie, że nad wszystkim pieczę sprawuje Wszchemogący. Najlepiej będzie, jeśli Mu zaufam. Też tak zrób.*

*Kończąc, chcę wyrazić mą ogromną nadzieję, że będziesz miała dobre, bogate życie, Siostrzo. Nie poznałyśmy się w tym życiu, ale może uda nam się w następnym.*

*Ściskam Cię serdecznie*

*Cora Beth Scott-Good*

Haley przycisnęła list do serca. Wyrażał emocje, które od dawna w niej buzowały. Oparła głowę o ramię Cole'a.

– Teraz wszystko nagle ma sens, co? – powiedział.

Pokiwała głową, ocierając łzy. – Od cioci Jane do cioci Cory, i aż do mnie. – Przytłoczyła ją świadomość, że takie jest życie, że Bóg wszystko to ze sobą połączył. Zapomniała o strachu. – To, co wcześniej wydawało się takie przypadkowe, teraz wydaje się być na właściwym miejscu. Boże działanie. Jakby wszystkie te wydarzenia i osoby, nawet Dax, miały doprowadzić mnie do tej właśnie chwili.

Kiedy uniosła wzrok, ich twarze były tak blisko... Starła się uspokoić bijące serce. Czy będzie gotowa, by go pokochać? Kiedy? – Nie pozwolę, żebyś czekał na mnie w nieskończoność.

– Dobrze. – Położył dłoń na jej karku i przyciągnął ją do siebie, by pocałować w czoło. – Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. – Szukał jej oczu, powoli zbliżając



do jej twarzy swoje usta...

– Szefie! – Na parterze zatrzasnęły się drzwi. Głos Gomeza dało się słyszeć na całym piętrze. – Jesteś tu?

Cole odchrząknął, śmiejąc się do siebie. – Tu, u góry! – Wstał i spojrzał na Haley. – Nie będę się spieszył z naszym pierwszym pocałunkiem, żeby tylko zdążyć, zanim wpadnie tu Gomez... – Stanął w drzwiach i zawołał: – Na zapleczu! Znaleźliśmy klucz.

W drzwiach pojawiła się szeroka, ciemna sylwetka Gomeza. – Proszę, proszę. Niesamowite. Co to takiego?

– Wehikuł czasu. Towary z czasów Cory. – Haley podskoczyła z podłogi. – Mamy list.

Cole sięgnął po kartkę. – I sejf. Cora napisała, że zostawiła pieniądze w sejfie.

– W sejfie? Nie znaleźliśmy żadnego sejfu w czasie demolki. – Gomez zmarszczył się, pochylając się i przyglądając się butom stojącym na półkach. – Moja córka interesuje się takimi starymi rupieciami.

Cora przeszła wzdłuż ściany. – Sejf musi być gdzieś tutaj.

Gomez zaczął szukać naprzeciwko Cole'a, stukając obcasem w podłogę. Wyszczrzył zęby, gdy odnalazł luźną deskę w najdalszym, prawym rogu zaplecza.

Cole uklęknął na jedno kolano, a Gomez wyciągnął deskę. Haley pochyliła się i jej oczom ukazał się stary stalowy sejf, ukryty pod podłogą, z drzwiczkami skierowanymi ku górze.

Cole podał jej list. – Podyktujesz mi szyfr?

– 24-82-16.

Zapadki kliknęły. Cole otworzył drzwiczki sejfu. Włożył rękę do środka, wyciągnął torbę z pieniędzmi i podał ją Haley.

– To wszystko?

Wycelował światłem latarki, zaglądając w ciemną otchłań sejfu. – Tak, to wszystko.

Haley położyła list na biurku obok fotografii Cory i rozpięła zamek woreczka. Zerknęła do środka i parsknęła śmiechem, spoglądając na Cole'a. – Pieniądze. W gotówce.

– Żartujesz.

Haley z bijącym sercem wyciągnęła banknoty z torby – setki i kilka

tysiąc dolarowych. Nie mogła w to uwierzyć. – Jest karteczka: „Dwadzieścia tysięcy. Równowartość spadku po cioci Jane, który straciłam, gdy upadł bank taty”.

Spojrzała na Cole’a i Gomeza. Milczeli we trójkę, byli oszołomieni.

Wtem Cole pochwycił ją w ramiona, wrzeszcząc z radości, i zakręcił nią w miejscu. – Masz swoje pieniądze.

Jego ramię idealnie wpasowało się w jej talię. Jakby została uszyta dla niego na miarę. Czowała, że może tak trwać w jego uścisku wiecznie. – Czekaj, czekaj... – przerwała, odpychając się od niego i stawiając nogi na podłodze. – Tak naprawdę to te pieniądze są dla mojej mamy. Muszę jej to pokazać.

– Haley, mama na pewno ci je da. – Zapewnił ją Cole. – Jestem tego pewien.

Gomez gapił się w dziurę w podłodze, stukając w pozostałe deski podłogowe. – Pierwszy raz widzę coś takiego. A trzydzieści lat robię już w tej branży.

– Cole? – Męski głos odezwał się ze schodów. – Tu Mark Blanton. Przyszedłem obejrzyć drugie piętro. – Jego kroki odbiły się echem na antresoli. – Mówiłeś, że ktoś chce się tam wprowadzić?

– Jesteśmy tutaj, Mark! – Cole pocałował Haley w czoło, wycofując się w kierunku drzwi. – Szykuj się do przeprowadzki na górę.

Gomez ruszył ku drzwiom zaraz za Cole’em, chichocząc i drapiąc się w głowę. – Chłopak jest *enamorado*. Już dawno go takim nie widziałem. Coś ty mu zrobiła, Haley?

Próbowała ukryć swój uśmiech, stłamsić uczucia, które chciały jej wyskoczyć z piersi. – Nic. I nie zacznij tylko rozpowiadać wszystkim, że się kochamy.

Gomez uniósł ręce w obronnym geście. – Ludzie i tak zaczęli się już domyślać. Szczególnie gdy sprzedał tę swoją gitarę.

– Co? Stratocastera?

– Nie mówił ci? Linus przetrzymywał zezwolenia na budowę, żeby zmusić Cole’a do sprzedaży gitary – Gomez potrząsnął głową. – Ja bym mu powiedział, że ma spadać na drzewo. *Que sinvergüenza*. Łajdak. Ale Cole nie chciał marnować już więcej czasu.

W drzwiach pojawił się Cole. – Gomez, Mark ma do ciebie kilka pytań. Ale jak na razie wszystko w porządku. – Przecisnął się obok Haley w stronę pudeł ze zdjęciami. – Pomyślałem, że moglibyśmy je oprawić, wybrać kilka, pozawieszać w salonie. Taka historia w obrazkach. Mógłbym zrobić ramki...

Podbiegła do niego, zarzucając mu ręce na szyję i stając na palcach. Odnalazła swoimi ustami jego miękkie, wilgotne wargi, przynoszące orzeźwienie jej spragnionemu sercu.

Cole opadł na ścianę, pociągając ją za sobą, i osunął się na podłogę. Tulił ją, trzymając ją na swoich kolanach, obejmując i przyciągając ją do siebie, odpowiadając na jej namiętny pocałunek.

Kiedy się odsunął, pokręcił głową. – Dziewczyno... aż boję się zapytać, o co chodzi.

– Sprzedałeś swoją gitarę w zamian za zezwolenia.

Błysk gniewu pojawił się w jego oku, gdy obrócił się ku drzwiom. – Gomez, ty paplo.

– Nie, nie Cole. Cieszę się, że mi powiedział. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to dla mnie. Naprawdę tak bardzo mnie kochasz?

– Nie byłem tego świadomy, póki stawką nie okazała się gitara, ale tak. Tak bardzo cię kocham.

– Danner, kusisz mnie. Trudno się oprzeć komuś, kto kocha tak mocno.

Delikatnie ujął jej twarz w dłonie i pocałował Haley, wypełniając swoją słodczą pęknięcia, które Dax zostawił w jej duszy.

A więc po to wróciła do domu. Dla salonu. Dla Cole'a. Dla miłości.

# *trzydzieści*

*10 czerwca*

*Trzy dni do wielkiego otwarcia*

Odkąd Haley otworzyła drzwi zaplecza, załala ją rzeka błogosławieństw.

W marcu wprowadziła się i urządziła w mieszkaniu na drugim piętrze. Większość wieczorów spędzała w towarzystwie Cole'a. Coraz bardziej się w nim zakochiwała.

Był całkowitym przeciwieństwem Daxa. Tym, kogo potrzebowała. Kiedy była z nim, wszystko nagle układało się w całość, odzyskiwała wewnętrzny spokój.

Skończyli remont w salonie na czas, łącznie z wymianą dachu, nowymi chodnikami i zielenią. Zmieścili się w budżecie i śpiewająco przeszli przez wszystkie kontrole budowlane.

Cuda sypały się z nieba jeden po drugim.

Haley poznała jeszcze więcej dawnych panien młodych, które opowiedziały jej swoje historie, pokazywały zdjęcia.

Pomalowała ściany na kolor gołębi, a listwy przypodłogowe i sufitowe na biało. W czasie weekendowych polowań na antyki wypatrzyła precudny, wielopoziomowy kryształowy żyrandol i zawiesiła go w dużym salonie. Cole znalazł drugi, podobny, do głównego holu.

Upolowała także zniszczoną, szeroką sofę o zaokrąglonych kształtach, idealnie pasującą do epoki i do hollywoodzkiego stylu retro. Cole znalazł rzemieślnika, który przywrócił jej dawną świetność.

Ustawili też gablotki wystawowe, a na lśniącej podłodze rozłożyli dywany, żeby nadać wnętrzu przytulności. W pokoju kredensowym na parterze miały być serwowane ciasta oraz kawa i herbata. Haley wiedziała z dobrego źródła, że dawniej taki był zwyczaj w salonie sukien ślubnych.

Cole własnoręcznie zrobił wspaniałe ramki i oprawił ponad sto fotografii.

Razem z Haley wieszali je cały wczorajszy dzień.

– Nie mogę uwierzyć, że dzielę tę przestrzeń z tymi niesamowitymi kobietami. Już czuję, jak należą do naszej wielkiej ślubnej rodziny.

Cole otoczył ją ramieniem, przyglądając się twarzom uśmiechającym się do nich zza szybę. – Bo tak jest. Odbudowujesz salon również po to, by utrzymać przy życiu kawałek historii.

Jego pocałunek był jeszcze słodszy od poprzedniego.

Czekała jeszcze tylko na jeden cud. Cud związany z zaopatrzeniem. Z jakiegoś dziwnego i frustrującego powodu nie mogła zdobyć sukni ślubnych i dodatków. Była zrozpaczona.

Trzy dni. Tylko tyle dzieliło ją od wielkiego otwarcia. Tak wiele cudów wydarzyło się w jej życiu.

Siedziała przy biurku na antresoli, z telefonem przyciśniętym do ucha. Zatykając palcem drugie ucho, wysłuchiwała wymówek szeregowego pracownika z domu mody Melinda House.

– Tak, wiem, że już za późno na dostawę tego lata, ale osobiście rozmawiałam z państwa projektantką. Obiecała przysłać mi wszystko, co pozostało wam na stanie. Minęły już trzy miesiące. Tak, wszystko jedno co. Nie, nie jestem wybredna... Tak, no cóż, nie mam wyjścia. Muszę tak zrobić.

Oparła głowę o biurko, wsłuchując się w dziwny akcent mężczyzny.

– Ale nie mamy takiego zamówienia.

– To proszę poszukać jeszcze raz. – Haley odchyliła się do tyłu w swoim krześle, kołysząc się, czując zbliżający się ból głowy. Spełniła wszystkie wymagania rady miasta oprócz otwarcia salonu w czerwcu.

Cole wraz ze swoją niesamowitą ekipą skończyli remont na czas. Ludzie dawali jej różne przedmioty, pieniądze, pracowali dla niej za darmo. Rodzice zajęli się stroną internetową i reklamą. Zapłacili nawet Cole'owi za wykonanie na zamówienie starodawnego szyldu: *Salon sukien ślubnych*.

Dwadzieścia tysięcy, które dostała od Cory, ulokowała w banku.

Ale do wielkiego wydarzenia zostały tylko trzy dni, a jej manekiny nadal stały nagie.

Przejęcie salonu wykroczyło poza sferę jej najśmielszych dziecięcych marzeń. Była wzruszona tym, że mogła siedzieć przez wiele godzin z kobietami, które dzieliły się swoimi opowieściami, przeglądając zdjęcia z oczami pełnymi łez.

Opowiedziały jej historie o miłości i stracie, o szczęśliwych małżeństwach i o tych nieszczęśliwych. O rodzeniu i wychowywaniu dzieci. O traceniu ich w chorobie lub na wojnie. O sukcesach i porażkach. O bogactwie i biedzie.

O wnukach. Wakacjach w Europie. Weekendach spędzonych na wybrzeżu. O przeżywaniu na nowo podróży poślubnej. O starzeniu się. O zbliżaniu się do kresu życia. O byciu wdowami.

Haley nie mogła ich zawieść i nie zdążyć na czas z wielkim otwarciem. Nie potknie się tuż przed metą, gdy stawką jest akt własności salonu. Utrzyma sklep przez rok w branży. Z Bożą pomocą.

– Przykro mi – pracownik powtórzył po raz ostatni – ale nie mam w bazie ani pani nazwiska, ani nazwy salonu.

– Wydzwaniam do państwa już od trzech miesięcy. Za każdym razem mówiono mi, że zamówienie jest w drodze.

– Nie wiem, co pani powiedzieć.

– Że może mi pan coś nadesłać. Cokolwiek macie na stanie. Nie musicie nic szyć czy specjalnie przerabiać. Jestem dla was wymarzonym klientem.

Haley rzuciła okiem na stertę pudeł ustawionych we wnęce. Musi mieć trzydzieści sukni w stylu vintage i kilka kostiumów na podróż poślubną. Mogłaby wtedy przynajmniej na kilka tygodni otworzyć część salonu z klasycznymi ubraniami. Problem w tym, że jeśli pannie młodej nie pasowałyby rozmiar, nie będzie mogła dokonać poprawek sukni.

W zeszłym tygodniu zadzwoniła do Charlotte, która pomogła jej, dając namiary na swoją główną projektantkę, Brey-Lindsey. Nie była ona jednak w stanie przyjąć żadnych nowych zamówień przed jesienią. A i te będzie mogła zrealizować dopiero wiosną.

Haley dała ogłoszenia do „Trybuny” i „Nashville Tennessean”. Mąż Taylor Gillingham, Jack, załatwił jej wywiad w radiu, w porannej audycji.

Strona internetowa i profil na Facebooku już działały. I nawet coś zaczęło się na nich dziać. A ona miała pusty sklep. Poza klasycznymi sukniami, które wymagały naprawy.

A, momencik. Miała przecież jeszcze na wzór dziesięć par butów, pięć par rękawiczek i około dwudziestu welonów oraz trzy suknie dla druhen i cztery dla matek panien młodych.

*Panie, co mam robić?*

– Haley? – Donośny głos Gomeza przerwał jej modlitwę. Po chwili mężczyzna pojawił się na antresoli. – Dlaczego te manekiny nic na sobie nie mają?

Spojrzała na niego i roześmiała się. Tak, to zaczynało być zabawne. – Nie słyszałeś Gomez? To ostatni krzyk mody. Śluby na golasa.

Nie śmiał się. – To nie jest śmieszne, Haley. Moja córka chce wyjść za mąż w przyszłym roku.

– Haley? – Cole dołączył do nich. – Nadal nie masz towaru?

Pokręciła głową, podrywając się, kiedy odezwał się głos po drugiej stronie słuchawki. – Tak, możemy przesłać pani część towaru.

– Świetnie! – Haley zerwała się z krzesła. – Mogą państwo przesłać suknie na jutro? Cena nie gra roli.

– Będziemy potrzebowali wpłaty. – Zakrztusiła się, kiedy podał jej sumę. – Możemy pani dostarczyć zamówiony towar pod koniec miesiąca.

– Ale ja potrzebuję to na jutro.

Rozmawiała z nim jeszcze przez kolejne pięć minut, po czym się rozłączyła. Poddała się. Odwróciła się do Cole’a i wyznała: – Nie mam nic. Ani jednej sukni. Jak mogłam zejść tak daleko, dzięki wszystkim przysługom i cudom, a teraz ponieść porażkę?

– Nie poniesiesz porażki. – Cole przytulił ją, całując w czubek głowy. – Haley, nie przestawaj wierzyć. Zobacz, co osiągnęliśmy. Powinniśmy świętować.

– Bardzo bym chciała świętować. Ale nie mam towaru.

Chwyił ją za rękę i sprowadził po schodach. – Rozejrzyj się. Pamiętasz, w jak opłakanym stanie było to wszystko, gdy weszliśmy tu po raz pierwszy z Keithem Nivenem? – Usiadł na bogato zdobionej fikuśnej sofie. To miejsce zwała z nóg.

– Wiem. Nie mogę uwierzyć, że tak pięknie wszystko teraz wygląda. Panny młode będą stały w bieli na tle ciemnego drewna oraz czerwonych i złotych akcentów. – Usiadła obok Cole’a i oparła głowę na jego ramieniu. – Myślisz, że Corze by się spodobało?

– Pokochałaby to miejsce. I ciebie.

Jego głęboki, melodyjny głos sprawił, że Haley usiadła. Gdy spojrzała mu w oczy, przeszył ją dreszcz.

Wzięła głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi. – Kocham cię, Cole’u Danner. Bóg mi świadkiem.

Uśmiechnął się szeroko. Uniósł jej podbródek palcem i pocałunkiem

przypieczętował jej wyznanie.

Haley umościła się wygodniej w jego ramionach. – Dziś wiem, że to prawda. Kocham cię. Bardzo cię kocham. – Splotła swoje palce z jego palcami. – I nawet jeśli stracę salon, to nadal będę miała ciebie. Ta nasza sześciomiesięczna podróż była tego warta.

## *Cole*

Obudził go trzask zamykanych drzwi. Promienie porannego słońca wlewały się przez przednią szybę jego samochodu.

Sięgnął po dźwignię z boku siedzenia, pociągnął ją w górę i usiadł wyprostowany, strzepując resztki snu. Uznał, że za tę cenę jego samochód powinien być nieco wygodniejszym miejscem do spania. Tak jednak nie było. Zdrętwiał mu kark i bolało go kolano od opierania się o kierownicę przez całą noc.

Wybiła dziesiąta. Zgodnie z napisem na drzwiach salon Malone & Co. powinien być otwarty o godzinie dziesiątej. Cole przeczesał dłońmi włosy, wygrzebał gumę do żucia z paczki wciśniętej do popielniczki i pobiegł przez ulicę w kierunku salonu.

Przyjechał tu zeszłej nocy, po tym jak wyszedł od Haley. Po kolacji i filmie, gdy siedzieli skuleni na kanapie ze splecionymi rękoma i nogami, zrozumiał, że musi coś zrobić, żeby jej pomóc. Coraz bardziej ją kochał i ciągle myślał o ślubie.

Wczoraj wieczorem, gdy wracał do domu, wpadł na pomysł, że – w imieniu Haley – poprosi o pomoc Charlotte Rose.

*Charlotte, pomóż jej!*

Zawrócił pikapa i ruszył na południe do Birmingham.

Delikatnie zabrzączał dzwonek, gdy wszedł do starego budynku, w którym mieścił się nowoczesny salon ślubny. Z zaplecza wyszła uderzająco piękna, smukła kobieta i zatrzymała się na jego widok. – Dzień dobry, w czy mogę panu pomóc?

Cole podrapał się w szczękę, czując pod palcami gęsty poranny zarost. – Szukam pani Charlotte Rose. Nazywam się Cole Danner. Jestem przyjacielem Haley Morgan.

Iskra błysnęła w jej oku. – Charlotte Rose. – Podała mu rękę. – Jak się miewa



Haley? Wczoraj panikowała z powodu braku towaru.

– Dlatego tu jestem. Wielkie otwarcie ma być w poniedziałek, a ona nic nie ma. Może oprócz kilku klasycznych sukni, ale to za mało. Melinda House naprawdę podcięła jej skrzydła. Kontaktowała się z twoją projektantką. Zlitowała się nad nią, ale będzie w stanie przysłać jej cokolwiek dopiero na wiosnę.

– Tak, projektanci ślubni mają ograniczone pole manewru. – Charlotte wskazała mu, żeby poszedł za nią na zaplecze. – A jak remont salonu? Haley pozostała przy hollywoodzkiej stylistyce?

– Tak, wszystko wygląda świetnie. Potrzebujemy tylko czegoś, co moglibyśmy sprzedać.

– Cole, pozwól, że przedstawię ci moją asystentkę, Dixie. – Kolejna atrakcyjna kobieta spojrzała na niego znad filiżanki z kawą. – Dix, to Cole. Przyjechał tu dla Haley. Pamiętasz tę właścicielkę salonu ślubnego z Heart's Bend, o której ci opowiadałam?

– Pamiętam. Miło mi cię poznać, Cole. – Dixie spojrzała na Charlotte. – A o co chodzi?

– Haley potrzebuje pomocy. Nie ma towaru. Nawet Brey-Lindsey nic dla niej nie miała.

– Prosiła o cokolwiek. Nie była wybredna.

– A wiesz, co mnie zastanawia, Cole? – Charlotte wręczyła mu kubek z kawą, proponując gestem śmietankę i cukier. – Dlaczego ty tu jesteś? Dlaczego Haley sama nie zadzwoniła?

– Jest załamana. Nie wiem, dlaczego nie zadzwoniła. Może nie chciała zawracać ci głowy. Mówiła, że tak wiele już dla niej zrobiłaś, ale ja nie mam skrupułów. Jestem tutaj i błagam o pomoc. – Odstawił kubek. I bez kofeiny czuł przypływ adrenaliny.

– O nie, miłość. Nie znoszę jej. – Dixie poklepała się po sercu. – Musimy mu pomóc, Char.

– Oczywiście, że jej pomożemy. A raczej pomożemy Cole'owi pomóc jej. – Ruszyła z zaplecza, znów pokazując Cole'owi, żeby poszedł za nią. – Prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi. – Nagle zatrzymała się, obróciła na pięcie i spojrzała mu prosto w twarz. – Kochasz ją? Ożenisz się z nią?

Wzdrygnął się, dając wyraz zaskoczeniu. – Tak i tak. To znaczy, chcę się z nią ożenić. Zdałem test? Bo to był test, prawda?

Charlotte posłała mu uśmiech, z którego nie mógł nic wyczytać. – To nie był test, ale tak, zdałeś. Dixie, ściągnij wszystkie letnie i jesienne modele sukni, jakie mamy. Cole masz pikapa?

– Tak.

– Idealnie. – Na środku schodów Charlotte wyciągnęła komórkę i wykręciła numer. – Tim, kochanie, czy mogę cię wynająć na jeden dzień? Mamy tu sytuację kryzysową. – Spojrzała do tyłu na Cole'a i skrzywiła się. – Tak, *prawdziwą* sytuację kryzysową. Ślubną. Wynagrodzę ci to. Dzięki, kochanie.

Już lubił tę kobietę. Bardzo.

– Dix, dziś mamy luźniejszy dzień, więc po prostu zamknijmy. Cole, mój mąż Tim pomoże nam poznosić wszystkie rzeczy, których potrzebujemy. Pojedziemy z Dixie za tobą moim samochodem. A teraz powiedz mi, co ma Haley, a my wypełnimy luki.

– Ratusz nam życie. – Wiedział, że dobrze zrobił, przyjeżdżając tutaj. – Zapłacę ci za twój towar i czas.

– Nie ma mowy! Słuchaj, potrafię być hojna, ale jestem także kobietą interesu. Ja po prostu przenoszę swój asortyment do salonu Haley i pozwalam na sprzedaż moich sukni w Heart's Bend. Haley będzie pracować dla mnie, że tak to ujmę. Ja zajmę się księgowością i podzielę się z nią równo zyskami. To pozwoli jej przetrwać, póki nie dojedzie jej właściwy towar. Dix, zapakuj welony, buty, rękawiczki, kapelusze, halki i biustonosze. Cole, ty pomożesz mi z sukniami ślubnymi. Kiedy przyjedzie Tim, załadujecie stojaki i manekiny, ach... i gablotki.

Cole stał na środku oszołomiony, ledwo nadążając za tym, co mówiła. Charlotte i Dixie zaczęły rozmawiać w ślubnym żargonie, który choć brzmiał jak język angielski, nie był przeznaczony dla uszu zwykłych ludzi.

Dokańczyły wzajemnie swoje zdania. Z przerażającą precyzją posługiwały się kodami i akronimami. Jak wojskowy oddział uderzeniowy.

– Co ty na to, Cole? Czego Haley potrzebuje? A może powinniśmy do niej zadzwonić? Nie, to powinna być niespodzianka. Zakochany w niej mężczyzna zjawia się z lśniącymi białymi sukniami ślubnymi w garści.

– Tak zrobimy. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co do mnie mówisz. Zrozumiałem tylko: „suknie”, „buty” i „niespodzianka”.

Charlotte parsknęła śmiechem. – Tim cię polubi.

Dixie ruszyła z ręką uniesioną do góry, jakby prowadziła pochód. – To do roboty.

Charlotte zaś zwróciła się Cole'a: – Chodź ze mną. Pomożesz mi przynieść pewien specjalny kufer.

# trzydzieści jeden

## Haley

W sobotni wieczór w salonie było cicho i ciemno, przez okna wpadała jedynie poświata zachodzącego słońca. Na antresoli Haley ustawiła w szeregu nagie manekiny.

– Zwołałam was tutaj, żeby dowiedzieć się, dlaczego jesteście nago. Gdzie wasze mundury? Nie słyszę. Jesteśmy zespołem, oddziałem. Troszczymy się o siebie. Ja zrobiłam, co do mnie należało, a wy co? Nie słyszę cię, lotniku. Musimy wyglądać bosko na wielkim otwarciu, inaczej zawiedziemy pannę Corę.

Podniosła głos jak kapitan przemawiający do żołnierzy w czasie defilady. – Będziemy musieli poradzić sobie z tym, co mamy. Najpierw suknie vintage. – Wskazała palcem na pierwszy manekin. – Ty będziesz matką pani Peabody.

Haley sięgnęła po walizkę, otworzyła zamki i wyciągnęła suknię ze złotej jedwabnej poszewki. Ostrożnie przełożyła ją przez głowę manekina, zatrzymując się na jego okrągłych ramionach i pozwalając sukni rozlać się po podłodze. Zrobiła krok w tył, aby spojrzeć na swoje dzieło.

– Matko pani Peabody, wygląda pani pięknie. – Ze łzami w oczach przyglądała się manekinowi bez twarzy. Naprawdę wyglądał pięknie. Haley rozprostowała rękawy. – Tammy, szkoda, że nie słyszałaś tej historii. Bez ciebie to już nie to samo.

Ale może dlatego Tammy straciła zapach do tego miejsca. To nie było jej pisane. Tylko Haley.

Otarła dłonią oczy, wyciągając welon matki pani Peabody i strzepując niezliczone warstwy tiulu. Jej palce prześlizgiwały się po dziurach i otarciach.

Będzie musiała znaleźć inny welon, ale na razie... potrzebowała muzyki. Haley przeszukała pliki na swoim telefonie, zatrzymując się na płycie Michaela Bublé.

Spokojna melodia *The Way You Look Tonight* rozległa się na antresoli.

– Matko pani Peabody, stanie pani w oknie wystawowym. – Haley oparła plastikową kobietę na biodrze i zaczęła znosić ją po schodach do dużego salonu.

Gdy dotarła do okna i starała się ustawić manekin na środku wystawy, za szybą pojawiła się twarz Cole’a. Haley wystraszyła się. Odruchowo chwyciła manekin za rękę, wyrывая ją. – Cole, co ty wyrabiasz? – Pomachała plastikową kończyną. – Teraz będę musiała zadzwonić na pogotowie.

– Otwórz drzwi wejściowe.

– Po co?

– Po prostu otwórz.

Zrobiła minę, przedrzeźniając go, ale upuściła rękę matki pani Peabody na podłogę i pobiegła otworzyć drzwi.

– O co chodzi? – zapytała, usuwając się Cole’owi z drogi. Chwycił ją za ramiona i przesunął do schodów.

– Stań tutaj.

– Co się dzieje?

Dotarły do niej głosy z zewnątrz: – Stojaki i wieszaki postaw na razie w dużym salonie. Zobaczymy, co Haley będzie chciała zrobić.

Przez drzwi wejściowe weszła Charlotte Rose. – Przybyła odsiecz. Haley, poznaj moją asystentkę Dixie. Dix, to jest Haley. A teraz...

– Chalotte, co ty tu robisz?

Dixie pokonała żwawym krokiem kilka stopni, trzymając w rękach stertę pudeł. – Co myślicie o wystawieniu butów na schodach?

– Dix, świetny pomysł! Haley? Co myślisz?

– Zaraz, zaraz. Czy ktoś powie mi w końcu, co tu się dzieje? – Chwyciła Cole’a, kiedy przechodził obok niej, niosąc na rękach stosy sukien. – Co zrobiłeś?

– Poprosiłem o pomoc.

Dixie ustawiła buty na stopniach schodów. – Miło mi cię poznać. – Podała Haley rękę, pokazując głową na Cole’a. – Trzymaj się go. To twój anioł stróż.

– Tak, wiem, ale co tu się dzieje?

Dixie zajrzała do dużego salonu. – Haley, wszystko wygląda fantastycznie. Jestem oficjalnie zazdrosna. Ten hollywoodzki blichtr, ta klatka schodowa... przepięknie. Charlotte, widzę, że szykuje nam się remont. Dziewczyno, spisałaś się na medal.

Haley wbiegła na schody. – Stop. Niech nikt się nie rusza! – krzyknęła swoim najbardziej przekonywującym kapitańskim tonem. Cole wraz z drugim przystojnym mężczyzną zamarli w holu. Charlotte i Dixie patrzyły na nią, stojąc przy wejściu do dużego salonu.

– Czy ktoś mi w końcu powie, co tu się dzieje?

Wszyscy odetchnęli. Cole wraz z drugim mężczyzną wrócili do noszenia. Charlotte objęła Haley ramieniem. – Cole przyjechał wczoraj wieczorem, żeby się z nami spotkać. Najwyraźniej spał w samochodzie. Tak czy siak, powiedział nam, że masz kłopot z zaopatrzeniem. Przykro mi, ale nie dziwi mnie to. Stał w naszych drzwiach, gdy tylko otworzyłyśmy salon. Powiedział, że nie pozwoli, żebyś poległa. Więc się zapakowaliśmy... Och, a to jest mój mąż, Tim. Tim, mówiłam ci, że Haley jeździ na motorze?

– Nie, nic nie wspominając. Haley, miło mi cię poznać.

Charlotte pochyliła się do Haley. – Sprzedał dla mnie swoje motocykle crossowe.

– Haley, czy chciałabyś wystawić kilka sukni na tej fantastycznej antresoli? – zapytała Dixie, chodząc po całym sklepie ze swoim iPadem i robiąc notatki. – Klientki będą mogły wtedy pozwiedzać, pooglądać, rozejrzeć się po całym salonie.

– Antresola jest miejscem, gdzie mają się przebierać panny młode, ale na czas wielkiego otwarcia to świetny pomysł.

Charlotte chodziła po salonie, dyskutując o wystawkach i oświetleniu, opowiadając jej o szczegółach ich tymczasowej współpracy. Haley cały czas nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Gdy rozładowali już cały towar, złapała Cole'a w pokoju kredensowym. – Pojechałeś do Birmingham? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wzruszył ramionami. – Nie wiedziałem, czy to wypali. Chciałem oszczędzić ci rozczarowania. Ale jeśli miało się udać, to pomyślałem, że to będzie fajna niespodzianka.

Padła mu w ramiona. – Zdziwiasz mnie.

Pocałował ją, trzymając ją blisko siebie, kołysząc jej serce przy swoim. – Nie mogłem zawieść mojej dziewczyny.

– Uwielbiam być twoją dziewczyną.

Cole kopnął nogą drzwi pokoju kredensowego, zamykając je. Odgarnął włosy

Haley na bok i zaczął całować jej czoło, skronie, policzki, podbródek i szyję. Czowała jego dotyk na karku i na ramionach, jak muśnięcia piórka. Spletli dłonie. Odnalazł jej usta, a ona dotknęła rękoma jego szyi. Objął ją ramionami, nic nie mówiąc. A jednocześnie mówiąc wszystko.

# *trzydzieści dwa*

## *Haley*

O drugiej w nocy Haley stała na szczycie schodów z Charlotte po jednej stronie i Dixie po drugiej, rozglądając się po swoim nowym królestwie.

*Salon sukien ślubnych.*

Butik tętnił życiem. Z jednego do drugiego salonu płynęła rzeka białych, kremowych i złotych sukni.

Niezwykłe suknie w stylu vintage stały pomiędzy nowoczesnymi modelami, niczym przewodniczki i mentorki dla innych sukni, przypominając o historii sklepu i podkreślając kierunek, w którym zmierzał salon.

Cole i Tim pracowali na zewnątrz, realizując spontaniczny pomysł Dixie, żeby przystroić okna białymi światełkami. Tim wzdragał się przed kolejną robotą.

– To naprawdę niepotrzebne – powiedziała Haley, starając się zwolnić mężczyznę od przykrego obowiązku. I tak już napracował się dla osoby, której nawet nie znał.

Ale kiedy Dixie warknęła: „Do roboty!”, obaj panowie wystrzelili jak z procy.

Haley kiwnęła głową z uznaniem, patrząc na jej nową przyjaciółkę. – Byłabyś świetnym starszym sierżantem.

Charlotte, wielka dama salonów ślubnych, stała ze skrzyżowanymi rękoma na piersi i uniesionym podbródkiem. Patrzyła na sklep z aprobatą.

– Będziesz miała fenomenalne otwarcie. Czuję to.

– Jaki jest plan na poniedziałek? – Dixie stanęła obok Charlotte. – Zachęcamy klientki do zapisania się na newsletter? Ceny? Muzyka? Masz jakieś asystentki? Jakiś personel?

– Newsletter gotowy. Zapomniałam o cenach. Muzyka będzie, personelu brak, poza moją skromną osobą. Jeszcze nikogo nie zatrudniłam. Do niedawna byłam członkiem ekipy budowlanej.



– Dobrze, Dix. Dasz radę wrócić tu w poniedziałek i zostać asystentką Haley przez kilka dni? – zapytała Charlotte. – Poradzę sobie sama w Birmingham, teraz mój salon działa na niższych obrotach. Haley, zajmij się zatrudnieniem co najmniej jednej osoby do pomocy. Suknie od Elnory, które ze sobą przywiozłam, same będą zeskakiwać z wieszaków. Jestem tego pewna.

– Charlotte, nie musisz wypożyczać mi swojej najlepszej asystentki.

– Tak, muszę. – Charlotte chwyciła ją za ramiona. – Haley, jesteśmy przyjaciółkami. A poza tym masz mój inwentarz i zależy mi, żebyśmy obie zarobiły pieniądze. Możesz się wiele nauczyć od Dix.

– Haley, coś tu wisi w powietrzu... – Dixie potarła głowę dłonią na przedramionach.

– Wiem, czasem mnie też to obezwładnia.

Charlotte obróciła się do Haley. – Teraz, gdy załatwiłyśmy sprawę wielkiego otwarcia, mam jeszcze coś dla ciebie.

– Za mało dla mnie zrobiłaś? – Haley wskazała na salon. – Co jeszcze możesz dla mnie mieć? Popatrz na to wszystko. Nie wiem, jak mam wam dziękować, Charlotte, Dixie.

Charlotte szybko zanurkowała na zaplecze i po chwili wyłoniła się z powrotem, ciągnąc za sobą stary kufer. – Pamiętasz moją opowieść o tym, jak znalazłam moją suknię ślubną w starym, zniszczonym kufrze?

– Tak? – Co ona wyrabia? Haley zrobiła krok w tył.

Charlotte uklękła przy kufrze. – Przecież sama powiedziałaś, że może powinnam znaleźć kolejną pannę młodą, która założy tę suknię.

– Tak tylko gadałam. Co ja tam wiem?

– Kilka miesięcy temu Bóg obudził mnie w środku nocy i zaczął mi o tobie mówić. I o tej sukni. Haley, to ty jesteś jej kolejną właścicielką.

– Charlotte, nie mogę tego przyjąć... nie mogę przyjąć twojej wyjątkowej sukni. – Nie była jej godna. Wręcz przeciwnie. Dopiero od niedawna czuła się dobrze ze swoją miłością do Cole'a. Haley spojrzała na zniszczony drewniany kufer. Cała się trzęsła. Zrobiło jej się gorąco w obliczu woli Wszechmocnego.

– Muszę być posłuszna woli Pana. – Charlotte otworzyła zamek, uniosła wieko i ostrożnie wyciągnęła śnieżnobiałą suknię, która niemal sama poruszała się, emanując wewnętrznym światłem i wdziękiem. Złoty blask bijący od sukni rozlał się po całym salonie i otoczył Haley.

– Zaprojektowała ją czarnoskóra projektantka w 1912 roku dla pewnej białej panny młodej w Birmingham. – Charlotte uniosła suknię. Jej dekolot otoczony był delikatnymi zagięciami, a długi tren wił się po świeżo wypolerowanej podłodze.

– Och, to najbardziej zjawiskowa suknia, jaką mamy.

Charlotte przyłożyła suknię do Haley. – W czasie mojego ślubu mężczyzna, który nam go udzielał, a który był też mężem panny młodej numer dwa, powiedział: „Ta suknia jest jak Ewangelia Jezusa. Zawsze pasuje. Nie wymaga zmian. Nigdy nie niszczy i zawsze będzie w modzie, zawsze będzie piękna”.

Haley zrobiła krok do tyłu. – To ponadczasowa prawda, ale, Charlotte, nie mogę jej przyjąć. – Wycofała się nieco głębiej do antresoli, czując napięcie pomiędzy tym, kim była, a tym, kim miała się stać.

Charlotte opuściła suknię, gładząc ręką jej jedwabisty gorset. – Kocham tę suknię. Jest dla mnie wszystkim. Prawdą, wiarą, cudem, rodziną, miłością. Jest moim uosobieniem. Moich przodków. Więc schowałam ją. Nie włożyłam jej nawet do tego starego drewnianego kufra. Myślałam, że w końcu odnalazła swój dom, i tu powinna zostać. A potem spotkałam ciebie. Jak mogłam ukrywać ten cud, zachować go na później, skoro teraz jest jej czas. Teraz ktoś musi ją założyć, wykorzystać. – Jej głos zawahał się. Oczy zalśniły łzami. – Przywiązałam się do czegoś, co tak naprawdę wcale do mnie nie należy. Muszę zwrócić jej wolność. – Znow uniosła suknię w stronę Haley. – „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie!”. To dla ciebie... ode mnie i od Jezusa.

Haley trzęsała się, roniąc łzy. Trzeba było wiele miłości, aby zmazać stare grzechy.

Dixie weszła po schodach na antresolę. – Haley, obserwowałam Charlotte przez lata i co do tej sukni, to wiem, że nie kłamie. Przekazujemy tobie pałeczkę.

– Bóg chce ci pokazać, jak bardzo cię kocha. Czas zejść z ławki rezerwowych, otrząsnąć się z błędów i upokorzeń przeszłości.

Charlotte zrobiła przekomiczną minę, jak wycieńczona czirliderka, niepewna, czy trafiła ze sportową nomenklaturą. Haley zasłoniła twarz ręką, ukrywając śmiech.

– Widzisz, cieszysz się!

– Ach te twoje durne metafory, Char! – Dixie wyciągnęła rękę do Haley. – Chodź, przymierzysz ją.

Haley wzięła do ręki suknię, czując pod palcami miękkiej, jedwabistej tkaniny. – Teraz? Przecież nie jestem zaręczona.

– Nieważne. – Charlotte pochyliła się, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy. – Przymierz ją, co? Dla mnie? Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła ją komuś przekazać. Chcę zobaczyć, jak do twarzy ci z Bogiem.

Haley nie mogła odmówić przyjaciółce. – Dobra, ale jeśli pasowała na twoją figurę, to dla mnie będzie za duża.

– Poczekaj, a sama zobaczysz, Calineczko.

Na zapleczu Haley wyswobodziła się ze swoich szortów oraz bluzki i zaczęła ubierać stuzeteroletnią suknię. Podciągając ją do góry, czuła, jak materiał gładko przesuwa się po nogach, prześlizguje się przez jej biodra i idealnie dopasowuje się do jej talii. Spódnica sukni zawirowała wokół jej nóg, zaś jej rąbek opadł dokładnie na palce stóp.

Haley wychyliła się przez drzwi. – Nie ma nikogo?

– Mężczyzn brak, poszli upolować jakieś jedzenie. – Charlotte kiwnęła do niej, żeby wyszła. Jej oczy błyszczały jak wypolerowane klejnoty. – Och, Haley, Haley...

Charlotte podprowadziła ją do owalnego lustra w drewnianej ramie i ustawiła tuż przed nim. Haley czuła się teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy przymierzała śnieżnobiałą suknię w salonie Charlotte. Tym razem podobała się sobie w odbiciu lustra. Ta suknia podkreślała jej... czystość. Całą jej osobę. Jej uleczoną duszę.

– Jest niesamowita – wyszeptała i zachichotała. – I pasuje.

– To Ewangelia – powiedziała Charlotte, zapinając guziki z tyłu sukni. – Pasuje na każdego, kto ją wypróbuje. Sztuczka polega na tym, żeby wierzyć. Proszę, wszystkie guziki zapięte.

Haley okręciła się na antresoli, czując, jak spódnica faluje, nieskrępowana, wokół jej nóg, a jedwab chłodzi jej skórę. – Czuję się niesamowicie. Chce mi się jednocześnie śmiać i płakać.

W salonie, gdzie dawniej bawiła się z Tammy, gdzie złożyły sobie obietnicę i gdzie przez trzydzieści siedem lat czekało na nią w ukryciu jej dziedzictwo, Haley prawdziwie czuła, że jej życie zatoczyło pełne koło.

Charlotte oparła się o jej ramiona. – Haley, jest twoja. Przekazuję ją tobie. Noś ją z radością, wdziękiem i pokojem w sercu w dniu swojego ślubu. Ale nigdy jej

nie pakuj i nie ukrywaj. Czekaj na głos Boga, który powie ci, kiedy masz przekazać ją dalej.

Haley uniosła mały palec dłoni. – Obiecuję.

Charlotte zawahała się, ale po chwili zahaczyła swoim palcem o palec Haley.

# *trzydzieści trzy*

*Rok później*

*10 czerwca*

Popołudniowy wiatr przyniósł ze sobą zapachy lata, przedzierając się przez korony drzew strzegących kaplicy.

Haley wychodziła wsparta na ramieniu Cole'a, spoglądając w błękitne niebo, odziana w wyjątkową suknię ślubną, w Miłość i Prawdę. W dłoni trzymała bukiet fioletowych kwiatów.

Wraz z nimi z niewielkiej kaplicy wyszli zaproszeni goście, wiwatując: „Niech żyją państwo Dannerowie!”.

U dołu schodów Cole porwał ją na ręce i zakręcił nią w świetle późnopopołudniowego słońca, przebijającego się przez liście drzew. Czowała, że ta jasność przepelnia jej duszę.

Goście, w sumie czterdzieści osób, obsypali ich kwiatami lawendy, dzwonek i kocimiętki.

Śledząc każdy ich krok, Taylor Gillingham, ukradkiem robiła zdjęcia.

– Moje gratulacje, Hal – powiedział tata, całując ją w policzek. Nie przestawał się uśmiechać, odkąd poprowadził ją do ołtarza.

– Moja piękna córeczka... – Mama zrobiła się bardziej sentymentalna, odkąd Haley otworzyła salon, a ona przeczytała list od Cory i dała córce pieniądze.

W zeszłym tygodniu rada miasta wręczyła Haley akt własności i przyznała jej tytuł Przedsiębiorcy Roku.

Zza pleców Cole'a wyszedł jego tata – poklepał go w ramię i serdecznie mu pogratulował.

Haley w najśmielszych snach nie podejrzewała, że odpowiedziawszy na Boży głos i wróciwszy do domu, znajdzie się w tym miejscu. Albo że otwierając salon sukien ślubnych, pozna lepiej swoją rodzinę, uleczy rany i pozna smak

prawdziwej miłości.

Choć Cora nigdy nie naprawiła swoich stosunków z ojcem, Cole był na dobrej drodze, żeby odbudować swoje. Spotykał się ze swoim tatą co tydzień na kolacji. Żyjąc dniem dzisiejszym, a nie przeszłością, stawali się znów ojcem i synem.

– Dobrze, to zapraszam teraz na przyjęcie weselne. – Najstarszy brat Haley, Aaron, skierował wszystkich do samochodów. – Czeka na nas pół miasta.

Przyjęcie miało odbyć się w domu Cole'a, w *ich* domu, na starej farmie Goodów, gdzie panna Cora i Birch żyli razem przez pięćdziesiąt pięć lat. Gdy otwarto szampana, mama Haley podzieliła się ze wszystkimi historią ich rodziny.

– Poczekajcie na nas! – Z kaplicy wyszły drużny Haley, machając swoimi bukietami: Charlotte, pani Peabody, pani Elliot i pani Rothschild, z którymi – dzięki sukni i salonowi – połączyło Haley siostrzane uczucie.

Przed ślubem pani Elliot nie mogła się doczekać, aż złapie bukiet panny młodej. – Zasługuję na to tak samo jak młodsze dziewczęta.

Póki jest w nas życie, zawsze pragniemy miłości.

– Chodź, kochanie. Nasz powóz już czeka.

Haley wsiadła z Cole'em do limuzyny i usiadła mężowi na kolanach. – Czuję się, jakby serce miało mi zaraz eksplodować.

– Ja już to przerabiałem. Rok temu.

Pocałowała go, przeczesując mu ręką włosy. Uwielbiała spojrzenie jego błękitnych oczu.

– Czuję się taka spełniona. – Znów go pocałowała. – A więc to jest miłość...

– To jest miłość. – Przyciągnął ją do siebie, całując ją namiętnie.

– Czyż ta suknia nie jest niesamowita?

– Bardzo... i podoba mi się jej historia. I kobieta, którą ją nosi.

– Kaplica ślubna zwała z nóg. Jest taka romantyczna. Czuję się, jakbym wychodziła za mąż na dworze królewskim.

– Skoro braliśmy ślub przed Bogiem, to myślę, że tak właśnie było.

– A co panu podobało się najbardziej, panie Danner?

Odgarnął zabłąkany lok z jej ramienia. Subtelny dotyk jego ciepłej skóry sprawił, że zadrżała. – Nie wiesz, kochanie? Ty.

# *podziękowania*

Chciałam podziękować mediom – Internetowi i kanałowi YouTube – a tym samym wszystkim ludziom, którzy umieszczają w sieci pozornie bezsensowne i mało interesujące informacje. Dziękuję Wam w swoim imieniu i pewnie w imieniu każdego pisarza, który grzebał w cyberkopalni i w końcu dokopał się do złota. Dzięki Wam za wasze filmiki o cumowaniu łódek.

A teraz kilka słów do mojej współpracownicy w pisaniu – Susan May Warren. Pracujemy już razem nad siedemnastą książką. Zawsze trzymasz moją wyobraźnię w ryzach i pilnujesz, żeby moje pióro nie było zbyt szalone. Nadal czekam, aż w końcu zarażę się Twoim geniuszem. Póki to nie nastąpi, zadowolam się jednak Twoją miłością i pomysłami. Pozdrów swojego syna Davida. Nadal uśmiecham się, gdy przypomnę sobie, że dzwoniąc po pomoc, poprosiłam do telefonu jego, zamiast ciebie. Cha! Dobrze go wyszkoliłaś.

Dziękuję też Beth Vogt, z którą zdzwaniam się przez FaceTime. Twoje spostrzeżenia i sugestie sprawiły, że ta książka stała się lepsza. Dziękuję Ci, że jesteś, przyjaciółko.

Ślę też emotikony – serduszka – dynamicznemu duetowi, który zredagował tę książkę – Becky Philpott i Karli Jackson. Bardzo doceniam Waszą pracę. Dziękuję Wam za Waszą cierpliwość, pomoc, spostrzeżenia i wskazówki; bycie na wyciągnięcie telefonu i wspólny śmiech! Jesteście najlepsze!

Dziękuję też mojemu wydawcy – Daisy Hutton. Cieszę się zarówno z naszej znajomości, jak i współpracy. Dziękuję, że towarzyszysz mi w mojej literackiej podróży.

Przesyłam również miliony emotikonów serduszek całemu zespołowi Thomas Nelson/Zondervan, który odważa całą zakulisową robotę. Dzięki! Wysyłam

WAM całą swoją miłość!

Ściskam serdecznie mojego kumpla – Jima Bartholomewa – za poprowadzenie mnie przez tajniki budowy i renowacji. I za wspólny lunch. Jeśli coś pomieszałam, biorę winę na siebie.

Mojemu mężowi przesyłam uściski i buziaki. Dziękuję, że dzielnie znosi obecność pisarki w domu – późne obiady, pilne terminy i nieustanne pytania dotyczące fabuły: „Myślisz, że to brzmi prawdopodobnie? Czy to ma sens?”.

Moją mamę zapewniam o swojej miłości i oddaniu. Dziękuję, że czytasz każdą z moich książek i dzielisz się nią z innymi. Bardzo dziękuję też mamy przyjaciółom, którzy się za mnie modlą. To szczęście, że Cię mam, Mamo, i że Twój przyjaciele tak we mnie wierzą.

Chciałam także wykrzyknąć głośno „Dziękuję!” mojej parafialnej rodzinie – za gorący aplauz, kiedy pastor ogłosił, że moja książka trafiła na listę bestsellerów dziennika „New York Times”. Kocham to, że jesteście ludźmi, którzy czczą i kochają Jezusa, i że wspólnie możemy pochwalić się Jego przyjaźnią.

Bo w końcu w całej tej mojej podróży chodzi wyłącznie o Jezusa. To wszystko dla Niego. I nie jest to kolejny pusty frazes. Jezu, skradłeś moje serce i chcę, żeby świat Cię poznał. Oddałeś za mnie życie, więc teraz piszę dla Ciebie. Dzięki Ci, Jezu! Tytuł oryginału: *The Wedding Shop*



Przekład: Katarzyna Brzezińska  
Projekt okładki i opracowanie graficzne: Joanna Dąbrowska  
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl  
Zdjęcie na okładce: myronovychoksana (Fotolia.com)

© for the Polish edition by Święty Wojciech Dom Medialny Sp. z o.o., Poznań 2017  
Copyright © 2016 by Rachel Hauck  
Wydano za zgodą The Zondervan Corporation L.L.C.,  
Oddziału HarperCollins Christian Publishing, Inc.

ISBN 978-83-8065-193-7

Wydawca:  
Święty Wojciech Dom Medialny Sp. z o.o.  
Wydawnictwo  
ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań  
tel. 61 659 37 13  
[wydawnictwo@swietywojciech.pl](mailto:wydawnictwo@swietywojciech.pl)

Zamówienia  
Dział Sprzedaży i Logistyki  
ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań  
tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51  
[sprzedaz@swietywojciech.pl](mailto:sprzedaz@swietywojciech.pl) • [sklep@mojeksiazki.pl](mailto:sklep@mojeksiazki.pl)  
[www.swietywojciech.pl](http://www.swietywojciech.pl) • [www.mojeksiazki.pl](http://www.mojeksiazki.pl)

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Świętego Wojciecha